

Kryszyna  
Kofta



SUKI

Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

## CZĘŚĆ PIERWSZA. NACZELNA NACZELNA

Ewita w podróży

Naczelną Suka

Litościwe serce nie sprzeda magazynu

Ciuchy

Antek

Stare lalki

Emerycy po trzydziestce

Adela w nawiasie tęczy

Czytanie i pisanie

Traktat o sukach

Gabrysia Mżawka w filharmonii

Prada lepsza od Prawdy

Aneta

Bolesne tajemnice kobiet

Pan i jego Suka

Kocha, ale czasem nie lubi

Upalne miasto

Off the record

Dobrana para  
Skórzany plecak  
Kryzys sobotniej nocy  
Kosmos Bartka  
Ślub dzieciaków  
Adela pod ścianą  
Strzała czasu  
Depresja Wrednej Suki  
Gabrysia Mżawka  
Fashion Week  
Nareszcie w NY  
Klucze Igora  
Seks z kowbojem w NY

## CZĘŚĆ DRUGA. KOZETKA DOKTORA BECHSTEINA

Doktorze Bechstein...  
Lojalność Ewity  
Prawdy wewnątrzrodzinne  
Sekretny notatnik Ewity  
Matki i córki  
Bezludna wyspa  
Sztuka nie rani  
Kiedy dzieje się śmierć  
Doktorze Bechstein...  
Pamiętna niedziela

Marianna, matka chrzestna

Na skraju

Seks jako lek

Bliskość z daleka

Czerwona podeszwa

Doktorze Bechstein...

Globalna wioska ćpunów

Doktorze Bechstein...

Niedobry klimat

Doktorze Bechstein...

Monika

Smak zemsty

Narodziny bliskości

Grzegorz

Życie rodzinne

Czy bóg jest miłosierny?

Depresja kochanków

Małżeństwo Kety

Solidarność kobieca?

Doktorze Bechstein...

W Świąćmierzu

Doktorze Bechstein...

List do doktora Bechsteina

Modowa forpoczta

Pieprz się, z kim chcesz, kiedy chcesz i jak chcesz

List do doktora Bechsteina

Doktorze Bechstein...

Z notatnika Ewy Szot

Drugi mąż

Sraczka słowna

Doktorze Bechstein...

Sztuczna plaża

Sensacyjny wywiad Gabrysi Mżawki

Kryszyna  
Kofta

**SUKI**

CZĘŚĆ PIERWSZA

NACZELNA NACZELNA

## EWITA W PODRÓŻY

Ta Wredna Suka, Ewa Szot, prezeska medialnego imperium i wieloletnia szefowa magazynu dla kobiet, leżała samotnie w wielkim sześcianie bez okien i drzwi, wypełnionym lekkim powietrzem o zapachu ozonu. I ciszą. W firmie, oprócz Wrednej Suki, miała ksywę Ewita. Jej ludzie uważali, że jest kimś w rodzaju latynoskiej dyktatorki. Zarządza imperium medialnym, stroi się w markowe ciuchy, ma setki par pantofli i – co najistotniejsze i najgorsze – nie toleruje sprzeciwu. Wymaga feudalnego posłuchu. „Chcesz u mnie pracować? Musisz się podporządkować”. Takie hasło powinno wisieć w gabinecie Ewity. Jesteś niewolnicą albo wasalem. Każdy najbzdurniejszy tekst czyta sama i sama go poprawia. Nie powinni mieć jej tego za złe, bo ich teksty zawsze są niedopracowane. Czyści je i przygotowuje do druku, a potem, podczas kolegium, boleśnie dla autorek wyśmiewa błędy. Razi ją pretensjonalność, choć rozumie, że nie da się jej uniknąć. Bez górnolotnej, sentymentalnej przesady kobiece pismo nie istnieje. Ewita zawsze ma ostatnie zdanie. Nie podnosi głosu, nie przeklina zbyt często. Najczęściej w myślach. Gdy jest wściekła, ścisza głos i powoli cedzi przez zęby, prawie nie otwierając ust, jakby uznawała, że nie warto się męczyć, bo i tak nie zrozumieją.

Dziś wisiała w pustce. Wyciągnęła rękę, dotknęła miękkiej ściany



zbudowanej z czegoś najbardziej podobnego do chmury; ściana się wygięła, zakrzywiła. Leżąc w absolutnej ciszy, upajała się niebywałą łatwością, z jaką oddychała poburzowym powietrzem. Utrzymywała się w powietrzu bez wysiłku, bez materaca i poduszki. Wspaniałe było to uczucie lekkości. Powietrze unosiło ją tak, że nie spadała. W raketach lecących w kosmos trzeba było z powodu grawitacji ciągle manewrować ciałem. Ona mogła leżeć zupełnie bez ruchu, a także siadać i chodzić. Powietrze odgadywało, czego chce i posłusznie układało się pod dyktando jej myśli. Mądre powietrze, dobre powietrze, pomyślała jak o psie, z czułością pogłaskała przestrzeń. Położyła się i zamknęła oczy. Dziwne, lecz wcale nie czuła się uwięziona. Zobaczyła idącą ku niej Mariannę Skibę. Niosła w ramionach biały tobołek, chyba becik? Gdy Ewita wyciągnęła rękę, Marianna zniknęła. Ciało Ewity wytworzyło osobliwe pole grawitacyjne. Wydawało się jej, że znalazła się na drodze do odkrycia czasoprzestrzeni, leżącej poza granicami samej siebie, że jest blisko obalenia ważnej teorii, wyjaśnienia zagadki bytu. Chciała natychmiast zapisać swoją myśl, sięgnęła w prawo, gdzie powinien stać nocny stolik, na którym zawsze leżał notes, ale ręka napotkała próżnię. Fizyka to jednak nie mój *job*, pomyślała, przytomniejąc.

Nocny stolik należał do innej rzeczywistości. Stał w jej mieszkaniu, w sypialni. Na granicy snu i przebudzenia łatwo zongluje się przestrzeniami, zanim odkryje się właściwą, tę, w której się naprawdę przebywa. Zwłaszcza po nocy z koką czy innym umilaczem życia, bez których trudno byłoby harować całą dobę. Ewita od dawna była „czysta”, a jednak ciągle miewała sny pełne wizji. Często, budząc się, miała wrażenie, że jest w Święćmierzu. Tęskniła za tym miejscem i za Marianną Skibą. Wreszcie czas do niej pojechać, jednak ostatnio trudno się było wyrwać z redakcyjnego kieratu. Pewnie dlatego pamięć przywoływała we śnie wytęskniony, chociaż niepokojący obraz. Może winny jest magnez, którego brała

duże ilości, by zapobiec drganiu powiek i skurczom łydek, albo S-aenozylometionina, którą ostatnio dał jej doktor Bechstein zamiast efectinu. Czy pomoże, to się okaże po miesiącu. Spadała powoli, przenosząc się z jednej czasoprzestrzeni w drugą. Wreszcie opadła miękko i bezboleśnie na fotel. Przeciągnęła się, aż trzasnęły kości w stawach. Z trudem otworzyła oczy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu, od tamtej pamiętnej nocy, tak mocno spała. Tuż przed lądowaniem weszła stewardesa i trącała ją delikatnie. Ewita poprosiła o budzenie. Chciała uwolnić się od budzika. Była dziś za ścianką sama. Warto za takie odgrodzenie zapłacić. Ostatnie tygodnie redakcyjnych walk ją znużyły. Potrzebowała samotności i swobodnego oddechu. Trochę pomagała muzyka. W zeszłym tygodniu, w środę, wyrwała dla siebie wieczorne godziny, żeby posłuchać madrygałów Monteverdiego, według Torquata Tassa. Zapomniany, ale nie obcy. Na studiach czytała *Jerozolimę wyzwoloną*. Czowała się w tym świecie u siebie. Oddychała swobodnie. Mezzosopranistka była naprawdę dobra. W pieśniach i ariach sprzed prawie czterech wieków było życie wieczne. Ewita wierzyła w nie bardziej niż w Boga, przynajmniej muzyka była od niego bardziej litościwa, prawie zawsze przynosiła ukojenie. Jednak gdy wyszła z filharmonii w listopadową, ciemną noc, demony wróciły.

## NACZELNA SUKA

Wiele lat temu Ewita została naczelną. Naczelną naczelną, jak mówiła o sobie, bo należała do naczelnych już wcześniej, jak wszystkie suki. Pracowała w agencji reklamowej. Nie było ich jeszcze tyle, ile jest dziś. Wymyślała reklamy kosmetyków, uznano ją za kreatywną. Pewna firma komputerowa zaproponowała jej zrobienie filmiku o komputerze. Komputery były wówczas dość spore, przypominały psią budę albo garbatego robota. Uznano, że jej film jest feministyczny. Treść mniej więcej taka: Przychodzi petentka do firmy, chce coś załatwić. Przy biurku siedzi przystojniak. Opalony, biała koszula. Uzębienie białe, jak to w reklamie. Facet błądzi palcami po klawiaturze komputera, szuka czegoś, nie może znaleźć. Kobieta jest seksowna, jasne, bez tego nic się nie sprzeda – tyle wiedziano już wtedy – niewulgarna, nie taka z cycem na wierzchu, którym zamiata blat biurka, ma rozchyloną bluzkę, noga widoczna w rozcięciu spódnicy; wchodzi za jego biurko, pochyła się nad facetem, pachnie, widać, że facet wciąga zapach jej perfum, jest odurzony. Ona przeprasza go, siada na jego krześle i natychmiast znajduje stronę firmy, o którą chodzi. W tym miejscu widzimy reklamę produktu. Ewita odwróciła role, bo dotąd, nawet w sprawie proszków do prania, ekspertem był zawsze mężczyzna. Najpierw garniturowcy z firmy kręcili nosem, że to za wcześnie, jeszcze nie

czas na kobietę, mówili, że nikt nie kupi produktu reklamowanego przez babę. Okazało się, że nie mieli racji, sprzedaż wzrosła o sześćdziesiąt procent. Zatrudnili Ewitę na umowę, płacili niewiarygodne honoraria. To były początki kapitalizmu. Wcześniej, w gospodarce napędzanej przez ekonomię socjalistyczną – cokolwiek to znaczyło – były centralna dystrybucja, centralne zarządzanie i centralna reglamentacja. Coś w tym guście. I nagle wszedł wolny rynek, niesamowite możliwości. Ewita załapała się na samym początku. Gdy już miała szmal, kupiła, albo raczej przejęła, pismo, uważano, że było to wrogie przejęcie.

Jako Bizneswoman Roku udzieliła kiedyś dość szczerego wywiadu, w którym opowiadała o początkach:

– Wzięłam jedno z damskich pisemek, które wychodziły za PRL-u. Jak już postawiłam je na nibynóżki, szybko się znudziłam. Zabrałam swoją część siana i jako wolny strzelec wróciłam do reklamy. Wtedy na rynku zaczęły się pojawiać różne kobiece magazyny z Zachodu. Dziesiątki kolorowych pism. Na wszystko był zbyt, wygłodzone kobiety pożerały, co im podsunęliśmy. W reklamie panowało hasło: Podaruj sobie odrobinę luksusu. Nie przy brylantach, chyba przy jakimś mydle czy czymś równie idiotycznym. Ten luksus był wtedy dla nas w samym błyszczącym, kolorowym papierze. Wolny rynek przyciągnął łowców głów, wyrwali sobie kreatywnych czy raczej zdolnych do robienia kasy. Prosił mnie na rozmowy. Odbyłam kilka. Gdy przesłam te wstępne kwalifikacje, poprosili, żebym przygotowała plan działania. Zrobiłam to, jednak zastrzegłam sobie prawa do swoich pomysłów. Z pomocą prawników. Umiałam już poruszać się po grząskim gruncie. Byłam kiedyś na party biznesowym i tam poznałam człowieka z branży. Okazało się, że, choć młody, jest bardzo ważny i bardzo bogaty. Był prezesem, wchodził na nasz rynek z koncernem medialnym.

Gadała z nim długo. Sądziła, że ją podrywa. Tak było, ale szybko

się zorientowała, że zadaje za dużo pytań. Po realnym socjalizmie ludzie byli na to bardzo wyczuleni. Trzy pytania uważało się już za podejrzaną inwigilację. W końcu Ewita spytała, po co mu aż tak dokładna wiedza na jej temat. Powiedziała, że jeśli chce się oświadczyć, to nic z tego, bo ona jest zatwardziałą samotnicą po przejściach. I dodała, że nawet jeśli to prawda, co się mówi, że wszystkie kandydatki przechodzą przez łóżko, to i tak wybiera się najlepszą merytorycznie. To go ubawiło. Miał żonę, choć nie nosił obrączki. Jak oni wszyscy, zawsze w separacji, zdjęcie rodzinne na biurku. Obrączka go uczuła, palec mu od niej puchnie, powiedział.

Tak poznała Antka, swojego obecnego prezesa, uważała, że facet jest w porządku, dogadali się, twierdziła, że nie było pieprzenia, bo wolała spróbować, czy ma szansę na tę świetną fuchę. Dobrze pamiętała, jak to się zaczęło, ten dzień pamiętała lepiej, niż to, co zdarzyło się wczoraj. Najpierw rozmawiał zarząd. Sądziła, że zarządy i rady nadzorcze to miejsca przechowujące nierobów. Takie miała socjalistyczne pojęcie. Tak się mówi, gdy nie należy się do zarządu korporacji. Na wynik rozmów czekała w pokoju dla gości. Nic nie było słyhać, bo drzwi wybito skórzaną poduchą, tak jak te w gabinecie doktora Bechsteina. Miał zapaść werdykt, czy ją chcą, czy nie. Parę dni wcześniej prezes robił jej nadzieję, pewności jednak nie miała. Oprócz niego nie znała tu nikogo. Przyjechał nawet wysłannik ze Szwajcarii, ktoś z Niemiec, z Francji, to był międzynarodowy koncern wydawniczy. Nikt nie protokołował spotkania, nie było nawet sekretarki.

Ewita przypuszczała, że robiono nagrania. Takie miejsca bywają naszpikowane kamerami i urządzeniami szpiegowskimi lepiej niż pieczeń z zająca słoniną. Po godzinie drzwi się uchylily i wyszedł do niej obcy młody człowiek, rozczochrany jak kukiełka, z czupryną ze sznurka, w wytartej zamszowej marynarce i rozpiętej białej koszuli, wyrzuconej na spodnie. Oczy mu błyszczały, jakby miał gorączkę

albo przed chwilą wziął na biurku swoją asystentkę. Wprowadził ją do gabinetu, w którym odbywały się posiedzenia. Wszyscy przyglądali się jej uważnie, czuła te spojrzenia – od stóp w butach na wysokich, nieprzesadnie jednak, obcasach poprzez łydki, uda, biodra, piersi, szyję, twarz aż po włosy. Była dobrze uczesana, włosy ciasno do tyłu, wzięte w karby, czarne i błyszczące, tak lubiła się wtedy czesać. Tę fryzurę nazywała flamenco. Nigdy się nie farbowała. Miała naturalny makijaż, strój odpowiedni, swój indywidualny *dress code* zamiast obowiązującego wówczas kostiumiku i szpilek, postawiła na większą swobodę, nie zasięgała porad stylistek. Żaden *sexy look*, prosta, szara sukienka, na to ciemniejszy zakiet. W męskich spojrzeniach członków zarządu, a byli tam wtedy sami mężczyźni, nie widziała męskiego taksowania. Taksowali ją z punktu widzenia przydatności do tej roboty. Wskazano jej krzesło. Wszystkie oczy przyłgnęły do jej twarzy. Prawie poczuła wypukłość i wilgotny chłód ich gałek ocznych. Na stole leżał przygotowany projekt zmian, jakie przygotowała i jakich zamierzała dokonać, gdy obejmie pismo. Każdy z nich po kolei zadawał jedno pytanie. Byli przygotowani, podobnie jak ona. Nie mogła uwierzyć, że czytali to, co napisała. A jednak tak było. Odpowiadała całymi zdaniem jak na egzaminie, trochę popisowała się wiedzą o tym, co się dzieje w branży na świecie. Goście pytali ją po angielsku, niemiecku i francusku. Zadeklarowała w CV, że zna te języki. Także rosyjski, ale nikogo z Rosji nie było. Szło jej nieźle. Zatelefonowano po sekretarkę. Weszła starsza kobieta z siwymi włosami upiętymi w kok, miała na nosie okulary w czerwonej oprawce; to była jedyna ekstrawagancja. Przyniosła teczkę z umowami. Była „na ty” ze wszystkimi członkami zarządu. Także z prezesem. Gdy Ewita dostała papiery do ręki, poprosiła o trochę czasu, żeby jeszcze raz je przeczytać. Wcześniej dostała projekty umów, pracowała nad nimi z prawnikiem. Sprawdziła, czy jej

poprawki zostały wprowadzone. To trochę trwało, oni w tym czasie rozprawiali o giełdzie, mówili, że na razie nie warto wchodzić, może za dwa, trzy lata. Wreszcie podpisała wyraźnie imieniem i nazwiskiem. Ich podpisy i parafy były już na każdej stronie. Wtedy wniesiono srebrny kubek z ciemną butelką.

– To szampan Mumm, mało u nas znany – powiedział prezes.

– Nigdy nie piłam. Nawet o nim nie słyszałam – przyznała Ewita.

– Bo tu się pija Dom Pérignon – wtrącił ktoś z zarządu.

– Albo Sowietskoje Igristoje – dorzucił inny i wszyscy się roześmiali.

Ewita doznała wstrząsu. Zamurowało ją. Przez kilkanaście sekund nie mogła mówić. Pamiętała takiego szampana i toast: „Za największą i najpiękniejszą miłość świata”, wzniesiony przez ordynatora pewnego szpitala. Z wysiłkiem opanowała łzy.

– Ja w ogóle nie pijam szampana, boli mnie potem głowa – odparła, bo wkurzyło ją ich poczucie wyższości z tak błahego powodu jak lampka jakiegoś szampana Mumm.

To ich ple-ple wydało się jej próżne, głupie, niegodne. Zastanawiała się, jak pracować z takimi ludźmi. Uspokoilo ją to, że będzie się z nimi widywać cztery, może pięć razy do roku. Zaczęli rozprawiać o winach, serach, gatunkach ryb. Czekala, aż któryś pochwali się, że jadł pieczeń z żyrafy, gorzkie mięso łabędzia albo jądra byka, uznawane za afrodyzjak. Mówili o nieznanym zwykłym śmiertelnikom dzikich miejscach, w których można odpocząć, jeść nieskazone potrawy i pić u źródła wodę, wino. To nie było najgorsze.

– Ja też lubię takie miejsca, tyle że coraz ich mniej na świecie, wszędzie krwawe wojny, rewolucje – dorzuciła swoje trzy grosze.

Czuła, że musi stamtąd wyjść, bo za chwilę powie coś takiego, że ją wyrzucą.

– Są jeszcze enklawy, może się kiedyś wybierzemy – powiedział Niemiec.

To już były samcze, kogucie popisy, na szczęście bez seksualnych podtekstów, to jedynie licytacja: kto się lepiej na czymś zna, kto był gdzieś, gdzie inni jeszcze nie byli, kto jest bogatszy. Niemiec miał duży jacht, Szwajcar dysponował śmigłowcem, a szef reklamy miał cesnę. Spytał, czy ma ochotę popatrzeć z góry na miasto, powiedziała, że to mały samolot, a ona boi się małych maszyn, bo są niebezpieczne. Na to znów wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Zaraz będzie miała okazję popatrzeć na wszystko z góry, nie wsiadając do twojej zbyt małej maszyny! – śmiał się prezes.

Wszyscy byli w dobrych humorach, rozluźnieni, zdjęli marynarki i przeszli na mocniejsze alkohole. Wypiła z nimi strzemienne, czyli szklaneczkę whisky. Poprosiła bez lodu, co znów im się spodobało.

– Prawda, że z lodem ma trochę mydlany smak? – Poszła za ciosem, widząc, że odpowiada im ten styl rozmowy.

Nie wiedzieli, że lubiła tylko działanie alkoholu, a nie przepadała za aptecznym smakiem. Woląла nierozcieńczoną, bo po pierwsze lepiej smakuje, po drugie jest jej mniej. Prezes wziął ją pod ramię, z brzuchatymi szklankami wsiedli do przestronnej windy. Drzwi zamknęły się z sykiem, wydały się zbyt szczelne, wiedziała, że decydując się na tę robotę, znajdzie się w szczelnym świecie, do którego nie dochodzą krzyki rozpacz, nie mają wstępu bieda, starość i śmierć. Ograniczonym wyciszonymi ścianami i drzwiami. Śmierci i biedy zaznała, miała ich dość. Starości swojej nie czuła. Starość dopiero niedawno wdarła się szturmem do lajfstylowego życia, stare kobiety zrobiły rewolucję, weszły na barykady i na salony, mają pieniądze, własne biznesy, prowadzą firmy. Wiele wdów może wydawać na siebie oszczędności całego życia, emeryturę po mężu, nie wolno ich lekceważyć, trzeba ubrać i odmłodzić, dać im ciuchy i odpowiednie kremy. Tego dnia jednak o tym nie myślała, chociaż w planach, jakie przedłożyła, wspomniała



o zainwestowaniu w starsze kobiety, żeby wyciągnąć z nich kasę.

Gdy wyświetliło się dwudzieste pierwsze piętro, odetchnęła z ulgą.

– Teraz pokażę ci miejsce twojej władzy, absolutnej władzy nad ludźmi – powiedział prezes, gdy stanęli przed drzwiami, na których już przykręcono mosiężną tabliczkę z jej imieniem i nazwiskiem.

Gabinet miał wielkość sali balowej. Prezes poprowadził ją do okna, ceremonialnie jak w procesji albo polonezie. Szerokim, miękkim gestem prawej ręki objął pejzaż, miasto w dole. Nasunął się jej symboliczny, wręcz religijny obraz *Kuszenie Chrystusa*. Kusił go szatan. Daj spokój, co za patetyczny kicz, pomyślała. Mówiła sobie w duchu, że ani prezes nie jest szatanem, ani też ona nie miała w sobie nic z Chrystusa, nie była święta, nie chciała być uboga. Była Pazerną Suka, chciwą władzy i pieniędzy.

\*

Czekały ją wyzwania. Fashion Week w NY zawsze był męczący; dziesiątki pokazów, spotkania z głównymi projektantami na kolacjach, lancze, brancze, iwenty, w których powinna uczestniczyć, jeśli chciała być na bieżąco z trendami. Traktowała robotę poważnie, nie jak ci urywający się z obrad międzynarodowych, żeby rozrabiać po knajpach – istne dzieci na wagarach, oszukiwali zwierzchników jak rodziców. Po czymś takim z jej redakcji wylecieliby z hukiem. Z wilczym biletem. Była właścicielką imperium, mogła o tym decydować.

Gdy czuła się zbyt zmęczona, by jechać, wysyłała w zastępstwie dziennikarkę modową. Nie zdarzyło się nigdy, żeby wyznaczona osoba nie wzięła udziału w pokazach, które miała opisywać. Jedno tego rodzaju przewinienie i zegnaj na zawsze. Zresztą redaktorki

lubiły pokazy, tak naprawdę walczyły o wyjazd. Tu inaczej niż w polityce, nikt nie był nietykalny. Nie trzeba było montować bransoletek na nogach, zależało im na robocie. Także na dobrej pensji, ryczałcie, premiach. Pieniądze nie były publiczne. Pochodziły z kieszeni czytelniczek i reklamodawców. Metody pozyskiwania, a raczej wyrywania reklam, stosowało się, delikatnie mówiąc, różne. Zajmowali się tym ludzie o szczególnych zdolnościach, i nie było to kółko różańcowe. Chociaż Ewita wiedziała, że babcie z kółek różańcowych są wojownicze, bronią wartości uznawanych za chrześcijańskie, zwalczają idee liberalne, inną niż hetero orientację seksualną, prawo do aborcji czy metodę in vitro, używając parasola. Interesowała się polityką, a jednak nie chciała jej na łamach ekskluzywnego magazynu, nie tylko dlatego, że obowiązywał tu zakaz politykowania. Politykę przepędzano stamtąd jak brudną sukę, także dlatego, że starzała się szybko i brzydko. Won stąd! Czytelniczki cię tu nie chcą! Nie strasz ich! Po miesiącu nikt już nie pamiętał o szokujących zdarzeniach w parlamencie, politycy znikali z pierwszych stron gazet szybciej niż piosenkarki czy serialowe gwiazdy. Szkoda miejsca, które można wykorzystać na reklamę i godziwie na tym zarobić. Na polityce się traciło.

Obok oglądania wielu pokazów miała jeszcze coś ważnego do załatwienia. Pewną swoją bardzo ważną sprawę. Kolejną sesję u doktora Bechsteina. Czuła, że jej osobisty kryzys dotknął dna. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, prócz znużenia nie było obiektywnych powodów do aż takiej depresji. Gdyby doszło do tego, co przez kilka sekund chciała zrobić, nie leciałaby teraz do NY. Czas najwyższy, by się ratować. Dlatego zostawiła redakcję na trochę dłużej niż zwykle.

# LITOŚCIWE SERCE NIE SPRZEDA MAGAZYNU

A jednak, mimo że była taką Wredną Suka, potrafiła także chwalić i dawać gratyfikacje za dobrą robotę. Nawet tym, za którymi nie przepadała. Wszyscy to przyznawali. Robiła to dla dobra firmy. Na zewnątrz, w programach telewizyjnych czy wywiadach o swojej załodze zawsze mówiła dobrze. Jeśli ktoś się nie sprawdzał, wyrzucała go. Na rynku pałęta się mnóstwo takich wywalonych, którzy robią jej koło pióra. Wredna Suka Ewita nie zna litości, szeptano. Zgadzała się z tą opinią. Gdy ktoś skamlał, mówiła, że litościwe serce nie sprzedaje magazynu. Nie była to cała prawda o niej, bo jeśli ktoś zachorował, wspierała go i rozkładała nad nim parasol ochronny. Nigdy nikt nie wyleciał, gdy leżał pod respiratorem albo nawet był długo w śpiączce, co się też raz zdarzyło. Także z powodu podeszłego wieku, jakim była pięćdziesiątka. Jeżeli musiała kogoś usunąć, bo nie dawał rady, nie trzymał tempa, znajdowała mu robotę w jednym z licznych, mniej znaczących pism należących do jej imperium. Na wdzięczność nie liczyła. I tak dowiadywała się, że jest Parszywą Suka, bo kasa w kolejnej robocie była mniejsza. Opinia suki jej nie przeszkadzała, czasami łapała się na tym, że sama sobie wydaje komendy: Bierz się do roboty, Leniwa Suko!

Publicznie pokazywała się tylko w dobrej formie albo przynajmniej udawała, że tak jest. Dopracowana w najdrobniejszych szczegółach, dobrze wykończona. W dbałości o wygląd miała wprawę, nie wymagało to wiele zachodu. Potrafiła się zebrać do wyjścia w kilkanaście minut. Na sesjach wyjazdowych, jakie organizowała, miała dość często do czynienia z kobietami. Dziwiło ją, ile czasu poświęcają na doprowadzenie się do ładu. Niektóre wstawały dwie godziny wcześniej. Urywają sobie sen, co się odbija na wyglądzie. Źle inwestują. Leżenie w wannie zamiast prysznic, kiepsko ostrzyżona głowa, zbyt duży makijaż jak na dzień.

– Zanim staniesz na wadze, zmyj makijaż, zwłaszcza tusz z rzęs, masz jak w banku kilogram mniej – powiedziała cierpkim żartem do notorycznie odchudzającej się utalentowanej dziennikarki, Gabrysi Mżawki.

Gabi przesadzała z wyrazistością oka! Pisma kobiece z imperium, tak jak inne, lansowały malowanie każdej rzęsy oddzielnie! Ale to tylko chwyt reklamowy, liczba rozmaitych nowych preparatów, jakie ukazywały się co roku, była niebotyczna, a trzeba było je sprzedać. Nie sądziła, że ktokolwiek może brać poważnie niedorzeczne rady z malowaniem każdej rzęsy z osobna, jednak okazało się, że tak właśnie było. Nieodpowiednie kosmetyki, chaos w ciuchach, niepogrupowanych kategoriami, wydłużały jedynie przygotowania. Wystarczyło poprawić kilka rzeczy i już można było spać półtorej godziny dłużej. Ewita doszła do wprawy drogą ćwiczeń. Nie traciła czasu. Szybki prysznic zajmował około pięciu minut, makijaż dziesięć. Na twarz kładła podkład i trochę transparentnego pudru. Używała kosmetyków japońskich. Miała dostęp do badań, z których wynikało, że producenci japońscy nie oszukują tak jak inni. Mają własne zasady, etos pracy i sprzedaży produktów. To było ważne. Także to, że te kremy i podkłady nie uczulają, nie rozmazują się. Cera wygląda naturalnie, zdrowo. Miała ciemną oprawę oczu, na co

dzień nie tuszowała rzęs ani brwi, czesała je tylko małą szczoteczką. Cień w kącie oka załatwiała jednym muśnięciem, kolor dobierała do sukienki. Wewnętrzzną dolną powiekę pociągała białą kredką. Nauczyła się od charakteryzatorki, tej samej, która zawsze przygotowywała ją do sesji fotograficznej. Miała portret przy wstępniku. Otwierał numer i streszczał główny temat. Biała kreska otwiera oko, mówiła charakteryzatorka.

Do sesji musiała zrobić „perfekcyjny”, profesjonalny makijaż, co sprawiło, że nie była do siebie podobna. Nie martwiła się tym. Nie lubiła zwracać uwagi. Była wystarczająco rozpoznawalna tam, gdzie trzeba. Nie miała zamiaru wcielić się w Annę Wintour z jej ponadczasowym bobem, czyli fryzurką Marii Dąbrowskiej z grzywką, strzyżoną w taki sposób, jakby ktoś założył jej dzieżę do ciasta na głowę. Stara dziewczynka to nie dla niej, nigdy do tego nie dojdzie. Gdy podczas kolegium powiedziała kiedyś o podobieństwie fryzury Wintour do grzywki Dąbrowskiej, zobaczyła wpatrzony w siebie, szeroko otwarte oczy, ciemne i jasne jeziora, niemogące zgłębić tajemnicy. Tylko Gabrysia Mżawka wiedziała, kto zaczął. Z pomocą jak zawsze przyszły Google. Fotografia Maryjki Dąbrowskiej z opisem twórczości wyjaśniła, co trzeba. Nikt już nic nie czytał. Po prawdzie to nie mieli kiedy, bo redagowanie „TopWoman” zajmowało im czas codziennie, od rana do wieczora. Wszyscy byli zobowiązani do szukania reklamodawców, od tego zależały premie. Wiedzieli tyle, ile pamiętali ze szkoły. *Noce i dnie* tylko ze streszczenia w sieci. O *Dziennikach* nikt nie słyszał. To prehistoria. Liczy się dziś. Teraźniejszość, godzina i minuta. Teraz. Nie miała ochoty dyskutować, czuła się osamotniona, nie mogła odwoływać się do wspólnej bazy, bo jej nie było. Gdyby dała im wolny czas i tak nic by nie czytali. Ciągłe jak myśliwi na ambonie, siedzieli na fejsie, nasłuchiwali, czy i jaka zwierzyna się pojawia, żeby ją odstrzelić. Wiedziała nawet, co o niej tam piszą, bo zawsze znalazła

się chętna donosicielka, która udostępniała wejście na prywatne strony, mówiąc, że to dla jej dobra: szefowa powinna wiedzieć, co o niej mówią. Zwykle donosiły dziewczyny, redakcja była zakobieceona. Nie znały jej. Choć była Wredną Suką, nigdy nie wyrzuciła kogoś, kto skarżył się w sieci na jej parszywy charakter. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności wyrzucała donosicielkę.

Na fotografii Ewita nie wyglądała dziewczynkowato jak inne, owszem, miała trochę rozbieloną twarz, bez tego ani rusz, ale nie dała się odmłodzić aż tak ekstremalnie jak inne Naczelne Suki. Nie chciała wyglądać jak nastolatka ani jak kobieta bez wieku, zastudzona w galarecie własnej młodości. Na jej życzenie fotograf zostawił płytkie zmarszczki przy ustach i oczach. Wywoływało to komentarze: Ale się suka posunęła! Większość rządzących kobiecymi imperiami przesadzała z młodym wyglądem. Obróbka komputerowa nie wystarczała. Fotoszop to za mało. U chirurgów kazały prasować bruzdy przy nosie i na czole, robiły plastykę, wypełniały wargi, podciągały owal złotymi nićmi. Graficy robili resztę. Wywabiacze śladów czasu! Jakby czas był plamą do usunięcia. Ewita jak dotąd nic z twarzą nie robiła. Nie miała takiego zamiaru. Przynajmniej na razie. Miała świadomość, że nie musi, stały za nią wielkie pieniądze. Ich zapach otulał ją jak perfumy. Wszechmocny szmal odmładzał. Forsa. Ciekawe, że inne bogate kobiety nie potrafiły nosić bogactwa tak jak Ewita. Jakby dziedziczyła fortunę po przodkach, a przecież pochodziła z małej podwarszawskiej miejsciny, wychowana przez samotną matkę, bez ojca, którego nawet nie poznała. Kochała pieniądze z wzajemnością. Wielbiła je za wolność, jaką oferowały. One dodawały jej rumieńców, nawet jeśli twarz trochę poszarzała ze zmęczenia po nieprzespanej nocy. Po pijaństwie, ćpaniu, pieprzeniu. To dawniej, kiedyś, kiedyś, ostatnio coraz rzadziej. Częściej gościła starą Ciotkę Depresję, tę samą, która opiekowała się nią już we wczesnej młodości. Po tym, co

się wydarzyło w Świątymierzu. Teraz wróciła do niej i przynosiła cierpienie, trudne do usunięcia nawet najbardziej profesjonalnym makijażem.

Ewita uważała wyczyszczone w fotoszopie twarze redaktorek naczelnych i goszczących na łamach znanych kobiet za niemoralny zabieg, dołujący czytelniczki. Codziennie patrzą w lustro, i myślą: Dlaczego, kurwa, ja tak marnie wyglądam? A te wszystkie kolorowe piczki w ogóle się nie starzeją? Sądziła, że anoreksja i dziewczynkowatość doprowadzą w końcu do załamania sprzedaży kolorowej prasy kobiecej. Na razie sztuczna młodość miała wpływ na wstrzykiwanie botoksu, które strasznie się rozpleniło, bo jedna z drugą, mająca trochę kasy, myślała sobie: A co, ja jestem gorsza? Wszystkie sobie wstrzykują, a ja nie? Mam trochę grosza na czarną godzinę, to zrobię sobie chociaż te lwie zmarszczki na czole. I kąciki ust, opuszczone w dół, wyglądam, jakbym pochowała ukochane dziecko, to jakaś pieta czy co?! Kurze łapki też postarzają. Tak to mniej więcej mogło wyglądać. Większość kobiet jest rozsądna i nie przesadza z cięciem. Wypindrzone babska z okładek, te gęby bezzmarszczkowe doprowadzą w końcu do kłopotów z upłynnieniem pisma i prenumeratą, myślała. Bo czy obdarzona choćby tylko średnią inteligencją kobieta będzie wydawała pieniądze na magazyn, który wpędza ją w depresję? Miała sporo kontaktu z czytelniczkami i wiedziała, że większość naśmiewa się z robienia z siebie dzidzielnik, normalnym kobietom to nie mogło się podobać. Często na spotkaniach fanklubów magazynu fanki chwaliły ją, że „normalnie” wygląda i tak się zachowuje. Czytelniczki nie uważały jej za Wredną Sukę. Lubily ją, powtarzały, że jest „serdeczna”. „Jak bym panią znała od podstawówki”. Podobnie odbiera się chirurga, który dla pacjentek jest „do rany przyłóż”, a personelem „rządzi jak ostatni chuj”. Ewita słyszała, co mówiły pielęgniarki, że szef je przeklina, gdy cokolwiek się nie zgadza.

Operowani pacjenci go kochają, instrumentariuszki często wściekały się na „złamasa”, chociaż go szanowały. W przypadku chirurga chodziło o życie. O to, żeby nie znajdować zbyt często zaszytych w brzuchu nożyc. W przypadku Wrednej Suki, redaktorki naczelnej, chodzi tylko o życie pisma i szmal.

Gdy zapraszano ją do programów telewizyjnych, zawsze mówiła, że kobiety są mądrzejsze niż pisma, które czytają. Trochę się podlizywała. Starła się w to wierzyć, choć czasami nie było łatwo. Co kilka lat wprowadzała w swoim piśmie rewolucyjne zmiany. Pisanie o nieuleczalnych chorobach, wywiady z osobami, które wywinęły się śmierci, albo z wdowami. Teraz, myśląc także o swojej przyszłości, Ewa Szot chciała zająć się starością, wylansować modę dla pięćdziesiąt i sześćdziesiąt plus. Gdy przyszła z tym pomysłem, na kolegium wybuchła panika. Zaczęła się burza z piorunami. Wcześniej przedstawiła pomysł na zebraniu zarządu. Prezesi i rada nadzorcza także mieli wątpliwości, jednak ustąpili. Nie musiała niczego uzgadniać, liczyć się z ich zdaniem, wierzyli, że ma instynkt, rzadko się myliła. Sądziła, że na kolegium redakcyjnym uzyska wsparcie, chciała, żeby to zrozumieli. Byli zespołem, w ważnych sprawach chciała współpracy, a nie tylko podległości. Nie sądziła, że napotka taki opór, że w końcu będzie musiała zastosować przymus.

\*

– Musimy wziąć pod uwagę starzenie się społeczeństwa, kobiety żyją dłużej niż mężczyźni, mają swoją kasę, a wiadomo, że bardziej liczą się złotówki w milionach kieszeni niż milion w jednej – uzasadniała swoją decyzję całkiem poważnie, już w prywatnej rozmowie z prezesem.



– OK, Ewa, zrobisz, co zechcesz, ale bierzesz za to odpowiedzialność, nie wiem, czy rzeczywiście starym babom potrzebne są oddzielna moda i kremy. Może jeszcze oddzielne perfumy, żeby zabić smród starości? – zakpił prezes.

– Wiesz co, Antek? Gdybyś powiedział coś takiego w cywilizowanym kraju, miałbyś proces za seksizm – odpowiedziała wściekle. Miała dość takiego gadania.

– Przecież mówię tylko do ciebie, i dobrze wiesz, że żartuję. – Wycofał się pojednawczo.

Ewita wiedziała, że to nie całkiem żart. Na swoje „laseczki”, jak je pieszczotliwie nazywał, wybierał coraz młodsze dziewczyny. Im był starszy, tym młodsze były one. Nieprzemakalny, jak większość facetów, jest wyznawcą teoryjki ewolucjonistycznej Davida Bussa, samolubny gen i te rzeczy, według Ewity, ta teoria była miálka intelektualnie. Książka będąca bestsellerem zezłościła ją. Znany profesor psychologii omawiał na łamach magazynu *Ewolucję pożądania* Bussa. Teoria miała usprawiedliwić chuci podstarzałych samców: Uwaga, uwaga, dziewczyny, jeszcze wciąż mogą was zapładniać!

Przecież to bzdura! Zwiędłe kutasy napędzane viagrą to raz, plemniki poruszające się jak muchy w smole to dwa, a po trzecie wytaczanie zwierzęcych argumentów o atawistycznej chęci zapłodnienia jak największej liczby samic, gdy pieprzysz się zawsze w naciągniętym kondomie, czasami nawet podwójnym, żeby broń Boże nie zostać ojcem, to przecież totalne nieporozumienie, mówiła na kolegium redakcyjnym, słysząc zachwyty nad tą zręczną, choć pokretną teoryjką.

– Masz problem z wiekiem? Kup viagrę, przedłuż penisa albo go usztywnij, to dziś prosty zabieg, zaoszczędzisz na nowym aucie. – Zaśmiała się kwaśno.

– Musisz być taką wredną suką? Myślisz, że facetowi łatwiej się

starzeć? Jak nie stoi, to nie stoi. My nie możemy udawać. Wy macie lepiej, wystarczy, że posmarujesz piczkę wazeliną i już jesteś gotowa! – mówił z pretensją w głosie. Miał żal, że go nie rozumie.

– Mogę być gotowa, ale kto dziś chce pieprzyć czterdziestki? – zapytała bez zastanowienia.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, połączyła ich wspólnota losów seksualnych. Zrobiło się jej żal Antka. Lubiała go mimo wszystko. Nie był już tym młodym przebojowym prezesem, który przyjmował ją do korporacji. To prawda, że teraz bardziej szpanował, miał porsche 550 koni 911 turbo S cabrio. Zapamiętała tak dokładnie, bo powtarzał to do znudzenia, unosił się nad zaletami auta. Naprawdę kochał swoją brykę, dbał o nią jak o dziecko. Nawet bardziej.

– Dlaczego taki świetny facet jak ty nie ma na biurku fotografii rodzinnej? Piękna żona i parka dzieci to standard dla prezesa – spytała kiedyś, gdy gadali szczerze.

– Jestem w ciągłej separacji, ale rozwód mi niepotrzebny. Laski lecą na moją kasę – odpowiedział.

– To znajdź sobie kobietę – poradziła.

– Niełatwo znaleźć kogoś, z kim chcesz pobyc dłużej, chyba dobrze o tym wiesz?

– Ja dawno temu straciłam prawdziwą miłość i męża, a ten drugi, za którego wyszłam z namiętności, wiesz, kim się okazał.

Gdy miała dość redakcji, użerania się z redaktorkami, głupich tekstów, donosów, „redukcji etatów”, jak się mówiło, owijając w bawełnę wyrzucanie ludzi, wyjeżdżała z Antkiem na krótkie wyprawy. Dla higieny psychicznej. Co jakiś czas musiała kogoś zwolnić, a tych, co zostali, obciążyć podwójną robotą. Mimo że była Wredną Suką, nie znosiła tego. Antek także ciął koszty, starał się bronić flagowego pisma Ewity, ale nie zawsze się to udawało. Nie chcieli podnosić ceny magazynu, obniżać jakości papieru, grafiki, chociaż to w biznesie było powszechne. W świecie modowym, gdy

ktoś miał już wyrobioną, wysokiej jakości markę, zaczął sprzedawać markę, rezygnując z jakości. Antek mówił, że zazdrości producentom przypraw. Oni radzili sobie w prosty sposób. Opakowanie było takie samo, ale ziela angielskiego, tymianku czy curry w torebce mniej. Co jakiś czas obniżali gramaturę, a cena zostawała ta sama. Klient prawie tego nie zauważał.

Kiedyś nie do pomyslenia było szycie kolekcji w Chinach czy Turcji, w Europie Wschodniej, teraz robili tak wszyscy, nawet Burberry. Jedynie trencze szyto w Anglii. Metka z rycerzem na koniu, z powiewającą flagą, wszyta na plecach głosiła: Burberry London Made In England. Nie było mowy o żadnym rabacie ani wyprzedaży. Trencz był niezniszczalny, nosiło się go długo, a kiedyś nawet dziedziczyło po ojcu czy matce. Ewita kupiła parę lat temu klasyczny trencz w kolorze pustynnym, potem drugi czarny, nigdy nie żałowała tych wydatków. Płaszcz wyglądał ciągle jak nowy. Słynna krata w środku i pod kołnierzem nie rzucała się w oczy. Jednak przy bluzkach i sukienkach tania robocizna była chyba dla firmy na tyle kusząca, że poświęcano dla niej brytyjskość.

Przy produkcji pisma zmiana drukarni na tańszą też oczywiście jest możliwa. Ewita bardzo się starała, żeby to nie odbiło się na jakości. Barwa niezbyt nasycona, słabsza czcionka – gdy oszczędzano farbę, robiła się szarawa i trudniej się czytało. Czujne czytelniczki od razu zauważały pogorszenie. W pewnym momencie, podczas kryzysu, drukowanie w kraju stało się droższe niż za granicą. Zwołano walne zgromadzenie wszystkich ogniw korporacji i postanowiono drukować wszystko w Czechach i w Austrii. Krajowi drukarze, którym wydawało się, że rządzą rynkiem, wkrótce przebudzili się z drzemki, ceny spadły i można było wrócić do poprzedniego stanu.

## CIUCHY

Światowy kryzys dał się wszystkim we znaki. Zaciskanie pasa stało się widoczne. „Vogue” wprowadził na łamy tanie marki, jak H&M. Puchówki i sztuczne futra zastąpiły zwierzęce. Tylko skóra trzymała się nieźle, ponadczasowa, demokratyczna, odpowiednia dla bogatych i biednych. Przez pewien czas Tiffany nie pokazywał klejnotów za kilkadziesiąt tysięcy funtów, pozbawionych smaku zegarków w aureoli brylantów ani znamionujących bogate bezguście broszek i bransolet udających węże, ważki, motyle, co Ewita powitała z radością. Zniknęły także pierścienie z białego złota, wysadzone rubinami, szafirami podobne do kastetów, grube złote łańcuchy, jakie nosili na karkach łysi żołnierze mafii. Oraz sygnety jakich nie powstydziliby się sycylijski ojciec chrzestny. Jasne, że cały ten asortyment można było kupić od projektanta czy jubilera. Pisma zmówiły się, udawały, że zubożały, że jadą na tym samym wózku, co mniej zamożne czytelniczki. Nie pokazywano też kiecek wieczorowych, ręcznie wyszywanych perełkami i szlachetnymi kamieniami, albo gdy je pokazano, pod fotografią pojawiał się napis „cena na życzenie”. Wszystko, żeby nie drażnić zubożałego chwilowo ludu, modowego elektoratu. Ewita mówiła, że gdyby taki „obrzydliwy ciuch” dostała za darmo, oddałaby go na cele charytatywne. Gwiazdy kina światowego wkładały podobne

okropności na rozdanie Oscarów. Wyjątkiem była Tilda Swinton, która nie nosiła tego rodzaju rzeczy. Po mniej więcej trzech latach kryzys zaczął się cofać jak morze w odpływie, a na grube, lakierowane strony pism wracało kapiące złotem i płaczące brylantowymi łzami bogactwo. Znowu pojawiły się reklamy perfum na rozkładówkach: mały, pękaty flakon ze złotą zakrętką na jednej kolumnie, druga lśniąco czarna, z niewielkim napisem – nazwą firmy – pośrodku. I znowu było więcej eleganckich, czarno-białych fotografii, które są o wiele droższe niż kolorowe, a ceny wróciły do nienormalnej normy.

Pozornie moda i cały ten przemysł okołomodowy nie wiążą się z polityką, a jednak polityka odbija się w nich jak w czarnej lustrzanej powierzchni. Moda jest targowiskiem próżności, ale też kronikarzem i wyznacznikiem rewolucji. Wszelkie światowe ruchy społeczne, tendencje liberalne czy młodzieżowe bunty, jak rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy we Francji, odbijają się na sposobie prezentowania mody na wybiegach. Ewita uważała, że to przedrzeźnianie rzeczywistości, ale moda reaguje natychmiast, co widać w kolekcjach projektantów, a potem na ulicy. Czasami bywa odwrotnie – to ulica lansuje sposób noszenia się. Tak było w przypadku hippisów. Ekskluzywną wersję pokazali Prada, Lagerfeld, Armani. Ostro wszedł młodzieżowy Diesel, Tommy Hilfiger, Lacoste. Nawet straszna rewolucja kulturalna w Chinach, która pochłonęła miliony, a może dziesiątki milionów ofiar, bo ich liczba jest niemożliwa do ustalenia, miała swoje pięć minut. Wylansowano mundurek w stylu chińskim, ze stójką i z błyszczącą, czerwoną gwiazdą na czapkach. Skóry, ćwieki, glany, irokezy to efekt walki skinów z punkami. Gangsta rap, muzyka czarnych chłopców z gangów, wprowadziła modne spodnie bojówki i sportowe buty, w których łatwo uciekać. Opadające spodnie z krokiem w okolicy kolan były w więzieniach symbolem cwela, miały symbolizować

gotowość do usług. O tym zapomniano. Dandysowość, żaboty, koronkowe mankiety zawsze znajdą miłośników pragnących utrzymania monarchii. Wiele starszych kobiet w całym euroświecie gustuje w stylu ubierania się królowej Elżbiety, w jej jednolicie kolorowych strojach, kanarkowych paltach i kapeluszach niekiedy przypominających cerkiewną kopułę. Do tego pudełkowa, przeważnie czarna torebka i pantofle na słupku. Równie często wybierano królową jako najgorzej, jak i najlepiej ubraną kobietę świata. Księżna Diana zostawiła po sobie lekkie jak beza wspomnienie wzdętej sukni ślubnej wyglądającej, jakby panna młoda popełniła samobójstwo, rzucając się w fale. Ta suknia stała się marzeniem panien młodych aspirujących do książęcego życia. Wyzwolenie kobiet, wyższe stanowiska, przejmowanie ról męskich zaowocowało damskimi garniturami. Pierwszy damski smoking uszył Yves Saint Laurent. Na początku kobiety garniturami dodawały sobie powagi. Ewita nie znosiła słowa spodnium, którego używały inne pisma. Nigdy nie nosiła garnituru, uważała, że depcze kobiecość. Wkrótce zaczęły się pojawiać dodatki do pism kobiecych z modą męską, także gejowską, choć wtedy jeszcze niezdefiniowaną. Spełniały swoje zadanie. W miarę poprawy sytuacji ekonomicznej w kraju mężczyźni, nie tylko geje, też chcieli być modni, mimo że udawali obojętność wobec trendów. Powoli wygasła pogarda dla zapachów. Dobra woda, dezodorant przestały być wyśmiewane jako atrybuty „cioty”. Na pierwszy ogień poszły wąsy oraz gładko wygolone twarze. Dwudniowy zarost, pozorna nonszalancja opanowała ulice.

Przeglądając zgromadzone w archiwum redakcji stare polskie pisma, jak „Świat mody” czy pisemka dla kobiet z ubogimi dodatkami modowymi, Ewita zauważyła, że w PRL-u moda wyrażała opór przeciwko wszechobecnej szarzyźnie. Wszyscy pracujący w „TopWoman” mieli obowiązek przynosić do archiwum stare

fotografie modowe, także z ulicy, fragmenty filmów, dokumentów, wszystko, co uda się znaleźć. Ewita miała pomysł na książkę o związkach mody z polityką. Chciała zlecić najzdolniejszym redaktorkom pisanie rozdziałów o przełomach politycznych i społecznych oraz ich wpływu na modę. Wkrótce okazało się, że to zadanie karkołomne. Oprócz Gabrysi Mżawki nikt nie był w stanie mu podołać. Ewita miała nadzieję, że zajmie się tym Adela, gdy skończy swoją powieść. Zebrano ciekawy materiał. Miała nawet tytuł: CIUCHY. Tak nazywano bazyry, gdzie można było kupić rzeczy z paczek lub przywożone z zagranicy. Samo słowo przeszło ewolucję godną wzmianki. W slangu warszawskim mówiło się tak o ubraniu roboczym, nie w znaczeniu, w jakim dziś używa się określenia „odzież robocza”. Czystym, specjalnie przeznaczonym do pracy. Ciuchy były zniszczone, brudne i śmierdzące. Tuż po wojnie, właściwie od razu, już w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, zaczęła się sprzedaż bazarowa. W Warszawie ocalałe z wojny eleganci wybierały się „na ciuchy”, żeby kupić „coś do noszenia”. W mieście zrównanym z ziemią, co nie jest żadną przenośnią, nie zostało prawie nic. Jeśli cokolwiek ocalało, można to było kupić tylko na ciuchach. Zdrobnienie „ciuszek” określa coś małego, zwiewnego, jakąś bluzkę, sukienkę, która mieści się w małej torebce.

Właściwie to ja sama powinnam zająć się pisaniem tej książki, powiedziała do siebie Ewita, siedząc w pustym archiwum redakcyjnym, gdzie przeglądała stare numery „Ty i Ja”. Szukała tam pomysłów na świąteczny numer pisma. Chętnie wprowadzała rysunki, nie żałowała stron na ilustracje. Inne pisma tego już prawie nie robiły, bo zabierało to miejsce na reklamy, które były dla pism kroplówką. Bez nich zdychały. Jedne natychmiast i bezboleśnie, inne długo i w mękach. Ewita miała swoją metodę. Jej pismo nazywano ekskluzywnym także dlatego, że wyśrubowała cenę reklam. Podrożyła do granicy możliwej do przyjęcia. Stąd Chciwa Suka, jej

kswy w branży. Brała tylko to, co najlepsze. Skupiała się na dobrej ekspozycji, sztab wymyślał nośne hasła. Starał się, żeby fotografia wpadała w oko. Pismo przyznawało coroczne nagrody dla firm za ciuchy, kosmetyki. Angażowano w to czytelniczki. Mała etykieta nagrody przyznanej przez magazyn „TopWoman” powodowała natychmiastowe zwiększenie sprzedaży. Z tego były spore pieniądze, mogła więc trzymać poziom, płacić dobrym grafikom za ilustracje.

Za najlepsze pismo minionej epoki Ewita uważała „Ty i Ja”, z okładkami Cieślewicza, Młodożeńca, Lenicy. Na fotografiach Mody Polskiej można było zobaczyć siermiężne budrysówki, zapinane na drewniane kołki, zgeometryzowane płaszczyki w stylu Courrèges’a, sukienki. Dla „Ty i Ja” fotografowali wybitni fotograficy – Tadeusz Rolke, Krzysztof Gierałtowski. Ciuchy miały charakter. Teraz taki tytuł by nie przeszedł, bo nastał czas JA na pierwszym miejscu. Można by stworzyć magazyn „Ja i Ty”, ale czas minął i taki poziom już nie wróci.

Nowinką z Zachodu stał się wkrótce ortalion, na zimę z podpinką, o czym nawet śpiewano piosenki, to był symbol statusu. Pojawiły się także, przywożone z zagranicy, białe koszule non-iron, ze sztucznego tworzywa, które nie wymagały prasowania. Nie przepuszczały powietrza, wszyscy się w nich pocili, a dezodorantów jeszcze nie używano, ponieważ panowało przekonanie, że perfumy są dla pedałów, nazywanych też ciotami. Nie wiadomo, czy pochodziło to od cioty, czyli przasnej słowiańskiej czarownicy, rodzimej wiemy. Te koszule non-iron były gorsze gatunkowo niż przezrocyste bluzki szyte ze spadochronów, będące w latach pięćdziesiątych krzykiem mody, jak mówiła Ewita – rozpaczliwym.

W czasach rodzenia się Solidarności mężczyźni nosili wąsy jak Wałęsa, także brody, bo to pokazywało, że siedzą w ukryciu, obradują, knują, nie mają czasu się golić. Rewolucjoniści bywali



zarośnięci. Nosili paramilitarne kurtki jakby z demobilu. Było to sensowne zarówno z punktu widzenia klimatu, jak i upodabniania się do siebie. Zgniła zieleń miała funkcjonować na zasadzie barw ochronnych. Kobiety działaczki ubierały się szaroburo, wkładały półbuty na płaskich obcasach albo czarne kozaki. Latem baleriny, długie spódnice. Chodziły głównie w spodniach. Roznosiły ulotki, rozklejały plakaty, musiały uciekać, liczyła się wygoda. Zamiast biżuterii przypinano oporniki, znaczki Solidarności, jeśli ktoś miał potrzebę spędzenia czasu w kozie. Wraz z uzyskaniem pełnej niepodległości kończyła się u nas era solidarnościowych kurtek wojskowych oraz dzierganych na drutach swetrów, które były hitem modowym stanu wojennego. Choć solidarnościowy minister spraw wewnętrznych nazywany był Swetrem, ponieważ pokazywał się w nim publicznie. Jacek Kuroń również w randze ministra nie mógł się rozstać z dzinsową koszulą. Gdy miał wystartować w wyborach prezydenckich, dopadli go spece od wizerunku, przebrali w garnitur. To się nie mogło udać. Zachowały się jego zdjęcia w cudzej skórce. Ludzie od wizerunku raczkowali, nie mieli pojęcia, jakim skarbem była osobowość tego człowieka o wyglądzie Shreka, z nieodłącznym termosem z herbatą. Wzmocnioną. Tylko ten prawdziwy wizerunek mógł doprowadzić do sukcesu.

Tak, jak już znudzę się prowadzeniem magazynu, znuży mnie czytanie redakcyjnych wypocin, przekażę pismo w dobre ręce, wtedy zajmę się pisaniem CIUCHÓW, może z pomocą Adeli. Problem w tym, że na razie nie mam komu przekazać pałeczki, myślała, robiąc fotografie interesujących ją stron, które chciała pokazać na kolegium jako wzorzec pisania, bo ludzie piszący tam umieli pisać.

Na Zachodzie pojawiły się fotografie półnagich kobiet w uścisku, jeszcze zanim ruszyła fala żądań praw dla osób homoseksualnych. Politycy spóźniali się z przyznawaniem praw, nie nadążali za faktami, które już się w świecie mody dokonały. Powinni

obserwować trendy i wiedzieć, że wielkie pieniądze, jakie modowe lobby wkłada w reklamę, zapowiadają przewrót, a nawet rewolucję obyczajową. Choć bezkrwawą. Ewita wiedziała, że u nas w kraju nowoczesność przyjmuje się opornie, ale jest nie do zatrzymania. Gdy świat wstrzymuje oddech, czekając na to, co jeszcze wydarzy się na Ukrainie, moda zmierza w kierunku wojskowym. Tak jak wówczas, gdy Amerykanie walczyli w Wietnamie, w Afganistanie. Gdy połączone siły weszły do Iraku, na wybiegach zaroilo się od elementów wojskowych, buty oficerki, bluzy khaki albo maskujące panterki, z dużą liczbą kieszeni, szerokie skórzane pasy, które wręcz prosiły się o naszyjniki z pocisków.

## ANTEK

Antek, ubrany w marynarkę z miękkiego zamszu w kolorze mchu, wszedł do gabinetu Ewity i spytał, czy nie ma ochoty na małą wycieczkę za miasto. Miał na sobie dzinsy, biały podkoszulek i ciemne okulary. Ta marynarka od Ermenegilda Zegny była jego ulubionym strojem. Dobrze się w niej czuł. Rzeczy dla niego firma robiła na zamówienie. Przyjeżdżał krawiec, zdejmował miarę, potem robił przymiarki, wreszcie przywoził gotowy garnitur, kurtkę i kilka koszul. We flagowym sklepie Antek nie znajdował swojego rozmiaru. Był potężny, wysoki, a modele Zegny, głównie slim, pasowały na młodych, szczupłych chłopców, których nie było na nie stać, o ile nie mieli bardzo zamożnego sponsora.

Gdy zjeżdżali na autostradę, silnik śpiewał i mrucał, a małe autko pokazywało, co potrafi. Prezes miał chyba do Ewity bezgraniczne zaufanie, bo czasem pozwalał jej prowadzić. Wołała jednak, żeby to on siedział za kierownicą. Dla niej to auto było zbyt zrywane. Bała się nagłego przyśpieszenia i dużych szybkości.

– Nie zmieniasz kochanków, zmień chociaż swoje stare auto, pojawił się model Boxter GTS, ma tylko 330 koni, jest lekki, jak dla ciebie stworzony – mówił Antek.

Ona jednak nie miała ochoty zmieniać swojego starego, dziewięcioletniego land rovera. Był bezpieczny. Jeździła nim na wieś

do Świąćmierza, a po mieście zwykle woził ją pan Waldek, kierowca i ochroniarz. Dostała auto służbowe, reprezentacyjną limuzynę. Nie przepadała za prowadzeniem, robiła wszystko solidnie, zgodnie z przepisami, szybkość nie była dla niej wartością. Po biednym dzieciństwie i takiejże młodości został w niej pewien rodzaj skąpstwa, może to nie jest odpowiednie określenie, może chodziło raczej o oszczędność. W każdym razie nie lubiła wydawać na siebie więcej, niż to było niezbędne w jej przedziale klasowym.

\*

Na zebraniach zarządu Antek zawsze stawał po jej stronie. Od początku łączyło ich coś silnego, nieokreślonego. To on przyjmował ją do firmy, przekonał wszystkich, że się nadaje. Nawet ją pociągał, ona też mu się podobała, jednak oboje respektowali zasady oddzielania seksu od roboty. Wiedziała, że Antoś pochodził z małego podhalańskiego miasteczka. Wdrapać się na świecznik było mu trudniej niż jej. Studiował w Krakowie, mieszczańskie środowisko, do którego należeli jego koledzy, było dla niego zamknięte. Dłużej trwało, zanim okrzepł i znalazł wreszcie przyjaciół. Potem piął się powoli, pokonując kolejne szczeble, aż wylądował w fotelu prezesa w Warszawie, w gabinecie wielkości sali muzealnej. Kompleksy przepoczwarzyły się w wiarę w swoją wartość, popartą porsche cabrio. Została niechęć do tego, co zostawił za sobą, rzadko o tym mówił. Może naprawdę miał problemy z potencją albo z przedwczesnym wytryskiem? Większość facetów to ma, ale się nie przejmują, nie obchodzi ich, czy kobiecie wystarczą te dwie minuty! Pewnie też widzi zakola nad czołem i wie, że tonsura z tyłu się powiększa. Choć Ewita zauważyła, że ostatnio nagle się zagęściła. Antek jako prezes ma taką kasę, że stać go na wszystko.

Transplantacja włosów, implanty w miejsce straconych zębów, proszę bardzo! A jednak z jakiegoś powodu cierpi. Miał rację, nie powinna być dla niego taką Wredną Suką.

– Jak chcesz, możesz mnie przelecieć, da się to zrobić nawet bez żelu – powiedziała i go objęła. Śmiali się razem. Potrafiła go rozczmuchać.

## STARE LALKI

Najdziwniejszy był dla Ewity opór kobiet w redakcji, ich protest przeciw pokazywaniu starości. Nawet bardziej dojrzałe dziennikarki, redaktorki, specjalistki od wizerunku pisma i reklamy, które powinny pragnąć życzliwszego przyjmowania upływu czasu, uciekały w panice od tematu. Negowały starość, a przecież wydawać się mogło, że przesunięcie horyzontu wiekowego pracuje na ich korzyść. Przeciwna była nawet Malina, nazywana tak ze względu na chorobliwe rumieńce, zdrowo po pięćdziesiątce. Samotna, dawno opuszczona przez męża, nie szukała nikogo, praca w redakcji nie zastępowała jej życia rodzinnego, bo go nie miała, firma była jej wielodzietną rodziną. Szefowa działu reklamy, świetna w swoim fachu.

– Naprawdę sądzisz, że musimy pokazywać te stare lalki? Nie uważasz, że to się odbije na naszym wizerunku? I sprzedaży? Chyba nie dasz staruszki na okładkę? – pytała Malina z troską i lękiem podczas kolegium w tej sprawie.

Spadek sprzedaży odbijał się na wynagrodzeniu. Wszyscy się więc starali, by pisma dobrze „schodziły”.

– Malina, ty potrafisz nawet Lucyfera namówić na reklamę smoły i wideł na rozkładówce, więc w czym problem?

– Dla jednych smoła to piekło, dla innych interes – odpowiedziała

Malina.

– No więc, w czym problem? Weź się za starość, to też się dobrze sprzeda. Jest sporo starszych aktorek, ubierze się je, dobrze sfotografuje, jestem pewna, że chwyci, zobaczysz. Będziemy lansować spokojną elegancję, a dla niektórych, odważniejszych, elegancką ekstrawagancję, nie każda półwiekowa kobieta chce udawać dziewczynę, nosić opięte kurteczki i legginsy. A ty zdobędziesz dla nas całkiem nowe reklamy! – rzuciła Ewita, patrząc na pewien nadmiar ciała wbity w skórzaną kurtkę z dziesiątkami ćwieków i suwaków.

– No nie wiem, teraz kobiety starsze równają w górę do młodszych, dbają o siebie, udają młodsze, niż są, a tak? Młode zaczną się obsuwać, przestanie im zależeć i po sprawie. Kto będzie kupował te wszystkie cudowne kremy z retinolem? Młodzieżowe ciuchy? Firmy dostaną zapaści, nie będą dawały nam zarobić! – mówiła Malina, a inne kiwały głowami, przytakując jak niemy tym razem chór grecki.

– Uspokoję was, koncerty kosmetyczne wypuszczają na rynek kremy dla starych, pięćdziesiąt i sześćdziesiąt plus, są już rewelacyjne wyniki sprzedaży. Czy ktoś się spodziewał, że to będzie hit sezonu? Nasze pismo z taką modą znów będzie pierwsze. Musimy tylko uwierzyć w zwycięstwo i działać razem. Rozmawiam z farmaceutami, dostaniemy reklamy, Malina masz zadanie, pójdziesz w przyszłym tygodniu na łowy.

– Stare twarze, pomarszczone jak wyschnięte ziemniaki nadają się na okładkę „National Geographic”, jako foto roku, oto stara, pełna wyrazu twarz kobiety z Afganistanu – burknęła pod nosem młoda fotografka, która przysłuchiwała się rozmowie.

Ewita to usłyszała.

– Dość. Koniec dyskusji. Zapomnieliście, co to synergia? Tyle razy mówiłam, współdziałanie, kooperacja to przynosi najlepsze efekty,

jeśli nie wierzycie, to uwierzycie, jak przyjdą wyniki sprzedaży. Pisanie o dojrzałości, moda dla starszych dam, kosmetyki pięćdziesiąt plus, sześćdziesiąt plus i dalej. Wszystkie działy razem... Zmasowany atak. Szturm!

Mówiła z pełnym przekonaniem, chociaż znała też inne przykłady synergii, synergia trucizn, gdy Igor, jej najdawniejszy przyjaciel z podstawówki, wódką popijał kokę, aż do zatracenia, robił to, bo chciał się zabić. Albo gdy ona sama zalewała winem psychotropu. Tego współdziałania trucizn zespół nie powinien nigdy poznać ani brać pod uwagę. Oczywiście może się zdarzyć, że ktoś podłoży im świnie, ale razem, dodatkowo ze wsparciem dwóch potężnych koncernów modowych oraz kosmetycznego są w stanie wszystko przewalczyć.

– Nasze imperium krwawi po kryzysie, krwi wciąż ubywa, jeśli nie będziecie kreatywni, zejdzie cicho ze świata mediów, i nikt nad nami nie zapłaci. Usłyszymy tylko rechot zadowolenia. Musicie wykrzesać z siebie trochę kreatywności.

Ewita lubiła czasami przesadzać, mówić językiem, jakim posługiwano się w korporacjach. Słowo „kreatywność” było wytrychem otwierającym każde spotkanie często wypalonych do cna ludzi. Urządzano burze mózgów w szklance wody, jak mawiała.

Zauważyła, że długa młodość to trofeum jej pokolenia. Teraz młode dziewczyny cofnęły się do czasów Balzaca. Uważają trzydziestkę za smugę cienia, kiedy to kobieta trzydziestoletnia staje się matroną. Starzenie się to dla nich wstydliva choroba. Starość jest obelgą.

„Zrób coś ze swoją twarzą, nie możesz chodzić z takimi zmarchami. Dam ci namiar na mojego konowała, wyglądasz na czterdziecę!”, słyszała, jak jedna trzydziestka polecała drugiej chirurga od plastyki. Ona jako naczelna ekskluzywnego magazynu dostawała różne propozycje, najlepszych mogła mieć za darmo.



Gdyby się zgodziła, odnowiliby ją od stóp do głów, byłaby przecież żywą reklamą reanimatorów urody. Wcale by o tym nie pisali, oczywiście musieli to obiecać w umowie, dostałaby gwarancję dyskrecji na piśmie, ale wystarczyła reklama szeptana. W niektórych kręgach to najbardziej skuteczny i pożądany rodzaj zachęty. Widać to w mediach społecznościowych. Zatrudnia się młodych ludzi, którzy niby mimochodem piszą na fejsie coś dobrego o konkretnych produktach. Za parę złotych ma się to, za co w telewizji trzeba słono płacić. Dlatego też, gdyby uznała za potrzebne ująć sobie lat przez wyprasowanie twarzy czy odessanie tłuszczu, zrobiłaby to w NY. Na razie jednak tego rodzaju myśli odrzucała. Zbyt wiele widziała poprawionych twarzy, by się zdecydować. Bała się zmiany, zaburzenia tożsamości, trwale przyklejonej maski. Widywała takie nieszczęsne mumie dość często. Nie tylko tu, ale także w NY, Kalifornii, Paryżu czy Londynie. Siadywały na pokazach w pierwszym rzędzie, bo były stare, wpływowe, bogate. Nadskakiwali im młodzi, namolni, chwalili wygląd, a one łykały wszystko, wierząc, albo raczej udając, że wierzą. Ci młodzi byli ich gadającymi lustrami, tak samo fałszywymi, jak te wydłużające i odchudzające sylwetkę w salonach mody.

## EMERYCI PO TRZYDZIESTCE

Pod względem traktowania starszych od siebie młodzi w jej redakcji byli podobni do tych genialnych w swojej dziedzinie dzieciaków pracujących w Dolinie Krzemowej, choć niestety nie aż tak zdolni. Dla tamtych geniuszy trzydzieści pięć lat to był już wyspany z energii emeryt albo wręcz rencista. Co zresztą mogło być zgodne z prawdą, bo po dziesięciu latach wyciskania soków z mózgu przez tę wielką maszynę zostawał wrak człowieka. Ewita razem z Antkiem i Gabrysią Mżawką pojechała do Doliny Krzemowej z wizytą. Była ciekawa, jak to wygląda naprawdę. Nie dowiedziała się niczego, czego by wcześniej nie wyczytała. A nawet mniej. Po prostu wpuszczono ich jedynie tam, gdzie nic ciekawego nie dało się zobaczyć gołym okiem. Oprawadzał ich mydłek od piaru, taki sam jak inni na całym świecie. Nie udało im się dotrzeć do ludzi, z nikim porozmawiać na osobności. Choć Gabrysia Mżawka „złapała języka”. Niestety, nie można było opublikować tego, co mówił chłopak. Nie wypłaciliby się, gdyby krzemowi prawnicy wzięliby na tapetę sprawę upublicznienia tajemnic przez pismo, a młody informatyk wyleciałby z roboty. Poza tym kolorowy magazyn nie był odpowiednim miejscem do drukowania reportażu obnażającego prawdziwe oblicze wielkich korporacji.

Zdolnych Kobiet w Dolinie było sporo, jednak nie wychodziły poza

stanowisko szefowej działu. Panował młody patriarchat. Wyżej pojawiały się bardzo rzadko. Wszelkie rady nadzorcze, zarządy, najwyższe honoraria zarezerwowano dla kilkunastu facetów. Co prawda byli młodzi, jednak w sprawie dopuszczenia kobiet do współtworzenia mieli bardzo tradycyjne, staroświeckie poglądy. Gdy przekraczało się średni próg, gdy chodziło o wielką kasę, wtedy nowoczesność, postęp, równe prawa dla kobiet zostawały jak fusy na sitku. Krzemowy sufit był jeszcze trudniejszy do przebicia głową niż szklany. Ostatnio szefowie pewnej znanej supersieci popisali się dobrą wolą. Zaproponowali swoim pracownikom zamrażanie jajeczek w prezencie. To droga przyjemność. Kosztuje około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Spodziewali się pochwał za szczodrość. Wydatek musiał zaprocantować, zwrócić się. Dziewczyny szybko zauważyły, że prezesom chodzi o odwlekanie ich macierzyństwa. Zamiast budowania żłobków i przedszkoli proponują znacznie tańsze rozwiązanie. Nie chcą u siebie młodych brzuchatych. Gdy uda się z nich wyssać dobre pomysły, wyeksploatować zdolności aż do ostatniej kropli, wtedy da się im odprawę i fru! Chociaż podobno ostatnio pod naciskiem opinii publicznej w Dolinie Krzemowej powstają przedszkola. Możecie sobie zachodzić w ciążę albo odmrażać jajeczka, ale i tak po trzydziestce przejście na emeryturę! Jedno stało się dla Ewity jasne po tej wizycie. Dla młodych zdolnych po trzydziestce zaczyna się starość. Dlatego była przekonana, że musi dać odpór agresywnej młodości, walczyć o prawo do starzenia się i starości. Chciała pracować do końca życia, i tyle!

\*

– Szefowo, przecież ona jest grubo po trzydziestce! – Ewita

usłyszała zgrozę w głosie młodej fotografki, oszołomionej wieścią o tym, że szefowa przyjęła nową redaktorkę trzydzieści pięć plus.

– Jest dobrze wykształcona, widziałam jej projekty, pomysły ma lepsze niż wy! Co się z wami dzieje? Wydaje się wam, że dzieci będą rządzić? Że zapanuje pajdokracja? Rozejrzyjcie się dookoła, zobaczcie, kto trzęsie światem mody! Firmami, gazetami modowymi? Starzy ludzie. Anna Wintour, Diane von Furstenberg, Lagerfeld, Armani, Prada...

– Wiem, wiem, ale sama mówiłaś, że stawiamy na młodych.

– Mamy różne pojęcie młodości. Na razie ja rządzę, jeśli będę chciała, to zostanę z wami do osiemdziesiątki, nie pozbędziecie się mnie tak łatwo. A ty się, mała, zastanów, masz trzydziestkę, chcesz mieć jeszcze tylko pięć lat? Potem mam cię wywalić? Wycisnąć do cna jak oszczędna gospodyni połówkę cytryny, a skórkę wypieprzyć do kubła, tak? – odpaliła Ewita.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i popatrzyła na szefową. W oczach miała gotową odpowiedź: Starzejesz się, wredna suko, i tyle. Prawie wszyscy młodzi myśleli tak samo. Nie mówili tego wprost. Uważali na to, co mówią, bo się bali, że wylecą i stracą najlepiej płatną robotę w mieście. Fotograf jednak upierał się, by wywabiać zmarszczki. Nie rozumiał oporu Ewity. Przecież to dla jej dobra. Tak się teraz po prostu robi i nie ma co wydziwiać. Nie powinna wyglądać gorzej niż inne naczelne, bo będą mówić Stara Suka. To może mieć wpływ na sprzedaż! Pozycja fotografików w kolorowych magazynach była bardzo wysoka. Arystokracja w zawodzie. Jasne, że nie ta artystyczna, z wysokiej półki, chociaż niektórzy zaczęli jako artyści. Na początku swojej dróżki do kariery robili piękne, czarno-białe fotografie, wystawiali je w kraju, czasami nawet za granicami, ale wyżyć się z tego nie dało. Zaczęli więc flirt z kolorowymi pismami. Materialne bagienko wciąga. Ewita wiedziała o tym najlepiej. Ona sama nie miała ambicji

artystycznych, chciała być rzetelną szefową i mieć duże pieniądze. Fotografom modowym wciąż się wydawało, że trzymają artystyczny poziom. Tak działają mechanizmy obronne. Sądziła, że są jak Avedon albo Annie Leibovitz. Przynajmniej tak o sobie myśleli. Ubierali się jak bohema, starannie dobierali drogie ciuchy, które wyglądały na złachane. Starła się wybić im z łbów aroganckie poczucie wyższości, jednak było to niemożliwe. Być może wynikało z kompleksu niższości, jeśli nawet tak było, to ta ich niższość była zakopana tak głęboko w miękkie poduchy dobrobytu, że nie dawała znaku życia. Byli zepsuci pieniędzmi, mieli najwyższe zarobki, pogardzali fotografowanymi modelami.

– Cierpicie na kolektywny narcyzm. Wasze talenty są takie sobie. Nigdy nie sięgniecie pułapu tego uczonego! – podsumowała ich kiedyś, słysząc, jak obśmiewali starego profesora genetyki, którego fotografowali.

Dla nich pisarze, poeci, uczeni to była biedota, chociaż tym bystrzejszym musiała przebijać się do mózgu świadomość, że stoją w hierarchii niżej od swoich modeli. Jednak woleli ustawiać na ścianie aktorki, bohaterki seriali. Szanowali je za kasowy sukces, jednocześnie gardzili nimi za chłam, w jakim grały. Niżej od aktora jest już tylko manekin, śmiali się, cytując kogoś, nie pamiętali zresztą kogo. Ewita pamiętała, że tak mówił Tadeusz Kantor. Fotografowało się na rozkładówki i na okładki gwiazdy, za którymi przepadały miliony widzów, chrupiących ckiwe obrazki jak paździerzowe przekąski z dmuchanego ryżu. Na nie było „branie”. Robiono ustawki ze spacerów z dziecięcym wózkiem, z chrzcin, sprzedawano śluby, żeby z okładki mógł krzyczeć tytuł: „Tylko u nas, najgorętsza para roku!”. Takie foty można było sprzedać wielkonakładowym pismom obrazkowym średniego oraz pośledniego sortu. Ewita widziała, jak fotografowie włązili w dupę także autorkom romansów i tasiemcowych sag rodzinnych, mającym

wielkie, czasami nawet milionowe nakłady. Choć za plecami obśmiewali to, co pisały, ciuchy, w jakie się ubierają, domy, w których mieszkają.

Nie wszyscy jednak byli tacy zblazowani. Wybierała ludzi dopiero wchodzących do branży, jeszcze niezepsutych, bystrych, których ceniła za to, że rozumieli, co do nich mówi, czego od nich wymaga. Było kilka młodych dziewczyn i paru chłopców. Obiecujących. Ci znani za sesję okładkową brali niewyobrażalną kasę. Harowali, ale też chałturzyli, pili, ćpali, żeby się „wzbudzić”, bo doba była za krótka, a oni musieli spłacić kredyt za willę wybudowaną w stylu hollywoodzkich rezydencji. Baseny, ogrody na dachach, tarasy, okrągłe salony. Chcieli mieć wszystko. I jak najszybciej. Długo ustawiali modela w wydumanych pozycjach, kazali robić dziwaczne miny, przebierać się w ciuchy, jakich tamci nigdy by na siebie nie włożyli. Malowano go tak, że rodzona matka by nie rozpoznała. Na ogół mieli sprzymierzeńca w próżności pozujących. Odmładzać, odmładzać! Niektóre dupencje same prosiły, żeby poprawić owal, wyszczuplić talię czy kostki. Robiło się więc z nich awatara o twarzy manekina. Każdy fotograf pracował z ekipą, miał ludzi od trzymania okrągłych, srebrnych ekranów, które zmiękczały rysy, także ludzi od świateł, włókł ze sobą własnych stylistów, fryzjerów, charakteryzatorki i kogoś zarządzającego całą tą bandą. Prawdziwy najazd, po którym dom wyglądał jak pobojo wiszko. Dlatego znane osoby wołały pracować w studiu albo w terenie. Ustawianie trwało i trwało. Jeśli jednak celebrytka chciała mieć okładkę, potulnie zносиła fochy „artystów”. Na ogół byli siebie warci, model wart fotografa.

– Ja nigdy bym w takiej kolorowej szmacie nie wystąpił – prychnął i zarzekał się pewien znany felietonista na party z okazji przyznania nagrody Nike.

– A proponował ci ktoś? Z której redakcji? – Ewita znała ten

syndrom, zawsze zadawała to pytanie, gdy spotkała kogoś takiego. – Nie? Widzę, że nie. Jasne, że nie! To jak ci ktoś zaproponuje i odrzucisz propozycję, to wtedy się do mnie zgłoś.

Część z tych wyśzościowo nastawionych artystów zjawiała się u niej, by spytać, czy nie mogliby pisać dla jej magazynu. Narzekali, że z literatury nie da się wyżyć.

Ewita czasami zatrudniała jakiegoś pisarza czy poetę do pisania felietonów, niestety większość nie dawała sobie rady z krótką, zwartą formą. Zwłaszcza męska część miała z tym problemy. Teksty były wymęczone, czytelniczki się nudziły. Gdy podziękowała piszącym za współpracę, rozgłaszali po mieście, że jednak nie wytrzymali. To nie miejsce dla nich, nie mogą zajmować się popliteratedurą. Poczucie własnego znaczenia i wielkie JA kazało im pewnie w to wierzyć. Tak działają mechanizmy obronne, dobrze naoliwiona maszyna, która nigdy się nie psuje. Bezawaryjna. Może prawie nigdy, bo gdy zawodzi mechanizm obronny, człowiek zapada się, traci poczucie własnej wartości i grzęźnie w bagienku depresji.

Jako szefowa nie ulegała naciskom, nie trzymała nieudaczników, nie miała nabożeństwa do nadmuchanych wielkości. Tak samo postępowała z młodymi grafikami oraz fotografami. Robiła castingi, konkursy, oglądała ilustracje do materiału i fotografie. Prawie każdemu zależało, żeby pracować dla „ekskluzywnego” magazynu. Płaciła dobrze, ale nie przesadzała. Przepędziła kilka razy zbyt pazerną ekipę. Poszła fama, że jest Chciwą Suka, ale nikt już się nie odważył żądać zbyt wiele. Promowała młodych, jeszcze niezblazowanych. Wielu darmozjadów zagnieździło się w piarowskich firmach, które przygotowywały tak zwane projekty. Wymuszali sesje zdjęciowe, do każdego wywiadu raili „gwiazdy” ze swojej stajni. Agenci i agentki pracowały na „wizerunek” osoby.

Umiała wyszukiwać talenty dziennikarskie, także osoby umiejące zbierać materiały. Zadawała robotę, „pracę domową” i jak surowa

nauczycielka sprawiedliwie ją oceniała. Wystarczał tydzień na stażu, żeby wiedziała, kto do czego się nadaje. Miała czasami dość czytania blurbów, czuła się wyprana z energii, wyżęta, wymaglowana, po wieczorze lektury, „stęchłych wytłoczyn”, jak je nazywała. Szukała pisarki, która potrafi pisać felietony, nawiązała współpracę z Adelą.



## ADELA W NAWIASIE TĘCZY

Kilka minut po jedenastej Adela wsiadła do stoszesnastki, autobus przyjechał punktualnie. Miała dziś kilka spraw do załatwienia, wołała przejechać się autobusem po buspasach, niż stać w korkach. O tej porze nie było tłoku. Usiadła na pojedynczym miejscu po prawej stronie, tuż przy wejściu. Stąd mogła najlepiej obserwować miasto i czuć przestrzeń, w środku i za szybami. Widziała ciemne włosy kierowcy, jego plecy w lśniącej białą koszuli, opalone dłonie luźno spoczywające na kierownicy. Przez przednią szybę patrzyła na samochody jadące przed nimi, przez boczną podziwiała część miasta, którą bardzo lubiła. Nie przeszkadzało jej, że nie było w tych murach prawdy historycznej. Widziała fotografie ruin, a także film o powstaniu, złożony ze starych materiałów niemieckich. Pokryte pyłem ulice przypominały Hiroszimę, choć zabijanie miasta odbyło się bez użycia bomby atomowej. Całe połączenie wyglądały jak zaorane, wydawało się, że daremnie oczekują na siew, jak skażone pola. Rozkaz wykonano zgodnie z wolą groźnego wampira o bladej twarzy i kabaretowym wąsiku, który zażyczył sobie zrównania miasta z ziemią. To prawda, udało się je zamordować, a jednak, kiedy skończyła się wojna, umilkły strzały, przerwano bombardowania, ugaszono pożary, natychmiast pojawili się ludzie. Szli pieszo z różnych stron, sami szarzy jak prochy ulic i gdy tylko uporali się

z pochowaniem bliskich – o ile mieli szczęście znaleźć ich ciała – zaczęli odgruzowywać miasto.

Adela była warszawianką z dziada i babki. Kochała to miasto miłością tak głęboką, że nie zwracała uwagi na to, że nie odplaca jej tym samym. Gdziekolwiek była, zawsze broniła Warszawy, jak broni się dawnego kochanka, obśmiewanego przez zjadliwych nieprzyjaciół. Istnienie miasta stanowiło dowód siły, której nie pokonała wojna, a nawet śmierć. Kto żył, brał się do łopaty albo gołymi rękami nosił gruz na taczkę, o ile dysponował taczką. Rodzice jej ojca nie uchowali się, nie udało się im przetrwać wojny. Nie zdążyła ich poznać żywych. Za to pojawiali się w codziennych rozmowach, także okolicznościowo podczas rodzinnych uroczystości. Przepijano do nich, wznoszono toasty. Niech żyją! Niech żyją! Dzięki temu umarli żyli. W tej rodzinie życie pośmiertne nie było niczym dziwnym. Nikt się nie bał duchów zmarłych, nawet dzieci. Babka w Wigilię stawiała dodatkowe nakrycie, jedno symboliczne dla dziesiątków krewnych. Przy stole razem z gośćmi zasiadała śmierć. Pusty talerz nie dla niej był jednak przygotowany. Nikt śmierci nie zapraszał, wciskała się nieproszona za kimś, kto wchodził. Jak natręt.

Dziadkowie ze strony matki przeżyli wojnę, i potrafili to docenić. Dopóki Adela była dzieckiem, oprowadzali ją po mieście jak po muzeum. Wskrzeszali to, co było kiedyś na miejscu tego, czego teraz w ogóle nie ma, został pusty plac, nowoczesny pomnik zagłady miasta. Oboje brali udział w powstaniu warszawskim. Na początku nie opowiadali Adeli o wszystkim, co przeżyli. O tym, jak podczas powstania układali trupy pod murami. Tego dowiedziała się, spacerując z dziadkami po ulicach. Prowadzili dla niej dodatkowe, uzupełniające lekcje historii, jakiej nie uczono w żadnej szkole. Wypełniali luki, białe plamy niepamięci. Właściwie to oni ją wychowywali, zawsze mieli dla niej czas. Wtedy uważała ich za

nudziarzy, wołała szlajać się po mieście, chodzić do kina, teatru, na randki. Zabierali jej cenne chwile przeznaczone na lekcje całowania, flirty, łowy i zaliczanie co lepszych chłopaków. Jednak chodziła posłusznie na spacerzy z dziadkiem i babką, z obojgiem razem lub pojedynczo. Wymuszali to na niej rodzice. Szantażem. Mówili, że nie wiadomo, ile jeszcze im zostało, że to starsi ludzie po przejściach... Tak więc oddelegowano ją do zajmowania się nimi, a oni zajmowali się nią. Rodzice mogli spokojnie pracować, wiedząc, że dziewczynka na spacerze z dziadkami jest pod dobrą opieką.

– O, popatrz, popatrz, Adelko, widzisz, tu leżeli zabici, o tu, pod murem tej kamienicy, jeden na drugim, czekali, aż ktoś ich rozpozna i pochowa, układano ich aż do pierwszego piętra – mówił dziadek.

– Adzia ma dopiero cztery lata! Nie opowiada się dziecku takich rzeczy. Stos by się nie utrzymał, wtedy wysoki parter był na wysokości dzisiejszego pierwszego piętra, nasze przedwojenne mieszkanie miało prawie cztery metry wysokości – oponowała babka.

– Wiesz dobrze, jak było, zdarzało się i do drugiego. Dzieci mają dobrą pamięć, a ktoś musi to zapamiętać – nie ustępował dziadek.

Zapamiętała na zawsze, co mówili, choć nie pamiętała o tym codziennie. Nie żyła zaprzeszłymi sprawami. Pod pewnym względem nauczyła się patrzeć na Warszawę ich oczami: nigdy nie narzekali, choć w ich głosach była nostalgia, żal za tamtymi ruchliwymi ulicami, wiedzieli, gdzie była ulica rękawiczników, a gdzie żydowscy szewcy robili buty na miarę.

– U Żydów jednak było najtaniej, a buty i ubrania na miarę robili prima – mówił dziadek. Babka miała w tamtych czasach swoją kapeluszniczkę i gorseciarzkę. – Całe to towarzystwo, ci wszyscy szewcy, krawcy poszli z dymem. Dosłownie i w przenośni.

Opowiadali, jak wybudzone z wojennej, pourazowej śpiączki

miasto powoli wracało do zdrowia. Reanimacja, wbrew oczekiwaniom i przewidywaniom morderców, powiodła się. Cieszyli się każdym wzniesionym nowym murem. Nawet tym betonowym nowym domem z socrealistycznej piosenki. Babka podśpiewywała, dziadek ją krytykował za śpiewanie propagandowych pieśni masowych. Sami nie cierpieli betonu, woleli cegłę z rozbiórki. Niestety, nie zostało jej zbyt wiele.

Czy się to komuś podoba, czy nie, są w tych okropnych blokach załączki nowego życia, uważał dziadek. Jednak ani on, ani babka nie mogli się przyzwyczaić do gotowizny z haka, jak określali fabryczną konfekcję, a już zwłaszcza do butów. Żalowali, że wszystko, co mieli przed wojną, się spaliło. Buty produkowano w setkach tysięcy. Wszystkie takie same. Po pewnym, niezbyt długim czasie wrócili rzemieślnicy i otwierali biedne warsztaty.

Z ludźmi było jak w dziecięcej zabawie, w której garść piasku podrzucało się w górę i łapało spadające ziarenka, raz na spód, raz na wierzch dłoni: tyle matka miała dzieci, tyle poszło na wojnę i zginęło, tyle zachorowało i umarło na gruźlicę, tyle zginęło w kazamatach, a tyle wyjechało... Część ocalałych z holokaustu krawców i szewców gdzieś zniknęła, może wyjechali, ze strachu, że to jeszcze nie koniec, że znów zaczną się pogromy, część umarła ze starości, inni już byli za starzy, by szyć palta czy robić buty. Ich dzieci, oczywiście te, które wyżyły, przechowane gdzieś po wsiach, na strychach, w piwnicach, niekiedy w klasztorach, zajęły się tym, co przed wojną robili ojciec albo matka. Dziadek do końca swoich dni ubierał się u syna swojego krawca, a buty robił na miarę. Gdy zachorował na tyle ciężko, że wiedział, że się już nie pozbiera, zażyczył sobie wyraźnie, żeby pochowano go w garniturze od Leopolda – wciąż wyglądał jak nowy, wystarczyło go odprasować. I w butach od szewca Bluma czy Blumenfelda. Z krawieckiej rodziny mało kto ocalał, ich dusze uszły przez komin, mówił dziadek Adeli.

Pewnie dlatego gdy widziała dymy unoszące się z kominów, myślała o tych uchodzących w niebo duszach. Szewc przeżył schowany w komórce za szafą, choć próbował się zabić. Stracił większość swoich bliskich i mowę. Został z dwojgiem dzieci. Przestał mówić, gdy na jego oczach niebieskooki Niemiec strzelił w wielki brzuch jego żony, była tuż przed rozwiązaniem, opowiadała babka ze zgrozą. Szewc zapamiętał niebieskie oczy Niemca... Ten wyraz pogardy. Z opowiedzianej przez dziadka historii Adela zapamiętała tylko wielki brzuch i jasne niebieskie oczy, to wystarczyło, by przywołać tę scenę. W każdym razie pan Blum, może Blumenfeld, rysował projekt buta kopiowym ołówkiem na kartce, pisał, jaki będzie kolor skóry, musiał wybierać z tego, co udało się kupić. Podobno przed śmiercią powiedział kilka zdań, ale jedyna ocalała córka, obecna przy ostatnim tchnieniu ojca, nie chciała o tym mówić. Dziadek dopytywał się, sądził, że to ważne słowa, jakieś przesłanie, ale nic nie wskórał. Córka twierdziła, że ojciec jej do tego nie upoważnił. Wkrótce wyjechała, a dziadkowie domyślali się, że mogło to mieć związek ze słowami jej ojca.

Miasto składało się z wielu nieczytelnych dla większości mieszkańców warstw. Adela nie wiedziałaby tego i setek innych rzeczy, gdyby nie dziadek i babka. Skoro oni potrafili cieszyć się powolnym powrotem miasta do zdrowia, to ona też nie narzekała. Problem powstał, gdy wybudowano Pałac Kultury i Nauki, Adeli wtedy nie było jeszcze na świecie. Dziadek naśmiewał się z „prezentu”, mówił, że niechciany prezent od stryja bez gustu można schować i wyjmować tylko na jego przyjazd, a z tą górą kamienia tak się nie da. Mieli inną wizję pałacu. Ten był dla nich obcy i za duży. Jednak i do tej „bolszewickiej budowli” się przyzwyczaili, bo odbywały się tam różne imprezy dla dzieci, na które chodzili z matką Adeli. Komnaty bajek, teatrzyki, konkursy. Dziadek dbał głównie o to, żeby nie było za dużo „komunistycznej

propagandy”. Jeśli coś się nie zgadzało, od razu prostowali, wtajemniczali dzieci i wnuki w „prawdziwą historię”, nie oszczędzając im drastycznych szczegółów.

Adela uważała, że prawo do narzekania mają tylko ci, którzy dali miastu z siebie wszystko, co mogli.

– Wielu obcych najechało Warszawę, gdy była gotowa do zamieszkania, i to oni wciąż są w pretensjach – mówiła babka.

– Daj spokój, to są dwa różne miasta, tamto, co było i to, co jest, dla nich ono nie ma ciągłości, tylko dla nas jest ciągłość, to są inni ludzie, mieszkają w innym mieście! Tamtego przecież nie ma, to skąd mają wiedzieć?

– To zła wola, wiedzą, że zostały ruiny i pył. – Babka nie umiała pogodzić się z tym, że ktoś mógł nie kochać Warszawy.

Było, minęło, odeszło wraz z nimi. Trakt, którym Adela jechała, nazywany uroczyście Królewskim, też był nowy, i co z tego? Nowe powstało w świętym miejscu, urosło na krwi zabitych, zasługuje na miłość. Miasto pogrobowiec. Urodzone po śmierci ojca przez matkę, która umarła przy porodzie? Ocalała jak dziecko z pożaru. Jak to ująć? Adela nigdy w taki sposób nie rozmawiała z nikim o mieście. Po prostu tak myślała. Jeśli jednak ktoś je obrażał, opluwał, miała chęć złapać go za gardło i walić jego łbem w mur. Oczywiście nigdy tego nie zrobiła, kończyło się na ostrych słowach, ale parę razy musiała się ostro hamować. Przeklinała w myślach słowami, których nigdy głośno nie wypowiadała. Rzuciła te kawały mięsa prosto w twarz wykrzywioną złością, czasami nienawiścią do miasta, za to, że ciągle coś się w nim psuje, korkuje, nie funkcjonuje jak trzeba.

Autobus nie jechał zbyt szybko, zupełnie jak autokar wynajęty przez turystów na zwiedzanie. Tu zawsze było dużo ludzi. Studenci wychodzili i wchodzili przez główną bramę uniwersytetu. Zauważyła, że dziewczyny prawie się nie malują, są ubrane w luźne ciuchy i wszystkie, bez względu na to czy wysokie, czy niskie, noszą

baleriny. Warszawianki są szykowne, nawet te nawiezione z różnych stron kraju. Studentki łatwo się uczą stylu. Studenci z prowincji wolniej, chyba że trafią na dziewczynę z gustem, taka pomoże im kupić odpowiednie ubrania. Jaki kontrast z ciemnowłosą kobietą w bardzo krótkiej, opiętej sukience, na obcasach tak wysokich, że z trudem utrzymuje równowagę. Idzie pochylona do przodu, żeby się nie przewrócić. Niewolnica seksu, pomyślała o niej Adela. Znała podobne kobiety. Uważały, że szpila wydłuża nogę, wygląda lepiej, a przez to jest sexy. Nie każda kobieta potrafi chodzić na szpilkach.

Na przystanku wsiadło sporo młodzieży, chyba właśnie studenckiej, i dwóch młodych ogolonych, nazywanych w mieście karkami, zupełnie jakby pozbawionych głów, kark szerszy od głowy. Autobus ruszył. Do Adeli docierały głośnie śmiechy i szmery głosów studentów, jednak zagłuszały je wyrąbywane słowa łysych. Nie oglądając się za siebie, wiedziała, kto mówi. Przechwalali się głośno, bezwstydnie, „wpierdoleniem miękkiej parówie”, i że „gdyby nie najechały wtedy psy, już by nie żył”. W takich momentach pojawiali się w głowie Adeli Niemcy. Zabójcy. Wiedziała, że w każdym kraju jest pewna liczba morderców, niepoliczona, groźna armia, nawet jeśli jest w mniejszości, może doprowadzić do tego, co już było. Dlatego trzeba zwalczać zło, żeby nie dopuścić zabójców do znaczenia. Nie tylko dziadkowie uświadomili jej zło. Dużo czytała, znała historię faszystów europejskich, zwłaszcza niemieckiego, dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, jak to się wykluwało.

Ludzie siedzący w autobusie w rzędach, trochę jak w klasie, patrzyli w okna albo udawali, że czytają. Nikt nie pisnął słowa. Słusznie, bo za to można dostać pod oko pięścią, albo gorzej, kosę pod zebro. Nie ma wyjścia, wiadomo, że bezkarność rozjusza, ale nie wolno reagować, nie mając wsparcia. Gdyby wszyscy ostro reagowali, nie byłoby głośnych rozmów tego rodzaju. Prowokowali

zwykłych ludzi, wiedzieli, że mogą sobie na to pozwolić. Marzyła, by znalazł się ktoś w rodzaju supermena, z nadludzką siłą, kto wzięłby te dwa łby i stuknął jednym o drugi, aż by zadudniło. Niestety, wszyscy musieli słuchać ciągu dalszego.

– Przygotuj się, Sebek, wiesz, co wziąć, we wtorek zajebimy chujów! – rzucił jeden, ten bardziej agresywny, do drugiego.

Zarechotali tym szczególnym rodzajem śmiechu. Mieli zdarte głosy, ćwiczone w okrzykach stadionowych. Popisywali się przed dziewczynami z uczelni. Jednak na szczęście cała grupa wysiadła, zanim dostrzegli chłopaka z długimi włosami. Chyba planują ustawkę, pomyślała Adela. Sebek to Sebastian, modne imię, jakiś czas temu chrzczono wielu Sebastianów. Może to postać z jakiegoś serialu? Miała ochotę się wtrącić i zapytać, czy Sebek wie, że święty Sebastian jest patronem gejów? Kto namalował ten obraz? Piękny muskularny młodzieniec przywiązany do drzewa, ze strzałami tkwiącymi w całym ciele, nie mogła sobie przypomnieć. Zresztą i tak by się nie odezwała. Tchórzostwo? Nie, to konformizm i zdrowy rozsądek. Bzdura, nie warto się narażać, mogła w najlepszym razie usłyszeć, że jest niedorzętną suką, i co oni by jej pokazali, gdyby chcieli, ale nie chcą, bo jest za stara, i pewnie ma pomarszczoną pi... I byłby znów ten rechot, od którego wywracają się bebechy. Odwróciła głowę, włosy zakryły jej twarz, musiała schować pogardę, żeby nie zauważyli. Po oczach widać, co się myśli. A oni przy całym tym chamstwie mają wygórowane poczucie godności własnej, honoru i tak dalej. To inne plemię.

Wsiadła w dobrym nastroju, a teraz poczuła nagłą pustkę, obcość i chęć izolacji tak wielką, że wysiadła przystanek wcześniej, żeby nie patrzeć i nie słyszeć. Wiedziała, że większość ludzi w autobusie czuła to samo. Chciałoby się być Batmanem, Batmanką i załatwić ich, pokonać, zobaczyć, jak leżą związani sznurem. Czuła narastającą wściekłość wzmożoną bezsilnością. Była kobietą walki,



lubiła działać natychmiast. Gdyby kogoś bili, z pewnością by się wtrąciła, zatelefonowała na policję. Jednak potrafiła ocenić swoje marne szanse. I niebezpieczeństwo. Zepsuli jej kawał dnia. Chociaż nic nie jest proste, bo zimą, gdy się pośliznęła i skręciła nogę w kostce, jeden łysy, kropka w kropkę jak ci dwaj, zaniósł ją na ostry dyżur, bo to stało się tuż obok szpitala. Wziął jej ciężką torbę i zarzucił sobie na ramię. Przez moment pomyślała, że chodzi o portfel w środku, ale zawstydzila się tej myśli. Rozmawiała z nim, miał głos jak człowiek, patrzył na jej kostkę, oceniał, czy to może być złamanie, czy nie. Wyglądała mi na pęknięcie torebki stawowej, ocenił fachowo. Okazało się, że miał rację. Znał się na kontuzjach. Była mu naprawdę wdzięczna. Zaczekał z Adela, aż się pojawi lekarz, a gdy mu dziękowała, powiedział krótko: Nie ma sprawy! I dodał oficjalnie: Cieszę się, że mogłem pomóc. Wtedy zrozumiała, że pojedynczo są ludźmi podobnymi do innych, gdy jest ich kilku, wstępuje w nich duch grupy. A jednak coś takiego istnieje, choć odchodzi się od tej teorii, uważa się ją za przestarzałą. W autobusie było tylko dwóch, a już czuli ducha grupy. Trzeba się uspokoić, wyciszyć. To wspomnienie ją uspokoiło, bo nie lubiła oczywistości i podziału na czarne i białe. Mogła już załatwiać sprawy. Obiecała sobie, że wpadnie do Zachęty. Obejrzy wystawę i zrobi to, co od dawna planowała.

\*

Gdy wróciła do domu, weszła na chwilę pod chłodny prysznic. Włożyła lekką sukienkę i boso wyszła do ogrodu. Wzięła stary wąż ogrodowy i zaczęła podlewać krzaki. Wołała go od automatycznego zraszacza stojącego pośrodku trawnika. Zatkała otwór węża kciukiem i puściła rozproszone kropelki na wielki cis. Dawno temu

nauczyła się w taki sposób robić tęczę. Adela czuła się jak bóstwo stwarzające tęczowy łuk. Starła się, by łuk był jak najdłuższy i miał mocne kolory. Wierzyła, że tęcza przynosi szczęście. Utrzymywała ją długo, tak długo, aż jej palec skostniał z zimna. Piękna tęcza! Udała się nadzwyczajnie, bo popołudniowa pora jest najlepsza, by ją wywołać. Nie rozumiała, dlaczego upleciony z kwiatów tęczowy łuk na placu może komuś przeszkadzać tak bardzo, że trzeba go podpalać.

Nagle zobaczyła postać po drugiej stronie płotu. Sąsiadka Julia też była w ogrodzie.

– Wiesz, Julia, byłam w Zachęcie, zrobiłam siedem kwiatów do tęczy – powiedziała Adela.

– Och, ja bym się bała, po co drażnić karki? Rozjuszą się i będą potem bili niewinnych ludzi!

– Nie wiedzą, co palą, tęcza symbolizuje obecność Boga. Skąd mają wiedzieć, że po potopie Bóg ustawił tęczę na niebie jako boski most, łączący go z nami.

Adela uważała, że odbudowana po pożarze tęcza pokazuje podpalaczom środkowy palec. Nie wiedziała, czym jest szczęście, ale wiedziała przynajmniej tyle, że tego popołudnia i tej nocy należącej do niedzielnego dnia nie zdarzy się nic złego. Z powodu tęczy. Wywołana sztucznie za pomocą kciuka, ale przecież jest prawdziwa, i jaka piękna! Duszne lipcowe popołudnie, plus dwadzieścia dziewięć stopni w cieniu.

– Chciałam kosić, ale chyba jest zbyt sucho. Może też podleję, skoszę jutro? Robi się za gorąco – mówi Julia.

– Julia, śniła ci się kiedyś tęcza?

– Nie, nigdy, nie pamiętam, chyba nie, bobym pamiętała.

– Ja pamiętam sny, ale tęcza też mi się nie przyśniła, a szkoda, bo oznacza koniec kłopotów. Komu kończą się kłopoty? Chyba nieboszczykowi.

Rozprasza strumień wody z węża. Śmieją się obie, chociaż Adela żałuje, że nie ugryzła się w język przed słowem nieboszczyk, skąd to słowo? Gdzie bije źródło nieboszczyka? Przecież nie od nieba! Kiedyś pisało się niebożec, niebożczyk, zaśmiała się, bo znienacka, a dość często, pojawiała się jej czkawka filologiczna... powinna bardziej uważać na słowa, przecież niedawno Berni zostawił Julę. Opuścił ją.

Nie padało od wielu dni. Ptaki słyszą szum wody, będący imitacją deszczu. Czują wilgoć na liściach, zaczynają zwoływać się różnymi głosami, gwizdzą, skrzeczą, gruchają, ćwierkolą i kraczą. Nadlatują małymi grupami lub pojedynczo. Spijają krople z mokrych liści. Adela, żeby ich nie płoszyć, opuszcza wąż, leje wodę wprost na trawę. Tęcza zniknęła, wpatruje się więc w spękany jak wysuszona ziemia tynk ściany domu naprzeciwko.

– Na co tak patrzysz? – pyta Julia.

– Nic, nic, to tylko popękany mur powoduje, że myślę o swoich zmarszczkach. – Adela śmiechem pokrywa dalszy, niebezpieczny ciąg zdania. Milknie.

– Lepiej nie myśl za dużo w taki upał. Jeszcze daleko ci do prawdziwych zmarszczek – mówi Julia, odpowiadając uśmiechem samych ust.

Jej twarz nagle się postarzała, oczy zdradzają smutek, a może to tylko cień z jednej jedynej chmury, która pojawiła się znikąd na wielkim, jasnym niebie, wydobył zmarszczki.

– Nic, nic, Julia, tylko ten czas. Leci jak ciekący kran, którego nie da się naprawić – powiedziała Adela, patrząc na Julę, chyba trudno znaleźć Juli w tym sens, a jeszcze gorzej, gdyby go znalazła, bo ostatnio coraz częściej mówi o godnym starzeniu, żeby się nie dać. Pewnie myśli, żeby godnie dotrwać. Czeka.

– Ale u ciebie wszystko OK? – chce wiedzieć Julia.

– Tak, jest OK – odpowiada Adela.

Tak jak zawsze. OK, super, używane jako tarcza, trochę na

odczepnego, trochę też po to, żeby nie zawracać nikomu dupy swoimi bólami. Jest super, przecież żyję, czyli wszystko jest OK. Czy powinna jej powiedzieć, o czym przed godziną myślała? Szczęście, że wyszła do ogrodu i zaczęła podlewać. Uruchomiła tęczę, most łączący ją z kosmosem. Kłopoty się nie skończyły. Położyły się i przysnęły jak nażarte psy. Obudzą się rano, to jasne. Julia ma dość po swoich przejściach. Dwie kobiety lubią się bez demonstracji, bez okazywania zażyłości. Więcej czują do siebie, niż mówią. Wiedzą. Należy przestrzegać narzuconych od lat zasad, inaczej życie sąsiedzkie zamieniłoby się w piekło. Ciągłe przecież dzieje się coś złego. W momentach krytycznych należy pomagać, przytulić, tak jak wtedy, gdy Berni zamknął oczy albo gdy Julia straciła przytomność. Miała wylew. Owijanie śmierci w bawełnę jest konieczne, gdy rozmawia się czasami nawet kilka razy w ciągu dnia. Słowo śmierć nie jest odpowiednie, nie należy go powtarzać zbyt często. Chyba że dotyczy ludzi znanych z telewizji, przed chwilą zmarłych ludzi, czarno-białych, już natychmiast puszcanych w zwolnionym tempie, o których kolorowi żyjący mówią specjalnym głosem, ociekającym gęstym żelem sztucznego bólu, albo znów przesadnie wesołym, bo on, nieboszczyk, by tak chciał. Można komentować także śmierć mieszkańca osiedla, z dalszych uliczek. Domy bliskie, ściana w ścianę, ogród przy ogródku wymagają szczególnej delikatności.

Tylko rytuał jest nieśmiertelny, my odchodzimy, rytuał po nas zostaje. Wiele razy przychodziła jej do głowy ta myśl.

– Widziałaś wczoraj w nocy perseidy? Spadało ich strasznie dużo, jeszcze nigdy nie widzieliśmy tylu naraz – zmienia temat Adela.

– Byłam bardzo zmęczona, zasnęłam jak kamień, a gdy się obudziłam, już świtało – mówi Julia ze smutkiem.

Adela chwytą wąż i usiłuje znów stworzyć tęczę, złapać w nawias smutek słonecznego dnia. Dobrze wie, o co chodzi. O tę małą zamianę, z „ja”, na „my”. Julia jest sama, odkąd Berni odszedł. Ona

nigdy nie powie: umarł, zawsze tylko: odszedł. Jakby po prostu wyszedł przez furtkę, wyprowadził auto z garażu, pyk, pyk, pyk, zapykał cichym silnikiem i odjechał jak co dzień do firmy. Julia oglądała najpierw jego plecy w granatowej marynarce, potem volvo w kolorze wypolerowanej śliwki węgierki, starawe volvo, sunące ostrożnie osiedlową uliczką, żeby broń Boże nie wpaść na małego rowerzystę, który nagle wypada zza żywopłotu. Stała zawsze jeszcze długą chwilę, ukryta za koronkową firanką, jak matka obserwująca dziecko wychodzące do szkoły.

Mieć kontrolę, ale nie płoszyć. To dewiza mądrych kobiet. Adela często słyszała od Juli tę myśl, nie wiadomo, czy sama na to wpadła, czy była to jedna z tych pokoleniowych maksym, wysysanych przez córki z matek, z mlekiem, krwią czy innym płynem. Powtarzała to zawsze ze śmiechem, gdy Berni jeszcze żył. Problem ich małżeństwa tkwił w tym, że Berni zajmował się sobą, swoją pracą, autem, grą w szachy, no i stanem swego wątłego zdrowia, nie interesowało go, czy Julia go kontroluje. To go nic a nic nie obchodziło, nie miało wpływu na jego życie, nie zauważał tego, brał, co mu dawała, opiekę, wikt i opierunek, miał wolną głowę do swojej roboty, a to, że ona wiedziała o nim wszystko, gdzie się znajduje w danej chwili, co robi, nie zajmowało go w najmniejszym stopniu. Jeżeli zadawała za dużo pytań, opędzał się i podnosił głos. Daj spokój kobieto, daj mi spokój! Wołał tak głośno, że słychać go było w okolicznych ogródkach. Aż dziwne, skąd się brał taki potężny głos w wątłym ciele. Uruchamiało go pewnie poczucie naruszenia jego osobistej wolności. Julia, wiedząc o nim wszystko, nie znała jego myśli. Siedzieli obok siebie, spali obok siebie, ale prowadzili oddzielne życie. Pełne tajemnic i zachowywanych, nawet przed sobą, pozorów. Nie udawali, to, co robili, było szczere, każde myślało, że chroni drugie przed lękiem. Mąż Juli był dla niej mężczyzną i dzieckiem, ze względu na ciężką chorobę musiała go

chronić jak wcześniaka w inkubatorze. Jej uczucia stanowiły ochronę. Adela sądziła, że Jula mówiła jej więcej niż Berniemu. Zwierzała się z lęków o niego. Czuli wtedy bliskość. Przygotowała się na to, co musiało nastąpić. Natomiast Berni chronił Julę przed złym światem. Nie pracowała, rzuciła dobrą robotę w prywatnej firmie, żeby się mu poświęcić. Nie musiała wychodzić z domu dalej niż do sklepiku po bułki i mleko. Na duże zakupy jeździli razem. Gdy Adela się wprowadziła, Jula jeszcze pracowała. Wyjeżdżała kilka razy w roku za granicę. Niczego się nie bała. Należała do kobiet, o których babka Adeli mówiła, że „pasują w świat”. Wcześniej Jula nie zdradzała lęków przed młodymi faszystami, nie bała się nikogo. Upominała łysych siedzących w autach i słuchających muzyki, która dudniła, tak że trzęsły się ludziom flaki. Gdy Berni odszedł i została samotną wdową, to się nie zmieniło. Któregoś dnia poszła upomnieć mieszkającego w pobliskim, jedyne go chama na osiedlu, żeby przestał głodzić psy. Szczekały aż do zatracenia, miały zdarte gardła. Rzucano się im przez wysoki żywoplot chleb, resztki wędlin. Trzeba było trafić, bo miały dość krótkie łańcuchy. Wskakiwały na budę i charczały od rana do wieczora.

Otworzyła młoda kobieta.

– Proszę powiedzieć ojcu, że zawiadomiliśmy Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt. – Jula wyłuszczyła, w czym rzecz.

Córka była zalękniona, ojciec na nią też się wydzierał. Żona od niego odeszła, a matka, karmiąca dwa wilczury, niedawno umarła. Powiedziała, że ona karmi psy, powie ojcu, żeby je zabierał do drugiego mieszkania, gdy wyjeżdża na tydzień. Jula odeszła kawalek, przystanęła za żywoplotem. Czego znów ta stara suka chce?, usłyszała.

– Wyobrażasz sobie? Suka, owszem, proszę bardzo, ale stara? To już przesada! – Opowiadając Adeli całe zajście, Jula śmiała się ubawiona, ale potem zauważyła, że gdyby Berni żył, to cham nigdy

by sobie na to nie pozwolił, Berni poszedłby do niego, pouczył jako prawnik, zagroził policją...

Szczęście na widok tęczy, spełnienie życzenia, gdy widzisz spadającą gwiazdę. W nocy, siedząc na stopniu tarasu w objęciach Dominika, Adela nie miała innych życzeń niż to, żeby ten uścisk pod kopułą nieba trwał, żeby trwała bliskość, mniej było kłótni o byle co, żebyśmy nie chorowali. Jakie Jula może mieć teraz życzenie? Siłę i zdrowie, żeby starzeć się z godnością. O tym zawsze mówiła. Czy gdyby miała możliwość, chciałaby wskrzesić Berniego, czy chciałaby, żeby on zmartwychwstał? Pogodziła się z rolą wdowy po zacnym człowieku. Rozpacz trwała, była częścią wdowiej żałoby, wcale nie chciała godzić się z losem, zapomnieć. W dniu śmierci Berniego powiedziała Adeli, że zafundował jej dobre, bardzo szczęśliwe i godne życie. Była panią mecenasową, a to się liczyło.

– Od dawna przygotowywałam się na jego odejście, przecież chorował całe życie, doktorzy mówili wyraźnie, że kilka lat dostał w podarunku od losu, że to też moja zasługa – mówiła. – Pielęgnowałam go, dbałam, żeby się nie przemęczał. Chociaż mnie nie słuchał. Wreszcie któregoś dnia doktor powiedział: Proszę się przygotować, to już końcówka. I się nie pomylił.

Dzień śmierci i pogrzebu to dni zwierzeń. W takie dni wolno się otworzyć przed sąsiadką, przyjaciółką zza płotu. Berni umarł we śnie, nie wypowiedział ostatniego słowa, tylko westchnął cicho. Jula się przebudziła, ścisnęła jego dłoń. Była chłodna. Twierdziła, że oddał uścisk, poczuła to wyraźnie. Niestety, nie pamiętała, co mówił wieczorem, nic, co by zwiastowało, że jest już spakowany przed ostatnią podróżą. Była umęczona jego cierpieniem, słabością, długim umieraniem, a jednak, kiedy to się stało, wcale nie odetchnęła z ulgą. Nie umiała zamknąć razem z nim w trumnie wspólnego życia, pełnego walki, czułości, gniewu, codziennej nudy, cierpienia i lęków.

Tego samego dnia, gdy wróciła z pogrzebu i stypy, wyprawionej w ulubionej włoskiej knajpce Berniego, on natychmiast powstał z martwych, już jako ideał, bez uciążliwości, jakich jej dostarczał, gdy żył. Był teraz obrazem wycykany przez Julę z wdzięcznej pamięci, trochę jak odpustowe monidło, zdrowy, silny rumiany chłopak, jakiego poznała „wieki temu”. „Wieki temu”, mówiła, żeby nie powiedzieć, ile lat temu, bo to działało na jej niekorzyść, wskazywało na wiek, niosący nieuchronną starość. Mieli kiedyś psa, ale nie wzięła kolejnego, gdy odszedł. Na śmierć psa używała tego samego określenia. Powiedziała Adeli, że widziała małego kundelka, ale nie miałyby już siły przeżywać kolejnej śmierci. Mogę znieść jeszcze tylko swoją, zaśmiała się.

– Naprawdę, chcę się starzeć z godnością, tyle się o tym czyta i mówi, ale to prawie niewykonalne – powiedziała któregoś dnia, łamiąc zasadę gadania tylko o tym, co dobre.

Można zachowywać codzienny rytuał, rozmawiać o sadzonkach, kataklizmach na świecie, o farbowaniu odrostów, odmładzających kosmetykach, o modzie, która przystoi bądź nie przystoi w „pewnym wieku”. Można nawet naśmiewać się z własnych słabości. Tak, to pomaga w podtrzymywaniu kontaktów. Potem Julia musi wejść do domu, siąść samotnie w kuchni naprzeciwko pustego krzesła, które wciąż stoi, i jeść placki z jabłkami, te same, które lubił Berni. Wanna z letnią wodą trochę pomaga, zmywa pot, nieuchronnie występujący przy takiej temperaturze, skóra odzyskuje jędrność. Na krótko, ale zawsze – jak się kiedyś mówiło na podwórku.



## CZYTANIE I PISANIE

Adela przyszła do redakcji i siadła na skórzanej kanapie w redakcyjnym holu. Była po rozmowie z Ewitą, szefową kobiecego magazynu, instytucją na rynku pism kobiecych. Dostała od niej propozycję stałej współpracy. Teraz miała czas na zastanowienie i podjęcie decyzji. Napisała trzy felietony, które zostały dobrze przyjęte przez redakcję na kolegium, a co ważniejsze, spodobały się czytelnikom. Ewita mogła zaproponować pisarce godziwe honorarium. Obie miały ochotę na współpracę. Adela właśnie skończyła powieść, chciała odetchnąć od męczącego świata, który sama stworzyła. Nigdy nie zabierała się od razu do pisania kolejnej. Jej mózg był pusty w środku, wyspany jak wypite w dzieciństwie podebrane kurze jednodniowe jajko. Chciała spróbować czegoś nowego, weselszego, innej formy. Zdawała sobie też sprawę z tego, że wydawnictwa upadają, nakłady są coraz niższe, coraz trudniej wyżyć z pisania. Gdy ludzie pytali ją, czy da się wyżyć z literatury, odpowiadała, że nie, ale można wyżyć z pisania. Pisanie rozszerzało pole zarobkowania. Pisma kobiece jeszcze się nieźle sprzedają. Czytelnictwo chyba najniższe w Europie, nie zanoszą się na poprawę. Niedawno zdała sobie sprawę z tego, że to może być efekt wsiowości naszego społeczeństwa. Najpopularniejszym rodzajem muzyki jest disco polo. Pół książki rocznie na głowę obywatela jakos się wiąże

z powszechnym lekceważeniem kultury. Przed chwilą rozmawiała o tym szczerze z Ewitą w jej gabinecie.

– Wsiowość?! Dla mnie to raczej efekt upadku komuny, nagle otworzyły się inne możliwości. Dotarły do nas niedostępne dotąd rozrywki – powiedziała Ewita.

– To pewnie też, dlaczego jednak w takim razie Czesi czy Węgrzy, którzy także mieli komunę, czytają o wiele więcej? My pół książki, oni osiem albo dziesięć!

– Nie mam pojęcia, trzeba by się zastanowić – przyznała Ewita.

– Według mnie to efekt najdłuższej pańszczyzny w Europie, brak mieszczaństwa, owocujący brakiem klasy średniej, do tego dodają się ta okropna szlachtetczyzna i przereklamowana kultura dworaków – powiedziała Adela.

Pomyślała, że pisanie tekstów do popularnego magazynu może rozszerzyć jej krąg czytelniczy, że będzie sprzedawała więcej książek, a wtedy zwiększą się jej wpływy na konto. O wpływie na czytających nie myślała. Nie miała też złudzeń, że to będzie znaczny przyrost i że nastąpi przełom. Czytano łatwiznę, pisma obrazkowe. Dobrze i to, bo nie zanosilo się na wtórny analfabetyzm. Z książek największym powodzeniem cieszyły się żywoty aktorów i aktorek, spisane przez wynajętych w tym celu biegłych w piśmie redaktorów. Najchętniej czytano więc disco polo literatury.

W pobliżu kanapy, pod filarem podtrzymującym sufit w holu, stały dwie dziennikarki. Rozmawiały półgłosem. Adela uważała, że ma słuch nadprzyrodzony. Czasem było to przekleństwo, czasami dar, który bardzo przydawał się jej w pracy. Uważała, że to, co podsłuchane, jest ciekawsze niż to, co ludzie oferowali, gdy rozpoznali przed sobą pisarkę. Opowiem ci swoje życie i masz gotową książkę! Tylko siadać i pisać, a ja powiem ci wszystko jak na spowiedzi!, mówili przypadkowi znajomi. Swoją historię każdy pisze sam, odpowiadała Adela sucho. Oczekiwanie, że napisze cokolwiek

na zamówienie, uważała za bezczelność. To było naprawdę denerwujące. Nie słuchała banalnych, łzawych tragedii na temat zdrady czy niegodziwości bliskich. Były tuzinkowe, opatrzone nudnymi komentarzami na poziomie poppsychologii. Nawet zwykły czytelnik po przeczytaniu dwóch stron rzuciłby taką książkę, wściekły, że ją kupił. Rasowy czytelnik, znawca, miłośnik prawdziwej literatury nie kupuje kota w worku, zwykle przegląda, zanim zapłaci. Czy to w sieci, czy w księgarni po przeczytaniu kilku akapitów krzywi się i z niesmakiem jednym kliknięciem zamyka stronę albo tradycyjnie odkłada na półkę.

Adela zawsze z uwagą podsłuchiwała, choć nigdy nikomu nie zwierzała się z tego, co usłyszała, nie powtarzała, czego się dowiedziała w taki sposób. Teraz usłyszała kilka kwestii, nieprzeznaczonych dla jej uszu.

– Wiesz, że te bure suki z księgowości mówią, że musimy cierpliwie czekać na kasę, bo się zrobił zator? – zapytała jedna, bardzo wysoka i bardzo młoda.

– Ciekawe, czy sobie też nie wypłacają? Wątpię w to – odpowiedziała druga, niższa, lecz równie młoda.

Po chwili zmieniły temat.

– Wyobraź sobie, że ta wredna suka wezwała mnie wczoraj, o wpół do dziewiątej wieczorem, przyjdź i rzuć okiem na kolumny, mówi, myśli, że jak sama nie ma życia osobistego, to inni też nie mają, stoją na baczność i czekają, aż ona zadzwoni... – odezwała się wyższa.

– No, tak to jest, jak ktoś ma redakcję zamiast dzieciaka. Wyobraża sobie pewnie, że wykopiesz swojego faceta z łóżka, nie dasz mu skończyć i lecis, bo jaśnie pani dzwoni dzwonkiem.

– Ciebie oszczędza, bo masz małe dziecko, chociaż tyle.

– I tak jest lepsze od tej suki z telewizji, wiesz której, ta jak widzi brzuch, to dowali godzin, a jak urodzisz, to cię wypieprzy.

– Chyba będzie miała suka proces o mobbing, może to ją teraz posuną.

Do holu, dysząc głośno, brzęcząc bransoletkami, wtargnęła jedna z najbardziej malowniczych postaci tego świata, wzięta dziennikarka, postrach show biznesu, wszechwiedząca Gabrysia Mżawka. Miała na sobie krótką skórzaną kurtkę i spodnie też ze skóry. Długie, rude włosy upięła w kok, ale pasma jej nie słuchały, łatwo uwolniły się spod złotych klamerek, opadały na twarz, kark i plecy. Wielką torbę przewiesiła ukośnie przez ramię, pod pachą trzymała książki. Rozmawiała przez telefon, który ścisnęła w ręce. Kiwnęła głową na powitanie.

– No to pa, całuski! – krzyknęła do złotego telefonu. Wrzuciła go w czeluść torby. – Zawracają mi dupę, a nic z tego nie wynika. Przynajmniej na razie – powiedziała jak w teatrze, na stronie.

Podbiegła do Adeli, szybko się przywitała, wysuwając pięść. Podawanie ręki od jakiegoś czasu nie było już w modzie. Zwyczaj witających się żółwików wprowadziła właśnie Gabrysia. W piśmie o zdrowiu wyczytała, że pięść zamiast dłoni na powitanie eliminuje sześćdziesiąt procent zarazków! Sprawdziła to natychmiast, rozmawiając z kilkoma doktorami, którzy kiedyś udzielili jej wywiadów. Znajomości miała we wszystkich kręgach. Potwierdziło się, że to prawda. Wtedy przedstawiła sprawę na kolegium. Wszyscy przyjęli to i zaczęli tak się witać. Gabi jak zawsze w biegu.

– Długo czekasz, aż cię caryca łaskawie przyjmie? – spytała.

– Już jestem po rozmowie. Teraz czekam na sesję. Za kwadrans. Foto do felietonu – odpowiedziała Adela.

Gabrysia spojrzała na nią uważnie, taksowała, czy warto powierzyć jej tajemnicę. Test wypadł pomyślnie, więc przysiadła obok.

– Adela, muszę ci coś pokazać, to cię zainteresuje, jako pisarkę i kobietę. – Grzebała w torbie, szukając czegoś. Znalazła plastikową

teczkę, wyjmowała z niej zgniecione kartki A4, wydruki, skany tekstów i fotografie w foliowych koszulkach. – Popatrz na to, dziewczyna wyżyła cudem, jestem maksymalnie wkurwiona, zrobiłam świetny materiał, a nie myśl, że łatwo było namówić ją na rozmowę! Przeżyła koszmar, gwałt zbiorowy, trzech bandziorów gwałciło ją przez całą noc i cały dzień... robili z nią, co im wpadło do głupich łbów, palili skręty, gasili na jej ciele, tłuczona butelką kaleczyli pochwę... podniecały ich krew, ból, krzyki, szloch. To nie pierwszy taki przypadek. Słyszałaś o tym? Całą noc nie spałam, nie mogłam, płakałam razem z tą dziewczyną, a niejedno już widziałam i opisywałam! Wierz mi! – Pokazywała zmasakrowaną twarz dziewczyny, potem całe ciało i fragmenty – ramiona, piersi, brzuch. Rany, sińce, przypalenia.

– Tak – powiedziała Adela. – Słyszałam w jakimś programie o przemocy, późnym wieczorem, chyba w nocy. Znam wiele takich przypadków, nawet u nas na osiedlu, przypalali kobietę grzałką, żeby podała im pin do karty.

– Jasne, dają to w nocy, kiedy mało kto ogląda, nie chcą mącić spokoju widzów. No więc, tej się cudem udało, gdy posnęli, doczołgała się do swojej komórki, zadzwoniła do swojego faceta. Przyjechał z policją, dostali ich na tacy. A wiesz, co tamci gadali? Że napalona suka sama chciała! Masz pojęcie? Chciała! Chciała, żeby ją kroili i przypalali! Napisałam tekst, nie lubię się chwalić, ale to naprawdę dobry kawał mięcha, sama prawda, tyle że tu jej nie chcą! Dałam to do normalnej gazety! Opublikują mi w cotygodniowym dodatku. W każdym razie obiecali. Kazali tylko poprawić drastyczności... Nawet oni. Dra-stycz-no-ści! Rozumiesz to? Ci ludzie są pogięci. Dobrze, że jednak wezmą. Dotarłam do tych bandziorów, żaden nie chciał rozmawiać. Adwokaci im zabronili! Chujowiny! Grozili mi, SMS-y, telefony, wyobraź sobie! Zdrukowałam maile, nagrałam wszystko, złożyłam na policji, będzie

materiał dowodowy. Publikuję takie rzeczy pod pseudonimem, inaczej nasze czytelniczki dostaną rozdwojenia jaźni, a ja chyba już mam schybie! Tu głaszczę, wazelinuję, posypuję cukrem pudrem pierdolone życie gwiazd jeżdżących z planu kretyńskiego serialu na plan jeszcze bardziej kretyńskiej komedii romantycznej, wieczorem na pokaz mody, party... Tak wyglądają ich dni! A gdzie indziej walę z grubej rury, opisuję ściek życia. – Ten dość długi monolog wygłosiła w ciągu kilku, może kilkunastu sekund.

– Sprzedajecie czytelniczkom Wyspy Szczęśliwe. Mają dość przemocy w domu i jadu wypływającego z telewizora.

– Nie wyżyłabym, pisząc o ważnych i strasznych rzeczach, raz na pół roku coś by ode mnie wzięli, dobrze mieć bezpieczny kawałek ciasta, rozumiesz mnie? – Gabrysia zerwała się i podeszła pod gabinet naczelnej. Przyłożyła ucho do drzwi. Machnęła ręką. – Mam szczęście, jest u niej ktoś, słyszę, jak go opierdala. Nie wydaj mnie. Powiem, że czekam tu od pół godziny.

– Pamiętasz, że idziemy w niedzielę do filharmonii?

– O kurwa, na śmierć zapomniałam, nie ma odwrotu, muszę iść, bo Ewita chce, żebym się rozerwała po śmierci matki. Jestem wdzięczna, ale dlaczego filharmonia? – mówiąc to, Gabi jęknęła.

– Będzie opera Richarda Straussa.

– Dobrze i to, lubię te walce.

– Muszę cię zmartwić, to nie ci Straussowie, nie te walce, to opera *Ariadna*, ale nie martw się, w jednym akcie.

Po chwili z pokoju wyszedł znany fotograf. Miał ciemne, bujne włosy potraktowane żelam w taki sposób, że tworzyły wrażenie zastygłego chaosu. Nosił modnie podarte dzinsy, marynarkę z krokodylej skóry i jedwabny, bardzo kolorowy fular wokół szyi. Przywitał się samym tylko uniesieniem dłoni z dziewczynami mającymi pretensje do Burych Suk z księgowości. Zaczął im opowiadać o wczorajszej sesji okładkowej z gwiazdą serialu:

– Ktoś powiedział, że aktor to imitacja człowieka, aktorki chyba są jeszcze gorsze, wymęczyła mnie, durna suka, totalnie, uważa się za piękność! Z tym kartoflanym nosem i małymi świńskimi oczkami! Piękna świnka! Zrobiłem jej foty bez tynku, od razu, gdy weszła, jak nie będzie grzeczna, to je wrzucę do sieci.

Potem podszedł do Adeli, przywitał się i powiedział, że jest gotów. Miał ją sfotografować na kolumnę do felietonu. Zaraz jak spod ziemi pojawiła się cała ekipa. Charakteryzatorka, fryzjer oraz stylistka z naręczem ciuchów. Adela jęknęła. Trudno, nie było wyjścia, poddała się i poszła do studia.

\*

Tematy walały się wszędzie. Leżały nawet tu, w holu redakcyjnym, na podłodze pokrytej krótko przystrzyżoną wykładziną, tłumiącą dźwięki. Suki warczały i łażyły się do Adeli. Durne, Napalone, Bure i Wredne Suki. Podniosła temat. Po powrocie do domu zaczęła mały traktat o sukach.

## TRAKTAT O SUKACH

Nie ma chyba kobiety, której choć raz nie nazwano by suką. To uniwersalne określenie może mieć różne odcienie znaczeniowe. Pojawia się zarówno z przymiotnikiem, jak i bez, wypowiada się je z nienawiścią, złością, ale i z uznaniem czy podziwem. Kobieta mogła tego nigdy nie usłyszeć pod swoim adresem, może o tym nie wiedzieć, jednak można stwierdzić z prawdopodobieństwem bliskim pewności, że ktoś kiedyś tak się o niej wyraził. Nawet jeśli jest staruszką prowadzącą najbardziej cnotliwe i świątobliwe życie, a czas spędza głównie w kościele, zawsze znajdzie się sąsiad, który powie o niej Pobożna, Świątobliwa, Zdewociała albo Nawiedzona Suka. O zakonnicach prowadzących żeńskie szkoły czy internaty dla trudnej młodzieży, jak ta Zboczona Suka, osławiona siostra Bernadetta, nie wspominamy. Nie ma ucieczki od tego określenia. Może tylko małych dziewczynek tak się nie określa. Suczka to już zupełnie co innego.

Od momentu widocznej kobiecości każda kobieta jest lub może zostać dla kogoś suką. Wynika z tego jasno, że to określenie jest związane z seksem. Przynajmniej dla mężczyzn. A jednak nie tylko mężczyźni między sobą używają takich zwrotów. Również kobiety mówią o innych: „A to suka!”. Czasami z uznaniem, bo to określenie zawiera również podziw, tak jak, używając zwrotu: „Ja pierdołę!”,



można wyrazić zdumienie, wściekłość lub podziw. Zależy od sposobu wypowiedzania, tonu głosu, kontekstu. W pewnym sensie „suka” podobna jest do „pierdolenia”, choć nie jest aż tak uniwersalna, bo nie zamienia się w czasownik „suczyć”.

W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej nie ma oddzielnego hasła „suka”. Znajdziemy je w Słowniku współczesnego języka polskiego: „Samica psa; obelżywe określenie kobiety; samochód milicyjny lub policyjny, przeznaczony do przewożenia sił porządkowych oraz osób zatrzymanych, np. demonstrantów”. Już w siedemnastym wieku mówiono tak o kobiecie lekkich obyczajów.

Gdyby w słowie „suka” były dwie litery „k”, mielibyśmy jakiś punkt odniesienia do słowa „sukub” albo *succubus*, znaczeniowo bliskie, bo w demonologii sukub to zły duch, demon pod postacią kobiety, nawiedzający mężczyzn w czasie snu. Tym pewnie tłumaczono nocne polucje niewinnych chłopców czy wytrysk u dorosłych mężczyzn, obwiniając o to złe kobiety. Po łacinie *succuba* oznacza prostytutkę.

Słowo to nie ma odpowiednika męskiego odpowiednio obelżywego. Chujowi odpowiada pizda, kutasowi piczka, penisowi wagina. Suce powinien być przypisany pies, jednak pejoratywne znaczenie ma on jedynie jako określenie policjanta, gliny. Odpowiednikiem kurwy jest skurwysyn, jednak nie do końca, bo kurwa może być dobrą, litościwą kobietą. Pomaga mężczyznom stanąć – także na nogi. Robi wszystko to, czego żona, ta Zimna Suka, się brzydzi! Nie raczy wziąć go do ust, nie liże jąder, nie pozwala mu wkładać od tyłu, także w dupę, kiedy otwór zrobił się po trójce bachorów przepastny, ciągle zmęczona Zaniehbana Suka, śmierdzi dzieciakami i kuchnią, nie daje pełnego zadowolenia, nic z tych przyjemnych rzeczy, które można mieć za parę złotych. prostytutka oprócz wykonywania powierzonych zadań często wysłuchuje zwierzeń, których żony, Zimne Suki, nie mają ochoty

słuchać. prostytutki mówią o tym bez skrępowania, podczas badań socjologicznych, jakie prowadzi się ostatnio, aby dociec, skąd się wzięła ogromna popularność agencji towarzyskich. Określenie Zimna Suka na żonę należy do najczęściej używanych.

Skurwysyn czy skurwiel to też nie jest para do suki. To paskudny charakter. Parą suki mógłby być sukinsyn, ale od razu widać, że to nie jest jej partner. To suczy syn. Odpowiedzialność za jego podłość ponosi suka, a więc kobieta będąca suką.

Suka może być Młoda, Stara, Wredna, Parszywa, Napalona. Suka może być określeniem podłego charakteru, wówczas nie wiąże się z seksem. Można powiedzieć: „Ta Napalona Suka ma cieczkę”, co oznacza, że daje za darmo każdemu, kto się nawinie, jest odpowiednikiem nimfomanki.

Wredną Suką jest szefowa, kobieta robiąca karierę. Feministka, która buntuje kobiety, sprowadza je na złą, feministyczną drogę, z wyznaczonego przez boga-mężczyznę szlaku. Walczy o ich prawa, nie godzi się na bicie kobiety, na przemoc, czyli na stary, jak piszą feministki, patriarchalny porządek. W średniowieczu, gdzie wszystko było określone, podawano nawet grubość kija, jakim należy bić żonę za nieposłuszeństwo. Buntujące się przeciw przemocy i nierówności kobiety nazywa się także Agresywnymi Sukami. Burą Sukę należy skopać, bo jest słaba i na nic innego nie zasługuje. Po urodzeniu trójki szczeniaków zrobiła się rozlazła. Zaczynała robić karierę w zawodzie, jednak nie dała rady, zakopała się więc w domu, nie potrafi okiełznać dzieciaków, więc on musi zaprowadzić porządek, przywalić Burej Suce i dzieciakom, bo nie ma chwili spokoju po powrocie z firmy, i jak ona wygląda! Jeśli mężowi nie staje, to czyja to wina? Burej Suki. Dzieciaki rosną, chodzą do szkół, trzeba je rozwozić, przecież nie będą jeździły autobusem jak dzieci biedaków, mówi ich tata. Ona chciałaby wrócić do pracy, ale nikt nie zatrudni Podstarzałej Suki. Potrafi gotować, sprzątać, bo to przez

ostatnie lata robiła. No to niech idzie sprzątać u ludzi, żadna praca nie hańbi, mówi mąż, ale Podła Suka ma wyższe wykształcenie i nie chce być sprzątaczką! Ma muchy w nosie. Koledzy z firmy radzą, żeby się nie przejmował, skuł mordę Starej Suce i będzie miał spokój. Może też ją zostawić, jest tyle Napalonych Suk, chętnych lasek, o co biega? On tego nie robi, jest porządnym facetem, ma wikt i opierunek, no i dzieci też się liczą, facet na stanowisku musi mieć dzieci. Jeśli ona się nie zmieni, on straci cierpliwość i może odejść na dobre. Na razie jest cierpliwy, obliczył, ile by musiał odpalić po rozwodzie. Alimenty na trójkę szczeniaków zjadłyby dużą część zarobków. Trzeba poczekać, aż urosną. Te Zimne Suki czekają, aż dzieci dorosną, bo nie chcą, żeby miały traumę porozwodową. Mąż czeka, aż dorosną, żeby odejść i nie płacić alimentów. Na razie nie jest źle, dookoła pełno Napalonych Suk, nadstawiają się, brać i wybierać. „Wszystkie baby to suki”. To zdanie słyszy się często od rozżalonego faceta, któremu coś się nie udało. Podła Suka nie dała mu dupy, wystawiła do wiatru, mówiła, że nie wysyłała żadnych sygnałów. Akurat, już on wie lepiej. Wszystkie Suki są takie same.

Suki lubią być gwałcone, każdy prawdziwy facet o tym wie. Prowokują, specjalnie ubierają się w takie ciuchy, żeby je gwałcić, a potem się dziwią. Na szczęście sędziowie też to rozumieją, więc za gwałt dostaje się w zawiasach. Nawet za zbiorowy, bo sędzia wie, że Napalona Suka sama się prosiła. W przypadku sędziego mężczyzny o zbyt niskim wyroku decyduje męska solidarność, gdzieś w głębi duszy pan sędzia uważa, że Napalone Wredne Suki dostają to, na co zasłużyły. Same się o to proszą, znajdują się w nieodpowiednim czasie i miejscu, po co łążą wieczorem do kina? Albo co gorsza na dyskotekę? Powinny się bardziej pilnować, inaczej ubierać, toby do tego nie doszło. A że ofiara straciła przytomność po piątym gwałcie to, niestety, wypadek przy pracy. Żaden z gwałcicieli tego nie chciał. Także to, że po kilku dniach w szpitalu ofiara zmarła, nie stanowi

powodu do oskarżenia o zabójstwo. To w najlepszym wypadku nieumyślne spowodowanie śmierci. Pani sędzia, mimo że jest kobietą, często bywa wyrozumiała dla facetów. Mężczyźni dopuścili ją do zawodu sędziego. Podła Suka! Nie przebiło się do jej świadomości, że powoduje nią wdzięczność wynikająca z podległości. Dla ofiary, która wyżyła i odwołuje się od niesprawiedliwego wyroku, jest Bezlitosną Głupią Suką. Dlaczego wydała tak łagodny wyrok? Ponieważ należy do bloku „konserwatywnych” sędziów uważających, że miejscem porządnej kobiety jest dom, a nie dyskoteka ani firma, w której robi karierę. To, że latami studiowała, robiła aplikację, a dziećmi zajmowała się jej matka, nie ma znaczenia. Uważa, że nie musiała wychowywać dzieciaków, bo ma wyższe cele w życiu, jest wśród kobiet wyjątkiem. Gardzi kobietami o niższym statusie, uznaje za gorsze, mniej inteligentne i nie tak zdolne jak ona, co tylko potwierdza przekonanie o własnej wyższości. Dla niektórych ludzi myślenie wyższościowe jest motorem ich rozwoju i wpływa na sposób działania. Autorytarni politycy walczą o przywrócenie stanu sprzed wyzwolenia kobiet, czyli do powrotu całkowitej, niewolniczej wręcz zależności Burej Suki od mężczyzny. Wspierają ich kobiety, szefowe różnych firm z nadania łaskawego prezesa, też nazywane przez pracowników Sukami, a także partyjne działaczki różnych szczebli, Suki Pazerne na dobrze opłacaną fuchę, dochrapały się bezpiecznego stołka, więc wspomagają swoich panów, pieprząc o tym, że nie ma żadnej dyskryminacji, że jeśli kobieta chce, to się przebijie, a w ogóle to miejsce baby jest w kuchni i przy dzieciach.

\*

Adela już w czasie pisania doszła do wniosku, że ani temat, ani

sposób ujęcia nie nadaje się do eleganckiego – „ekskluzywnego”, jak się o nim mówi i pisze – kobiecego magazynu o łagodnie nowoczesnym profilu. Wyobraziła sobie dyskusję: Czy „chuja” i „pizdę” należy wykropkować albo czy nie można napisać tego inaczej, żeby było bardziej strawne dla „naszych wrażliwych czytelniczek”? Zamienić na przykład na kutasa i piczkę? Rozśmieszyło ją to, trudno, napisze o czymś bardziej strawnym dla czytelniczek, a to może włączy do powieści. Ewita nie wydała się jej Pruderyjną Suką, niestety jako naczelna musiała brać pod uwagę gust swojego elektoratu. Magazyn był zależny od kupujących, które głosowały swoimi „pieniązkami”, jak się mówiło. „Pieniążki” były bożkiem i prawdziwym władcą, z którym trzeba było się liczyć. Tak więc temat Suk odpadł. To byłby dobry materiał na esej, może go napisać i umieścić w kolejnej książce. Chyba tylko tak. Nie sądziła, żeby rachityczne dodatki kulturalne do gazet czy grzeczne tygodniki opinii, nawet te specjalizujące się w rynsztokowych podśluchach czy wątpliwych rewelacjach na temat polityków, były czymś podobnym zainteresowane. Nigdzie nie ma miejsca. Z tego rodzaju tekstem jest większy problem niż z półreportażem Gabrysi Mżawki. Bo gwałt z fotografiami to rzeczywiście „mięcho”, publikacja ma uzasadnienie społeczne, wywołuje dyskusje, rodzi chęć pomocy albo sprzeciw. Może temat podejmie jakaś telewizja. To podnosi sprzedaż. Esaj czy tekst analizujący coś w taki sposób, w jaki robi to Adela, wymaga zastanowienia się, a o to najtrudniej. Ponadto prawdziwi eseści piszą inaczej. Jeśli już, to w cenie są pretensjonalne elaboraty na koturnach, wzorowane na Kołakowskim. Bluzgi byłyby nie na miejscu. Kłóć się z poczuciem wyższości piszących. Nuda w kulturze się opląca. Im nudniejsza książka, tym większa szansa na nagrodę. Gdyby Adela zaczęła pisać, tak jak każe teoria literatury, wyszłaby z tego parodia. Napuszony styl już się rozsypał jak denat wykopany po latach w celu zbadania DNA. Dała więc sobie spokój

z pisanem o Sukach, porzuciła temat i zabrała się do felietonu. Zbliżał się termin „zsyłki” numeru do drukarni. Postanowiła napisać o wynikach ostatnio przeprowadzonych badań nad związkami małżeńskimi. Badania pokazały, że rozwody przyczyniają się do wzrostu demograficznego! Tak się naprawdę dzieje. Wpływają na dzietność lepiej niż długoletnie, trwałe małżeństwa, które już odchowwały dwoje lub troje dzieci i nie zamierzają mieć ich więcej. Po kilkunastu latach rzadko trafia się wpadka, z której rodzi się owoc. Zwykle usuwa się ciążę, co jest bardzo łatwe, jeżeli ma się trochę grosza. Żaden problem. Jeśli natomiast mąż i żona są jeszcze dość młodzi, to po rozwodzie na ogół zakładają drugie rodziny i znów mają dzieci. Tak postępują głównie mężczyźni, bo kobiecie z dwojgiem dzieciaków z pierwszego małżeństwa znacznie trudniej znaleźć chętnego. Tak więc z punktu widzenia kłopotów z przyrostem naturalnym politycy powinni skończyć z głędzeniem o rodzinie jako najwyższej wartości i zacząć wniebogłosey wychwalać rozwody, jeśli zależy im na tym, by naród się nie kurczył jak zmarznięty kutas. W tym momencie Adela zrozumiała, że „ekskluzywny magazyn” nie ścierpi takiego tematu ani języka. Najwyższy czas zrobić przerwę w pisaniu. Wypić herbatę i złagodzić tekst.

## GABRYŚIA MŻAWKA W FILHARMONII

Tak jak były umówione, spotkały się w holu filharmonii. Ewita jak zwykle cała w czerni, w szpilkach na wysokich obcasach. Dominik był na kolejnym wyjeździe, więc Adela przyszła sama. Włożyła granatową sukienkę i jedwabny zakiet. Czekwały na Gabryśię. Po pierwszym gongu poszły na górę i zajęły miejsca. Wpadła jednocześnie z ostatnim uderzeniem trzeciego gongu. Ewita, widząc ją, trąciła Adelę. Gabi miała na sobie błyszczącą złotą marynarkę, długie złote kolczyki i złoty łańcuch na szyi. Siadła, dysząc ciężko, zdawała sprawozdanie z trudności z zaparkowaniem.

– Wyłączyłaś komórkę? – spytała Ewita, bo miękki kobiecy głos prosił o to po polsku i po angielsku.

– Wyciszyłam – odpowiedziała Gabryśia.

Orkiestra siedziała na miejscach, wszedł dyrygent.

– Przystojny facet – szepnęła Gabi do Adeli.

Wyjęła komórkę i zaczęła pisać SMS-a. Ewita spojrzała na nią tak wściekle, że schowała telefon i usiłowała skupić się na słuchaniu. Wierciła się. Adeli też nie zachwycaly arie, choć głosy jej się podobały. Sopran, basy, tenory, barytony, mezzosoprany na poziomie, ale wlokło się to niemiłosiernie. Trochę rozumiała Gabryśię, sama miała rutynę w słuchaniu. Kochała muzykę i często chodziła na koncerty. Nie zawsze były takie jak lubiła. Gabi nie

wytrzymała. Wyjęła z wielkiej złotej torby jakiś wydruk i zagłębiła się w czytaniu. Skreślała niektóre akapity, dopisywała coś. Ewita nie mogła wytrzymać jej zachowania, chociaż też wolałaby muzykę dawną albo porządną symfonię. Jednak takie zachowanie w filharmonii to wstyd! Wyjęła z rąk Gabrysi tekst i pokazała na torbę. Okej, mruknęła Gabi i schowała plik papierów. Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy. Sączyła się łagodniejsza muzyka, mezzosopranistka śpiewała spokojną arię. Wreszcie Gabi przestała się wiercić. Przysnęła.

– Gabi, czy ty byłaś kiedyś w filharmonii? – spytała Ewita w czasie przerwy, gdy popijały lekkie białe wino.

– Jasne, nieraz, odbywały się tu superkoncerty rozrywkowe.

– Ale na symfonię nie chodzisz?

– Ojej, robisz wielką aferę! Nudziłam się, więc myślałam, że poprawię tekst na jutro. Ludzie dawniej w pałacach słuchali muzyki przy jedzeniu, piciu, gadali, śmiali się, bez takiego nabożeństwa, czy nie?

Adela się roześmiała. Była w tym jakaś prawda, jednak gdyby to była muzyka dawna, grana na starych instrumentach, gdyby śpiewała Cecylia Bartoli, nie chciałyby siedzieć obok kogoś takiego jak Gabrysia Mżawka.



## PRADA LEPSZA OD PRAWDY

Redakcja ekskluzywnego magazynu „TopWoman” przypominała trochę krajobraz po bitwie. Wiele było rannych, kulawych kaczek, trochę okaleczonych, kilka porzuconych. Uciekły z innych pism. Pracowały tu też kobiety szczęśliwe czy może raczej zadowolone. Mężczyźni mieli lepsze warunki rodzinne: starszą żonę, młodą kochankę, czas dla siebie, partnerkę bez zobowiązań. Byli geje w stałych związkach i skaczący z kwiatka na kwiatek. Bez zapylania. Żaden facet nie opiekował się kalekim dzieckiem, tak jak to robiła księgowa firmy, którą mąż porzucił, gdy się okazało, że dzieciak po wypadku nie będzie chodził. Dla niej była przygotowana premia, ale też ona mimo ciężkiej sytuacji świetnie pracowała. Za przyzwoleniem szefowej mogła siedzieć w domu, przychodziła do redakcji rzadziej, jednak zawsze była „pod telefonem”. Ewita podziwiała jej zdolność organizacji i umiejętność skupienia się na pracy „mimo wszystko”. Dwa razy do roku dostawała urlop, żeby mogła wyjechać na odpoczynek z synem na wózk.

Inna znów, Aneta z działu kultury, była systematycznie bita, co równie systematycznie ukrywała. Modelowa ofiara przychodziła do pracy w ciemnych okularach albo z warstwą makijażu, zakrywającego ślady pięści czy pięciu placów, gdy dostawała w twarz z liścia. Na początku mówiła, że straciła równowagę i uderzyła się

w czoło albo że się przewróciła. Stosowała te banalne tłumaczenia, w które od trzeciego razu już nikt nie wierzył. Ewita wezwała ją pilnie do gabinetu. Powiedziała, że musi zrobić obdukcję, zgłaszać każdy fakt policji. Nic to nie pomogło. Policjanci przyjeżdżali, zabierali skurwysyna na noc, ale następnego dnia wracał, jeszcze bardziej nabuzowany. Prokurator zawsze go wypuszczał. Katowanie. Obdukcja. Znow katowanie. Aneta przestała wzywać policję, złożyła papiery rozwodowe. Rozprawy odraczano, wlokło się to wszystko, on robił dobre wrażenie. Czysty, ogolony, dobrze ubrany. Ciągłe twierdził, że ją kocha, że się poprawi, niestety, ma wybuchowy temperament, a żona też nie jest święta. Pani sędzia czekała chyba, aż on zabije żonę, żeby wreszcie mieć spokój. Ofiara nie mogła pozbyć się kata z mieszkania. Świadomość tego wyzwalała w Ewicie wściekłość. Na wspomnienie samej siebie, swojego krótkotrwałego nieudanego małżeństwa z damskim bokserem. O czym mało kto wiedział, i w co mało kto by uwierzył. Pozwoliła Anecie przez jakiś czas mieszkać w firmie, w pokoju za jej gabinetem, w którym znajdowały się sprzęty do ćwiczeń i szeslong, na którym Ewita kładła się przy czytaniu tekstów, gdy bolał ją kręgosłup. Wreszcie Aneta wróciła do domu, sądząc, że on się teraz poprawi. Ewita zobowiązała ją, żeby do niej zatelefonowała, jeśli podniesie na nią rękę.

Całe to w rozmaity sposób pokieraszowane towarzystwo, przeklinając, psiocząc i wściekając się, musiało pracować nad wygładzaniem i lukrowaniem rzeczywistości po to, żeby czytelniczki mogły uciec od swego często równie okaleczającego małego realizmu. Żyły w codzienności parszywej jak ta, której doświadczały redaktorki. Jednak one, chociaż musiały być dyspozycyjne i słuchać uwag Ewity, dostawały przynajmniej godziwe wynagrodzenie. Kobiety czytające pismo chciały znaleźć się choć na chwilę w innej przestrzeni. Nie zapominały całkiem o ciasnocie mieszkania,

o wiązaniu końca z końcem w pętlę na szyi, jednak widziały siebie, szczupłą, w sukni Escady, w jakiej wystąpiła serialowa idolka. Chciały używać dobrych kosmetyków, czasem pozwolić sobie na masaż. Rankiem pić soki owocowe jak te wszystkie aktorki, bizneswoman oraz artystki. Na tyle było je stać. Trudno się dziwić goryczy i złości redaktorek, gdy publikowały wywiad z uśmiechającą się świeżo wybielonymi zębami, trzepoczącą rzęsami gwiazdą, której wszystko się udaje. Jeśli porzucił ją facet, tytuł na okładce krzychał osławione: „Tylko u nas!”. W tekście na kilku kolumnach „gwiazda” obraca na nice swój związek. Potem znów po raz kolejny znajduje tego jedyne, bogate, który nosi ją na rękach, poświęciłby dla niej życie, gdyby nadarzyła się okazja. Często inteligentne, wykształcone dziennikarki skarżyły się, że muszą tego wysłuchiwać, napisać i co gorsza dać do autoryzacji koszmarny wywiad. I to nie tylko tej Serialowej Suce, ale również jej specjalistce od wizerunku. To była prawdziwa groza. Miłość, małżeństwo, macierzyństwo, guma do żucia, z której, gdy dmuchniesz, powstaje balon. Taki był przeważnie, kolorowy, lśniący jak kredowy papier świeatek gwiazd ekskluzywnego magazynu. Ubrana w wypożyczone z markowych sklepów ciuchy, odpicowana przez ekipę, sfotografowana przez znanego artystę „gwiazda” udawała, że jest najszczęśliwszą kobietą, jaką można spotkać, chociaż rano dowiedziała się, że nie dostanie roli, a jej jedenastoletni dzieciak o mało się nie przekreślił po jakimś pieprzonym dopalaczu.

– Po co, kurwa, to udawanie? Dla kogo, kurwa, fałszywa suko, tak kłamiesz, przybredzasz o miłości do dzieciaka? – wkurzała się Gabrysia Mżawka. – Truje, że macierzyństwo jest jej najlepszą życiową rolą, ale synka wychowują kolejne opiekunki. Życiowa rola! Nawet matki nie potrafi zagrać. Gra jak drewniana noga od stołu. Robi to dla kasy? Dopiero gdy sprawa sięgnie rynsztoka, dopiero wtedy dorwą ją wielkonakładowe brukowce. Nareszcie będą miały

śmierdzące mięso do żarcia. Wtedy jednak nasza gwiazda przestanie świecić, stanie się martwa i zimna. Skończona. Nikt już nie weźmie jej do komedii romantycznej. Może ja, pisząc pod pseudonimem, zrobię reportaż o jej upadku i sprzedam ambitnej prasie. Bo nasze czytelniczki tego nie tkną, boją się prawdy jak diabeł święconej wody – skarżyła się Ewicie.

– Wolą Pradę od Prawdy, trudno się dziwić.

## ANETA

Było późne popołudnie, gdy zadzwonił telefon. Aneta prawie nie mogła mówić, szlochała. Ewita usłyszała nagły trzask słuchawki. Wydzwoniła Waldka. Zebrała się w pięć minut. Auto już czekało. To się musi skończyć! Miała nadzieję załatwić dziewczynie spokojne życie. Jednak na razie o spokoju nie było mowy. Gdy stanęła pod drzwiami mieszkania, usłyszała krzyki, rumor, płacz kobiety, wrzaski męskie. Zadzwoniła. Nastąpiła cisza. Nikt nie otwierał. Naciskała klawisz dzwonka bez przerwy. Żadnej reakcji. Zaczęła więc walić i kopać w drzwi. W drzwiach naprzeciwko ukazała się głowa sąsiadki.

– Co tu się dzieje? – spytała głowa.

– Nie słyszała pani krzyków? A teraz nagła cisza! Ktoś tu chyba kogoś zabił. Trzeba wezwać policję! – powiedziała Ewita.

– Policja bywała tu często.

Drzwi mieszkania Anety otworzyły się z hukiem, stanął w nich rosty, wściekły facet. Prawie je wypełniał. Ewita miała rodzaj *déjà vu*, tak bardzo był podobny do jej męża psychopaty, ten sam typ, mocna budowa, nawet twarz, wściekłe oczy.

– O co ci chodzi, namolna suko? Co to za kopanie? To naruszanie miru domowego! – wrzasnął, odpychając Ewitę.

Widać był obeznany w terminach prawniczych. Sąsiadka szybko

zniknęła, strach skutecznie zamykał drzwi.

– Gdzie jest Aneta, ty chuju złamany?! Zabiłeś ją?! Gdzie ona jest?  
– wołała Ewita.

Była jednak przerażona jego wzrostem i mięśniami rysującymi się pod krótkim rękawem podkoszulka. Szybkie ukłucie na wspomnienie swojego eks. Pojawiło się też pytanie, jak długo Aneta musiała znosić tortury?

– Leniwa suka wyleguje się w łóżku! Nawet obiadu nie ugotuje!

Ewita odepchnęła go bez lęku. Agresja zabija strach, to prawda, pomyślała. Aneta zwinięta w obronny kłębek, w pozycji embrionalnej, leżała na podłodze pod telewizorem. Obok, oparty o ścianę stał kij bejsbolowy! Kobieta miała poszarpaną bluzkę, z nosa, z łuku brwiowego, z rozciętej wargi leciała krew. Ewita uklękła przy niej. Na szczęście oddychała, właściwie to łapała powietrze. Pomoc nadeszła w samą porę, tak jak zdarza się czasami w serialach kryminalnych. Na ogół bijący panowali nad sobą na tyle, że nie zabijali od razu. Ewita wstała, wzięła do ręki kij. Facet przyglądał się uważnie, gdy zobaczył ją z kijem, roześmiał się.

– No już, walnij mnie, suko, najpierw w samoobronie rozpierdołę ci ryj, potem wezwę policję, zrobię obdukcję, orzeczenie o winie mam załatwione! A wtedy Anetka, moja wyliniała suka, grosza nie dostanie!

– Żadnej policji nie będzie, nie mam zamiaru cię bić, brzydzę się! Jeżeli jeszcze raz ją uderzysz, zajmą się tobą moi ludzie!

– To groźba karalna – powiedział bezczelnie.

– Zdaję sobie sprawę, potwierdzam. Na razie tylko groźba. Może być karalna – mówiła Ewita ze spokojem. – Panie Waldku, może pan pofatygować się na górę?

Nastawiła telefon na głośnomówiący. Pan Waldek pełnił funkcję kogoś w rodzaju ochroniarza. Były komandos miał u niej dobre życie. Ratował z wielu opresji, był dyskretny bardziej niż spowiednik. Pod

tym względem porównywalny z doktorem Bechsteinem. Zawsze mogła na niego liczyć. W kilkanaście sekund był na górze.

– Coś nie tak? – spytał.

– Na razie dajemy radę, tylko mąż Anety źle ją traktuje, musi się poprawić – wyjaśniła spokojnie.

– A to co? Naprawdę nie lubię, jak ktoś bije kobietę. Po prostu nienawidzę tych śmierdzących tchórzy – powiedział ostro pan Waldek, patrząc na Anetę ze współczuciem. – Skocz po lód – zwrócił się do jej męża, ten posłusznie powędrował do kuchni.

Wrócił po chwili z woreczkiem lodu. Aneta zaczęła drzeć. Drzenie obejmowało całe jej ciało. Strach, że gdy wyjdą, zacznie się najgorsze, dawał o sobie znać. Chwila bezpiecznej teraźniejszości niczego nie załatwiała. W takich sytuacjach niektórzy ludzie „brali sprawy w swoje ręce”. Brali nóż, siekierę albo tasak. Gdy ojciec katował matkę, zdarzało się, że czternastolatek nie wytrzymał i zabijał starego. Stawał w obronie własnej i w obronie matki. Obrona konieczna. Nikt przecież wcześniej im nie pomagał, policja zakładała niebieską kartę i liczyła interwencje. Sińce na ciele, wybity ząb, złamana ręka, połamane żebra. Żona albo matka wycofywała skargę, bo przecież zostawała z tym facetem pod jednym dachem. Syn posunął się dalej, niż powinien, ale czy ojciec kopaniem regularnie łamiący matce żebra albo nos, odbijający nerki, nie szedł jeszcze dalej? Właściwie zupełnie bezkarnie? Kończyło się odesłaniem chłopaka do poprawczaka, gdzie jako morderca zyskiwał status „człowieka”. Jeśli się nie sprawdził, bo okazał się zbyt miękki, znów stawał się ofiarą, był bity i gwałcony. W każdym przypadku czekała go gehenna, bo jako „człowiek” musiał wykazać się okrucieństwem w stosunku do słabszych, czyli robić to, co robił ojciec, a jako cwel był pomiotem.

Waldek opowiedział Ewicie swoją historię. Co prawda nie zabił ojca, stary wyżył, czego syn żałował przez cały pobyt w poprawczaku,

bo ten parszywy chuj znęcał się nad matką teraz już bez strachu, że Waldek mu przyłoży. Czekał więc wśród różnych przypadkowych złodziejasków czy zdemoralizowanych do cna „urodzonych morderców”, jak lubili siebie nazywać, sprawował się dobrze, uczył się, zdał maturę, bardzo dużo ćwiczył.

– Zapasy, boks, sporty walki. Rozumie pani, te klimaty – mówił. Chciał wyjść na przepustkę, żeby nauczyć ojca szacunku dla matki. Matka pisała co prawda, że ojciec choruje, ale sądził, że chce go tylko uspokoić, że jej nie bije.

Gdy przyjechał do domu, okazało się, że to prawda, stary odchodził. W łóżku leżał żywy trup. Rak płuc z przerzutami pożarł go prawie w całości. Od środka. A litościwa żona siedziała przy nim, karmiła łyżeczką, „Moja matka zachowywała się jak jaka święta”. Wypuścili Waldka na pogrzeb, a potem jako jedyne go żywiciela matki już na stałe. Poszedł do wojska, był w kawalerii powietrznej. Nie zaciągnął się jednak na stałe do zawodowej armii, nie stał się też żołnierzem mafii. Nie skorzystał ani z jednej, ani z drugiej propozycji. Zaczął pracować jako ochroniarz znanych osób. Był karany, więc nie mógł pójść do BOR-u. Pilnował „obiektu”, jakim był koncern wydawniczy, zatrudnił go prezes. Antek znał się na ludziach. Wierzył w jego uczciwość. Potem Waldek ochraniał imperium Ewity, wreszcie wzięła go na osobistego kierowcę.

– Musisz wynieść się z tego domu. Spakuj swoje rzeczy. Tak będzie najlepiej. Dla niej i dla ciebie. Znam się na tym – rozkazał pan Waldek.

Mąż Anety wyjmował z szafy swoje ciuchy, wpychał je do wielkiej torby. Po kilku minutach był gotów. Po resztę rzeczy miał wrócić za parę dni.



## BOLESNE TAJEMNICE KOBIET

Przemoc była widoczna wszędzie, w redakcji, na ulicy. Filmy i seriale pokazywały sceny brutalne jak nigdy dotąd. Niezłe szkolenie dla psychopatów. W kolorowych magazynach kobiecych ten temat pozostawał dziewiczy, nietknięty. Od czasu do czasu, delikatnie i ogólnie, psychologowie omawiali zjawisko. W felietonach autorzy napomykali o tym, opisując historie kobiet, które uciekły, rozwiodły się, jednym słowem, już poradziły sobie z brutalnością. Jednak nie organizowano akcji, takich jak w przypadku raka piersi, szyjki macicy czy wspomagania chorych dzieci. Powszechna przemoc, życie codzienne pod pięścią ciągle pozostawało tabu. Prywatność, bo rzekomo była to ochrona prywatności, chroniła skurwysynów przed odpowiedzialnością. Okrutne przysłowie „Wolność Tomku w swoim domku”, dotyczyło facetów. Nienaruszalne prawo oprawcy do zachowania prywatności. Ofiara, musiała uciekać przed katem.

Chociaż Ewita miała własne bolesne doświadczenia, jednak nie była podobna do Anety i tysięcy milczących ofiar. Zerwała więzy w miarę łatwo, nie bała się. W obronie własnej była skłonna nawet zabić. Nigdy jednak nie posuwała się do mówienia o przemocy i ofiarach w lekceważący i brutalny sposób, w jaki mówiły niektóre kobiety. Nawet tak zwane osoby publiczne. Ostatnio słyszała, jak taka Egoistyczna Suka powiedziała, że nie jest w stanie wykrzesać

ani odrobiny litości dla bitych, bo same są sobie winne, i że wolałyby szorować toalety, niż znosić bicie. Ewita знаła ją dość długo, choć raczej przelotnie, nie miała ochoty na bliższy kontakt. Tamta była bardzo zamożna, samotna, faceci od niej uciekali. Bezdzienna. Pewnie nieszczęśliwa. Samotność, poczucie opuszczenia i nieszczęście własne to nie powód, żeby zamiast bronić, atakować najsłabszą i najbardziej poszkodowaną grupę. W taki sposób pewien polityczny bankrut, libertarianin, uważający, że każdy odpowiada za siebie i nikomu nie należy pomagać, publicznie powiedział do kalekiej dziewczynki na wózku, że nie chciałby, żeby jego dzieci chodziły z nią do szkoły, naśmiewał się także z olimpiad dla ludzi niepełnosprawnych. Ostatnio znów wypłynął jak gówno na powierzchnię, bo młodzi, zdrowi, nawet studenci, poparli fagasa. Ta Pogięta Suka uważała się za lewicową. Po odzyskaniu przez kraj niepodległości wykonała przedziwny zwrot w prawo. Była antysemitką, co wśród partyjnych działaczy stanowiło wówczas normę, inaczej sześćdziesiąty ósmy rok nie mógłby się zdarzyć. Nie miała za grosz empatii ani też wrażliwości społecznej. Przedstawiała się jako konserwatystka. Bywała bardzo agresywna, zanim wyrzucili ją z telewizji, miała nawet proces o użycie przemocy w stosunku do ludzi, którym szefowała. Wtedy nie mówiło się jeszcze o mobbingu.

To była telewizyjna dyskusja, może Ewita by jej nie oglądała, jednak chciała zobaczyć, jak sobie poradzi Adela, która była drugą uczestniczką. Adela najpierw tłumaczyła tamtej dość spokojnie, że różnie się ludziom układa, że ofiara na ogół ma dzieci, nie ma dokąd pójść, wie, że po rozwodzie nie dostanie alimentów... Ściągalność jest nikła. Państwo nie gwarantuje bezpieczeństwa, są podstawowe problemy z ośrodkami dla ofiar przemocy. Nie buduje się ich, ale też nie stosuje się prawa do wyrzucenia z domu oprawcy, a nie matki z dziećmi. Nie wspomaga materialnie porzuconych kobiet

z dziećmi, żyją w świecie Dickensa. Nic na tej Podłej Suce nie robiło wrażenia. W końcu Adela się wkurzyła i powiedziała, że bogata, bezdzietna, egoistyczna kobieta nie zrozumie ofiary. Ewita poczuła dumę z Adeli.

Przysięgła sobie, że nigdy nie pozwoli na wywiad z tą Egoistyczną Suką w swoim magazynie, o co tamta zabiegała. Nie będzie reklamowała Suki. Wyraźnie widać, że podlizuje się politykom spod prawej ścianki, chce wsparcia, żąda stanowisk. Ci blokowali ratyfikowanie konwencji przeciw przemocy. Może coś zyskać, bo nienawidzi kobiet tak jak oni...

\*

– Gadasz jak pojebana suka! Nigdy już nie zrobię z tobą nawet sondy! – Gabrysia Mżawka miała zwyczaj mówić do gadających głów pojawiających się na ekranie. Chwaliła, ganiła. Oglądała sprawozdanie z obrad sejmku, zacisnęła pięść, gdy usłyszała, jak tłusta posłanka w czerwonej marynarce z mównicy sejmowej powiedziała, że konwencja ją obraża, godzi w rodzinę! Zwłaszcza zaś w wiarę katolicką. – Ciekawe, kto ci doradza w sprawie wizerunku? Chyba koń trojański! Gorzej nie mogli cię ubrać! Dobrze, dobrze, wyglądasz jak skąpana w krwi bitych żon! – wołała do niej Gabi. Żałowała, że jest sama w domu, że nie ma do kogo gęby otworzyć. Mówiła do siebie, odpowiadała ludziom w radiu i w telewizji.

\*

W różnych stacjach telewizyjnych kobiety z prawej strony, choć także z centrum, popierały radykałów i księży. Wszyscy prawicowi

posłowie szwargotali, że w „tym kraju” jest mniej wypadków przemocy niż na przykład w Finlandii. Takie były oficjalne dane, bo tam odnotowywano najłżejsze efekty przemocy, a w naszym kraju większość kobiet po interwencji wycofywała skargi. Ich satelitki partyjne pomagały w utrzymywaniu *status quo*. Cynizm się opłacał, bo dzięki takiemu gadaniu posłanki nie musiały pomagać ofiarom przemocy, a utrzymywały się w polityce i brały kasę za posłuszeństwo swoim panom. Były jak te dziewczyny z agencji towarzyskiej, które tatuowały sobie imiona władców: Należę do Jarka czy do Zbyszka. Tolerowane jak psy kanapowe, gdy było trzeba, poszczute przez swego pana, potrafiły ugryźć. Katolicki kraj zawierzony Matce Boskiej, tu szanuje się kobiety, matki Polki, wynosi je na piedestał. Lud nie był aż tak głupi, żeby im wierzyć, jednak część zależna od kruchty łapała się na lęk o szacunek dla rodziny. Na nic zdały się głosy księży, którzy byli bliżej ludzi i wiedzieli więcej. Tych marginalizowano. Wystarczyło, że panowie są szarmanccy, och, jak bardzo szlachetni, przepuszczają w drzwiach, całują w rękę.

Ewita nie znosiła zaślinionych ust przesuwających się po dłoni, zostawiały lepki ślad jak wydzielina ślimaka. Na szczęście w jej środowisku to już nie uchodziło. Pogląd o miłości do żon, matek i córek, także o ich szanowaniu, lansowały prawicowe dupki. Rozwodzili się, szlajali po burdelach, przewracali na ulicy, obrzygani, nawaleni jak stodoła, na mównicy wciąż mieli w gębie słodkie frazesy. Sporo było wśród nich dobrze ustawionych oszustów, latających z partii do partii, żeby zająć lepsze miejsce przy misce. Wokół kręciły się Ujadające Suki, cyniczne, fałszywe, oraz zwyczajnie Głupie Pipy. Wszyscy łatwo włązili w dupę księżom, oszczędzając na wazelinie. Lewica była nie lepsza. Zresztą nie było jej wcale. Lewicową wrażliwość prezentowali tylko niektórzy, zwykle niezależnie od partii. Stara lewica miała skórę hipopotama,

wrażliwość płyty lastrico. Kościoła bała się bardziej niż przysłowiowy diabeł święconej wody. Te uroczyste popisy patriotyczno-modlitewne, współzawodnictwo, kto zaoferuje sutanom więcej, powodowały mdłości. Na szczęście ludzie odchodzili od takiego Kościoła. Coraz mniej przybywało na msze. Dla Ewity to wcale nie było dziwne, uważała, że wszystko się utrząsie, dwadzieścia pięć lat niepodległości to zbyt mało. W swoim magazynie nigdy nie wspierała polityków, było zaledwie kilkunastu, których szanowała i lubiła. Reszta to chłam. Nie demonstrowała publicznie swoich poglądów. Nie mogła, to było jednym z warunków podpisanej umowy.

W akcjach przeciw przemocy brała jednak udział. Wspierała policjantki, wciąż jest ich za mało. Dała temat Gabrysi Mżawce, wiedziała, że go nie zmarnuje.

– Musisz popracować nad wywiadem, wiesz, co należy zrobić, żeby nie odstraszyć czytelniczek – powiedziała.

Na świecie pojawił się wreszcie trend, żeby w policji zatrudniać kobiety. Przydają się przy przemocy w stosunku do kobiet, dzieci, także starych matek. Są potrzebne przy gwałtach, które jeszcze do niedawna tak śmieszyły policjantów. Część uważała, że dziewczyny same są sobie winne. Poważnie traktowano jedynie gwałt zbiorowy. Ze skutkiem śmiertelnym. Ewita poznała panią podkomisarz, której jako jedynej opowiedziała o swojej „przygodzie z damskim bokserem”. Pani komisarz bardzo zaangażowała się w działania przeciw przemocy. Nie miała lekko, może dlatego była bardzo poważna. Czowała ciężar swojej misji. Wysoka, metr osiemdziesiąt pięć, krótko ostrzyżona, sprawna fizycznie. Jej wzrost i siła budziły szacunek. Była mądra, znała kodeksy, przepisy, ustawy. Była lepsza niż jej koledzy. Szkoliła ich, mówiła, jak mają się zachowywać w stosunku do ofiar.

Gabi zrobiła z nią bardzo dobry, dający do myślenia wywiad.

Może pomógł maltretowanym fizycznie, psychicznie i ekonomicznie, o których dopiero ostatnio zaczęto mówić. Ten rodzaj przemocy bez siniaków też boli.

## PAN I JEGO SUKA

Ewita pamiętała sobie ze złego czasu, w którym doświadczyła przemocy. Zapamiętała swoje wielkie zdziwienie. Nawet większe niż ból. Ogłuszenie zdziwieniem jak snem, czy to się naprawdę dzieje?! Zdarzyło się. Dwa razy. On był trzeźwy. Za pierwszym razem to była „tylko” szarpanina.

– To się już nigdy nie powtórzy, wiesz, jak mi na tobie zależy, coś we mnie wstąpiło, kocham cię, Ewuś, naprawdę, jestem przepracowany, robota mi się wali, nie mam ruchu, firma poniosła straty, zrozum, nawet cię nie uderzyłem... choć do mnie, kotku, no chodź! – mówił przepraszająco, przyszedł z bukietem kwiatów i złotą broszką. Przepraszał, głaskał ją, całował. Zaczął dobierać się do jej piersi. Chciał zakończyć pogodzenie w łóżku.

– Nie zamierzam zgadzać się na rolę worka treningowego, jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, odejdę – powiedziała stanowczo. Dała się zaciągnąć do sypialni.

Dwa tygodnie był spokój. Tego pamiętnego dnia znów wrócił wściekły z firmy. Zaczął się czepiać, że ona za dużo czasu spędza poza domem. To prawda, pracowała wtedy na półtora etatu, spłacali kredyt na mieszkanie. Powiedziała, że musi zarabiać, bo on nie dokłada się do utrzymania. Kupował drogie ciuchy, właśnie sprawił sobie też nowego harleya. Wypomniała mu to, czuła, że robi ją

w konia. Miała tego dość. Dotąd nie poruszała tematu, bo było jej głupio.

Poczerwieniał, potem twarz mu zbielała, zacisnął pięści. Nagle pchnął ją na ścianę. Uderzyła w nią tyłem głowy, zaszumiało, a wokół niej ściemniło się, jakby zapadł zmierzch. Objął dłońmi jej szyję i zaczął dusić. Przypomniała sobie licealny sposób obrony przed napastliwymi chłopakami. Kopnęła go kolanem w jaja, aż zawył. Zaczął ją bić, oddawała, póki mogła, był silniejszy. Przewrócił ją na podłogę. Skopał, poddusił. Poszarpał rzeczy, podarł sukienkę, skrępował ręce paskiem od spodni, a potem gwałcił długo, metodycznie, bez odpoczynku, wściekle. Jego penis wcześniej dawał jej wiele przyjemności, namiętność ich połączyła, doprowadziła do małżeństwa. Teraz jego duży kutas stał się narzędziem tortur, z pewnością nie rozkoszy.

– Chcesz tego, napalona suko? Chcesz! Pan ci to da! – wrzeszczał przy tym, pięścią zatykał jej usta.

Starał się zadawać jak najwięcej bólu. Ugryzła go w rękę, a gdy udało się wyzwolić rękę z więzów, wetknęła palec w oko, wpadł w furję, pieprzył ją, jednocześnie zadawał ciosy pięściami. Ekspłodował niespotykaną ilością spermy. Stanął nad nią, z już obwisłym członkiem. Leżała bez ruchu, jednak przytomna.

– To cię otrzeźwi, suko! Poznaj pana! Teraz już będziesz zawsze grzeczna! – wołał.

Nagle zaczął sikać na jej twarz. Śmiał się. Na zakończenie kopnął ją jeszcze kilka razy w brzuch, w nerki.

Opowiadając pani komisarz tę wstydliwą i szokującą scenę, zdziwiła się, jak dobrze to pamięta! Dlaczego nie wstała? Leżała ciągle na podłodze. Rozsunął drzwi szafy, długo wybierał koszulę.

– Jak myślisz, czy ta będzie dobra? – spytał ją spokojnie. Zostawił otwarte drzwi do łazienki, słyszała pomruk maszyny elektrycznej, przeklął, kiedy spadła zakrętka od dezodorantu. Wrócił do szafy,



wyjął ciemne spodnie, włożył przygotowaną wcześniej, jasną koszulę. – Wrócę na obiad – powiedział zwykłym głosem, jak normalny mąż wychodzący do pracy.

Był trzeźwy. Bił i gwałcił ją na trzeźwo. Jeśli był w tej chwili zamroczony, to nie alkoholem, lecz wściekłością. Wewnętrznym napięciem, którego nie potrafiła zrozumieć. Gdy wychodził, był zupełnie spokojny. Wyładował się. Cicho zamknął drzwi wejściowe, dwa razy przekręcił klucz w zamku.

Od bardzo dawna nie przywoływała tej sceny. Unikała wspomnień z tamtego czasu. Skryte głęboko, zakopane pod mniej znaczącymi, bardzo rzadko wypełzały na powierzchnię pamięci. Gdy opowiadała doktorowi Bechsteinowi o swoim nieudanym małżeństwie, pominęła wiele szczegółów. O nasikaniu na twarz nie mówiła dotąd nikomu. Nawet Igorowi, który zdradził drastyczne przeżycia ze swego dzieciństwa. Może dlatego że eks tak wcześnie posunął się do ostatecznego upokorzenia jej, że nie eskalował, stopniowo nasilając efekty, dodając nowe, coraz gorsze elementy, może to ją uratowało przed więzieniem, bo mogła go zabić. To był ostatni raz, gdy ją dotknął. Płacząc, zabrała wszystkie rzeczy, na których jej zależało, i wyszła z mieszkania. Następnego dnia złożyła papiery rozwodowe. Nie lubiła o tym myśleć. Uważała, że kara, która go spotkała, była niewspółmiernie mała w stosunku do czynu, jakiego się dopuścił. Teraz ona stała się innym człowiekiem. Świadoma swoich praw, zachowywała się inaczej. Zdawała sobie sprawę z tego, że inna jest pozycja kogoś takiego jak ona teraz. Miała dobrą pracę, była bogata. Miała mieszkanie. Nie miała dziecka. Sprawa wygląda inaczej, gdy ofiara jest matką dwójki dzieci, bez wykształcenia, bez własnych pieniędzy, możliwości ucieczki, bo nie ma dokąd. Żadnych domów, miejsca schronienia. Rodziny niechętnie przyjmowały ofiary przemocy. Często matki przechodziły przez to samo i uważały to za krzyż, który trzeba nieść

do końca. Tak, jak mówił ksiądz na kazaniu, przywołując „piękny obraz leżącej w szpitalu żony z połamanymi przez męża żebrami, która chce wrócić do domu, do dzieci”. Ewita usłyszała to na ślubie kościelnym kogoś z redakcji. Po tych słowach wstała z ławy i wyszła z kościoła. Zaczekała na państwa młodych na dziedzińcu.

\*

Gdy mąż ją pobił i upokorzył, Ewita chciała się jak najszybciej od niego uwolnić. Natychmiast nogi za pas, zemstę odkładała na później, nie dochodziła praw, nie zrobiła nawet obdukcji. Była poniżona, zdeptana, wściekła, ale prędzej wzięłaby nóż, niż przyznała się przed sędzią i przed własnym katem do słabości i opowiedziała publicznie, co ją spotkało. Rozumiała ofiary, ich paraliż, podobny do żuka, który udaje śmierć, żeby zmylić napastnika i ocaleć. W przypadku Anety ocalenie było ciągiem dalszym katowania ciała i duszy, było korzystne dla napastnika i wroga, ofiara wciąż pozostawała w jego mocy. Ewita zauważyła duże podobieństwo męża Anety do swojego eks. Była prawie pewna, że wcześniej doszło do gwałtu. Psychopatów podniecał opór ofiar, rozgrzewało ich i podniecało to, że nie chciały. Ból gwałconej kobiety zwielokrotniał rozkosz. To dawało władzę absolutną. Kobiety czuły wstyd, zaczynały mieć pogłębione poczucie winy. Cierpiały na totalny brak wsparcia. Większość nie miała go znikąd. Dopiero gdy się wyzwoliły, mogły o tym mówić. Wtedy o nich pisały gazety. Niektórym udało się wyzwolić na zawsze, trafiały do więzienia za zabójstwo. Maltretowane, były kneblowane podwójnie, majtkami wkładanymi do ust, żeby sąsiedzi nie słyszeli, oraz własnym strachem i wstydem, które nie pozwalały im krzyczeć. Jedna z niedoszłych zabójczyń, której mąż wyżył, po wyroku siedmiu lat

powiedziała adwokatce, że w więzieniu czuje się bezpieczniej niż w domu, nie chce apelacji.

\*

Ewita wiedziała, że musi pomóc Anecie. Dawno postanowiła. Miała także pomysł na rodzaj prywatnej organizacji pomocowej. Przecież dysponowała sporymi środkami materialnymi, mogła część przeznaczyć na walkę z przemocą, choćby tylko dookoła siebie. Wiedziała, że to nie jest „zdegenerowany margines”. To także „porządne, katolickie rodziny”, „dobre i zamożne domy”, gdzie tłucze się żony i dzieci, a też i matki wychowują swoje pociechy za pomocą kija.

Adela jako pisarka była równie uważną obserwatorką jak Ewita, mimo że sama takich przeżyć nie miała. Widziała i słyszała wiele. Kobiety miały do niej zaufanie. Nawet obce, spotkane w pociągu. Albo po spotkaniu autorskim proszące o chwilę rozmowy. Zostawała i wysłuchiwała. Radziła, co można zrobić, do kogo się udać. Miała w notesie i w telefonie numery organizacji feministycznych. Znajomych prawniczek, które chętnie udzielały pomocy za darmo. To się liczyło. Rzadko którą z bitych żon było stać na prawniczkę. Zdarzało się też, że obok niej działy się równie straszne rzeczy, jak te, o których słyszała, a ona tego w ogóle nie zauważała. Pochwalała zamiar Ewity, chciała się przyłączyć. Najwyższy czas zacząć akcję. Na razie choćby półprywatną.

– Znasz tego filozofa, wiesz, cięty język, uchodzi za subtelny umysł, ma wyrafinowany dowcip, poznałaś też jego żonę, rzadko przychodzi z mężem na party. Wiesz, o kim mówię? – pytała Adela.

Ewita wiedziała. Pamięta, że pytano go, dlaczego nie przyprowadził żony na party, żalowano, bo była „ozdobą

towarzystwa”. Błyskotliwa, mądra, umiała ciekawie opowiadać. On ją gasił, wyglądało, że traktuje pobłaźliwie, jednak w taki sposób zachowywało się wielu mężów. Ewita pamiętała rudowłosą kobietę z ciemnymi oczami. Bywali w tych samych towarzystwach. Rzeczywiście Zosia, żona filozofa, często wymawiała się chorobą. Ewita rozumiała, sama czasem zostawała w domu, zamiast pójść na imprezę. Pewnie Zosia ma dużo roboty, jest zmęczona, chora, może ma depresję. Nie chce pokazywać się bez formy, podobnie zresztą jak Ewita. Gdy przychodził sam, jednym zdaniem tłumaczył jej nieobecność. Była bardzo „chorowita”. Wszyscy uważali ją więc za osobę „słabego zdrowia”, mówiło się, że odziedziczyła kiepskie geny po rodzicach, którzy wcześniej ją odumarli. Ona dbała o jego wizerunek. Nikt nie usłyszał od niej złego słowa. Wiele kobiet popełnia takie błędy. Gdy już dojdzie do rozwodu, okazuje się, że nikt nic nie wiedział, nikt o niczym nie słyszał, przeciwnie, całe towarzystwo mówi, że to było dobre małżeństwo, a wiadomość o biciu spadła jak grom z jasnego nieba. Niebo było bardzo ciemne i burzliwe.

Adela przyjechała do Ewity wstrząśnięta i opowiadała, co się zdarzyło wczoraj. Jej samej trudno było uwierzyć. Widywała ich przecież uśmiechniętych, chwalaących się dziećmi, osiągnięciami. Książką Zosi o wychowaniu najmłodszych – zajmowała się terapią dziecięcą. Doktoratem filozofa, jej męża, na temat odradzającego się faszyzmu.

– Faszyzm? Faszyzm? On sam był faszystą! Zrobił z Zosi przedmiot do kopania, jak Niemcy z podludzi – mówiła zdenerwowana Adela.

Kulturalni ludzie z towarzystwa, na wynos błyskotliwi inteligenci, zamknięci w sześcianie pokoju byli kim innym.

## KOCHA, ALE CZASEM NIE LUBI

Adela lubiła włóczyć się po mieście, jednak nie w taki upał. Nie planowała wychodzenia z domu, po prostu musiała. Uciekła przed wiszącą na cienkim włosku kłótnią. Gdyby nie wyszła, doszłoby do wymiany zdań. Szczęście, że nie wymieniamy zdań na noże, pomyślała. Nie mogła patrzeć na Dominika. Słuchać jego głosu. Gdy wpadał w swój trans, każde zdanie powtarzał trzy razy, posługiwał się pokrętną logiką, którą uważał za miażdżącą. Nie słuchał, co Adela ma do powiedzenia, jeśli usiłowała mu przerwać, wtrącić choćby słowo, zaczynał gadać głośniejsze. Zwykle gdy wyklepał kwestie, wychodził i zamykał się w pokoju.

Zastanawiała się, jak to możliwe. Czy to jest ten sam człowiek, za którego wyszła przeszło dwadzieścia lat temu? Przeżywała z nim rozkosz, godziny czułości, czy to ten, który śmiał się głośno, gdy opowiadała mu różne historie? Mieli podobne poczucie humoru, mało kto rozumiał Adelę tak dobrze jak on. Wystarczyło jedno spojrzenie i wiedzieli, że tej osoby nigdy nie zaproszą do domu! Opowiadali sobie codzienne zdarzenia. On mówił o tym, co się działo w firmie, kogo spotkał. Byli ze sobą tak blisko, że bliżej chyba nie można. A jednak coś sprawiało, że w chwilach kłótni oddalali się od siebie na krańce wytrzymałości. Parę razy w ciągu tych dwudziestu trzech lat myślała o rozwodzie. Nie przerażało jej, że

dzieci są małe. Wiedziała, że sobie poradzi, zresztą była przekonana, że Dominik nie zostawi jej bez alimentów. Kochał dzieci, chociaż zaniedbywał je i przerzucał na nią obowiązek wychowania. Gdy pojawiały się kłopoty z ich zdrowiem, zachowaniem, wagarami, zamykał się u siebie albo wychodził, żeby pracować w firmie, twierdził, że tylko tam ma spokój. To były najtrudniejsze dni, uważała wówczas, że on ma paskudny charakter.

Dominik w ogóle nie brał pod uwagę jej pracy, tego że właśnie kończy książkę. Chociaż deklarował, że jest feministą, że kobietom należą się takie same prawa jak mężczyznom. Mówił o tym, gdy występował publicznie, także prywatnie, gdy urządzali kolację dla przyjaciół. Uważali, że jest radykalny w poglądach. Wszyscy sądzili, że Adela ma z nim święte życie. Była sama sobie winna, bo tak samo jak wiele kobiet przez lata utrzymywała tę iluzję. Nigdy nie prostowała, nie zwierzała się nikomu. Nie miała takich przyjaciółek. Dopiero całkiem niedawno zmieniła taktykę. Właściwie to pod wpływem przyjaźni z Ewitą. Dużo czasu spędzały razem. Na początku rozmawiały głównie o pracy, o „Top Woman”, o tym, jakie wprowadzać nowości, żeby utrzymać się na grząskim rynku. Stąpać delikatnie po powierzchni, nie pogrążyć się całkowicie w komercyjnym bloku. Nie brać reklam poniżej pewnego poziomu. Publikować literaturę. Było kilka noblistek, z których można czerpać. Adela wybierała fragmenty powieści Doris Lessing czy opowiadania Alice Munro. Właśnie dlatego że się dobrze poznały, Ewita wprowadziła poszerzony dział literacki. Znów publikowała dobrą prozę. Zmieniła także szatę graficzną pisma. Zaangażowała Ketę, świetną malarzkę, żeby ilustrowała felietony Adeli. Spotykały się we trzy, żeby się lepiej poznać, nabrać do siebie zaufania. Każda miała swoją robotę, która była dla niej bardzo ważna. Nie zanudzały się wzajemnie rozszczepianiem włosów na czworo, mówiły o rzeczach istotnych i mniej ważnych, dobrze czuły się w swoim towarzystwie.

Jednak Keta prowadziła inne życie, miała kochankę, właściwie to już byłego, z którym się przyjaźniła. Spotykała się z nim coraz częściej, zupełnie jakby znów byli razem.

Ewita z Adelą stały się sobie bardzo bliskie. Pewnego letniego dnia spotkały się przed odlotem Ewity do Nowego Jorku. Wtedy zwierzyła się Adeli, że leci nie tylko w sprawach zawodowych, że spotyka się tam z psychoanalitykiem, doktorem Bechsteinem. Milczały o tym, co chciały zachować w tajemnicy. Czuły, że rodzi się między nimi więź, ale to wymagało sprawdzenia. Żadna nie była łatwa w kontaktach. Nawet w szkole nie miały przyjaciółek, takich, którym dziewczynki powierzają tajemnice. Każda miała przyjaciela, chłopaka. Ewita powiedziała, że do dziś spotyka się z mieszkającym w Nowym Jorku przyjacielem z podstawówki, Igorem. Chciała, żeby Adela go poznała. Nie zdradziła, że chciałaby, żeby Igor został kochankiem Adeli, miała zamiar zostać rajfurą nakłaniającą do grzechu. Uważała, że Dominik poświęca przyjaciółce za mało czasu, jest zajęty sobą, swoją karierą, niby jest dumny z osiągnięć żony, z jej książek, dużo o tym mówi, jednak mało go to obchodzi. Czuła jej samotność, mimo że jak dotąd nie słyszała poważnych skarg. Miała plan zabrać Adelę do Nowego Jorku, na wystawę w MoMa, gdzie swoje prace pokazywała Keta. Nie wiedziała tylko, jak to jest być z kimś przez dwadzieścia parę lat, nie znała dojrzałej miłości i sztuki kompromisu. Adela nie pragnęła kochankę. Chciała niezależności i bycia z Dominikiem blisko, lecz już na innych warunkach.

Zgodziły się, że im dalej, później, tym trudniej nawiązać przyjaźń. Z upływem każdego roku jest gorzej. Obie o tym wiedziały. Przyjaźń wymaga odpowiedniego podejścia, podobnej wrażliwości. Czasu. Uczciwości. Przekonania, że tego, co sobie mówią, nikt inny nie usłyszy.

Ewita była u Adeli i Dominika parę razy na kolacji w większym gronie, ostatnio po wydaniu powieści Adeli. Huczna promocja odbyła się w Arkadach Kubickiego. Ludzie się rozbawili, grała muzyka. Sponsorem był „ekskluzywny magazyn” z imperium Ewity. Gdyby nie ten sponsoring, pewnie byłoby mniej okazale, bo wydawnictwa cierpiały na chroniczny brak gotówki. Ściboliły i oszczędzały na wszystkim. Książki Adeli dobrze się sprzedawały, więc byłoby trochę wina, a gdyby się udało znaleźć sponsora, to nawet sałatki i kanapki, jak w Klubie Księgarza, w empiku albo na piętrze w Domu Braci Jabłkowskich. Były też miejsca bardziej ambitne i biedne. Dzięki temu, że tym razem było bogato, Ewita i Adela liczyły na to, że pojawią się fotoreporterzy i może jakiś telewizyjny pies z kulawą nogą. Kultura i literatura nie były w cenie.

O jedenastej w nocy część gości przeniosła się na after party do domu Adeli. Było ciasto. Dominik pełnił honory gospodarza. Nalewał gościom wino. To lubił robić. Ewita zauważyła, że gdy zaczyna opowiadać, nakręca się, nie pozwala nikomu wtrącić słowa, nie dopuszcza nikogo do głosu. Ona nie zamierzała ustępować. Była ostra, miała wprawę w przerywaniu rozwlekłych kawałków. Patrząc na niego, słuchając go, nabrała przekonania, że życie Adeli mimo pozorów udanego małżeństwa jest trudne. Nie miała oparcia w najbliższych. Bliźniaki były dorosłe i już nic od matki nie chciały, nie potrzebowały. Lubiły wpadać, pogadać, zjeść coś dobrego. To były dobre dzieciaki. Zwierzyły się czasem z czegoś, ale to wszystko. Przychodziły także na różne rodzinne uroczystości, imieniny, urodziny czy, tak jak tym razem, na oblewanie powieści. Gdy matka wydała książkę, cała rodzina zjawiała się na promocji, bliźniaki czytały. Córka dokładnie, syn po łepkach, Dominik zaczynał i nie kończył. Natomiast lubił o tym mówić, wypowiadał się jak zawodowy



krytyk, co Adelę dość śmieszyło, ale też złościło.

– Czy on zawsze tak się zachowuje, nie pozwala nikomu dojsć do głosu? – rzuciła Ewita w przestrzeń. Siedzący przy stole zaczęli się śmiać.

– My jesteśmy do tego przyzwyczajeni – powiedział znajomy Dominika z firmy.

– To jest nawet wygodne, możemy jeść, pić i nie gadać. U nich wszystko jest takie pyszne! – zaśmiała się Jula, sąsiadka zza płotu.

– Dominujący Dominik, jak Dominująca Lola! W seksie to może być miłe, jak kto lubi.

Ewita obróciła w żart rozmowę, bo zauważyła, że on się zjeżył, a Adela zagryzła usta. Bała się, że atmosfera się zwarzy, ludzie źle się poczują, a zwykle party były udane.

Nic więc dziwnego w tym, że Dominik nie polubił Ewity. Niby puścił w niepamięć tę rozmowę, niby nie zrobiło to nim wrażenia, ale zmieniał temat, jak tylko pojawiał się wątek magazynu „TopWoman” i felietonów, które Adela pisała dla Ewity. Bagatelizował ten rodzaj jej twórczości, posuwał się nawet do delikatnych pouczeń, że powinna bardziej skupić się na poważnym nurcie swojego pisania.

Od tamtego czasu Adela wiedziała, że Ewita wyczuła, jak trudne jest jej życie, gdy zaczyna dochodzić do głosu ten drugi Dominik. Wtedy też opowiedziała Ewicie o tym, że w Dominiku są dwie osoby. Miewa humory, zmienia się nagle. Nawet jeśli rano jest czuły, obejmuje ją, chce się przytulać, w południe może być oschły, mieć za złe i czepiać się głupstw. Przyływy i odpływy.

– Na całe moje szczęście więcej jest dni, nawet miesięcy dobrych niż złych. Jak zaczyna w niego wstępować ten drugi, uciekam z domu. Czasami wyjeżdżam na kilka dni. Mam taki dom pracy twórczej, gdzie zawsze jest dla mnie miejsce – mówiła.

– Zawsze możesz przyjść tutaj, dam ci klucze, jak będę

w redakcji, posiedzisz sama. Możesz pracować u mnie. Miejsca jest dość. Mówię poważnie, OK?

– OK.

Korzystała z tego, cieszyła się, że ma taką możliwość, miała wrażenie, że te złe stany Dominika się nasilają. Jednak gdy uciekała, już po dwóch dniach przyjeżdżał do niej. Mówił, że tęskni, że nie chce być tak długo sam. Kochali się, wyjeżdżał, ona zostawała jeszcze dwa, trzy dni i wracała. Zawsze wracała. Wiedziała i czuła, że Dominik ją kocha, że chce dobrze, ale budzi się w nim jakiś rodzaj zniecierpliwienia, jeżeli tylko coś idzie nie tak, jak według niego powinno. Niedokładnie rozumiała, co dla niego oznacza słowo „kochać”, czy to samo, co dla niej. Nigdy nie myślała, że miłość jest łatwa, że uczucie wszystko łagodzi. Nie sądziła jednak, że będzie aż tak trudno. Po każdej większej zapaści rozważała „za” i „przeciw”, „winien” i „ma”. Zastanawiała się także nad sobą. Gdzie robi błąd? Gdy mijała wielka wściekłość, a nienawiść schodziła powoli, jak brudne śniegi z ulic po zimie, zawsze wówczas dochodziła do wniosku, że takiej bliskości i takiego porozumienia z nikim nie będzie miała. Chodziło o tego „lepszego” Dominika, nie tego „złego”.

Trochę dzięki Ewicie znalazła sposób na przetrwanie złych momentów. Już samo to, że mogła powiedzieć, co czuje, zanalizować chwilę po chwili, słowo po słowie, zdanie po zdaniu, powodowało rozjaśnienie sytuacji. Zaczęła zachowywać się tak jak on, robić to, co on, na zasadzie znanego powiedzenia, nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe, które on stosował *à rebours*, czynił jej to, czego nie mogła znieść. Zaczęła także stosować metody ekstremalne. To skutkowało! Stopniowała ucieczki, w zależności od nasilenia kłótni oraz wagi słów, które padły. Dominik nigdy nie chciał wysłuchać tego, co miała do powiedzenia. Gdy wygłosił swoje kwestie, od razu wychodził. Ona przyjęła inną strategię. Słuchała,

dopóki mogła, ale gdy jego głos ją nękał, stawał się nie do wytrzymania, wychodziła z domu. Nie z pokoju jak dotąd, wychodziła z mieszkania.

Któregoś wieczoru gadał i gadał, miał pretensje do Adeli, bo rano, zanim wyszedł do roboty, zwróciła mu uwagę, że kompletnie olewa dom i rodzinę, a do tego za dużo pije.

– Jesteś pochłonięty sobą i swoją robotą, bierzesz za dużo na siebie i nie dajesz rady. Pijesz i robisz się zamulony. Pomyśl o nas, o bliźniakach i o mnie. Ja też mam swoją pracę, a teraz nie mogę nic robić, bo cały ten interes pod tytułem dom jest na mojej głowie! – powiedziała.

– Ja nie daję rady? Ja? Ja jestem zamulony? Możesz być pewna, że gdybym miał problem alkoholowy, pierwszy bym o tym wiedział. To przez twoje ględzenie i ciągłe pretensje nie mogę się skupić. A może to ty nie dajesz rady i jesteś na mnie wściekła? – Powtórzył to zdanie w różnych wariantach, obudowując je w przymiotniki pokazujące, jaka to Adela jest odrażająca w tym, co mówi. Użył tego słowa. I obrzydliwa, bo nie pozwala mu się skupić na robocie.

– Pomyśl o moim skupieniu nad powieścią! – Szła za nim, żeby powiedzieć, co myśli, ale zamknął drzwi tuż przed jej nosem. – Od tygodnia nie powiedziałam ani jednego słowa na ten temat, znoszę humory i kaprysy, znoszę wszystko jak skopana suka! A żaden alkoholik nie przyzna, że ma problem, dopóki nie pójdzie na dno i nie zacznie się leczyć! – krzyknęła.

Rozplakała się i poszła do siebie. Bliźniaków nie było w mieście. Wyjechały na wakacje. Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Dominik wyszedł do pracy. Wrócił późnym wieczorem. Jedli kolację w półmilczeniu, monosylaby, półsłówka. Podaj masło, chcesz kawałek chleba? Mhm, taaa. Dobrze. Tak, tak.

Położyła się wcześniej. Wszedł do sypialni. Zaczął mówić. Nie słuchała go, czuła się tak, jakby wypła pół litra wódki, leżała,

a zdawało jej się, że spada, musiała się chwycić łóżka. Nie wiadomo, dlaczego nagle krew chlusnęła jej z nosa. Dostała krwotoku. Nie miewała wcześniej niczego podobnego. Ostatnie dni z nim były trudne, zauważyła, że zdrowie się jej sypie. Dominik nawet się nie ruszył, żeby jej pomóc.

– Czy możesz mi dać ręcznik papierowy?! – zawołała.

Kiedy go przyniósł, poprosiła, żeby dał jej lodu z zamrażalnika. Chyba się opamiętał. Nic nie mówił. Nie współczuł, nie spytał, czy nie wezwać doktora. Nic. Była tym zdruzgotana bardziej niż krwotokiem, który osłabł, aż wreszcie ustąpił.

To była prawda, co mówiła rano. Jeśli on ma robotę, nie ma z niego żadnego pożytku rodzinnego, nie liczy się ani z nią, ani z bliźniakami. Nie były jednojajowe, różniły się jak ogień i woda, studiowały już i właściwie nie potrzebowały stałej obecności ojca. Jednak gruba szyba, jaką Dominik oddzielał się od nich, nie była dla nich dobra. Ze wszystkim zwracały się do Adeli.

Dzisiejsza awantura należała do łżejszych, obyło się bez krwi. Adela zapomniała już, o co chodziło. Odpływ. Mały odpływ. Nie musiała iść do Ewity. Czuła się fizycznie dobrze, chciała pochodzić po mieście. Przypomniała sobie zawartą w liście opowieść czytelniczki, żony profesora filologii, która poroniła w domu. Mąż ją odwiózł do kliniki, miał pretensję, że to wszystko „tyle trwa”, a on ma robotę w bibliotece i przez nią nie zdąży z referatem, po latach ta osoba przysłała na spotkanie autorskie z Adelą. Była rozwiedziona i szczęśliwa. Miała nowego partnera i jak na razie dobrze im się układało.

## UPALNE MIASTO

Śródmieście było zatopione w gorącej lawie. W środku miejskiego wulkanu płonie wieżowiec, to słońce odbija się w jego lustrzanej powierzchni ze szkła i z metalu, gotująca się lawa pluje blaskiem w niebieskie, prawie przejrzyste niebo. Białe obłoki otulają górne piętra płonącego budynku, są lekkie, nie parzy ich wulkaniczna plwocina. Adela zatrzymuje się tak jak inni ludzie, którzy patrzą w blask jak w nadprzyrodzone zjawisko. W głowie piszą się jej zdania do powieści, lubi obserwować miasto, powstaje z tego miejski fresk. Para Japończyków fotografuje ten ognisty obraz. Oboje są tego samego wzrostu, widać to lepiej po chwili, gdy zastygają w ciasnym objęciu. Japońskość kryje się w delikatnie zaznaczonym kimonowym rękawie ich białych, długich koszul. On nosi wyrzuconą na dzinsy, ona używa jej jako sukienki, ma bosc nogi, których kolor najlepiej oddaje ugier. Oboje noszą grube, białe skarpety do sportowych srebrno-fioletowych butów, rozsznurowanych na podbiciu, z wywalonymi, chorobliwie fioletowymi jęzorami. Ze srebrnych, skórzanych plecaczków jednocześnie wyjmują niebieskie butelki z wodą, podnoszą do ust w tym samym momencie. Taneczny rytm jak balet. Ona znajduje płócienną serwetkę, wylewa na nią trochę wody, obmywa twarz swojemu chłopakowi. Potem przeciera swoje policzki. Znow się przytulają i stoją tak przez długi czas, zastygli

w erotycznym dreszczu. W odległej historii w taki sposób zastygło całe miasto. Dziś też zastyga z upału, wytraca zwykłą dynamikę, energię miejskiego ruchu. Nawet tramwaje i auta jeżdżą wolniej i są cichsze. Kto nie musi, ten nie wyjeżdża i nie wychodzi. Adela musiała wyjść z domu, więc idzie, wlecze się, patrzy na miasto. Inni przechodnie też poruszają się ospale. Ci, którzy przyjechali z innego kraju, jak para Japończyków, zwiedzają, bo muszą. Mija ją wycieczka w jednakowych żółtych T-shirtach, z herbem miasta na piersiach. Dzieciaki z wycieczki są żywsze niż reszta, poszturchują się znacząco, patrząc na wtulonych w siebie Japończyków. Krzyczą coś, śmieją się z „żółtków”. Wyglupiają się, palcami wskazującymi robią sobie skośne oczy. Jeden z chłopaków podbiega bliżej i wrzeszczy: Chują też masz żółtego? Inni chłopcy pokazują wymownie, co by zrobili z tą żółtą suką, gdyby ją dopadli. W końcu unoszą dłonie z wyprostowanym środkowym palcem.

Adela często zapisuje w głowie to, co zobaczyła. Cieszy się, że wyszła, że odczepiła się od kłótni. Pisanie, zapisywanie obrazów w myślach zawsze dobrze na nią działa. Problem tkwił w tym, że nie mogła zostawać w domu, bo tam nie była w stanie oderwać się od zła, ono kołowało, zataczało kręgi, zaciemniało obrazy za oknem, nawet te piękne – drzewa, ptaki, kwiaty. Zło, zło, do niczego nieprzydatne.

Przewodniczką rozhukanego wycieczkowego stada jest zakonnica, uczy tę klasę religii. Obok niej kołysze się na wysokich obcasach pani od polskiego. Katechetka pogania dzieciaki, dosłownie zapędza całą wycieczkę do kościoła, jak juhas kierdel owiec. Liczy na to, że w grubych murach choć trochę ochłoną, ochłodzą się, upał działa fatalnie na te dzieciaki. Pamięta, co o gorącym klimacie mówił biskup, że wpływa na wzrost pożądania. Dziś jest tak gorąco jak w Brazylii czy Meksyku, a tamte dzieci mają w genach prowokację, dlatego tam jest większe nasilenie pedofilii,

ulegają temu czasem księża. Tak katechetka wyjaśnia młodej polonistce dzikie zachowanie uczniów; broni przy okazji biskupa.

Adela wchodzi razem z wycieczką do kościoła. Rzeczywiście chłód wilgotnych, zimnych murów podziałał uspokajająco na uczniów. Siedli w wypolerowanych przez tylki wielu pokoleń wiernych drewnianych ławach. Przewodniczka uduchowionym głosem opowiada o stylu kościoła, rzeźbach, obrazach. O głównym ołtarzu. Omawia też nowy portret świętego już Jana Pawła II pędzla znanego artysty. Przed obrazem, na wybitych czerwonym pluszem klęcznikach modlą się stare kobiety w czerni, zawsze w żałobie, modlą się do świętego o spełnienie tajemniczych życzeń.

Po niedługim czasie przywołana do porządku wycieczka, ustawiona w pary, wychodzi na zbielełą od palącego słońca ulicę i wlecze się do muzeum.

Adela widzi, że dwoje Japończyków ocknęło się ze zmysłowego transu. Siedli na szerokiej drewnianej ławie. Czekaają, aż znajdą kogoś, kto pstryknie im fotkę na tle płonącego blaskiem wieżowca. Uważnie wybierają osobę, której powierzą aparat. Nie chcą dawać go do ręki komuś, kto zniknie w przelotowej bramie, zna tajemne przejścia i ucieknie z aparatem. Nikt go nie dogoni, szukaj wiatru w polu. Zresztą lepiej nie ścigać złodzieja, bo można oberwać w łeb od koleśków, z którymi współpracuje. Ostrzegają przed tym przewodniki; czytali. Jednak nie mogą powstrzymać się od fotografowania. Kręcą filmiki o sobie, japońska para ustawiona na tle płonącego wieżowca. Nie tylko turyści są głodni obrazów, każdy mieszkaniec miasta ma przy sobie aparat fotograficzny, komórkę czy inne urządzenie, wszyscy są gotowi do polowania, istni paparazzi. Liczą, że trafią odpowiedni moment, zdobędą sławę, pokażą ich w telewizji. Albo wrzucą do sieci, na fejsbuka, będzie huczało od lajków. Trzeba tylko upolować krakę, jakiś wypadek, ktoś rzuca się pod pociąg, jego nogi leżą na torach w odległości

kilkunastu metrów od reszty ciała. Jeśli masz szczęście, możesz nawet trafić na zbrodnię, strzelanina w supermarkecie albo w galerii. Zanim zjawi się policja, można trzaskać foty, które potem sprzeda się jako telewizyjny news. Zbrodnia jest w cenie. Fotogeniczna i ciekawa. Jeśli wejdiesz w strzelaninę, mogą cię zauważyć, a wtedy jako niewygodny świadek znajdziesz się na zdjęciach fotografa sądowego. To ciebie obrysują kredą, żeby ustalić położenie ciała. Ktoś inny cię namierzy, sfotografuje i to on będzie wygrany. Ludzie otrzaskali się z krwawą zbrodnią w takim stopniu, że mogą fotografować wszystkie te krwawe jatki bez uszczerbku na psychice. Śmierć się już zdegradowała, powstają amatorskie filmy ze śmierci ojca, babki, z umierania zwierząt. Podgląda się w szpitalach sale zwane umieralniami. Wszyscy się oswoili z ciągłą obecnością wszechwidzącego oka. Kamery bywają nawet w toaletach czy w kabinach przymierzalni. Tłumaczy się to bezpieczeństwem miasta, a teraz głównie szerzącym się terroryzmem. Szefowie marketów mówią o złodziejstwie, klienci i klientki ubierają się warstwami, bluzka na podkoszulek, na to sweterek, a na to własne sukienka i zakiet. Facet wkłada koszule pod swoją bluzę. Wychodzi jakby nigdy nic. W sieci krąży wiele obrazków, na których widać bezczelnych złodziei. Chodzą w kurtkach z kapturami naciągniętymi na twarz, jakby ściągniętych ze średniowiecznych mnichów albo katów. Mają kieszenie dosłownie wszędzie. Napychają je towarem, podchodzą do kasy z wózkiem, płacą za kilka drobiazgów i wychodzą. Pokazuje się metody działania. To instruktaż służący innym. Jeżeli mają pecha, łapią ich ochroniarze i katują poza kamerą. Niedawno w sieci pojawiły się pełne przemocy filmy, wrzucone przez dumną ochronę. Żeby nastraszyć złodziei.

Adela rozgląda się, szuka kamer przemysłowych, które zastępują oko opatrności.



Zrobiła przerwę w wędrówce po mieście, załatwiła już wszystko, co zamierzała. Teraz siedzi przy stoliku, jedząc sorbet. Lubi ten miejski jazgot. Kilka stolików na chodniku, przy kawiarni na ulicy, która miała być wyłącznie deptakiem, skończyło się jednak na tym, że puszczono nią autobusy i taksówki. Ruch niby mniejszy, ale przecież to nie deptak, jeśli nie można swobodnie chodzić jezdnią. Na włączonych syrenach przejeżdża kawalkada rządowych aut z ochronną świtą.

– Nie ma na co liczyć, nie myśl, że kiedykolwiek zamkną tę ulicę dla ruchu – mówi do żony siwy mężczyzna przy stoliku obok.

– W każdym razie nie za naszego życia – odpowiada kobieta, zając lody z owocami i bitą śmietaną ze szklanego pucharu.

– W końcu to jest miasto, musimy się z tym pogodzić, mogliśmy posiedzieć w parku na ławce, ale ty chcesz tu przychodzić, bo siedzą tu znane osoby – mówi on, wskazując brodą dwie aktorki, starszą, w aureoli długich, srebrnoblond włosów, i młodszą, z nienaturalnie gładką twarzą, zastygłą w uśmiechu. Widoma ofiara skalpela.

– A może masz dla mnie jakieś inne atrakcje? – pyta zaczepnie żona, gotowa do kłótni.

Złości nie łagodzi nawet słodycz lodowego deseru. Mąż popija kawę, patrzy w dno małej filiżanki, jakby szukał tam odpowiedzi na ważniejsze pytania niż to, które mu zadała. Adela słyszy ich rozmowę, właściwie to podsłuchuje, tak jak zawsze, obserwuje tę parę, bawi się w odgadywanie cudzych myśli. Wie, że materiał do powieści jest wszędzie, trzeba tylko nastawić ucha, wytrzeszczyć oczy. Mogłaby się założyć, że pytania dotyczą całokształtu relacji: Dlaczego ja mam mieć dla niej jakieś atrakcje? Czy ta wściekła suka ma coś dla mnie? Coś oprócz pretensji? Co mnie przy niej trzyma? Co ja tu w ogóle robię? Czemu nie zostawiłem jej dziesięć lat temu,

kiedy poznałem...

Huk autobusów co chwilę zagłusza myśli i rozmowy. Do tego akordeonista siedzący na składanym krzeselku gra i śpiewa *Pierwszą Brygadę*, zawodzi rzewnie i niemiłosiernie. Jednak ludziom usta się nie zamykają, gadają do siebie, przekrzykując hałas. Adela zobaczyła Gabrysię, nazywaną z jakiegoś powodu Mżawką, wyszczekaną redaktorkę „TopWoman”, znaną z tego, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych.

## OFF THE RECORD

Nie było człowieka, którego by nie dopadła Gabrynia Mżawka, znała wszystkich, i wszyscy znali ją, niektórzy chowali się, udawali, że jej nie widzą, byli obrażeni, bo zawiodła ich zaufanie, zdradziła to, co mówili poza mikrofonem, naiwnie wierząc, że ona potrafi dochować tajemnicy. Ludzie nie rozumieli, że taka wiedza jest towarem, można kupić za nią więcej niż za pieniądze. Inni kłaniali się grzecznie, chcieli, by wzięła ich choćby do krótkiej sondy. Miała talent do zmiękczenia najbardziej niechętnych do udzielenia wywiadu. Politycy, ci z pierwszych i ostatnich stron gazet, znani artyści, wzięci pisarze, intelektualiści, gwiazdki serialowe, gwiazdy rocka, wszyscy bez wyjątku mieli miejsce w jej przepastnych kontaktach telefonicznych. Strzegła kontaktów bardziej niż oka w głowie, bo kiedyś podczas próby pewnego wywiadu poważnie naraziła oko. Chociaż Gabi pracowała w czasie pokoju i nie należała do tych dzielnych kobiet, które jeździły na front do Iraku czy Afganistanu, to i tak była jak reporterka wojenna, w nieustającej gotowości do ataku. Mistrzynie świata w napuszczaniu jednych na drugich, operowaniu insynuacjami, plotkami, naciąganyimi faktami. Zawodowa manipulatorka, tworzyła mistyfikacje na użytek wywiadowanego. Z tej mieszaniny ciekawości, uporu, braku poczucia dobra i zła powstawały ciekawe wywiady. Ludzie poddawali

się jej urokowi i wytrwałości w osaczaniu, sprzedawali siebie i bliskich. Potrafiła także przekonać ich, żeby nie zmieniali tekstu przy autoryzacji. A to nie była łatwa sztuka.

Niedawno Gabrysia Mżawka była w domu u Adeli, znały się od dawna. Przyszła z propozycją od naczelnej, którą kochała rodzajem chorej miłości, nienawidziła Wrednej Suki, bała się jej, jednocześnie zaś podziwiała potęgę Ewy Szot. Nazywała ją carycą imperium pism kobiecych. Obrabiała jej dupę, gdzie się dało i nie dało. Wreszcie się uspokoiła, bo Ewita wezwała ją do siebie i obsobaczyła z góry na dół jak Burą Sukę. Dowiedziała się, a właściwie wiedziała od dawna, że Gabi nie ma żadnych moralnych ani innych oporów w odsądzaniu jej od czci i wiary. Znosiła to, bo gównem ją obchodziły litry pomyj, jakie wylewano na nią za jej plecami. Jednak wreszcie śmierdząca fala wezbrała, nastąpiła powódź czarnego piaru. Ewita wezwała Mżawkę i dała jej solidnie po łbie. Chodziło głównie o paskudny charakter oraz brak jakiegokolwiek wdzięczności. Gabi była niepoprawna, zapomniała, że po wypadku z okiem naczelna załatwiła jej operację i pobyt w prywatnej klinice, który opłaciła. Nic nie pomagało. Ucichła dosłownie na chwilę, ale nawet tuż po wizycie Ewity w szpitalu pielęgniarkom i lekarzom opowiadała, jaka to Wredna Suka z tej naczelnej. W zagrożeniu wywaleniem z dobrze płatnej roboty musiała „zamknąć jadaczkę i przestać kłapać”. To był jej język. Adela znała go, bo często słyszała, jak mówi, że idzie kłapać do jakiegoś radia czy programu, o modzie i urodzie.

– Jest na ciebie branie, trzeba to wykorzystać. Chcą duży wywiad na cztery kolumny. Ta suka Ewita wreszcie cię doceniła, mam w tym swój udział, mogę cię zapewnić, od dawna o ciebie walczyłam – mówiła szybko do Adeli, nie robiła przerw na oddech, szkoda było czasu na oddychanie. Chwaliła się jak zwykle. Rozsiadła się na kanapie, położyła na stole mały aparacik. – Daj mi szklankę wody, zabko, łeb mi od rana napierdala, mam coś mocnego, to sobie łyknę.

Adela wyszła, zostawiła uchylone drzwi. Zatrzymała się i obserwowała Gabrysię, a ta sięgnęła do torby, wyjęła z niej sprzęt, włączyła nagrywanie, lampka zapaliła się na czerwono. Schowała i siadła, spokojnie czekając na Adelę. Położyła tabletkę na stole. Teatralnie popiła wodą przyniesioną przez Adelę. Świetnie odegrała ból głowy, westchnęła.

– Pogadajmy *off the record*, zaraz mi przejdzie.

Zaczęła pytać o wydarzenia ostatnich miesięcy, co Adela sądzi o nagrodzie, którą przyznawano co roku, ze sporą kasą. Sprawa wstrząsnęła tak zwanym środowiskiem. Chodziło o pranie brudów, skarpet, gaci, prześcieradeł pomazanych sperma pewnego pisarza – geja, molestowanego i rzekomo gwałconego przez starszą od niego pisarkę. Zapraszała go do łóżka, on nie śmiał odmówić, bo łączyła ich, jak to określił „jakaś szczególna bliskość”, której nie chciał stracić. Wszystko było opisywane na fejsie, a potem, jak to bywa, wyciekło na szersze, spienione brudną pianą wody prasy drukowanej. Bliskość polegała na tym, że owa autorka pomagała mu w pisaniu, poprawiała, redagowała, a dodatkowo, jakby tego było mało, pożyczala mu szmal. Gabrysia przesunęła wyłączony aparat, żeby pokazać, że nie nagrywa. Adela nie odezwała się ani słowem, palcem wskazała torbę. Roześmiała się. Gabrysia udawała, że nie rozumie, o co chodzi.

– Jesteś jak bandzior, który oprócz kastetu ma za skarpetkę nóż – powiedziała Adela.

– Nic nie rozumiesz, gdy człowiek nie wie, że jest nagrywany, lepiej mówi. – Gabi wyjęła sprzęt z torby, wyłączyła i rozpoczęła wywiad bez śladu zażenowania.

Adela pomyślała, że ona sama też podgląda i podsłuchuje ludzi, robi to, żeby bohaterowie byli prawdziwi. Jednak to był zupełnie inny styl działania. Nigdy nie wykorzystywała tego, co wie, w taki sposób, w jaki robiła to Gabrysia. Nikt nie usłyszał od Adeli niczego, co znała

z podłuchu. Wzbogacało to wyłącznie jej wiedzę o ludziach, służyło jako tworzywo. Z takiej gliny lepiła postacie i sytuacje. Gabi, mimo wpadki, zrobiła wówczas z Adelą dobrą rozmowę, która podobała się czytelniczkom.

\*

Adela siedziała przy kawiarnianym stoliku na Nowym Świecie i obserwowała Gabrysię Mżawkę przeprowadzającą wywiad z Larą, znaną modelką. Mówi się, że Lara jest anorektyczką ze skłonnością do bulimii. To „mówi się” dotyczy oczywiście Gabrysi. To ona opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, to, o czym wiedziała. Że Lara pożera bez opamiętania tony jedzenia, a później, klęcząc nad sedesem, wkłada w gardło kacze pióro i łaskocze nim tak długo, aż zacznie chlustać i wyrzyga wszystko, co pochłonęła. Opowiadała o tym Mżawce najlepsza przyjaciółka modelki. Oczywiście jak zwykle *off the record*, co Gabi nagrała. Na wszelki wypadek. Lara umawia się z klientami z branży modowej na kolacje, dużo je i pije, udowadniając im, że nie ma anoreksji.

– Widzisz, ile mogę zjeść? Moja anoreksja to wymysł. Zawistne ploty koleżanek, zazdrosnych o moją międzynarodową karierę, a ja mam po prostu godną zazdrości przemianę materii, sram jak niemowlę – opowiadała podobno menedżerom oraz organizatorom konkursów na reklamy futer, drogich kosmetyków czy biżuterii. Bo na razie nie zniżała się do suplementów diety czy proszków do prania.

Gabi opowiadała, że po takich spotkaniach Lara wraca do domu, bierze jedno ze swoich piór, podrażnia gardło, wymiotuje do skutku. Zależy prochy, żeby zasnąć twardym snem pozbawionym marzeń. Jest bardzo młoda. Jej sława dość przypadkowo wystrzeliła w niebo.

Jak rakieta nabiera rozpędu, sięga gwiazd. Zanim Lara straci świeżość nowości i młodości, zanim spadnie, musi wyrwać jak największą kasę. Sztab ludzi nad tym pracuje. Trudno się przyzwyczaić do tego, że została boginią w tym podłym, jak uważa, interesie, musi na dodatek opłacać darmozjadów, którzy nią sterują. Chce się wybić na niepodległość. Gabrysia Mżawka twierdzi, że jej w tym pomoże.

– O czym ja śnię? – zastanawia się Lara, łykając sok wyciśnięty z granatów. Jest zaskoczona pytaniem. Nie pamięta żadnego snu. Ani jednego. – Walę się spać jak worek cementu, choć jestem lekka jak piórko, w ogóle nie mam snów – odpowiada spontanicznie, jednak wie, że nie może być naturalna.

Piarowcy przygotowali jej zestaw pretensjonalnych bon motów i złotych myśli. Zapisała je w swoim ajfonie, najdroższym i najcieńszym, jaki jest dostępny na rynku, to ostatni krzyk mody. Zręcznie manipuluje, wodzi cienkimi palcami po ekranie, pod hasłem SNY z pewnością znajdzie coś odpowiedniego.

– „Moje sny nie dorastają do rzeczywistości” – czyta. To chyba dość dobre?, myśli.

Musi teraz dodać coś od siebie, dołożyć do tego zdania, ale co? Zanim zdążyła otworzyć usta, by odpowiedzieć, przy stoliku pojawiły się dwie dziewczyny, chyba licealistki, z prośbą o autograf. Mają jej fotografię z reklamą perfum. Lara podpisuje się z zawijasami, dodaje od siebie serduszko. Ma błyszczący długopis z fosforyzującym, srebrnym tuszem. Na stole mikroskopijne urządzenie wysyła czerwony błysk, sygnał, że działa. Gabi uruchomiła nagrywanie, wplecie w wywiad te dziewczęce ochy i achy, wszystko jest: super, czadowe...

Gdy dziewczyny odeszły, do stylizowanego wiejskiego płotka, odgradzającego kawiarniany ogródek na betonie od reszty chodnika, podchodzi cygańska dziewczynka w długiej, kolorowej spódnicy. Ma

nie więcej niż sześć lat, czarnowłosa główka ledwo wystaje zza sztachetek. Jest niezwykle drobna, w małej twarzy najwięcej miejsca zajmują połyskliwe, ciemne oczy. Wpatruje się w dwie kobiety. Powtarza w kółko, coraz bardziej natarczywie: Daj złotówkę! Daj złotówkę! Brzmi to jak rap. Kobiety udają, że jej nie widzą, nie reagują, więc mała się niecierpliwi, wreszcie chwyta Gabi za rękaw, szarpie. Czujny kelner interweniuje, usiłuje przepędzić dziecko.

– Proszę się przesiąść w głąb, właśnie zwolniły się miejsca, dalej nie wchodzą, boją się, wiedzą, że im nie wolno – proponuje.

– Poradzę sobie – odpowiada Gabrysia.

Odłamuje spory kawałek kruchego ciasta i podaje małej. Ta bierze ciastko, pluje na nie, rzuca na chodnik i ze złością rozdeptuje.

– Zdechniesz w środe, zdechniesz w środe! – krzyczy i śmiejąc się, ucieka.

– Spierdalaj! Nawet żebrać nie potrafią, nie uczą ich tego? Kompletny upadek. Żebrak ma być pokornie unizony, inaczej nic nie uzbiera i zdechnie z głodu. Cyganie są totalnie bezczelni! Przyjeżdżają tu kraść i żebrać! – syczy trochę zmieszana Gabrysia.

– Uspokój się, nie wolno tak mówić, to tylko dziecko, wykorzystywane przez dorosłych. Boi się, musi żebrać kasę, bo jak nic nie uzbiera, to ją skatują – szepcze zażenowana Lara.

– Rzygam już tą poprawnością polityczną. Nie można nic powiedzieć, żeby się komuś nie narazić. Wciąż się komuś narazam. Jak nie jednym, to drugim. Lubię gejów, chodzę na ich parady, to dupek z prawicy odmówił mi wywiadu, powiedział, że jestem zbyt liberalna jak dla niego, taki debil. Jak przy okazji wywiadu zwierzyłam się, że nie lubię emigrantów, to przestał mi się kłaniać stary, wytarty lewicowiec. A ty jak masz takie miękkie serduszko, to mogłaś dać jej tę złotówkę! – Gabrysia Mżawka podnosi głos, odpowiada agresywnie, ale w oczach widać strach, boi się, bo klątwa nawet w ustach bezczelnego cygańskiego dzieciaka jest klątwą, ma



swoją moc.

Młode kobiety milczą przez chwilę, potem wracają do rozmowy.

– Nie noszę monet, żadnych pieniędzy, mam tylko karty. Nie wyłączyłaś mikrofonu? Cała afera się nagrała! Dziś poniedziałek? To masz jeszcze dwa dni, zdążysz autoryzować mój wywiad – śmieje się modelka. Rozładowuje atmosferę.

– Tylko karty? Jasne, to wygodne, niedługo żebracy będą mieli terminale i kasy fiskalne! Posiedź chwilę, zastanów się, co ma być w wywiadzie, ja mam sprawę do starej.

Gabi idzie do stolika, przy którym siedzi znajoma aktorka z blond siwizną, kłania się grzecznie, robi nawet dyg. Zamieniają parę zdań, po chwili, w przelocie, wywraca oczami, żeby pokazać, jak ją to nudzi, jak okropny jest wywiad z Larą, kiwa ręką do Adeli.

– Mówię ci, stara jest naprawdę dobra, widziałam ją ostatnio w Strindbergu. Była niesamowita! – Z hałasem odsuwa krzesło. Zawsze wszystko robi z rumorem.

– Kobieta, zwłaszcza aktorka, musi dbać o siebie, a tu pod oczami siata, nad ustami siata, to się da wyprasować. Pokazuje się publicznie, mogłaby się trochę podciągnąć – rzuca Lara.

Jej wychudła twarz o wyrazistych kościach policzkowych nasuwa skojarzenie z czaszką obciągniętą białym aksamitem, pogłębiają to zapadnięte w głąb twarzy oczy, mocno obrysowane czarnym tuszem, ocienione grubymi rzęsami. To twarz mima. Jej wypukłe, nabrzmiałe wargi są wydęte, jakby ciągle była naburmuszona.

– A co, Larusiu, chcesz jej dać namiar na twojego konowała, który załatwił ci wargi? Taka jest twoja tolerancja? Cyganie są nie do ruszenia, ale na cudzą starość i zmarchy się wyzłościwiasz. Ja uważam, że ona może tak wyglądać, gra twarzą, jej zmarszczki się ruszają, gdyby robiła to, co wy, w tym waszym pierdolonym modowym światku, teraz miałyby już skamieniałą maskę, mogłaby co najwyżej zagrać nieboszczkę w trumnie. Też rola, ale mało

ambitna, nie sądzisz?

– Chcesz, żebym dała ci wywiad czy zamierzasz mnie obrazić? – Lara jest wściekła.

– Nie odnoszę się do ciebie, chyba oprócz ust nic jeszcze nie robiłaś? Daj spokój. Pół godzinki pokłapiesz, zrobią ci sesję i masz ekstrareklamę w „TopWoman”, naszym ekskluzywnym magazynie. To rzecz nie do pogardzenia – mówi Mżawka z lekką ironią w głosie.

W środowisku modowym Lara ma wzięcie, pisma walczą o nią, dają na okładki, uchodzi za piękność, mówi się, że jest „demonicznie fotogeniczna”. Jednak w zetknięciu z ostrym słonecznym światłem, z siedzącymi obok zarumienionymi, lekko opalonymi choćby tylko miejskim słońcem ludźmi, wygląda jak bohaterka serialu o wampirach albo przybyszka z obcego świata. Księżniczka z filmów SF, wojowniczką z gier i komiksów. Chyba wie o tym, przybrała pseudonim Lara, podszywa się pod Larę Croft, podkreśla strojem tę stylizację. Ma na sobie czarną sukienkę ze skóry, nabijaną ćwiekami, która ledwo zakrywa pośladki, a trójkątne, podniesione poduszkami ramiona, sięgają wiszących kolczyków z kryształków Swarowskiego i srebrnych blaszek.

– Stara aktorka jest po prostu dobra, nigdy nie była ładna, więc to jej nie stanowi. Teraz i tak wygląda lepiej niż kiedyś. Piękności z jej pokolenia dramatycznie się zestarzały, a ona jest taka, jaka była – wyjaśnia pojednawczo Gabi.

– Dlaczego ani na chwilę nie przestaje grać, dlaczego, nawet teraz w kawiarni? Popatrz na jej gestykulację, na to, jak trzyma głowę!

– A jak ma trzymać? Królowa przed wejściem na szafot! Robiłam z nią wywiad, powiedziała dużo ciekawostek dla gawiedzi, o mężach, kochankach, umie opowiadać, myślę sobie, mam supermateriał, ale potem, niestety auto-ry-zo-wała, durnota jedna. Dodała nagrody, odznaczenia, kompletny odjazd. Pieprzone anegdotki, kogo to,

kurde, obchodzi, że jej pies bawi się z kotem! A o mężu, co popłynął z tą, no wiesz, tą grubą z cyckami, kurde, zapomniałam, jak się nazywa, skleroza nie boli, wiesz, o którą chodzi? Powiedziała dużo, a potem sczyściła wszystko. No więc Ewita, jak to ona, znasz moją szefową? Nie pracowałaś z nią, więc nie wiesz, jaka to wredna suka. Bulterierka Ewita kazała mi spierdalać. Jasne, rozumiem ją. Powiedziała, że woli zamiast tego zamieścić choćby reklamę karmy dla psów! Puściłam jej całe nagranie i spisany z tego surowy materiał. Nieautoryzowaną wersję. To jest to, o co chodzi! Zakopię to gdzieś, poczekamy, nie zmarnuje się – mówi Gabi.

– Myślisz, że niedługo się przelobuje, a wtedy puścisz całość?

– Przelobuje? Fajne, tego nie znam! Ma osiemdziesiątkę z górką, a stale gra, pozazdrościć kondycji. Wszyscy tak robią, każda redakcja ma wywiady ze starymi, tylko czekają na nekrolog, i nie myśl, że tylko kolorowe albo brukowce tak robią. Ambitne tygodniki opinii, gazety codzienne! Wszyscy! Bez różnicy. Bo niby skąd się biorą wywiady sprzed paru lat, publikowane, gdy nieboszczyk jeszcze dobrze nie ostygł. Może uda mi się ją namówić, żeby zgodziła się na publikację, zanim się przelobuje. Właśnie próbowałam.

– Widziałam twoje uśmiechy, jakbyś piła ocet!

– Przesadzasz, podlizywałam się trochę, jasne, ale ja ją naprawdę lubię. Nowy spektakl potrzebuje reklamy i ona o tym wie. Wydaje mi się, że już zmiękła. Takie jak ona mogą dociągnąć do setki. Za długo by czekać!

– A ty uważaj w środę! Zemsta Cyganeczki może być słodka! Skuter zostaw w domu, to niebezpieczne. Weź taxi.

Aktorka patrzy w ich stronę i przyjaźnie macha ręką. Redaktorka odpowiada gestem uniesionej dłoni. Siwoblond kobieta pochyła się do młodszej, partnerki obsadowej, grają razem w wystawianej ostatnio sztuce, ćwiczy je modny reżyser.

– Dałam wywiad do tego, pożał się Boże, ekskluzywnego

magazynu, no wiesz „Woman na Topie” czy coś w tym guście, wabili mnie, że dadzą okładkę, ale w końcu nie dali. Jasne, jestem za stara! Dla nich czterdziestka już ledwo się mieści, chyba że Danka, ona potrafi się pokazać z każdej strony, tu się wypnie, tu wciągnie, polerkę na zębach wyszczerzy, ma dobre geny, a resztę zrobi fotoszop. Cóż, muszę zadbać o popularność, póki jeszcze mnie angażują, na szczęście po mnie widać, że jestem stara i mogę grać stare. Ta redaktorka nie jest najgorsza, czuje teatr. Trzyma się mocno, bo Ewita, szefowa, ją toleruje. Dzięki temu dostanę ze trzy kolumny, pod warunkiem, że sprzedam swoich mężów i kochanków. Mżawka przyjdzie na spektakl, dobre i to, inne interesuje wyłącznie antrakt, wtedy mogą złapać łebka do swojej pieprzonej sondy. Co się pani ostatnio śniło? Żeby chociaż spytały, co czytam, ale co to, to nie. Jak to się dzieje, że ma pani taką szczupłą sylwetkę... To ich żywioł. Sztukę mają głęboko w dupie, jak ja to mówię, w głębi dupy! – Aktorka odgrywa pytającą, mówi piskliwym, spłaszczonym głosem. – A do tego jeszcze ta ich artykulacja! Zauważyłaś, jak one teraz mówią?

– A co byś chciała? To plebejki! – mówi ta druga, młodsza aktorka, śmieje się, otwierając szeroko usta. Odgania osę, która usiłuje przyłączyć się do lodów z owocami i krąży nad pucharkiem.

– Uważaj, uważaj, zamykaj usta, osy są niebezpieczne, pamiętasz tę rudą Ewę, piła drinka w ogrodzie, osa, właśnie osa ukłuła ją w gardło i koniec... – Bierze zwiniętą gazetę i mocnym, celnym ciosem zabija bzyczącego owada. – No, ta przynajmniej nikogo nie wyśle na tamten świat.

– Dziwne, że Ewie nie dało się pomóc, nie uważasz? Nie była sama w ogrodzie, wiedziała o alergii... Widać to było jej pisane. Przynajmniej zostanie na wieczność młoda.

– Gardło puchnie i człowiek się dusi, medycyna jest bezradna. Szkoda jej, lubiłam ją, kiedyś grałyśmy razem w filmie.

– W jakim?

– A co to ja leksykon jestem? To było sto lat temu.

## DOBRANA PARA

Była piątkowa noc. Gwałtowny dzwonek obudził Adelę. Trochę bała się otworzyć, środek nocy, a ona była akurat sama w domu. Wzięła do ręki przycisk antynapadowy, spojrzała przez wizjer. Nie poznała kobiety stojącej w pewnym oddaleniu od drzwi, tak żeby mogła ją zobaczyć.

– To ja, Zosia, otwórz, proszę – usłyszała.

Otworzyła drzwi. Na progu stała Zosia, z posiniaczoną, zapłakaną twarzą, z czerwonymi pręgami na szyi. Poprosiła o pieniądze na taksówkę. Adela wpuściła ją i zapłaciła taksówkarzowi.

– Ktoś cię napadł? – spytała.

– Nie, nie, to trwa już parę lat, od dawna.

Zacząła opowiadać. Znosiła bicie, ciągle przeprosiny i znów bicie. Klękanie. Godzenie się w łóżku, miłość. Następnego dnia od rana agresja, bluzganie, krzyki. Jak ty wyglądasz? Brzydnie z dnia na dzień! Tyjesz!, wrzeszczał i zaczynał bić.

– Dlaczego nic nie mówiłaś, wyglądaliście na szczęśliwą parę!

– Byłam z nim ze względu na dzieci! Nie miałam dokąd uciec. Rodzice umarli, nie mam rodzeństwa, on odciął mnie od moich przyjaciół, wszystkich uważał za głupszych od siebie, nieodpowiednich! Wy byliście jego znajomymi, nie moimi.

– My byśmy ci pomogli! Jak to możliwe, jesteś mądra,

wykształcona, masz zawód, własne pieniądze, jak to możliwe? Nie mogę tego pojąć – mówiła Adela.

– Zdrowy nie zrozumie chorego, kto nie ma duszy niewolnika, nie pojmie ofiary. A ja zaczęłam myśleć jak ofiara.

– Za dużo wiesz o psychologii ofiary, to przeszkodziło ci w oporze.

– Sama nie wiem, analizowałam wszystko, nie mogłam zrozumieć, o co w tym chodzi. W końcu zaczęłam myśleć, że on jest psychicznie chory.

– Dzieci są już dość duże, nic nie widziały?

– Nie wiesz, jaki sprytny może być kat, zwłaszcza taki intelektualista. Dzieci wyjeżdżały, wychodziły albo już spały. Nie zawsze bił aż tak jak dziś. Nie rozkręcał się, szczypał, dusił, wszystko na pół gwizdka. Potrafił dobrze kontrolować swoje chore emocje, umiejętnie nimi zarządzał. Dziś dostałam, bo odważyłam się mu powiedzieć, że powinien się leczyć.

– Mówisz o tym spokojnie, jakbyś prowadziła czyjąś terapię, masz to poukładane w głowie, nie mogłaś wcześniej z tym skończyć?

– Nawet nie wiedziałam, że mogę, nie próbowałam. Sytuacja się zmieniła dopiero teraz, dzieciaki odkryły prawdę, zażądały, żebym się rozwiodła. To, co widzisz na mojej twarzy, to także efekt zażądania rozwodu. Przenocujesz mnie? Jutro składam papiery.

– Pomogę ci, pójdę z tobą.

W taki sposób Adela została świadkiem na rozprawie rozwodowej.

Od Adeli Ewita dowiedziała się więcej na temat załatwiania porachunków rodzinnych. Kobiety też nie były bez winy. Zdarzały się wyjątkowo Złośliwe Suki, wbijające szpile swoim facetom i dzieciom. Rzadko jednak posuwały się do agresji fizycznej. Słowa też bołą, jednak katowanie ma inny wymiar. Obie znały co najmniej kilka kobiet, które wiodły takie pieskie życie. I nie był to margines, żadne menelstwo. Wyższe wykształcenie, pozycja, wzięcie w towarzystwie.

Była też przemoc ekonomiczna. Jedna z pracujących w redakcji opowiadała, już po rozwodzie oczywiście, że mąż wydzielał jej kasę. Wtedy jeszcze nie miała własnych pieniędzy, dzieci były małe, ona nie pracowała. Dawał kasę albo nie. Zależało od jego humoru. Zdarzało się, że głodowała. Wpadała do przyjaciółki, tylko na chwilkę, żartem mówiła, że umiera z głodu, prosiła o poratowanie kanapką albo talerzem zupy. Jednak wszystkie te kobiety zaczynały mówić, dopiero gdy dochodziło do rozwodu, po wylądowaniu na szpitalnym łóżku albo wówczas, gdy dziecko też stawało się ofiarą. Przeważnie nie szukały profesjonalnej terapii. Bywały nawet terapeutki pomagające innym, które w domu dostawały „łomot”. Dopiero teraz zaczął się ruch przeciwko przemocy.

\*

Coś się jednak zmieniło, od czasu gdy Ewita jako młoda dziewczyna wyjechała z Bartkiem na wakacje do Świąćmierza. Kiedyś nie mówiło się tyle o przemocy. Teraz mówi się dużo, przemoc jednak nie zniknęła. Stała się bardziej jawna. Do ludzi docierają fakty z policyjnych interwencji. Zakłada się niebieskie karty. Wciąż jednak, tak jak dawniej, istnieje krwawa, nieujawniana strefa.

Pamięć podsunęła Ewicie zalegające w czeluściach podświadomości wspomnienie. W Świąćmierzu, na samym początku, przez kilka dni mieszkali u bogatych gospodarzy, obdarzonych szóstką czy siódmką dzieci. Część była już dorosła, miała swoje rodziny, ale wszyscy mieszkali pod dachem jednego wielkiego domu, do którego doklejjano kolejne przybudówki. Także dla letników. Jeden z synów dostał wówczas powołanie do wojska, kraj miał jeszcze armię z corocznego naboru rekrutów. Tydzień wcześniej się ożenił. Jego dziewczyna była w widocznej ciąży,



gospodyni mówiła, że był „na musiku”. W noc poprzedzającą wyjazd do wojska urządzono wielkie żarcie i chłanie na umór. Letnicy też byli zaproszeni. Państwo młodzi zniknęli, pewnie chcieli się pożegnać. To wydawało się naturalne. Zapomniano o nich. Nagle goście mimo gwaru usłyszeli straszne krzyki. Bartek zerwał się, inni letnicy też, gospodarze usiłowali ich powstrzymać. Nie wtrącajcie się, to ich sprawa, nie wasze. Po chwili jednak udało się sforsować drzwi. Przyszły żołnierz kopał swoją młodą żonę w brzuch. Obcy mężczyźni, którzy przyjechali na wakacje, złapali go i odciągnęli. Okazało się, że dostała kopniaki na zapas. On wyjeżdża, więc tłukł ją, żeby nie miała głupich myśli. Policji nikt nie wzywał, zresztą jeden z zięciów był policjantem i siedział pijany za stołem. Doskonale rozumiał bijącego. Wśród bijących na pierwszym miejscu zawsze plasowali się mundurowi. Zawodowi wojskowi, tuż za nimi policjanci. Przysłowie z czasów ułańskich, albo jeszcze starsze, wskazywało na skłonność dziewcząt do żołnierzy: „Za mundurem panny sznurem”. Wszyscy rozumieli rekruta, usprawiedliwiali, bo przecież chłopak idzie w obcy świat, nerwowy może być. Ma prawo. Po krótkim czasie żonka obmyła się i para wróciła razem do stołu. Przecież ją kocha, ożenił się, nic jej nie będzie. Inne żony i córki miały podobne doświadczenia. Pocięły młodą żonę, mówiły, że to z zazdrości o jakiegoś jej wcześniejszego, który wyjechał do miasta. Mąż bił, bo nie miał pewności, czy dzieciak jest jego. Kobiety cienkimi głosami zaczęły śpiewać piosenkę, *Nie ma miłości bez zazdrości*. Ewita nie mogła zmrużyć oka przez całą noc. Jednak to się nie powtórzyło. Słysząc było jedynie trzeszczenie drewnianych łóżek pod ciałami kopulujących. Poza tym głęboka cisza, od czasu do czasu przerywana zwykłą kanonadą, to czekały dalekie psy, a bliskie im odpowiadały.

Następnego dnia Bartek z Ewitą obeszlili całą wieś, aż trafili na dom stojący na obrzeżach. Kot wygrzewał się na ganku, Marianna

Skiba pielili ogród. Dotąd nie brała letników. Ewita opowiedziała, co wczoraj widzieli, czego byli świadkami.

– Baby pozwalają na wszystko, bo chcą mieć chłopca w domu. Ja zabiłabym gada – powiedziała Marianna Skiba z zawziętością, o jaką nikt by jej nie posądzał. Miała w oczach samą łagodność, ale, jak widać, swoje też przeszła.

– Takie są, zawsze takie byli, potępienia boskiego się nie boją.

Marianna machnęła ręką. Wpuściła młodych do kuchni, dała garniec mleka i pozwoliła zamieszkać. Z początku w osobnych pokojach. Wkrótce musiała przywyknąć do tego, że znikają w lesie. Któregoś wieczoru, przy kolacji, spytała, czy zamierzają wziąć ślub. Oczywiście przytaknęli, zresztą nie okłamywali jej, mieli takie plany.

## SKÓRZANY PLECAK

Była niewielka, a jednak w przestrzeni Ewity zajmowała wiele miejsca. Zapominała o niej, przez długi czas nie wyjmowała z szafy, nie dotykała, a jednak był to przedmiot obecny. Stała na swoim miejscu, pomiędzy dziesiątkami toreb, w specjalnie uszytym skórzanym plecaku. Ewita otworzyła szafę i wyjęła plecak. Miała dziś dzień domowy, nie musiała iść do redakcji. Wystarczyło, że była pod telefonem. Każdy pracujący w jej imperium miał jeden taki dzień w tygodniu, oprócz niedzieli. Soboty były zajęte, jeśli wypadały przed oddaniem numeru. Nawet niedziele, gdy trzeba było szybko poprawić niezauważone błędy przed wysłaniem do drukarni, wyrzucić portret kogoś, kto się naraził, lub włożyć coś istotnego, co pojawiło się nagle na horyzoncie. Czasami zdarzała się reklama, zdobyta w ostatniej chwili za dobre pieniądze.

Świt wstał razem z Ewitą. Otworzyła okno. Powietrze było chłodne, jeszcze nie wiadomo, czy dzień będzie słoneczny. Wydobyła z plecaka urnę i trzymała w dłoniach. Przytuliła do piersi, czując chłód metalu przez cienki materiał podkoszulka, w którym sypiała. Ogrzewała prochy Bartka. To było dla niej całkiem naturalne. Nie zamykała oczu, żeby widzieć jego postać, bo ją zobaczyła, nie odgrywała przed sobą misterium, rozmawiała z nim głośno rzadziej niż kiedyś. Częściej w myślach. A jednak, gdy

wracała do domu po dłuższej podróży, zdejmowała palto i buty, wołała:

– Jestem! Wróciłam! – Wiedziała, że on na nią czeka. Zawsze czeka.

\*

Po tych wszystkich strasznych przejściach, po paru latach, gdy miała już własny kąpielarnię, pojechała do Świątymierza. Razem z Marianną Skibą wyszły do lasu. Ewita długo, nie spiesząc się, małą łopatką, żeby nic nie uszkodzić, wykopywała słoik z ziemi. Po powrocie do miasta schowała go w szafce. W tamtym czasie nosiła często prochy Bartka ze sobą. Także później, już w urnie, w eleganckim plecaku z mięsistej skóry, wychodziła z nim na spacer do lasu albo do parku. Plecak miał dwie kieszenie zewnętrzne, dwie boczne i cztery wewnętrzne, wszystkie zamykane na suwaki. Mogła więc włożyć do środka portfel z kartami kredytowymi, notatki, kosmetyczkę, klucze, leki, których używała, albo działkę tego, co akurat było u niej wtedy „na topie”. Moda na noszenie plecaków bardzo jej odpowiadała. Wylansowała ją w swoim ekskluzywnym magazynie, chętnie czytany przez dość zamożne, wykształcone kobiety z nieistniejącej jeszcze klasy średniej, aspirujące do niej. Wyznaczała trendy dla niezależnych i wyzwolonych bytów idealnych, o jakich pisano.

Starła się regularnie zabierać Bartka na spacer. Robiła kilka lub kilkanaście kilometrów pieszo. Tak jak wtedy w Świątymierzu, gdy włączyli się po lasach. Ubierała się sportowo, zależnie od pogody wkładała lekką albo cieplejszą kurtkę i bardzo wygodne sportowe buty Prady, bo takie też ta firma robiła, oprócz groteskowych dwudziestocentymetrowych szpilek i platform, w których wywracały się nawet modelki spacerujące po gładkim wybiegu. Padały

bezwładnie, wyglądało to, jakby postrzelił je jakiś wariat lub terrorysta. Zgromadzona w hali ogromna widownia wydawała westchnienie zgrozy. Była na takim pokazie, zdarzyło się to podczas tygodnia mody w Londynie.

\*

– Modę generuje ulica, wprowadzimy ją także u nas. To się musi przyjąć – powiedziała Ewita swojej ekipie.

Udało się. Ostro weszły dresy największych projektantów, dzianinowe, ale też wieczorowe, z błyszczących materiałów. Nawet pantofle do biegania i marszów zaczęto projektować z lakierowanej skóry albo wręcz złote. Ewita lubiła wyglądać i czuć się modnie w każdej sytuacji. Ciągłe spotykała ludzi, znajomych lub takich, którzy ją rozpoznawali, musiała więc „kleić formę”. Jeśli chciała być nikim, jechała do Świąćmierza, do Marianny Skiby. Z małym plecakiem zarzuconym na jedno ramię wyglądała jak tysiące kobiet z wielkich miast.

Choć bardzo chciała, nie mogła ze sobą zabierać Bartka w lotnicze podróże do NY czy innych miast, w których odbywały się pokazy. Bartek w postaci prochów mógł się wydać podejrzany. To było niebezpieczne. Żałowała, bo pamiętała, że chciał zobaczyć Manhattan. Wsypywała więc do butów szczyptę jego prochów, tak małą, że wyglądało to jak piasek z plaży, jaki każdy odkrywa w mieście po powrocie z wakacji nad morzem. Kontrole bagażu maksymalnie się nasiliły po ataku na dwie wieże. Gdy wyjeżdżała, zegnała się Bartkiem. Hej, hej, wracam za tydzień!, wołała. Oprócz Marianny mało kto wiedział, co ich kiedyś łączyło, mało komu mówiła o jego istnieniu, o dramatycznym ślubie. Tylko Igor, Antek i doktor Bechstein. Jednak nawet oni nie mieli pojęcia ani o tym,

czym była dla niej jego śmierć, ani o dziecku. Przecież nie opowiadała, że urna stała się dla niej rodzajem świeckiej relikwii. Przed ważnymi rozmowami, albo gdy dopadała ją choroba i musiała czekać na wyniki badań, wyjmowała urnę i trzymając ją w ramionach, mówiła, że potrzebuje wsparcia. Także w kryzysie, w początkowej fazie depresji, gdy jeszcze odczuwała lęk, zanim dopadła ją czarna pustka, dziura bez dna.

Niewiara w Boga nie przeszkadzała jej rozmawiać z popiołami ani ogrzewać je czy zabierać na spacer. Nawet jej nowojorski psychoanalityk, doktor Bechstein, nie wiedział o tym, mimo że chyba to było ważne. Igorowi, któremu oddawała swą szczerość za jego szczerość, napomknęła, że przechowuje w domu prochy pierwszego męża, który był jej pierwszym chłopakiem, jej największą miłością. Mówiła, że rodzina Bartka pewnie pochowała resztę prochów na cmentarzu w miasteczku, z którego pochodził, a ona ocaliła dla siebie garść popiołu. Powiedziała też Igorowi, że nie udało się pochować miłości do Bartka razem z prochami. Zalegała w niej.

## KRYZYS SOBOTNIEJ NOCY

Pewnego sobotniego wieczoru Ewita pojawiła się na pokazie Armaniego urządzonym z wielkim hukiem i takimiż kosztami przez „TopWoman”. Siedziała jak zwykle w najlepszej części pierwszego rzędu. To było marzenie początkujących ludzi mody, aktorów, biznesmenów, różnego rodzaju VIP-ów. Tak jak na całym świecie, także tu liczył się pierwszy rząd. Ledwo dotrwała do końca, strasznie chciało się jej sikać. Nienawidziła publicznych toalet, nawet tych w najlepszych hotelach. Woląca jak najszybciej wrócić do domu. Nie została na bankiecie. W domu natychmiast wpadła do łazienki, siadła na lśniącym sedesie. Lubiła rozkoszną ulgę, jaka się pojawiała wraz z uchodzeniem strumienia, najpierw głośnego, potem ledwo szemrzącego. Teraz jednak nie czuła zwykłej przyjemności. Ogarnął ją wstręt do tych potrzeb, do dolnych partii ciała, brzucha, zbyt wydatnego i białego, przypominającego świeżą słoninę, jaką Marianna Skiba oddawała do wędzenia po zabiciu wieprza. Zrobiło się jej niedobrze na widok ud, rozplaszczonych, gdy siedziała, drażnił dźwięk spuszczonej wody. Ciągle towarzyszył jej wstręt do tego, co widziała na pokazie. A przecież były to eleganckie rzeczy, jakie mogłaby kupić i nosić. Sylwetki chudych modelek przypominały kośćce, w dawnych czasach wyobrażające śmierć z kosą. Wydały się jej odrażające, huk braw nie do zniesienia, a klaszczący ludzie,

nawet ci wyróżniający się inteligencją, złośliwym dowcipem, których zwykle tolerowała, wywoływali w niej strach. Miała znów atak paniki.

Chciała się rozebrać i wziąć prysznic, jak zawsze po wieczornym wyjściu. Najpierw zmywała makijaż. Spojrzała w wielkie trójdzielne lustro nad toaletką. Miała wrażenie, że twarz oderwała się i odpadła. Zobaczyła własną czaszkę, świecącą bielą. Zamknęła oczy, zakręciło się jej w głowie, mimo że nic nie piła, nawet kieliszka niezłego francuskiego szampana podanego na powitanie. Musiała przytrzymać się wanny. Gdy otworzyła oczy, twarz była na miejscu. Nowa, choć inna, poszarzała, pokryta głębokimi bruzdami w siatce płytkich zmarszczek. Jak twarz Doriana Graya na portrecie. Lustro stało się tym portretem. Twarz na wyjście nie była prawdziwa. Nie pomoże japoński kosmetyk, dotąd świetnie działający. Zwykle używała go pod krem na noc i na dzień, serum z betaglukanem i zastrzeżonym, tajemniczym składnikiem nawilżającym Aqua In Pool. Na tę twarz nie pomoże żaden krem, ani ten najdroższy, za parę tysięcy, Złoty Global, nagradzany na całym świecie, także przez jej pismo, ani nawet zrobiony na zamówienie z drobinkami złota, dostosowany do wieku i jakości skóry.

Zobaczyła przyszłość. Jednak to nie starość własnej twarzy ją przeraziła, lecz brak wyrazu. Żadnej radości, śladu błąkającego się uśmiechu, żadnej rozpacz, bólu, cierpienia. Pustka. Coś musiała zrobić. Od dawna była „czysta”, jednak jak każdy niepoprawny ćpun miała coś w rezerwie. Inaczej niż ci po odwyku, którzy nie chcieli narażać się na pokusę. Ona była wyzwolona z pokus. Nie ciągnęło jej do ciemnego lasu. W plecaku, w wewnętrznej kieszeni, obok urny z prochami znalazła trochę ordynarnego kraku. Podgrzała go, usłyszała znajomy trzask. To pękały małe kamyczki jak żwirek wysypany na dróżce prowadzącej do domu lalki, gdy pięknie ubrana chodząca i gadająca laleczka po nim stąpa. Dosypała prochu, zachowała go w srebrnej pudernicze. Gdy sypała popioły do urny,



miała jasny przebłysk, że może będzie chciała kiedyś wchłonąć go w siebie. Jednak dotąd ciągle powstrzymywało ją przekonanie, że to przekracza dozwolone granice, nawet te, które sama wytyczyła, już i tak poza powszechną normą. Ruchome, wciąż przesuujące się jak horyzont. Dopiero dziś, po raz pierwszy, znalazła siłę. W pustce własnej twarzy. Poczowała, że nadszedł czas, żeby to wreszcie zrobić, nie wiedziała dlaczego, była ciekawa, co to zmieni. Czy ją wyzwoli. Przestała obchodzić ją norma, od dawna jest poza normą. Jeździ do psychoanalityka, lecz się ciągle. Ma prawo do szaleństwa.

Oparła się o ścianę. Położyła dłoń pośrodku brzucha. Oddychała głęboko przeponą, jakby napełniała balon, jakby wciągany brzuch miał dotknąć kręgosłupa. Zatrzymywała powietrze w płucach, licząc do dziesięciu, a później pozwalała mu z głębokim westchnieniem uchodzić ustami. Przestało się jej kręcić w głowie. Czowała siłę stali w mięśniach.

\*

Poszła po drabinkę do zdejmowania książek. Przystawiła do okna. Otworzyła je. Po stopniach drabinki jak po schodach weszła na szeroki parapet. Rozpostarła ramiona, przez chwilę trzepotała nimi jak skrzydłami. Przytrzymała się futryny. Wysunęła stopę w lakierowanej szpilce z czerwoną podeszwą, znakiem rozpoznawczym Louboutina, i zakreślała w powietrzu ósemki. Naśmiewała się z ludzi, którzy nosili te buty, bo były także męskie, twierdziła, że wyglądają, jakby wcześniej spacerowali w nich po rzeźni. Gdy z rzadka oglądała programy telewizyjne, widziała, jak niektóre osoby wykręcają stopy, żeby ukazały się czerwone zelówki. Noc była dość chłodna, stopa skurczyła się i pantofel poszybował w dół. Wychyliła się, patrząc, jak leci. Usłyszała stuknięcie w kostkę

brukową.

Podwórko było ciemne, mimo że w niektórych oknach paliły się światła. Jednak tylko górne piętra były zamieszkałe. Na dole mieściły się biura, agencje prawnicze, w nocy nieczynne. Dlatego apartamentowiec wyglądał, jakby miał wzlecieć w powietrze. Ewita ubrana w wieczorową suknię stała na parapecie. Ktoś z naprzeciwka ją obserwował. Stał w ciemnym pokoju za cienką zasłoną i patrzył. Podwórko nie przypominało dawnych miejsc zabaw z trzepakiem pośrodku. Po prostu zamknięto przestrzeń pomiędzy apartamentowcami. Na środku umieszczono nieczynną teraz fontannę. Kilka wielkich donic z zimozielonymi roślinami stało dookoła. Nie poddawały się porom roku, choć żywe, zawsze wyglądały jak sztuczne.

Pantofel leżał obok fontanny. Ewita, ciągle stojąc na parapecie, popatrzyła w dół. Klatka schodowa naprzeciwko zapłonęła jasnym światłem. Widać windę. Na podwórko wyszedł młody mężczyzna. Podnosi pantofel, patrzy w górę. Nie widzi Ewity, która zeszła z parapetu i teraz to ona go obserwuje.

\*

Prochy Bartka chciała dobrze zabezpieczyć. Najpierw zostały wsypane do klasycznej urny, cylindrycznej ceramiki w rodzaju pradawnej popielnicy. Potem włożyła ją do zrobionej na specjalne zamówienie małej metalowej rakiety. Jego popioły powinny zostać wystrzelone w kosmos, właśnie tam według niego istniał świat równoległy, myślała o tym, czekając na taką możliwość. Niedługo wysyłanie prochów rakieta kosmiczną stanie się możliwe i w końcu masowe. Na razie podobno można już coś takiego załatwić za duże pieniądze. Bardzo duże. Gdyby istniała pewność, że tak się stanie,

zapłaciłaby. Jednak była przekonana, że zajmują się tym oszuści zerujący na słabości innych do wyróżnienia się. Twierdzili, że mają dostęp do ludzi obsługujących rakiety. Widziała nawet podpisane umowy na ich wystrzelenie. Znała się na tym, wystarczył rzut oka, by się przekonać, że to oszustwo. Brali kasę, odbierali przyniesione w woreczku prochy. Pewnie wyrzucali je do śmietnika albo, jeśli mieli choćby cień przyzwoitości, rozsypywali w lesie. Wieczorem na wystawnej kolacji śmiali się, opijając ludzką głupotę. Nie miała złudzeń co do natury ludzkiej. Znała niegodziwość, napatrzyła się i nasłuchiwała wystarczająco wiele. Zła było tyle, ile dobra, może nawet mniej, jednak zło było bardziej przejmujące i pomysłowe, a przez to ciekawsze. Gdy czytała o tym, co działo się na przestrzeni dziejów, uderzała ją pomysłowość zła. Prace Cranacha pokazywały gawieź na rynku oglądającą skazańców z rozprutymi brzuchami. Ich jelita nawijano na specjalne bębny, a resztki części miękkich rzucano psom czekającym na kąski. Inkwizytorzy w procesach czarownic doznawali rozkoszy, pewnie mieli orgazm, patrząc na męki kobiet. Dość! Nie chciała myśleć o tym, co robili Niemcy w czasie wojny z Polakami, nie tylko z walczącymi, ale z bezbronnymi cywilami, z Żydami, z Cyganami, gejami, chorymi psychicznie, zabijali nawet niemowlęta, uderzając ich główkami o mur. Dość, dość, nie myśl już o tym, powtarzała sobie, oddychając głęboko. Inni nie byli lepsi, nie mieli po prostu możliwości, żeby się w pełni rozwinąć. Uważała pesymizm za uzasadniony. Jedyнным sposobem na okrutne instynkty jest sprawnie działające prawo. Uważała, że system demokratyczny jest zbyt miękki, nie miała na myśli kary śmierci, chodziło o przymyknięcie oka na małe i mniejsze zło, które nieukarane rozrastało się jak korzenie perzu. Zło, podobnie jak głupota, nie ma granic. Dość już, przestań! Powoli się uspokajała. Ta niepohamowana rzeka obrazów ludzkiej niegodziwości była przejmująca. Czowała wstręt do wszystkich morderców, katów,

czyścicieli rasy. Uważali, że są w prawie, że robią to w imię Boga, zwłaszcza Boga, bo najczęściej niegodziwości popełniano, powołując się na niego. Także w imię narodu, rodziny.

A jednak było coś dobrego w tym, co się z nią w tej chwili działo. Czucie było oznaką przesilenia, cofania się depresji.

## KOSMOS BARTKA

Dla bardzo bogatych jest wszystko, nawet kosmos. Niedawno jakiś miliarder poleciał w przestrzeń kosmiczną, o której marzył Bartek. Wysyłanie prochów w kosmos wkrótce będzie niezłym biznesem. Jest popyt, jest podaż. Księżycowy cmentarz, czy to nie byłoby piękne? Można by urządzić kolumbarium na innej planecie. Szczypta popiołu, zalana jakąś najtrwalszą substancją, odgrywałaby rolę owadów w bursztynie, pozostałości po unicestwionych epokach. Na Księżycu planuje się osiedlić żywych. Domki jednorodzinne, powtarzane w kosmosie, może trochę inne bryły, ale w końcu osiedla będą wyglądały podobnie i będą miały swoje nekropolie. Jeśli zajdzie potrzeba, założą się ogrody i cmentarze. Bartek miał więcej optymizmu. Sądził, że „srebrny glob” zasiedlą filozofowie, fizycy, artyści, mistycy. Każdy w swojej pustelni. Księżycowe marzenie Bartka pełne było dziecięcych marzeń, nie myślał o walorach materialnych, to chciał pozostawić mieszkańcom Ziemi.

Ludzie będą zawsze umierali, nawet jeśli uda się przedłużyć życie, to nie osiągniemy nieśmiertelności, myślała Ewita. Zamówiła urnę w kształcie rakiety, bo Bartek ciągle odwoływał się do kosmosu. Wierzył w świat alternatywny, w którym mieściło się wszystko – to, co było, jest i co będzie. Ziemskie życie było chwilą teraźniejszości, szybko przemijającą.

Gdy umierał, był nad wiek dojrzały, świadomy bliskiej śmierci, jednocześnie zaś bardzo dziecinny. Z jednej strony był realistą, pragnął dowiedzieć się jak najwięcej o swojej chorobie. Z wielkim trudem udało mu się wydobyć diagnozę od lekarzy. Gdy już ją dostał, zaczął studiować podręczniki medyczne. Zgłębił fizjologię wstrętnej choroby, dowiedział się, ile mniej więcej czasu mu zostało. Mniej niż więcej. Tak mówił. Miewał także lepsze godziny, kiedy się łudził, że wydarzy się coś, jakiś cud, który pozwoli mu zostać tu trochę dłużej, pobyc jeszcze ze swoją dziewczyną. Cudu nie było, bardzo skąpo wydzielano mu miesiące, a potem już tygodnie i dni. Ewa nauczyła się żyć razem z nim terażniejszością, w jego rytmie, dzielić czas na godziny, minuty, sekundy.

Z drugiej strony wierzył, że świat dusz odchodzących, z całą ich historią, z całym losem, mieści się w kosmicznej pamięci. Dusze niewidzialne i niematerialne wisiały w przestrzeni i czekały na swoją kolej. Mówił o tym często, nawet jeszcze na dzień przed śmiercią. Miał teorię nieskończoności świata, który był według niego rodzajem pętli. Jak wstęga Möbiusa bez początku i końca, leżąca ósemka symbolizująca nieskończoność. Także krwiobiegi – albowiem mały wraz z dużym tworzą ósemkę – jest odwzorowaniem nieskończoności. W niej poszukiwał pociechy, jej istnienie dawało nadzieję na istnienie poza tym światem, z Bogiem i bez Boga.

Ewita przypominała sobie filozofię Bartka, gdy po wielu latach od jego śmierci po raz pierwszy przyjechała do NY. Wydawało się jej, że już nie pamięta o tym, co razem przeżywali, że umarł po raz drugi, że wymiotła go z głównego locum pamięci do piwnicy nieświadomości. Musiała to zrobić, żeby „normalnie żyć”. Oglądała wystawę M.C. Eschera, gdy nagle znów się pojawił. Żałowała, że Bartek nie może tego zobaczyć. Według niej to bardzo ciekawy malarz, odkryła go dla siebie. Patrzyła na będącą rusztowaniem wstęgę Möbiusa, po której wędrowały wielkie mrówki, na schody, po

których wchodzili i schodzili zmieniający się, a jednak wciąż ci sami ludzie, albo czasami jaszczury. Były też Escherowskie węzły, bez początku i końca, nie do rozplątania. Wszystko było zamknięte, uwięzione w pętli, jak dusze w nieskończoności, o których mówił Bartek. Dusze, które już były i odeszły, czekają na swoją kolej, żeby znów zaistnieć, ich liczba była skończona w nieskończoności. Każdy miał być każdym. Brzmiało to absurdalnie, ale Bartek posługiwał się swoją dziwną logiką w taki sposób, że dopóki mówił, Ewita przyjmowała to jako prawdę, a dopiero potem się śmiała. Nie wierzyła już wówczas w nieśmiertelność duszy, choć istnienie jakiejś duchowej, osobistej substancji przyjmowała. Musiało być w nich coś tajemniczego, co sprawiało, że rozumieli się tak dobrze i tak bardzo siebie pragnęli.

Ciało. Ten aspekt. Jaki był wówczas ważny! Już później nigdy nie udało się osiągnąć tego rodzaju pełni. Z nikim. Mimo wymysłów, perwersji, brutalności, na które się decydowała, żeby Bartka zapomnieć, przytłoczyć. Jedynie się ogłuszała. Często w Świątymierzu, w dzień albo w nocy, kochali się w lesie, w domu, w ogrodzie: już, natychmiast, tutaj, gdziekolwiek byli, namiętność nieznosząca sprzeciwu. Zawsze przygotowani, ona bez bielizny, on w szortach z gumą w pasie. Kładła się albo opierała o drzewo, siadała mu na kolanach, gdy czytał w fotelu. Różne konfiguracje wchodziły w grę. Zanim zdążyła go dotknąć, już był gotowy. Po zaspokojeniu pierwszego głodu zwalniali tempo, otwierała oczy i widziała w jego źrenicach światło żarówki zwisającej z sufitu. Gdy kochali się w ogrodzie, na tyłach domu Marianny Skiby, odbijało się w nich słońce, albo księżyc, prosto z nieba, albo ze źrenic Ewity. Myślała wtedy, że znalazła coś „na zawsze”, coś, czego inni przez całe życie szukają i nie mogą znaleźć.

Po miłości leżeli i gadali. Wytworzył się taki rytuał. Przed zaśnięciem, po przebudzeniu. Tych rozmów było tyle, że muszą

wystarczyć jej na całe życie. Muszą. Z innymi ludźmi przez pierwsze lata po śmierci Bartka zwykle milczała. Ich wspólna przyszłość miała być wieczną terażniejszością, a kiedyś, kiedyś później, mieli spotkać się w tym jego dziecinnym kosmosie. Tuż po jego śmierci zapadła się w inny byt. Nigdy już tak z nikim nie rozmawiała. Nigdy później nie była z nikim w taki sposób. Tak blisko, bez żadnego skrępowania. Ani w miłości, gdy bezwstydnie nastawiała wypięte pośladki, opierając się o stół, ani w rozmowie, kiedy dokładnie nazywali wszystko, czego chcą. Nawet wtedy, gdy z łopatkami chodzili do lasu, bo o toalecie w Świąćmierzu gospodyni Marianna Skiba jeszcze nawet nie marzyła. Co prawda w pewnej odległości od domu stał domek sklecony z desek, z drewnianym siedzeniem, ale korzystali z niego, tylko gdy lało i podczas burzy.

\*

Miniaturowa rakietka, prosta wypolerowana urna, przez pierwsze lata, w poprzednim mieszkaniu, gdy nikt Ewity nie odwiedzał, bo nikogo nie zapraszała, spokojnie stała na półce, wtłoczona między *Królewską Wysokość* Manna i *Donosy rzeczywistości* Białoszewskiego. Kilkanaście lat wcześniej Ewita oddała prochy Bartka ziemi na przechowanie. Opakowany w plastikową folię słoik z szarawym proszkiem zakopała w ogrodzie za ceglastą chałupą w Świąćmierzu. Zaczęła pochówek w południe, gdzieś daleko słyszała dzwony na Anioł Pański. Płakała nad tym kopczykiem i płakała. Nie mogła stamtąd odejść. Aż wreszcie, gdy zaczęło zmierzchać i nadeszła pora kolacji, Marianna wyszła jej szukać. Sądziła, że Ewusia, jak na nią wołała, mogła zablądzić w lesie. Usłyszała szlochanie, szła po tym głosie tak długo, aż zobaczyła dziewczynę pochyloną nad małym, jakby dziecięcym grobem, przykrytym mchem. Leżał na nim wielki



kamień znaleziony przy leśnym dukcie. Marianna uklęknęła obok Ewy, modliła się po swojemu, szemrząc cicho zdrowaśki i ojczenasze. Potem wzięła ją pod pachy, podniosła, postawiła na nogi. Ewusia leciała przez ręce, Marianna musiała ją na wpół nieść. Przez całą drogę dziewczyna wydawała z siebie jakieś ptasie piski, a gdy odzyskiwała siły, zaczynała się wrywać.

– Chcę do Bartka! Muszę wrócić do Bratka! – krzyczała.

– Nic tam po tobie – powiedziała Marianna, trzymając ją mocno.

Nie pozwoliła wrócić. Szarpiąc się, jakoś dotarli do domu. W kuchni posadziła Ewusię, bezwładną jak szmaciana lala, na krześle, oparła jej ręce na stole. Podała zsiadłe mleko w kamiennym garnku i wielką jak stopa olbrzyma pajdę chleba posmarowaną masłem.

– Jedz, to ci pomoże – powiedziała rozkazująco, choć łagodnie, jak matka do dziecka niejadka siedzącego nad talerzem.

Ewa jadła i wciąż płakała na kromkę, aż masło zrobiło się słone. W powidoku pamięci widziała Bartka siedzącego naprzeciwko przy poszarzałym ze starości drewnianym stole. Zawsze tak siedzieli przy obiedzie i kolacji. Chłopak był całkiem przezroczysty, żyłki i kości żeber rysowały się wyraźnie pod skórą. Jak mogła przyjąć, że go nie ma? I już nigdy nie będzie? Co znaczyło „nigdy” dla zbuntowanej dziewczyny? Uciekła od matki, wyjechała z domu i rozpoczęła studia w innym mieście. Nigdy? Długa samotna droga, z nieusuwalnym odłamkiem szkła w stopie. Na początku każdy krok bolał, stopa krwawiła, mogło się wdać zakażenie. Chciała, by tak się stało, chciała umrzeć. Jednak nie targnęła się na życie. Nie zrobiła tego w szpitalu, od razu, gdy lekarz oderwał ją od Bartka, ani wtedy, gdy Marianna uniosła ją znad grobu chłopaka. Mogła się zabić, gdy odeszła od łóżka, na którym leżał martwy, ale wyszła ze szpitala i nie zrobiła tego. Wielu ludzi myśli o samobójstwie po śmierci kogoś tak bardzo bliskiego, mało kto doprowadza rzecz do końca. Siedziała

jakiś czas na ławce, z pacjentami gadającymi o swoich rentgenach, morfologiach, o doktorach dobrych i podłych. Nie liczyła czasu. Nie wiedziała, ile to trwało. Potem zaczęła działać i przestała myśleć o samobójstwie.

## ŚLUB DZIECIAKÓW

Na tydzień przed śmiercią Bartka poprosili kapelana obsługującego ten mały szpital, żeby udzielił im ślubu. Powiedziała, że Bartek jest głęboko wierzącym chłopakiem i nie chce umrzeć w grzechu.

– Wiesz, co robisz dziecko, liczysz się z tym, że zostaniesz wdową? Uniesiesz to? – spytał ksiądz. Kiwnęła głową.

W szpitalu zaszumiało, wszyscy mówili o tym jak o wielkim wydarzeniu. Nawet ci najciężej chorzy, wszyscy przytomni pacjenci się ożywili. Dyskutowano także o tym, czy stanie się cud, czy miłosierny Bóg uzdrowi Bartka. Niektórzy wierzący w miłosierdzie boskie gotowi byli się zakładać. Lekarze i pielęgniarki powtarzali, że dzieciaki biorą ślub. Dzieciaki się żenią!

Wyspiewadali się oboje. Ewa już nie wierzyła w Boga, ale wymieniała karnie wszystko to, co uznawano w kościele za grzechy. Ucieczka z domu, porzucenie matki. Złe myśli o niej, mówiła, że nie chodziła do kościoła, że wątpi w istnienie Boga. Ksiądz, który widział ją wciąż przy łóżku Bartka, odpuścił wszystko, w imię miłości, jak się wyraził, i nadziei, że powróci na łono Kościoła. Już wtedy, w myśli odpowiedziała mu: Niedoczekanie! Uznała, że domaganie się wiary, w momencie gdy zabiera się kogoś tak kochanego, jest nieprzyzwoite. Gdyby nie wiara Bartka i jego umieranie, gdyby nie to, nie zgodziłaby się nigdy na taką szopkę.

W dniu ślubu Bartek został przebrany w świeżą, białą koszulę. Jego twarz prawie się od niej nie odcinała. Ewa zawiązała mu czarną aksamitkę, w której wyglądał jak uczeń idący pierwszy raz do szkoły.

– Czy ty, Bartoszu, chcesz pojąć za żonę obecną tu Ewę... – ksiądz wygłaszał zwykłą formułę, ale głos mu drżał ze wzruszenia.

– Tak, chcę – odpowiedział Bartek głosem tak mocnym, na jaki było go stać.

– Czy ty, Ewo...

– Tak, chcę – odpowiedziała Ewa i rozplakała się głośno.

Wtedy bardzo pragnęła być żoną, chciała się uśmiechać, udawać szczęśliwą w obliczu nadchodzącej szybkimi krokami druhny – śmierci.

Doktor i pielęgniarka zgodzili się być świadkami. Reszta personelu stała dookoła łóżka. Wszyscy płakali.

Tego dnia wyprawili wesele. Siostra oddziałowa przyniosła tort z parą gołąbków z lukru. Pielęgniarki napięły różnych ciast, doktor postawił Sowietskoje Igristoje. Uniósł kieliszek i wzniósł toast za miłość.

– Jak w filmie – szepnęła siostra oddziałowa.

To było wielkie święto, obchodzono je jak zwycięstwo miłości nad śmiercią. Po kilku dniach Bartek zamknął oczy. Mówiono o umarłych jak o lalkach zamykających oczy, gdy się je kładło. Gdy je stawiano lub sadzano, otwierały oczy. Bartek zamknął je na zawsze. Wzięła od księdza akt ślubu, papiery zaświadczały, że jest wdową, a więc miała prawo do zwłok męża. Postąpiła zgodnie z prawem. Ksiądz chciał pochować go na pobliskim cmentarzu, oferował, że zrobi to za darmo. Nie radził spalenia zwłok, bo jednak nigdy nie wiadomo, czy na Sądzie Ostatecznym ciało nie będzie przydatne. Dziwiła się, że dorośli, wykształcony człowiek wierzy, że na Sądzie Ostatecznym mogą pojawić się wszyscy, od początku świata, cieleśnie.

– Przecież ci sprzed wieków też w proch się obrócili, proszę

księdza – powiedziała, on pokiwał głową, nie miał już argumentów.

Zabrała zwłoki i zawiozła do spalenia. Musiała jechać dość daleko, bo palenie nie było jeszcze wtedy dobrze widziane przez Kościół. Moda na palenie przysłała z Zachodu, długo nie mogła się przyjąć, bo księża byli przeciwni. Ewa kupiła prostą, najtańszą trumnę, jaką można było dostać. O wygląd chłopaka zadbał personel, dano mu trochę różu na policzki, wyglądał zdrowiej niż na ślubie. Widziała, jak fachowo pielęgniarzki ubierają go w ślubną koszulę z aksamitką. Nawet nie pytały jej, czy tego chce. Wiedziały, że tak. Gdy przyjechała na miejsce, do spalarni zwłok, musiała chwilę poczekać. Widziała dwie rodziny w czerni, jedną płaczącą, drugą rozluźnioną, jakby pozbyła się ciężaru. Budziła ciekawość. Samotna, młoda, z ubogą trumną. Asystowała przy otwarciu wrót z ogniem, widziała przez szybę, jak płomienie robią swoje. Nie były groźne, liżąc trumnę, czyniły swoją powinność. Następnego dnia zabrała prochy do słoja i wyszła.

Zakopła słów w lesie, na polanie, w pobliżu wielkiego dębu, tam gdzie się kochali albo czytali, leżąc na trawie. Nie rozsypała ich. Chciała mieć na własność choć garstkę z Bartka. Musiała przerwać naukę i zaszyć się w Święćmierzu. Dopóki mogła, pomagała Mariannie w polu, a potem, gdy już było po wszystkim, Marianna urządziła wszystko tak, by wróciła na uczelnię. Ewa wiedziała, że ta kobieta nigdy jej nie zdradzi. To była tajemnica dwóch kobiet.

Od razu, gdy urządziła się w pierwszym własnym mieszkaniu, w Warszawie, wykopała słoik i przewiozła go do siebie. Wcześniej, gdy na jakiś czas zamieszkała z matką, nie mogła tego zrobić. Wróciła do matki, bo nie wiedziała, co ze sobą począć, chodziła na wykłady, seminaria. Starła się, by nauka całkiem ją pochłonęła. To jednak działało się już po wszystkim, co ją zmaltretowało, nie tylko fizycznie, bo nie czuła się najlepiej przez te miesiące. Także psychicznie, obawiała się o to, czy geny Bartka nie zaciążą. Jednak

chyba wszystko było w porządku. Tak przynajmniej twierdziła Marianna Skiba, która załatwiała sprawę z rodziną z Chruścisk Wielkich.

\*

Ewita pogłaskała grzbiety spędzonych ze starości okładek. Mann w serii małych książek Nike, kiedyś obwoluta była pomarańczowa, Białoszewski w brązach, z obrazem pełnym małych postaci na matowej, ani trochę nielakierowanej okładce. Strony u Manna były pożółkłe, u Białoszewskiego szarawe, papier gazetowy, ale czcionka wyraźna, mało błędów, staranna korekta. To były książki, które wtedy razem czytali. Wzięła do ręki *Królewską Wysokość* i otworzyła ją, tak jak to robili w Święćmierzu przy śniadaniu, traktując otwarty przypadkowo tekst jak wróżbę na cały dzień.

Głos Bartka czytał w jej głowie fragment o śmierci Jana Albrechta III i obrzędach funeralnych. Pamiętała, jak ich to śmieszyło. Świece i kandelabry na wysokość chłopca! Trumna przeniesiona przez ośmiu lokajów do przedsionka, przez ośmiu leśniczych wstawiona do mahoniowej trumny, przez ośmiu grenadierów dźwignięta na posepnie wystrojony karawan zaprzężony w szóstkę koni, ruszyła do mauzoleum, przy biciu dzwonów i salwach armatnich. Gnił tam Albrecht III albo suszył się, o ile był zabalsamowany. Bartek spopielały miał wielką moc. Ciało, głos, śmiech, dłonie przewracające kartki. Pogrzeb lepszy niż karawan z szóstką koni. Słoik zakopany na polanie w lesie, pod dębem, przykryty kamieniem, a teraz urna z prochami, stojąca na półce, to lepsze wyjście.

## ADELA POD ŚCIANĄ

Rozmawiały z Adelą o tym, jak się przygotowuje materiały w tak zwanych ambitnych tygodnikach opinii. Na szczęście nie we wszystkich, ale Adela trafiła na taki. Zgodziła się udzielić wywiadu na pewien ważny temat. Dziennikarka robiła dobre wrażenie. Wyglądała na przygotowaną, coś czytała, a przynajmniej miała pojęcie, czym się Adela zajmuje. Powiedziała, że do materiału będą potrzebne zdjęcia. Adela mówi, że ma fotografie z różnych sesji, coś się wybierze. Dziennikarka na to, że chodzi o portret, to nie będzie trwało długo, jej mąż jest fotografem. Po prostu pstryknie reportażowe zdjęcie. Oczywiście okazało się, że ją wrobili. Kłamliwa Suka przyszła z mężem, który ustawiał Adelę pod ścianą i strzelał do niej seriami, potem jednak zamieściła zdjęcie Adeli z mężem, które miało pogрузić małżeństwo. Na szczęście Dominik zrozumiał wstrętną intrygę, wzruszył ramionami, wiedział, czego się po piśmidle spodziewać. To był sposób działania tej redakcji. Od dawna robili ludziom takie numery. Gdy sprzedaż spada, wszystkie chwytysą dozwolone. A Fałszywa Suka dostała nagrodę za „wyjątkowo etyczne uprawianie zawodu dziennikarza” i „wysokie standardy moralne” czy coś w tym guście. Zastanawiano się, jak do tego doszło, czy dała komuś dupy, czy trzymała haka na jurora, w każdym razie środowisko miało uciechę. Komentowano szeroko to moralne

wyróżnienie. Następnym razem było zabawniej.

Adela zgodziła się tylko na wywiad. Nie dało się uniknąć „szybkiej sesji”. Zatelefonowała stylistka, która domagała się jej wymiarów, bo musi wypożyczyć dla niej ciuchy. Wiadomo, o co chodzi. Pod zdjęciem albo z boku materiału umieszcza się podziękowanie eleganckim sklepom za wypożyczenie rzeczy. Adela trochę się wkurzyła, bo wywiad stał się mniej ważny niż sesja. Dziewczyna mówi: Możemy w spokoju porozmawiać po sesji. Chyba znajdzie pani dla mnie dodatkową godzinę? Miała ochotę odmówić, ale cel był szlachetny. Ekipa sympatyczna, dobrze się z nimi pracowało, a wywiad i foto wyszły dobrze. Zwykle też jest tak, że nie płaci się bohaterom wywiadów, chyba że są ulubienicami mediów, „laseczkami”, laleczkami Barbie, może tancerzami. Inni nie dostaną ani grosza. Upasą się na nich trutnie, fotografowie, redaktorki robiące słodkie wywiady, no i oczywiście „bohaterowie zaplecza”, ci, co nie muszą palcem kiwnąć. Zarządy, rady nadzorcze, dystrybutorzy. Oni z pewnością nie zrobią nic za darmo, choć cel szczytny i charytatywny. „TopWoman” dawał sporo pieniędzy na program „Kancelaria Adwokacka”, kącik prawniczy dla kobiet w potrzebie. Adela podziwiała Ewitę i od razu zgodziła się, gdy ta zaproponowała jej pisanie felietonów do magazynu. Za godziwą opłatą. Adela się zgodziła. Dzięki temu zrobiła się znana. Napisała popularną książkę, która sprzedała się świetnie. Zrobiono dodruk. Zarobiła sporo. Natomiast poważne powieści, które pisała, czytelniczki uznawały za zbyt trudne i skomplikowane. Zdarzyło się coś jeszcze. Skutek uboczny. W związku z pisaniem kobiecych felietonów krytycy upchnęli ją do szufladki z literaturą popularną. A więc innych powieści Adeli w ogóle nie czytali. Lecą schematami, to prymitywy, myślała z niesmakiem. Jednak nie żałowała, że zaprzedała duszę diabłu, czyli rynkowi.

– Wiesz, czuję się wolna, mam własne, stałe pieniądze, nie



muszę czekać, aż wpłynie coś za książkę, bo to zawsze się ślimaczy, nie bluszcze się na Dominiku – powiedziała do Ewity.

Krytyków uznawała za skorumpowaną bandę, piszącą wzajemnie o sobie, popierającą nadmuchiwane, wykreowane przez siebie wielkości. Popierali tych, których sami uznali za wielkich. Żeby zasłużyć na miano klasyka, trzeba było pisać długie i nudne książki, pełne nawiązań do filozofii, której trochę liznęli, dzięki temu zachowywali pozory mądrości. Część po latach posługiwania „wielkim autorom”, podawania im półmisków wreszcie doczekała się zaproszenia do pańskiego stołu, wyjścia z kuchni, gdzie pożywiali się resztkami. Mogli w końcu zająć miejsce przy nakrytym białym obrusem literackim stole. Teraz dopiero zaczęli naprawdę rządzić. Osadzali się w różnych gremiach. Jako jurorzy przyznawali nagrody swoim faworytom albo, gdy sami pisali prozę lub wiersze, nagradzali innych jurorów, dostając od nich w zamian to samo. Tak to się kręciło. Było trochę rzetelnych, wytrawnych znawców literatury, dla nich jednak rzadko znajdowała się jurorska fucha. Dopóki nagrody były dyplomami czy miały wysokość żebraczej zapomogi, było okej. Gdy jednak zaczęto przyznawać honory ze sporą sumą, z której można było przez jakiś czas żyć, walki o szmal przybrały na sile. Biły się także wydawnictwa. Przypominało to tajne walki psów, organizowane przez gangsterów przyjmujących zakłady. Biedne, słabsze, psiska padały zagryzione, na polu bitwy zostawały te okrutne, stroszyły sierść i pokazywały kły. Panoszyły się, przynosiły fortunę właścicielom. Przeważnie gangsterom. Może w światku wydawniczym przebiegało to nieco łagodniej, bez gangsterów, bo pieniądze były dla nich zbyt małe, dosłowny trup się nie ścielił gęsto, ale mechanizm był podobny.

Ewita знаła oba rynki i wydawców, wiedziała, kto jest przyzwoity, a kto kiepski. Dostrzegła podobieństwa rynku wydawniczego z rynkiem pism komercyjnych. Drukowanie książek było „z wyższej

półki”. Mówiono o tym z „ę” i „ą”, jak z małym paluszkiem trzymającym uszko, odgiętym przy picciu kawy, och, my wydajemy tylko rzeczy z wyższej półki, ach, jednak, niestety czasami musimy wziąć coś popularnego. Wymogi rynku są nieubłagane. Och, to okropne, do czego się nas zmusza!

– Wiesz, co znalazło się na pierwszym miejscu listy bestsellerów powieściowych? – spytała Ewitę Adela, gdy znów siadły przy kolacji.

– Nie mam pojęcia, nie miałam dziś czasu zerknąć.

– Tysiąc fiutów jakiegoś Greya czy coś podobnego – naśmiewała się z lekką goryczą Adela.

Z drugiej strony było w tym coś pozytywnego, ogromne zapotrzebowanie na seks w dewocyjnym kraju. Wydawanie chlamu dawało możliwość wydania porządnej książki, zarabiała też na pensję dla załogi. Wydawcy załamywali ręce, mówili, że rynkiem rządzi „wieśniacza elegancja”, ale, cóż, robimy to, by ratować rynek książki. Taka była prawda o naszym popycie i podaży. Tego domagała się publika! Na szczęście były oficyny, które drukowały naprawdę świetne książki. Mało, ale smacznie. Na razie nie upadały.

– Jak to się dzieje, że w innych krajach ludzie czytają o wiele więcej, dziesięć, dwanaście książek na łba rocznie, a u nas, gdzie jest tylu ludzi „w pretensjach”, jak mawia moja matka, gdzie prawie każdy czuje się skrzywdzony, bo robi nie to, co powinien, jest stworzony do czegoś lepszego, tu czyta się jedną książkę rocznie! I to wówczas, gdy trafi się lepszy rok. Bo zwykle tylko pół. Ćwoki nie dowierzają, że czytanie ma jakąś moc, że rozwija i może pomóc w znalezieniu lepszej roboty – żaliła się Adela.

Obie z Ewitą doszły do wniosku, że metody działania w przypadkach wszystkich wydawnictw, książkowych i tych wydających kolorowe magazyny, prasę polityczną i społeczną, były takie same. Korporacyjne.

– Ostrzegam cię, jak tylko twoje felietony zaczną się pojawiać co miesiąc na kolumnie, a wszystkie Naczelne Suki zwiedzą się o tym, że piszesz dla mnie, będziesz u nich spalona – mówiła Ewita.

– Przecież nie mam u ciebie etatu, nawet ryczałtu! Jestem nadal wolnym strzelcem – dziwiła się Adela.

– To nie ma znaczenia, piszesz dla mnie, będziesz niewidzialna, zdehumanizowana, staniesz się przedmiotem niewartym wzmianki w ich pismach, bez względu na to, o czym piszesz i jak to jest ważne.

Tak też się wkrótce stało. Dodatek do wielkiej gazety codziennej zajmujący się sprawami kobiet przez lata nie zająknął się o istnieniu Adeli, o żadnej z jej kolejnych książek, ani popularnych, ani ważnych powieści. Tego płotu nie dało się przeskoczyć.

– Wałęsa przeskoczył płot do wolności, mógł nawet zostać prezydentem, jednak gdyby dali mu kolumnę i pisałby tekściki w jednym z ważniejszych pism kobiecych, w innych miałby przechlapane? – spytała Adela.

– Między korporacjami stoi mur berliński, gdybyś usiłowała go sforsować, zostałaby z ciebie krwawa plama, medialna ubecja czy korporacyjne Stasi by cię załatwiło. Na początku szefowania usiłowałam nie ulegać tej presji. Potem nie było wyjścia. Korporacja jest korporacją i ma swoje prawa. Nie obowiązuje tu żadna kobieca solidarność – odparła Ewita.

Adela była kiedyś na spotkaniu redaktorek naczelnych pism kobiecych. Pewna rzeczniczka do spraw równości kobiet chciała, by Adela jej doradzała. Rzeczniczka w randze ministra, myślała, że uda się forsować pewne ważne społecznie tematy ponad podziałami, docierać do kobiet. Domagała się solidarności w pisaniu o istotnych dla kobiet sprawach, także o przemocy, równouprawnieniu i tak dalej. Adela powiedziała wtedy głośno, że nie widzi solidarności, popierania piszących kobiet. Na to naczelna tego wielkonakładowego, darmowego dodatku mówi, że to narzekanie,

jojczenie, że ona widzi coś wręcz przeciwnego, coraz większą solidarność.

– To ciekawe, dlaczego nikt u was nigdy nie wspomniał o żadnej mojej książce? Nawet o tej ostatniej, ważnej dla kobiet? Po prostu dla was w ogóle nie istnieję. Moje nazwisko nigdy się u was nie pojawiło! Taka jest wasza solidarność. Korporacyjna – powiedziała Adela.

– Jak to? To niemożliwe. Ja jestem od niedawna naczelną. Sprawdź to – broniła się redaktorka.

Gdy się okazało, że Adela ma rację, po dwóch czy trzech tygodniach jej nazwisko pojawiło się w liście od czytelniczki, że owa czytelniczka uważa Adelę za swój ideał, że wzoruje się na niej... I potem raz jeszcze, także przez kwiatek, czyli w liście do redakcji. Pisarka uznała, że albo miały takie nieopublikowane wypowiedzi w szufladzie, albo same to napisały, żeby mieć „podkładkę w razie czego”. Uznały, że Adela jest Bezczelną Suką, przekroczyła granice przyzwoitości, zabierając głos w swojej sprawie. Ta Wredna Suka Ewita polubiła Bezczelną Sukę Adelę. Spotykały się coraz częściej. Były szczerze, zaczęły się nawet sobie zwierzać. Dużo także rozmawiały o piśmie i o pracy. Kilka razy Ewita chciała powiedzieć jej o tym, co się stało pewnej sobotniej nocy, ale w końcu uznała, że jeszcze nie czas. Wiedziała, że mogłaby do niej zatelefonować, nie chciała jednak obciążać nowej przyjaciółki, robić z niej „telefonu zaufania”. Miała to w zanadrzu. Najpierw postanowiła polecieć do doktora Bechsteina wyciągnąć się za uszy z depresji.

## STRZAŁA CZASU

Adela miewała dobre pomysły, które Ewita wykorzystywała. Wiele czasu spędzały razem. Naczelną konsultowała się z pisarką także w sprawie forsowanej ostatnio „mody na starość”, jak nazywały nowy trend. Adela jako jedna z niewielu kobiet była „za”. Uważała, że to się sprawdzi. Brutalna walka o czytelnika toczyła się przez cały czas, bez wytchnienia. Walczono także o reklamy, zapewniały życie medialne. Okładki żółtej prasy, czyli najbardziej poczytnych brukowców, walczyły o pierwszeństwo z ambitnymi pismami. Jedne i drugie prześcigały się w epatowaniu makabrą, nawet śmiercią. Stawały się coraz bardziej okrutne, nie oszczędzały ludzkiej wrażliwości, wchodziły w twarze płaczących na pogrzebach, fotografowały otwarte rany, poćwiartowane zwłoki, z roku na rok łamano kolejne tabu. Najlepiej sprzedawały się masakra i seks. W porównaniu z tytułami społecznymi pisma kobiece pochodziły z nieco innego świata. Kobiety nie chciały w magazynach oglądać masakrowanych ciał. Seks owszem, ale delikatny, przez muślinowy welon. Od pewnego czasu pojawiała się nagość. Usta i uda rozchylone, nagie piersi ze sterczącymi sutkami mówiły o gotowości, o podnieceniu, pokazywały, jak wabić, żeby zwabić. Zapraszały do wejścia. Najbardziej szokowały okładki z fotografiami nagich aktorek w ciąży. Jednak Ewita nie pokazywała takich zdjęć.

Okładka musi zażyć, bo sprzedaje numer – to był koronny argument najcięższego kalibru. Na każdym kolegium o tym mówiono. Rozebrane piękności z fotoszopu pokazywały nogę w rozcięciu spódnicy albo dekolt. Musiały być młode. Dlatego jak dotąd żadna aktorka powyżej pięćdziesiątki nie znalazła się na okładce. Bywały dobrze zachowane czterdziestki, z poprawionym owalem, podbródkiem i szyją. Ewita mogła sobie pozwolić co jakiś czas na wywiad ze starszą aktorką teatralną.

– W końcu nasze pismo jest numerem jeden, trochę kultury nie zawadzi – mówiła na kolegium, gdy słyszała szmer protestu.

Numer ze wskazówkami ubierania się dla kobiet sześćdziesiąt plus rozszedł się doskonale. Na okładce znalazła się jednak modelka z twarzą grzesznej dziewczynki, z zachęcająco rozchylonymi ustami i dziecięcą szparą między zębami. Ewita poszła na ustępstwo. Uważała, że redakcja oraz publika muszą dojrzeć do starych twarzy na czole numeru. Po modzie na geriatrię, jak kpiąco mówiono, sprzedaż pisma podskoczyła o siedemnaście procent. Przyszły setki listów chwalaących ideę ubierania seniorek. Na blogach taka moda już się prezentowała. Inne pisma, także te, które wcześniej naśmiewały się z pomysłu, po dwóch miesiącach już szły tą samą drogą jak owce w kierdlu za juhasem.

Ewita miała nosa do zmian i nie bała się ich. Codziennie w lustrze widziała swoją twarz. Zmarszczki nad ustami. Jeszcze nikłe, płytkie, ale już są. Znała własne ciało, patrzyła bez emocji na swoje nagie odbicie w wielkim lustrze, na ścianie naprzeciw wanny. Dało się zauważyć łagodny cellulitis. Nieagresywny, choć już widoczna była „skórka pomarańczowa”, jak z eufemistyczną łagodnością określano nieuleczalny, rzekomy symptom starości. Kosmetyczki i dermatolodzy tak kamuflowali prawdę, tak nazywali nierówności skóry, małe wgłębienia w tkance tłuszczowej. Wzięła serię masażu, wklepywała posłusznie nawilżający krem. Nie

pomagało. Miała dostęp do najlepszych kosmetyków, testowała różne firmy. Mimo reklam, jakie zamieszczała na kolumnach, wiedziała, że nie ma na to rady. Dała więc spokój. Woląa długie, czasami piętnastokilometrowe spacerzy z Adelą po lesie, to dawało lepsze efekty. Twarde uda, wyrobione łydki. Czasami razem ćwiczyły brzuchy. Nie było źle. Nie przejmowała się zbytnio.

Pamiętała siebie z czasów Bartka, wiedziała, że strzała czasu nie odbije się od ściany, nie wróci do początków. Zresztą komu miałyby pokazywać piękne ciało? Przy tych pospiesznych aktach w przyciemnionym świetle i tak nic nie było widać. Znała się na seksie. Bielizna załatwiała sprawę. Umiała się ubrać i odpowiednio rozebrać. Czas i te zmiany spowodowały, że wyczuła tendencję do szanowania starości. A jeśli dodatkowo można zrobić na tym interes? Tym lepiej. Pomagały jej częste podróże do NY czy Londynu, bo to były dla niej dwie stolice mody. Może jeszcze Mediolan, dopiero później Paryż. Niedawno poleciała z Antkiem do Japonii na wspaniały pokaz Burberry, dziesiątki, a może setki tancerek i tancerzy, balet w trenczach z firmowymi parasolami w najśłynniejszą kratę świata, a do tego muzyka, najlepszy brytyjski pop. To był rozmach nieosiągalny w kraju. Teatry modowe lubiła najbardziej. W Tokio spotkała się ze specami z branży, obserwowała ich, uważnie słuchała, co mówią. To miało wartość. Antek w tym czasie szlajał się z japońskimi biznesmenami. Poznał, co to *mizu siobei*. To kamuflaż, styk biznesu, prostytutki i hazardu. Tam załatwił dwa poważne kontrakty. Wyjazd słono kosztował, ale *per saldo* był opłacalny.

Trzeba się teraz z nami liczyć, nie można już starych kobiet traktować tak jak dawniej. Mamy własne pieniądze, jeśli chcecie je od nas wyciągnąć, musicie nam dać to, czego żądamy, powiedziała Jane przygotowująca wykroje dla Burberry. Mówiła do bardzo młodego prezesa firmy, Christophera, który projektował wyjątkowo

piękne ciuchy. Był gejem, ale umiał jak mało kto podkreślać kobiecość. Zgodził się z tym, Ewita też przytaknęła. I zapamiętała. Miała podobny pogląd. Sądziła, że wiele kobiet ubiera się głównie dla siebie i dla innych kobiet, ma poczucie smaku, nie myśli o tym, a może nie tylko o tym, żeby się przypodobać facetom. Kokieteria z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziś po prostu śmieszny. Wiele dziewczyn, zwłaszcza tych po czterdziestce, lubi piękne ciuchy, bez ubocznych myśli, jakie wrażenie wywiera to na facetach. Takich, które strojem eksponowały tyłek, nogę, dekolt, żeby stać się obiektem pożądania, było trochę, jeszcze zostały z poprzedniej epoki. Jednak powoli z tego wyrastają, bo skutki są opłakane. Mija kilka lat i przestają się liczyć na seksualnym kiermaszu niewolnic. Może metodę na tyłek i nogę stosują laski, młode dziewczyny, wchodzące dopiero na rynek pożądań, oraz te, które polują na męża w starym stylu, według recept matek i babek, one jednak muszą się nosić w miarę skromnie. Najbardziej żalosne, godne współczucia były chyba te grubo po czterdziestce, które schodziły już z rynku. Z każdym przybywającym rokiem wkładały krótszą spódnicę i pogłębiały dekolt. Narazały się na śmieszność, litość, a to jak wiadomo zabija pożądanie. Chyba że czuły się z tym świetnie i nie obchodziło je, co kto myśli. Taka była Gabrysia Mżawka, i to miało wdzięk.

\*

Ewita umiała się zorganizować. Przygotowywała sobie zestawy ciuchów odpowiednie do pory roku. Dziś rano przed odlotem zdjęła z drążka „samolotowy” zestaw podróżny. Oddychająca bielizna, miękki stanik, dzianinowa, niemnąca sukienka z MaxMary, trencz Burberry, kupiony za pół ceny w Londynie, po pokazie. Nosiała



wygodne pantofle Tod's, w ręku trzymała dużą torbę Hermesa, którą dostała w prezencie, sama nie kupowała dodatków w księżycowych cenach. Wolała, przez pamięć o Bartku, dawać kasę na hospicjum, fundować stypendia dla dzieciaków z mazurskich wsi, których rodziców nie stać było na miesięczny bilet. Nikt w redakcji o tym nie wiedział, wolała być w ich oczach Wredną Suką, egoistyczną i zimną jak Królowa Śniegu z *Baśni* Andersena. Dziewczyny zazdrościły jej nie tylko ciuchów, które nosiła, ale też sposobu noszenia. Luzu mimo wszystko. Nawet walizka lotnicza była odpowiednia w kolorze. Dopasowane buty, torby, rękawiczki. Wszystko wisiało i leżało na półkach w garderobie. Tworzyło modową formację, wystarczyło wypełnić strój ciałem. Nosiła Kenzo, YSL, Stellę. Swój „perfekcyjny wygląd” uznawała za własną drugą skórę, uniform służbowy, rodzaj munduru. Była na tyle potężna, ustawiona i bogata, że nie musiała stosować się do obowiązujących, pretensjonalnych dress codów, z obcisłymi kostiumikami, szpilkami na cienkich dwudziestocentymetrowych obcasach, które powodowały kaleki chód. Ostatnio z tych mundurków zrezygnowały nawet korporacje, w modę weszły miękkie, oddychające sukienki. Ewita stworzyła prosty własny styl. Bezpieczna czerń, sporo szarości, granat, biel, beż, eleganckie pantofle, w których można było chodzić. Żywe kolory jedynie w dodatkach, w apaszkach, torbach, rękawiczkach, szalach. Liczyła się jakość. I wygoda. Nie była snobką.

## DEPRESJA WREDNEJ SUKI

Zdarzało się, że będąc w depresji, tonęła w beczce ze smołą, a musiała wyjść na spotkanie biznesowe, miała wówczas ochotę oddać to wszystko, wyjechać do Świąćmierza i nigdy nie wrócić. W takich godzinach, dniach czuła obcość w stosunku do samej siebie, wtłoczona w koleiny, po których się poruszała. Czuła się opuszczona, pozbawiona siły mięśni, nie mogła wstać z łóżka. Zaczęły się kłopoty z tożsamością. Oczywiście wiedziała, kim jest, jak się nazywa, jak wygląda, że jest Wredną Suką, naczelną ekskluzywnego magazynu „TopWoman”. Jednak to nic nie znaczyło, nawet pieniądze, które były dla niej ważne, które uważała za rękojmię wolności, nawet one odpływały. Zostawał mózg zaciśnięty w pięść, puste w środku serce z drewna, mięśnie poluzowane jak sznurki. Chciała spać. Zaciskała powieki, słyszała śmiech dochodzący z puszek, podobnie jak w paskudnych sitcomach. To sen śmiał się z niej. Odwracał się i odchodził. Zostawała sama, otulona w jedwabną pościel. Usiłowała, angażując całą siłę woli, przywołać stare obrazy z Świąćmierza, melodramat z nią i Bartkiem w rolach głównych. Pamięć się zbuntowała, była pusta. Podsuwała fałszywe obrazy. Ewita nie potrzebowała współczucia, potrzebowała powietrza, dusiła się z głową w plastikowej torbie, jednak nie mogła się udusić, żeby nic nie czuć. Wiedziała, że nie będą jej żałować.

W oczach ludzi miała zbyt wysoką pozycję, za dużo władzy i pieniędzy. Niezasłużenie. Według nich nikt nie zasłużył na więcej, niż oni sami mieli. W tym stanie była niesprawiedliwa, pakowała wszystkich do jednego worka, nie różnicowała. Czuła ich nienawiść za to, że miała więcej, że była ustawiona, miała to, do czego oni dążyli bez skutku. Bez sukcesu. Sądziła, że jej wszystko przyszło łatwo. Talent się nie liczył. To, że ma pomysły, jest lepiej niż oni wykształcona, bardziej czytana, więcej umie, pracuje od rana do wieczora. Nic nie miało znaczenia. Uważali, że ktoś ją wypromował. Może Żydzi. Albo doszła do władzy ciałem, dając dupy komu trzeba. Psim swędem. Większość chorych z ambicji ma przekonanie, że nikt oprócz nich na nic nie zasłużył. Gdyby wiedzieli, co się z nią dzieje, uznaliby, że jest jednak jakaś sprawiedliwość, coś, co sprawia, że Bogata Suka cierpi. Pewnie uznawali, że posiadacze mają lżejszą śmierć, nawet jak wiją się w bólach w ostatnim stadium śmiertelnej, nieuleczalnej choroby, gdy już nie pomaga morfina, gdy wyłamują sobie palce, to i tak są w lepszej sytuacji, zasługują na każdy rodzaj tortur za to, że mieli kiedyś, czy nawet mają do samego końca, więcej niż oni.

Wiedząc o tym wszystkim, nie widząc odsieczy, pewnej sobotniej nocy spojrziała w dół.

## GABRYSLA MŻAWKA

Gabryslia Mżawka była w redakcji postacią ważną. Mówiono o niej „niezły aparat”, nazywano też Cynglem Wrednej Suki Ewity. Uznawana w redakcji za szpiega naczelnej, była najzdolniejszą Suką w całej redakcji, a może w całym imperium. Kiedyś zarzuciła Ewicie snobizm. Długo monologowała na temat ciuchów, mówiła o jej butach i torbach, kieckach i płaszczach, wymieniała marki, zupełnie jakby robiła pośmiertny remanent szafy Naczelnej Suki, żeby wybrać coś dla siebie. Aż zniecierpliwiona Ewita uniosła rękę i wskazała jej drzwi. Znały się bardzo długo, więc Gabi mogła sobie pozwolić na więcej niż inni, jednak bez przesady. Któregoś dnia przyszła do gabinetu szefowej omówić swój jak zawsze za długi tekst i zobaczyła, że Ewita zdjęła kardigan i małymi nożyczkami do manicure odpruwa metkę MaxMary przy kołnierzu.

– Co robisz?! Odpruć taką metkę? To szaleństwo! – zawołała Gabi.

– Drapie mnie w szyję, przyszywają metki sztywną, nylonową nicią, już im to mówiłam, ale wciąż to robią. Zresztą, co to zmienia? Z odprutą metką to ta sama marka – powiedziała Ewita.

– Daj mi ją, OK? Przyszyję sobie do czegoś – poprosiła Gabryslia.

– Dam ci coś lepszego, dostałam ciuch Armaniego, kolor mi nie odpowiada. Przymierz.

Ewita powstrzymała się od złośliwego komentarza na temat

snobizmu. Wyjęła z redakcyjnej szafy torbę, a z niej kurtkę Armani Jeans. Od dawna nie nosiła młodzieżowych, Gabi takie uwielbiała. Była szczęśliwa, mierząc przyciasną, krótką kurteczkę.

– Przesunę guziki i będzie super! Nie uważasz? – spytała *pro forma*.

– Jasne. Najważniejsze, że dobrze leży w ramionach, wcale nie musisz się zapinać.

Wiedziała, że Gabrysia ma złożoną osobowość, z jednej strony paskudny charakter, z drugiej złote serce dla biedaków, którym pomagała, złorzecząc, że są głupimi, niewdzięcznymi menelami i się nie myją. Pomaganie z obrzydzeniem było wyższą formą pomocy niż obłudny altruizm i liczenie na pochwały. Gabi niedawno pochowała matkę, miała ciężkie, samotne życie. Długo nie mogła się pozbierać po swoim małżeństwie. Ciągle szukała kogoś odpowiedniego i nie mogła znaleźć. Ewita czuła z nią pewien rodzaj odrębnej wspólnoty. Tak jak przyjaciele mający wspólne mieszkanie, do którego prowadzą dwa odrębne wejścia. Nie widują się, mijają dni, tygodnie, ale gdy się dzieje coś złego, wystarczy zapukać w ścianę i można liczyć na pomoc. Dawała jej często kosmetyki i ciuchy spływające na redakcję z różnych firm. Parę dni temu wysłała ją do Indii, żeby Gabi przygotowała materiał o hinduskich kobietach w polityce i odetchnęła po pogrzebie matki. Jej matka była ciężarem, kłóciły się stale, bywało, że miesiącami ze sobą nie rozmawiały. Gdy żyła, córka mówiła, że jej szczerze nienawidzi, z wzajemnością, że matka jest Podłą Suka, która oddała ją na wychowanie do sióstr, żeby pozbyć się dzieciaka z domu. Jednak gdy umarła, Gabi wcale nie odetchnęła, nie poczuła się lepiej. Przeżywała prawdziwą żalobę, może nawet głębszą niż te córki, które były związane ze swoimi matkami, oddane im, spełniały obowiązki, jednym słowem osoby kochające. Przynajmniej nie miały wyrzutów sumienia. Matka nigdy nie zapytała, co się działo za

klasztornym murem, w jaki sposób siostry, te Bogobojne Suki, ją wychowywały. Nie interesowało jej życie córki w internacie, podwójne życie. Podobnie jak matka Ewity nie interesowała się tym, co działo się z córką, gdy jej nie było w domu. Gdzie podróżowała, z kim się zadawała. W klasztornej internacie Gabi nauczyła się dużo dobrego, ale i wiele złego, potrafiła kłamać w żywe oczy, oszukiwała, kogo się dało, wazelinowała, gdy zaszła potrzeba. Wszystko, żeby uniknąć kary. Upokarzania, deptania godności. Stąd brały się jej rozległe kontakty, bo wyczuwała jak suka w cieczce, co kto chce usłyszeć. Choć spotkała też ludzkie siostry, które pozwoliły jej przetrwać i nauczyły ją dobra. Tak więc pomagała wielu ludziom, nie lubiąc ich i widząc wady, „małość człowieczków”, jak mówiła. Załatwiała im renty, czasem mieszkania komunalne. Kalekom wózki. Bez sentymentu. Ewicie trochę o zakonnicach opowiadała. Matce nigdy nic. A jednak gdy ta zamknęła oczy, jak się pięknie mówi, choć wyglądało to zupełnie inaczej, Gabrysia nie oszczędziła swojej naczelnej żadnych szczegółów; na temat fizjologii śmierci wiedziała wszystko. Miała umysł reporterki, niestety ta wiedza i te talenty nie przydawały się w damskim magazynie. Zwykle bywa tak, że dobre dziennikarki „dla chleba” piszą pod pseudonimem o „dupie Maryni” do dziesiątek pisemek, jakie pojawiają się na rynku gęściej niż grzyby po deszczu, mają ciągle dobrą pogodę, publika jest nienasycona, więc można dorobić, pisząc łzawe lub okrutne historyjki z życia całego tego szolbiznesowego tałatajstwa. Gabrysia Mżawka jest przykładem czegoś odwrotnego. Pod pseudonimem pisała świetne reportaże z hospicjum, publikowała wywiady z więźniami, opisywała przemoc wobec kobiet i dzieci. To ona zrobiła wstrząsający materiał o nieletnim, który zabił ojca, stając w obronie katowanej przez wiele, wiele lat matki.

Po dwóch, trzech dniach, jakie upłynęły od pogrzebu matki, Gabrysię dopadł ciężar niespełnionych uczuć, niedopełnionych

obowiązków. Także samotna śmierć matki, którą rzadko odwiedzała w szpitalu, spowodowały ciężką depresję. Łykała prochy, leki uspokajające i pobudzające. Nie spała, nie mogła jeść, z czego się cieszyła, bo traciła na wadze, ale nie było to zdrowe chudnięcie. Ciało obwisło, twarz poszarzała, cera się zepsuła, wylażyły jej włosy. Ewicie zrobiło się żal niktnej w oczach Gabi, obawiała się, że źle skończy. Bardzo długo ją znała, najdłużej ze wszystkich zatrudnionych w redakcji. Dawno temu pracowały razem przy powstającym wtedy kanale telewizyjnym dla kobiet. Gabrysia była wówczas młoda, właśnie wyszła za mąż za Plastikowego Feliksa, bardzo bogatego producenta plastikowych elementów, na które było bardzo duże zapotrzebowanie. Zaczął od figurek kotków, lalek, doniczek. Potem robił obcasy oraz podeszwy, wreszcie krzesła z białego plastiku w stylu Ludwika XIV, aż w końcu obudowy do elektroniki. Trafił w punkt. Gabrysia była zdolną dziewczyną z blokowiska. Dobrze się uczyła, zdała maturę, poszła na polonistykę. Zaczęła uczyć w szkole podstawowej, ale nie znosiła tej roboty. Według niej koleżanki nauczycielki były nudnymi, Sadyścycznymi Sukami, które znęcały się nad słabszymi, nauczyciele to na ogół nieudacznicy, przeczekujący w szkole czas do emerytury. Ucząc, szukali lepszego zajęcia. Gdy się trafiło, odchodzili. Była w swoich sądach równie ostra, jak niesprawiedliwa. Miała zamiar „obnażyć ten syf”, napisać kiedyś książkę o siostrach zakonnych i nauczycielkach. Spróbowała pisać teksty do kobiecych pisemek, które powstawały. Gdy zaczęła się przy nowym kanale telewizyjnym, rzuciła lekcje. Wtedy właśnie poznała Ewitę, wówczas szefową redakcji programów rozrywkowych.

Marzeniem Gabrysi stał się własny kąt. Gdy wreszcie wzięła kredyt i kupiła mieszkanie, urządziła je w swoim ulubionym stylu. Mnóstwo pluszu na fotelach i kanapie, koronkowe firanki, brokaty jako zasłony, dużo metaloplastyki, giętych lamp z witrażowymi

abazurami. Wielki płaski telewizor w dużym pokoju, dwa małe, w kuchni i w łazience, wszędzie radia. Gdy wracała do domu, natychmiast włączała wszystko, co grało, gadało, pokazywało obrazki. Zabijała samotność, słyszała głosy ludzi, dogadywała im, dialogowała z nimi. Dziwaczała. Jej mieszkanie nie było ani trochę nowoczesne, ale w jego modnych minimalistycznych wnętrzach wszyscy dobrze się czuli. Wygodnie się tam siedziało. Wkrótce była już znaną dziennikarką, robiła wywiady z ważniakami. Znała wszystkich, i sama była rozpoznawalna. Jedno z pism chciało mieć wywiad ze znanym przemysłowcem. Chodziło także o reklamy, które ciągnęły się za producentem.

Plastikowy Feliks nie udzielał wywiadów. Nie cierpiał dziennikarzy, uważał, że węszą i bał się, że coś wywęszą, bo miał na sumieniu przekręty. Zwłaszcza z początku swojej kariery. Ochroniarze bronili dostępu do swojego pana. Nikomu dotąd nie udało się namówić go na rozmowę i zdjęcia. Pismo wyznaczyło do tego zadania Gabrysię. Wiadomo było, że ona ma sposoby, jest w stanie przekonać każdego. Ewita wiedziała, że Gabi jest Namolną Suką, potrafi to, czego inni nie umieją. Gabrysia próbowała dostać się do jego domu, do firmy, ale nie było sposobu. Wyśledziła, że raniutko, przed robotą, facet biega w Łazienkach, w tej drugiej części, od strony Podchorążych. Z ochroniarzem i psem na długiej smyczy. Lekarz zalecił mu codzienną ranną przebieżkę dla zdrowia. Pojawiła się więc w pełnym makijażu, z rzęsami sterczącymi jak druty, w obcisłym dresie, ale na szpilkach, żeby wydłużyć nogi. Dołączyła do Feliksa, biegła równo z nim, dysząc, przedstawiła swoją propozycję wywiadu i to, jak wielkie korzyści będzie z tego miała jego firma. Rozbawiły go jej determinacja i sportowa forma przedstawienia pytań. Odpowiadał, ona nagrywała. Nagle nadziała się na wystającą gałąź. Krwawiła, oko prawie wypłynęło, powieka spuchła. Nie odpuściła, jak już dopadła nababa, nie byłaby sobą,



gdyby nie doprowadziła wywiadu do końca. Feliks przystanął, zabrał ją do siebie. Wezwał lekarza. Zaimponowała mu jej twardość, sam był znany z tego w interesach. Nie ustępował nigdy. Jeśli coś zaczęła, doprowadzał do końca. Poczuł, że to kobieta dla niego. Był związany z pewną znaną modelką, której sława ostatnio przebrzmiała. Skończył tę znajomość bez żalu. Wywiad stał się dla niego początkiem nowego, bardziej intelektualnego związku.

Feliks zaimponował Gabrysi nie tylko bogactwem, lecz także sprytem i znajomościami. Znała wielu z listy stu najbogatszych. Nie rajcowali jej. Nie poszła z nim od razu do łóżka. Mimo wielu okazji.

– Seks jest dobrym narzędziem. Jednak dla mnie mógłby nie istnieć. Jeśli mam być szczerą, brzydzę się tymi odgłosami, jękami, mlaskaniem, cmokaniem. Dziwię się, że kobiety potrzebują pieprzenia – wyznała wtedy Ewicie.

– Ja potrzebuję – odpowiedziała Ewita. Miała akurat suczy popęd, który zabijał samotność.

Gabrysia, odwołując „kotłowanie” z Feliksem, nic nie ryzykowała, a pokazała, że jest porządną kobietą, nie jest łatwa jak inne. Ze względu na kasę dziewczyny garnęły się pod plastikowego potentata, kładły się jak trawa. Wiedziała, co lubią mężczyźni, jak ich polectać cielesnie i duchowo. Odczekała jeszcze trochę, aż wreszcie uległa. Wkrótce zamieszkała z nim, bardzo na to nalegał. W pewien letni weekend zaprosił ją na kolację do pałacyku Sobańskich, gdzie zwykle spotykali się biznesmeni, politycy i różni znani ludzie. Mieli tam najlepszych kucharzy. Można było dobrze zjeść, popijając świetnym winem. Kucharz przygotował kolację specjalnie dla nich.

– Mam tu dla ciebie pewien drobiażdżek – powiedział, wyjmując z kieszeni pudełeczko. Podał jej i poprosił, żeby otworzyła.

– Och! Nie mogę tego przyjąć! – Zobaczyła brylant wielkości fasoli Jaś.

– Zapewniam cię, że możesz. Jako moja przyszła żona. – Włożył jej pierścionek na palec i pocałował w rękę. W taki tradycyjny sposób odbyły się oświadczenia.

Tego się nie spodziewała. Zyskała nagłe poczucie własnej wartości. Dopiero potem zaczęli się schodzić jego klienci, znajomi z różnych sfer. Urządził wieczór zaręczynowy. Wzięli ślub. Cywilny. Nie mogli wziąć kościelnego, bo Feliks był wcześniej dwukrotnie rozwiedziony. Gabrysia zastanawiała się, jak to możliwe, że nic nie wiadomo o jego poprzednich żonach. Potem, gdy rozmawiała z Ewitą, żartowała, że chyba mieszkają sześć stóp pod ziemią. Przeprowadziła małe śledztwo, nie zakończyło się sukcesem. Nie poznała nikogo z jego rodziny, twierdził, że jest sierotą, wychowanym w domu dziecka. Ona też nie poznała go z nikim. Siostra Gabrysi mieszkała w Australii, z matką kontaktów nie utrzymywała, były wówczas w stanie wojny, bez możliwości rozejmu. O ślubie Gabrysi jej matka dowiedziała się z kolorowych gazet. Wkrótce Gabi przeniosła się do jego pięciopiętrowej willi wielkości kamienicy. Ogród, park, podjazd. Stajnie. Ktoś mu to wszystko urządził. Doradcy różnej maści, bo sam nie znał się na sztuce. Kupował obrazy jako lokatę kapitału. Architekci wewnątrz pracowali rok nad wystrojem, żeby mógł pokazać domostwo gościom. Miał dużą głowę na chudym karku, pochylał się pod jej ciężarem. Żyłasta sylwetka zdradzała siłę. Dbał o kondycję, biegał i ćwiczył na siłowni, którą urządził w piwnicach. Żyłaste kończyny, napięte mięśnie rysowały się pod skórą, bez grama tłuszczu, właściwie bez ciała na kościach. Miał duże ręce, jak żelazne imadła. Gdy chwycił Gabrysię za nadgarstki albo za ramię, pojawiały się siniaki. A chwycił często, bywało, że w złości. Po roku miała go dość. Nie należała do ofiar, wyniosła się z bogactwa, uszczknawszy co nieco, bo rozstali się „polubownie”, pozostając w umiarkowanej przyjaźni. Znow była sama, wracała do pustego mieszkania, które jej

kupił, włączyła telewizor i tak jak dawniej dialogowała z ekranem. Nie cierpiała z tego powodu bardziej niż siedząca samotnie w przedziale pasażerka pociągu dalekobieżnego.

Podróżny, który dosiadł się na jednej ze stacji, po prostu wysiadł.

## FASHION WEEK

Z racji swego zajęcia Ewita często bywała na światowych tygodniach mody, obserwowała wybitnych projektantów, pokazujących się na wybiegu po pokazie. Mężczyzn i kobiety. Prawie wszyscy w czerni i bieli. Zawsze skromny, kłaniający się Kenzo, teraz też jego młodzi uczniowie i uczennice. Armani w czarnych dżinsach i takimże podkoszulku, ewentualnie w białej, rozpiętej koszuli. Tak jak Dolce&Gabbana, uwielbiana para modowych gejów. Ciekawe, że właśnie w tym świecie, uznawanym przez większość ludzi za głupi i sztuczny, mogli czuć się bezpiecznie. Trochę tak, jak w seminariach klerycy i księża czy w klasztorach zakonnicy. Sytuacja gejów modowych była o niebo lepsza, mogli pokazywać, a nawet afirmować swoje gejostwo, a prawicowe partie mogły im naskoczyć na kant ich gejowskiej pyty. Nie musieli się bać, że na ulicy banda kibiców ich pobije albo poszatkuje maczetami. Żyli we własnym środowisku ludzi bogatych i tolerancyjnych, nie znajdowali się w złych miejscach o złej porze. Nie chodzili tam, gdzie mogłoby ich spotkać coś złego. Rozstania Dolce&Gabbany żywiły wiele pism. Odchodzili od siebie, ale projektowali razem, potrafili się dogadać. Byli wzorem profesjonalizmu, wiedzieli, że pojedynczo, samotnie nie zwojują wiele. Ewita uważała modę tej pary za sycylijską. Wprowadzili do „Vogue’a” rozkładówki przedstawiające portrety

wielkiej włoskiej rodzinie. Śmiała się, że ta sfotografowana rodzina pachnie mafią. To właśnie u nich pojawiły się babki z siwymi włosami, dziadkowie, rodzice, a więc zjawiała się starość. Byli ze starymi młodzi i dzieci, córki, synowie, wnuki, wszyscy pięknie ubrani. Hołd oddany tradycyjnej rodzinie. Okazało się wkrótce, że D&G są przeciw małżeństwom homo oraz przeciw *in vitro*.

– Pogięło ich? O co biega – spytała Gabi.

– Jak to o co?! O szycie dla papieża i kardynałów – odpowiedziała Ewita.

Tak zwane normalne życie społeczne pomijało nie tylko gejów, ale i starych ludzi, o ile nie byli przydatni w wychowywaniu dzieci. Stara matka służyła do utrzymywania niepracujących darmozjadów, ciągle wiszących na jej emeryturze i na garnuszku. Szarobure stroje, niby spokojne, „niebrudzące”, królowały na naszych ulicach. Każde wyjście z kręgu szarości, „niepodpadania”, było wyśmiewane. To Ewita usiłowała zmienić. Próby włączenia starości w modowy obieg podejmowano już wcześniej, ale się nie powiodły, bo były ekstremalne. Pokaz mody, podczas którego defilowały modelki między siedemdziesiątym a dziewięćdziesiątym rokiem życia, zrobił trochę hałasu, jednak nie wypenił kultu młodości. Owszem były stare modelki, królowe mody od pół wieku, jednak to ciągle stanowiło ewenement. Pokazywano je szerszej publiczności od czasu do czasu, żeby się wykazać tolerancją. Ewita uważała, że sukces może przynieść jedynie wymieszanie starości z młodością, z dzieciństwem. Tak jak to robią D&G. Chociaż pokazywanie starych twarzy, obok zupełnie gładkich, jeszcze bez śladu czasu, mogło sprawić ból. Trzeba się do starości przyzwyczajać, ale to może potrwać.

Karl Lagerfeld prezentujący od lat samego siebie jako brand – markę, starzał się razem ze swoimi klientkami. Tępił nadwagę, zwalczał nadmierne kilogramy. Uważał suchą chudość za

doskonałość. Jeszcze niedawno Ewita się z nim zgadzała. Powtarzała, że można być starym, ale nie wolno być grubym. To był jej sposób ucieczki od starości. Zawołowany lęk przed śmiercią znajdował w tym ujście: póki będę szczupła, będę młoda i żywa, jak się roztyję, będę stara i zostanie mi oczekiwanie na śmierć. Przygotowywanie się na jej przyjęcie. Starość pukała do niej, ale ona ciągle nie chciała otworzyć drzwi. Wredna Suka trzyma wagę, mówiono w modowych kręgach. Zresztą przy jej trybie życia, harówce, ciągłym lataniu po świecie, zwłaszcza za ocean, nie tyła wiele, nie musiała obawiać się tłuszczu. Wahania wagi nie przekraczały dwóch kilogramów. Raz w jedną, raz w drugą stronę. Pojawiały się wątpliwości, miewała depresje. Wiedziała, że nie da się zatrzymać rozpadu. Czasami buntowała się przeciw narzuconemu sobie samej reżimowi. Właściwie dlaczego można być starym, ale nigdy grubym? Zaha Hadid nie przejmuje się swoją tuszą. Projektuje bryły, na obraz i podobieństwo swoje, jak Bóg. Masywne Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Cincinnati, pękata torba, koszmarne, chromowane buty, jakby stworzone z myślą o niepokornych gangsterach, na wzór tych betonowych, w których idzie się na dno oceanu i nie wypływa. Waza Lalique też ma jej kształty. Gruba, bezczelna i stara, według obecnych kryteriów w redakcji – ma przecież sześćdziesiąt parę lat, nosi odważne ciuchy i buty – głównie czarne. Ma mądrą twarz, wygląda na to, że wie, czym się skończy ona sama. Budowle ją przeżyją. Dekonstrukcja to jedyna możliwość w budowaniu, jedyne wyjście z życia. Jeśli Ewita komuś zazdrości, to właśnie jej. Tego wymiaru.

\*

Na okolicznościowych imprezach, jakie pismo urządza kilka razy

w roku, widywała szczęśliwych grubasów i grubaski, obżerali się pieczonymi zeberkami, gdy reszta dziobała sałatki z kiełków i niedogotowane zielone szparagi, bo takie uchodziły za szczyt wykwintnego jedzenia. Ona lubiła pieczone kacze udka, brała je do ręki, zawinięte u dołu w serwetkę, i siadała przy stole z tłustą piosenkarką i jej przelewającym się na krześle mężem. Gruba żona, gruby, utuczony przez nią mąż, z trudem wstający z kanapy przed telewizorem. W tym jego tłuszczu tkwiło ostrze jej poczucia bezpieczeństwa, o które podobno wszystkim kobietom w małżeństwie chodzi. O siłę przetrwania. Dotrwania razem do końca. Jakkolwiek to brzmi. Taki spaślak nie zerwie się i nie polecą za młodą i szczupłą, bo taka nie będzie go chciała. Chyba że jest bardzo bogaty. Akurat ten był bogaty przez żonę, która wyśpiewała majątek, jeśli chciałby odejść, zostanie z niczym. Cienkiego ostrza nie wolno było wyjmować, tak jak po bójce nożowników, trzeba znaleźć się szybko w szpitalu, z nożem tkwiącym w plecach lub blisko serca, wiadomo, że wyjęcie skończy się śmiercią z wykrwawienia. Wyjęcie zaś tego metaforycznego ostrza może się skończyć śmiercią związku. Razem tyjemy, razem się odchudzamy. Pojedyncza dieta jest bardzo podejrzana. Wręcz rozwodowa, bo rodzi się pytanie, dla kogo on się tak męczy z zielonym jęczmieniem i kaszą jaglaną? Dla kogo chce oczyścić organizm? Ewita uznała, że trzeba wprowadzić dietę dla dwojga. I jej magazyn taką lansuje. Stworzyła się moda, podobno daje to dobre efekty i scala związki. W to akurat nie wierzyła, bo nie wierzyła, że istnieje panaceum na scalenie czegoś, co się już zużyło. Można skleić, odstawić na półkę i zapomnieć, że istnieje. Skoro jednak kobiety uważają, że to możliwe, cóż, na krótką metę może zadziałać. Jak samospełniająca się przepowiednia. Albo placebo.

Podczas pokazów Fashion Week Ewita poznała wszystkich projektantów z branży. Karl Lagerfeld chodził zawsze w czarnym uniformie z wełny, jedwabiu albo ze skóry, nosił buty na podwyższonym obcasie. Do tego jego znany, charakterystyczny biały kołnierzyk. Poznała Karla podczas tygodnia mody w Londynie, na after party, podpatrzyła, jak kunsztownie był umocowany jego lśniący bielą kołnierz koszuli. Z tyłu rozcięty, oparty na stojce żakietu, bo to, co nosił, to nie były marynarki. Rozmawiając z dziennikarką telewizyjną, stał sztywno, z głową uniesioną, z podbródkiem wysuniętym do przodu. W klasycznym żółwiku, jaki obowiązuje starsze fotografowane kobiety. Lśniący kołnierzyk zasłaniał szyję, pewnie pomarszczoną. Wydawało się Ewicie, że z roku na rok jego biała stojka jest wyższa, tak jak pierścienie na szyi kobiety z któregoś plemienia. W taki sposób wydłuża się szyję, co jakiś czas mocując nowy pierścień. Jeśli ktoś chciałby ją uśmiercić, wymierzyć karę, po prostu przeciąłby pierścienie. Głowa nieszczęsnej opadłaby jak przedwcześnie zwiędły pąk, i już po życiu. Patrząc na Lagerfelda, zastanawiała się, czy zdejmuje kołnierzyk do spania, czy ma specjalne, przypinane do pizamy. Ręce chował w rękawiczkach, nawet w upał, bo kiedyś, gdy był dzieckiem, matka powiedziała mu podobno, że ma brzydkie, wielkie dłonie. Boże, pomyślała Ewita, gdy o tym usłyszała, Boże, jak ludzie są uzależnieni od matek! Świat mody pełen był dziwaków radzących sobie z własnymi słabościami poprzez projektowanie. Może nie zawsze i nie do końca, bo Donatella Versace objęła firmę, gdy jej brat został zamordowany. Alexander McQuenn popełnił samobójstwo po śmierci matki. Był owinięty nigdy nieprzegryzioną pępowiną tak bardzo, że gdy więzy puściły, nie wytrzymał i się zabił. Nie mógł żyć bez matki! Ewita zazdrościła mu trochę takiej miłości. Widocznie miał matkę, która na to zasługiwała. Prada lubiła czerni, ekstrawagancka była tylko jej ruda czupryna. Tak, jak ruda szopa



Soni Rykiel. Carolina Herrera po każdym pokazie pokazywała się w czarnej prostej spódnicy do kolan i białej bluzce. Ludzie mody ubierali innych, dla siebie mieli mundurki.

\*

Ewita brała z mody to, co jej odpowiadało. Styl Tildy Swinton, którą lud mody ubóstwiał, a niższe warstwy społeczne uważały za brzydką, bo miała wypłowiałą, jasną twarz bez makijażu, przezroczyste oczy, jasne brwi i rzęsy. Ewita pod względem urody znajdowała się na przeciwległym biegunie, była czarniawa i wyrazista, jedynie cerę miała bladą jak Tilda. Odpowiadała jej prostota kroju wygodnych, niepowtarzalnych sukienek, to niedościgły wzór. Makijaż Tildy był tak jasny, że prawie niewidoczny. Niektórzy podejrzewali, że tleni sobie brwi i rzęsy. Ewita miała ciemną oprawę oczu, czarne brwi i długie naturalnie gęste rzęsy. Dziś narzuciła luźną sukienkę podobną do noszonej przez Tildę. Kupiła ją w zeszłym roku i zabierała w podróże. Czesła gęste ciemne włosy. Paznokcie u rąk miała krótkie i jasne. Manicure japoński. Pierwszy raz zrobiła go w Japonii, gdy pojechała z Antkiem na pokaz. Jednocześnie otwierała firmę kosmetyczną należącą do imperium. Polskie firmy kosmetyczne już tam były, ale imperium dopiero raczkowało. Wchodzili na rynek bez przekonania, że się uda. Korporacja rozszerzała strefy wpływów, panoszyła się w różnych dziedzinach, należało inwestować, jednak mieć się na baczności, żeby nie przeinwestować. To było trudne. Prezes rady nadzorczej uważał, że Ewicie udało się doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca, bo ma lekko skośne oczy, czarne, połyskujące naturalnie włosy i od biedy mogłaby uchodzić za Japonkę. To prawda, gdy wychodziła na spacer po Tokio, nie zwracała na siebie

szczególnej uwagi. Zaprzyjaźniła się, na tyle, na ile możliwa jest przyjaźń w biznesie, z szefem bliźniaczego imperium. Bliźniacze było tylko z powodu profilu. Podobieństwa produktu, wydawania kolorowych gazet, sprzedaży kosmetyków. Japończycy mieli dziesięciokrotnie większe obroty, zyski niebotyczne jak tokijskie wieżowce. Przeszła specjalny kurs i nauczyła się kłaniać, tak jak zgodnie z tradycją kłaniają się dobrze wychowane, japońskie kobiety.

– Chcę sobie kupić kimono, pomożesz mi wybrać? – spytała, kłaniając się.

Zrobiła wielką przyjemność nowemu przyjacielowi. Zaprowadził ją w eleganckie miejsce, gdzie bogaci oddawali cześć tradycji. Kimono kosztowało więcej niż honda, ale Japończycy dali duży upust i dołożyli się do jej kaprysu. Dość długo chodzili po mieście, po ulicach, muzeach i sklepach. Wreszcie poprosiła o wskazanie toalety. Weszła do małego, czystego jak wypolerowana porcelana, pachnącego pięknie pomieszczenia. Zauważyła, że działa tu świetne urządzenie dla takich osób jak ona, które siusiąją po ściance, żeby nie było słycać tego ciurkania albo, gdy potrzeba jest poważniejsza, odgłosów burzy. Zwykle sięga się po sfluczkę, żeby je zagłuszyć. *Otohime*, co oznacza w tłumaczeniu „królowna dźwięku”, to urządzenie montowane w ścianie, które włącza się, emitując odgłosy Niagary. Zagłuszający wodospad tak jej się spodobał, że kupiła przenośny w specjalnym sklepie, żeby zamontować go w redakcyjnej toalecie.

Potem w małym saloniku zrobiła manicure i pedicure. Po tradycyjnym wyczyszczeniu i wycięciu skórek zamiast lakieru nacierało się paznokcie szarą pastą z alg, a na końcu sproszkowanym pudrem z jakichś stworzeń morskich. Polerowało się długo bawełnianą szmatką. Paznokcie stawały się mocne, zdrowe i połyskliwe jak różowa perła. W redakcji tępiła kolorowe

tipsy u niektórych dziennikarek. Obrzydzała je skutecznie, mówiąc, że to moda dla niższych warstw. Udało się, bo zawsze można liczyć na ludzką próżność. I strach, bo przecież groźba wywalenia z roboty nie była abstrakcyjna.

– Nie jesteś Konfucjuszem, żeby hodować takie długie pazury, do tego trzeba myśleć! Zresztą on ich nie malował na pstre kolory – powiedziała kiedyś do redaktorki działu kulinarnego, nie tłumacząc, o co chodzi.

Pół redakcji weszło w Google i gorączkowo poszukiwało informacji o konfucjanizmie. Jednak nie udało im się znaleźć informacji o długich pazurach Konfucjusza. W końcu jej zastępca się odważył i spytał, więc wyjaśniła, o co chodziło:

– Konfucjusz myślał, zajmował się wyłącznie myśleniem, nie kałał się pracą fizyczną, dlatego ostentacyjnie hodował takie pazury.

Tolerowała konfucjańską uzurpację u kobiet, które pracowały w marketach i naklejały tipsy, żeby pokazać: Popatrzcie tylko! Mam takie długie paznokcie, bo nic nie muszę robić, mam czystą i suchą pracę! To wynikało z chęci bycia kimś lepszym. Była to ta „odrobina luksusu” z reklam, na jaką mogły sobie pozwolić przy głodowych pensjach. Jednak dziennikarki zarabiające wielokrotnie więcej niż profesorowie uniwersytetu, a nawet więcej niż górnicy na przodku, nie powinny mieć takiego gustu. Przynajmniej w jej pismach, także w biurach, w poszczególnych działach, reklamy, listów, zamówień... Należą do grupy najlepiej zarabiających w kraju, muszą stosować się do wymogów dobrego smaku. W końcu dopisała do regulaminu punkt na temat paznokci. Najlepiej jasne, a jeśli ciemne, to jednolity lakier. I nie dłuższe niż trzy milimetry białej części. Tak, była Parszywą Suka, nie tolerowała sprzeciwu. Chcesz u mnie pracować, nie możesz nosić szponów.

## NARESZCIE W NY

Wylądowali bez opóźnienia. W miarę miękko. Obciągnęła lejącą się sukienkę Tildy, włożyła rajstopy i pantofle. Ogarnęła się trochę, poprawiła usta pomadką. Samolot tym razem wylądował bez wstrząsów. Pogadała chwilę ze stewardesą, chciała dowiedzieć się czegoś o warunkach pracy, ale ta wskazała oczami na pilota i położyła palec na ustach. Ewita skinęła głową, zrozumiała, o co chodzi. Mogła zaproponować jej wywiad dla swojego pisma, przysłać dziennikarkę, zrezygnowała z tego, bo to, co było ciekawe, co działo się w kokpicie czy na zapleczu, nie nadawało się do druku. Oczywiście są gazety, które robią świństwa. Mają specjalnie wyszkoloną kadrę, publikują wszystko, co kto im powie w dobrej wierze, przy rzekomo wyłączonym mikrofonie. Powszechnie było używanie dwóch albo i trzech nośników. Telefon komórkowy i dyktafon. Jeden na stole wyłączony: teraz rozmawiamy *off the record*, mówili dziennikarze. Dyktafon w drugiej komórce był włączony przez cały czas. W torbie albo w kieszeni. Mikrofony w odróżnieniu od dziennikarzy były czułe, dźwięk bardzo dobry, coraz lepsze modele pojawiały się na rynku. Profesjonaliści przychodzili wcześniej i przed wywiadem przyklejali pluskwę pod stołem. Można było tanio kupić małego szpiega, zestaw do podsłuchiwania. Niektóre redakcje miały coś takiego na cichym

wyposażeniu. Cóż, za naiwność się płaci. Szmatławce są chętnie czytane, te kolorowe i gazetowe, rozpychają się na rynku. Na ludzką podłość i ciekawość czyjegoś potknięcia, a jeszcze lepiej, upadku – zawsze można liczyć. To podbudowuje sfrustrowane, stłamszone przez los „ja”. W magazynie Ewity nie stosuje się tych metod, zostają więc do czytania autoryzowane, prawie idealne portrety znanych osób czy korporacji. Czasami ktoś puszcza farbę na temat rozwodu albo opowiada o śmierci bliskiej osoby, zdarzają się nawet tacy, którzy chcą fotografować się na cmentarzu po pogrzebie. Ewitę to brzydziło, musiała jednak brać pod uwagę wyniki sprzedaży, badania nad czytelnictwem. Tego nie dało się obejść.

\*

Trochę to wszystko trwało, z samolotu wysiadła ostatnia. Nie śpieszyła się, czuła się dziś lekko, inaczej niż w kraju, przed zamknięciem numeru, gdy wychodziła z domu do firmy. Jechała z ciężką głową, po długim ślęczeniu nad tekstami, wypiciu butelki wina i męczących snach. Wtedy musiała wstawać wcześniej, żeby się zreanimować po nocnym wyszukiwaniu błędów, sprawdzaniu tekstów do numeru i po koszmarach sennych. Wszystkie wypociny redaktorów czytała sama. Mógłby ją ktoś wyręczyć, ale nie mogła się na to zdecydować. Starła się, próbowała, dawała do czytania swemu zastępcy, jednak sprawdzała go i zawsze znajdowała błędy, których on nie wyłapał.

\*

Gdy czekała na bagaż na lotnisku JFK, miała wrażenie, że jest tu kimś innym, cudownie anonimowym, i że znalazła się w miejscu

dobrze znanym. Pamiętanym. Jakby wróciła do rodzinnego domu z czasów dzieciństwa. A choć jej dom mieścił się w żwawym mazowieckim miasteczku, jego zabiegany rytm nie miał w sobie nic z pulsowania wielkiego miasta. Każdy kręcił się wokół swoich spraw, domu, dzieciaków, rodziny. Wiązało się koniec z końcem na supeł. Wczesne dzieciństwo nie było wyspą szczęśliwą, pamięć o nim też nie. Im później, tym było gorzej. Tu w NY, chodziło raczej o powrót do dziecięcej ciekawości, do tego, co przyniosą kolejne godziny, do czasów, kiedy coś zdarzyło się po raz pierwszy. Mimo zgiełku czuła spokój, większy niż wówczas, gdy odwiedzała swoje gniazdo, matkę mieszkającą ciągle w tym samym miejscu, w tym samym mieszkaniu. Odrywała się tu od siebie, kobiety z problemami, z którymi nie mogła sobie poradzić. Po dwóch wieżach, które jedenastego września ukłękły na własnych popiołach, miasto na jakiś czas pograżyło się w żałobnej depresji. Jednak szybko się pozbierało, jak wdowa o silnej osobowości. Usuwając po pogrzebie wieńce i kwiaty, potrafiła powiedzieć nieboszczykowi: Cóż, Stasiu, wszystkich nas to czeka, trzeba żyć dalej. Ewita lubiła Nowy Jork, choć za Ameryką nie przepadała, zwłaszcza za prowincją amerykańską, z jej ciągłymi żywymi uprzedzeniami rasowymi oraz wszelkimi innymi, no i miłością do broni. Za mocarstwem panoszącym się nad światem, świadomym własnej potęgi, wciąż potykającym się o przeszkody, często wyimaginowane zagrożenia. Uważała ostatnie wojny za niepotrzebne, miała za złe Europie, że daje się wciągać. To było groźne.

Dwa lata po wyborze Obamy przyleciała na szkolenie dla szefów i szefowych pism, należących do potężnego koncernu, jakie odbywały się cyklicznie w NY.

– Nie mogę pojąć, jak to się dzieje, że czarny prezydent nie może dać sobie rady z lobby producentów broni. – Przeglądała kolorowe pismo LGBT, na kilku ostatnich stronach reklamowało rozmaite

rodzaje broni.

– To typowo kobiecy punkt widzenia – odpowiedział szef gejowskiego magazynu, modny, bardzo przystojny Amerykanin. Fryzjer z lubością ustawiał kosmyki jego włosów na żel czy lakier. Wyglądał jak supermen, Ewita poczuła podniecenie i coś na kształt żalu, że gej jest poza jej zasięgiem.

– Ty lubisz broń? – spytała zdziwiona.

– Naucz się strzelać, sama zobaczysz, jaka to przyjemność. Pozbędziesz się uprzedzeń – odpowiedział.

– Miałabym zabijać?

– Dlaczego nie? Powiedzmy, w obronie własnej. – Uśmiechnął się; miał nieskazitelnie białe zęby, jakby nigdy nie pił kawy, mocnej herbaty ani czerwonego wina.

Ewita przypomniwała sobie czytaną kiedyś książkę z antropologii. Od czasu do czasu przypominała sobie coś z dawnej bazy. Według autora uśmiech ludzi miał swoje źródło w czasach walk samców o samice, był obnażaniem zębów, chodziło tylko o to, żeby przestraszyć rywala. A więc ewolucyjnie przejęliśmy go od zwierząt. Jeśli tak jest, to czy kobiety też się uśmiechały? Teraz często widziała białe zęby kobiet w uśmiechu, jednak oczy zostawały puste jak oczy zgranego konferansjera, po raz tysięczny opowiadającego ten sam dowcip. Uśmiech jej rozmówcy obnażył zęby tak mocno, że zobaczyła dziąsła. Choć nie było w nim grozy. Pod zadowoleniem z siebie i swojego wyglądu czał się w nim lęk. Może w szkole, którą skończył na amerykańskim Południu, gdy odkryto, że jest homo, był wyśmiewany, musiał kulić się, uciekać przed napastnikami? Stąd wziął się wyraźny biceps. Ćwiczył sporty walki, żeby mieć siłę. To rozumiała i pochwalała. Ale broń? Dotarło do niej, że bycie mniejszością, także orientacja seksualna, nie mają w tej kwestii wielkiego znaczenia. Dawniej wydawało się jej, że mniejszości są nastawione pokojowo, jak zieloni czy ekolodzy. Jednak po wielu

rozmowach, obserwacjach w kraju i w czasie licznych podróży do różnych miejsc na świecie, także po spotkaniach z emigrantami, doszła do wniosku, że nienawidzą podobnie jak większość, która nienawidzi mniejszości. Niektórzy pogardzają facetami hetero, niekiedy kobietami. Zawsze znajdują grupę „innych”, gorszą, biedniejszą i słabszą niż oni sami. To łańcuch pogardy. Słabszymi, biedniejszymi pogardzają, potężniejszych zaś nienawidzą. Wiedziała, że to niesprawiedliwa ocena, że to nie jest prawda, bo gdyby tak było, to świat już by nie istniał. Dobro też było faktem.

– Wiesz, byłam kiedyś w takiej sytuacji, że gdybym miała broń, mogłabym zabić! I co? Zabiję kanalię, a pójdę siedzieć jak za człowieka!

Zaśmiał się z tego jak z dobrego dowcipu. Nie znał faktów z jej życia, nie wiedział, że to, co mówi, mogło stać się prawdą. Prawdą, z której nie zwierzyła się nigdy matce, a nawet, jak dotąd, psychoanalitykowi. Wiedział o tym jedynie Igor, jej jedyny przyjaciel, choć też nie powiedziała mu wszystkiego o tym, jak leżała pobita, a jej mąż stał nad nią, lejąc mocz na jej twarz. Nawet szybkie wspomnienie powodowało chęć zemsty. Dwa, trzy strzały, to się mogło zdarzyć.



## KLUCZE IGORA

Kolorowy tłum szedł karnie w różnych pochodach, różnych kierunkach, dążył do różnych celów. Była w tym wolność wyboru. Jeśli nie podobała się komuś jego droga, mógł wybrać inną, przenieść się w wybrane miejsce na Ziemi. Musiał jednak mieć trochę grosza. Pieniądz był więc motorem wolnego wyboru. Ewita szła w ariergardzie. Wszyscy ją mijali. Nie śpieszyła się. Ten zgiełk wciągał ją, fascynował jak dziecko, które dopiero planuje, kim będzie, wciąż zmienia te plany i mówiąc trochę patetycznie, odkrywa nieznane lądy. Tak jak dawno, dawno temu u siebie, w domu rodzinnym... Dom rodzinny. Zastanowiła się nad tą zbitką, to chyba zbyt szumne określenie, na jeden pokój z kuchnią i dwie osoby: opuszczona przez męża kobieta i dziecko, czyli matka i ona. Mimo wszystko nie było źle. W swoim małym mieście także ciągle coś odkrywała. Oczywiście było to niewspółmierne z ogromem NY. Tam rynek, wąskie uliczki, dwa mosty, rzeka zmienna z istoty, połyskująca jak autostrada, w której odbijało się słońce. Bardzo lubiła wpatrywać się w wodę, chwilami zmętniała, w płynące śmieci. Jednak jeszcze bardziej interesowali ją ludzie, gapiła się na przechodzących i podśluchiwała, o czym mówią. Pole obserwacji miała teraz większe, sposób pozostał niezmienny. Ludzie wciąż gadali o tym samym: pogoda, choroby, zdrada, śmierć, pieniądze,

polityka, myślała, jadąc na Siedemdziesiątą Pierwszą Zachodnią.

\*

– Masz tu klucze, weź je na zawsze, są twoje. Często przylatujesz, będę miał pewność, że mnie znajdziesz, zanim wypłynę szczeliną pod drzwiami jak list ze skargą na życie – powiedział Igor.

Ich przyjaźń wciąż trwała, udało się ją utrzymać. Ewa pomogła mu kiedyś, on pomaga jej teraz. Z zamianą ciała stałego w płynne to był ponury żart, z nabrzmiałym ziarnem prawdy, które w stosownej chwili może wykiełkować, bo Igor to urodzony samobójca. Na razie, mniej więcej od dwóch lat jest w dobrej formie. Wydaje się, że skończył z samozagładą.

Ewita lubiła zastawać go w domu, gdy przyjeżdżała, ale jeśli akurat wyjechał w sprawach zawodowych, nie rozpaczała z tego powodu. Zdejmowała tylko buty i kładła się w rzeczach na wygodnym łóżku. Leżała tak godzinę w letargu, w jaki się wprowadzała. Czujny sen, nie sen. Z rodzajem lęku, żeby nie dać się zaskoczyć. To wystarczało. Zostawiała nierozpakowany bagaż i wychodziła na spacer. Nie miała jet lagu, latała bardzo często, prawie wahadłowo. Organizm przyzwyczał się do huśtawki czasu i miejsca. Dziewięć i pół godziny lotu, na ogół w dobrych warunkach. Oglądała film, jadła, piła, rozmawiała, jeśli było z kim, z rzadka trafiał się ktoś taki, także spała, albo udawała, że śpi, gdy nudził ją ktoś siedzący obok. Odkąd zaczęła latać klasą biznesową, skończyły się problemy z nudziarzami, zbyt ciekawymi jej życia, skłonnyimi opowiadać o swoim. Dawniej mogła myśleć i pracować. To jednak stało się niemożliwe, bo od jakiegoś czasu myśli prowadziły ją ciemną, wrogą aleją, nie mogła skupić się na pracy, na wymyślaniu nowych projektów dla czytelniczek, po prostu nie była w stanie.

Upijała się więc, żeby zasnąć, jednak ostatecznie, gdy to wszystko się zaczęło, budziły ją koszmary. Niekiedy zdarzały się turbulencje, lądowała już z głową między kolanami, z wrażeniem popękanych bębenków. Było tak może ze trzy razy w ciągu dziesięciu lat ciągłych podróży. Nie zrażało jej to, miała pewność, że nie zginie w roztrzaskanym samolocie.

W czasie studiów pracowała jako stewardesa, dorabiała całkiem nieźle do stypendium. Jednak szybko okazało się, że nie potrafi obsługiwać i uśmiechać się na zawołanie. Mówiła, że bołą ją szczęki. A już do szafu doprowadzali ją obłeśni pasażerowie. Skończyła z tym bez żalu, choć brakowało jej wówczas tych pieniędzy. Nie latała na dalekich trasach. Raczej po kraju i Europie, ale oswoiła się z wysokością, kołysaniem, ze startem i z lądowaniem. Czuła się bezpiecznie. Miała nawet zamiar wyjść za mąż za pilota. Była zaręczona z mądrym, spokojnym facetem. Nie ułożyło się im, wciąż się mijali. Zabrakło cierpliwości, by przeczekać albo zmienić tryb życia. Przecież wiedziała, że skończy studia i zajmie się czymś innym. Było jednak coś jeszcze, co przeczuwała, czego się bała. Czuła lęk, gdy on latał, a ona patrzyła zbyt często na zegar. Nie chciała tego ciągnąć, strach, że znów straci kogoś, kogo kocha, przeszkadzał jej we wszystkim, co robiła. Po rozstaniu używała życia, próbowała z wieloma facetami. Hormony w niej buzowały, rozprzestrzeniały się z wiatrem jak pożar. Po kilku krótkich przygodach spotkała samca, o którego nie bała się ani trochę. Zamieniła pilota, dobrego, wrażliwego człowieka na kogoś, kto był nieodpowiedzialnym psychopata, nie dawał jej ani poczucia bezpieczeństwa ani uczuć. Żeby było jasne, ona też go nie kochała. Wyszła za mąż za napalonego palanta, który miał zamiast pofałdowanego mózgu wygładzony biceps. A może nawet gorzej, myślał kutasem. Ona zaś słuchała swojej piczki. Tak o tym mówiła Igorowi, dodawała, że sama też była wtedy odmóżdżona, nie

połapała się, z kim miała do czynienia. Rozgrzeszała się, dlatego że przynajmniej w tych czynnościach był niezły. Wytrwale spełniał małżeńskie obowiązki, w jedyny sposób, jaki lubił. Leżąc na niej, pracował jak tłok. Było, minęło, rychło się skończyło. Katastrofą. Po latach, gdy analizowała to, co się stało, uznała, że los pomylił kolejność. Powinna najpierw mieć przygodę z psychopatycznym tłokiem, a potem trafić na porządnego pilota. Niestety, od losu nie można oczekiwać żadnej logiki.

\*

Miała umówioną wizytę u doktora Bechsteina. Spotykała się z nim dość regularnie, mniej więcej co miesiąc lub dwa. Przyjmował blisko mieszkania Igora. Doktora odziedziczyła po Igorze. W pewnym sensie przejęła pałeczkę. W NY czuła się trochę jak w mieście dzieciństwa, trochę jak bohaterka powieści Philipa Rotha, swojego ulubionego pisarza. Niedaleko stały dwa oszklone wieżowce niczym bliźniaki jednojajowe. Z bliska różniły się jednak trochę, tak jak się różnią bliźniacy. Dodatkowo jeszcze łączył je wiszący pasaż, podkreślający podobieństwo. Często coś kupowała w sklepach na dole, zwykle były to ciuchy, bo tam na okrągło jest wyprzedaż, a nawet jeśli nie, to i tak wszystko tańsze niż w kraju. Niby nie powinna zwracać uwagi na cenę, bo stać ją było na drogie rzeczy, jednak gdzieś z tyłu głowy tkwiła jakaś tępa, archetypiczna świadomość dziewczynki z małego miasteczka na Mazowszu. Ograniczała więc wydatki. Pierwszego dnia zwykle tylko się rozglądała, nic nie kupowała. Przechadzała się powoli po tym bardzo bliskim, całkowicie obcym mieście, bliższym niż Warszawa, z której dziś przyleciała, gdzie miała swój własny dom, i nieporównanie bliższym niż małe miasto, gdzie czterdzieści parę lat temu się

urodziła. Tam wciąż mieszka jej matka, a więc to powinno być gniazdo rodzinne. W tym sensie owszem, jest gniazdem. Ptaki wylatują z gniazd i już do nich nie wracają, zakładają nowe, o starych zapominają. Ewa dawno temu wyleciała z gniazda, chciała uciec, zapomnieć o matce, nie mogła jednak powtórzyć tego, co zrobił ojciec. Zostawić matki. Przyjeżdżała więc do niej w miarę często, choć niechętnie. Nowe gniazdo, jakie sama założyła, jest jednoosobowe, nie ma w nim samczyka ani piskląt. Chętnie je opuszcza i wraca bez zbytniego sentymentu.

W NY czuła się tak dobrze, być może dlatego że była obca, nierozpoznawalna, rzadko spotykała kogoś znajomego, unikała zresztą miejsc, w których mogłaby natknąć się na emigranta. To często kończyło się tym, że musiała wysłuchiwać plugawych opowieści o bliźnich albo ataków na kraj. Nie znosiła tych nienawistnych spojrzeń, obarczania winą za swój kiepski los każdego, kto się nawinął, komu się lepiej powodziło. W takich momentach w emigrantach ujawniała się pogarda dla Portorykańczyków, dla czarnuchów, udowadnianie ich gorszości i poczucie niesprawiedliwości, i zawiść, że mają lepsze warunki, łatwiej dostają zasiłki. Choć ta nowa lepiej wykształcona, robiąca karierę emigracja była lepsza niż stara, to prawda. Z nimi można było się dogadać.

## SEKS Z KOWBOJEM W NY

Lubiła spacerować po Broadwayu. Nie mówiła o tym nikomu w redakcji, nie spoufalala się, nie zwierzała. Uważała, że nie ma takiej potrzeby, a może też zaufania. Jej ludzie uznaliby zachwyty nad Nowym Jorkiem za snobizm albo pretensjonalność. Lubiła tędy chodzić, mieszać się z tłumem. Była zachwycona, gdy przechodzień spytał ją o kino. Było ich tu mnóstwo. Uważał pewnie, że jest mieszkanką NY! Chociaż czasami wątpiła w to, czy w ogóle istnieją rdzenni nowojorczyki. Oprócz Woody'ego Allena. W zeszłym miesiącu spotkała go na Manhattanie, wcale nie wyglądał jak nowojorczyk, raczej jak załęczony turysta w wypłowiałym kapeluszu. Robiła z nim parę lat temu wywiad dla swojego magazynu, stąd ta znajomość.

Wiedziała, gdzie jest kompleks kin, wskazała drogę pytającemu przechodniowi. Kiedyś, gdy przyjeżdżała, często chodziła tu do kina, siedziała samotnie, z popcornem, tak jak wszyscy. Niekiedy płakała z poczucia wyobcowania albo przeciwnie, czuła nagłą radość z przynależności do grupy widzów. Chciała być jedną z osób na widowni, siedzących pojedynczo albo parami czy grupami, pijących colę, mlaskających, a niekiedy nawet pieprzających się bez skrępowania w tylnych rzędach, w na pół pustej widowni. Łaziła po ulicach niby z jakimś celem, choć wiedziała, że kupowanie nic nie

zmieni. Czasami nawet nie chciało się jej rozpakować toreb z zakupami. Stawiała je pod ścianą i pakowała do walizki, dopiero gdy wracała do kraju, tuż przed wyjazdem na lotnisko.

Jeszcze nie zaczęło zmierzchać, gdy przy Lincoln Center zaczepił ją facet. Było tu mnóstwo rzeczy ze skóry, torby, paski, buty, były ciuchy. Oglądała torebkę z szarego zamszu. Takiej jeszcze nie miała.

– Czy pomożesz mi wybrać prezent dla żony? Oczywiście, jeśli masz wolną chwilę. Jesteś świetnie ubrana, masz podobną figurę. A potem może zjemy coś małego? Nie znam się na ciuchach, a muszę jej coś kupić – mówił prostymi zdaniami, wytrychami, jego angielski był bardzo amerykański, słowa wychodziły spłaszczone, jakby miał polipy w nosie. To się Ewie spodobało.

– Pochodzę z Teksasu. Jestem nafcjarzem. – Tak się wyraził.

– No to wpakowałam się w kupowanie ciuchów z kowbojem! – zaśmiała się Ewita.

– A ty skąd jesteś? – spytał.

– A jak myślisz?

– Chyba z Nowego Jorku?

Zauważyła, że pytania pozostają bez odpowiedzi.

– Po czym poznajesz? – znów zapytała.

– Akcent i szyk.

– Jestem z Europy. Z Polski.

– To ciekawe. Nie znam nikogo stamtąd.

Nie nosił kapelusza, jednak powinnam od razu zauważyć kowbojskie buty na obcasie, pomyślała. Był naprawdę wysoki, nie musiał się podwyższać. Styl z kowbojkami był dla niej równie okropny jak bawarskie skórzane spodnie albo tyrolskie kapelusiki z piórkiem. Dziwne, że od razu nie zauważyła tych butów, może dlatego że facet ją pociągał. Był młody, znacznie młodszy od niej, mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, miał niebieskie oczy, ciemne włosy i bardzo białą skórę.

Ewa już od dawna brzydziła się przypadkowym seksem, między innymi dlatego przyjeżdżała do doktora Bechsteina. Miała ochotę rzygać, gdy patrzyła na sceny w filmach, gdzie pełno było napalonych facetów wpychających się we wszystko, co się rusza, ze swoim pożądaniami. No i te kobiety zawsze gotowe do obciągania! Wstrząsała się na wspomnienie, że jeszcze parę lat temu była jedną z nich. Nie tych, co grały w pornosach, ale tych, co każdemu ze swoich robiły loda. Nastąpił także wysyp filmów homo. Lesbijskich i gejowskich. Z trudem mogła je oglądać, nawet jeśli film uchodził za artystyczny. Sama uważała, że jest do bólu hetero. Chociaż ostatnio czuła się, jakby jej płeć gdzieś uleciała. Przyjęła to z ulgą, ale też niepokojem. Sądziła, że tak już będzie zawsze. A teraz nagle, bez ostrzeżenia, zaczęła się podniecać. Czuła się jak suka podczas rui, gdy chodzili po ulicach, robiąc idiotyczne zakupy dla jego żony, spokojnie czekającej w Teksasie. Z dumą pokazał fotografię nijakiej kobiety, nie oszczędzając szczegółów dotyczących jej urody, którą fotografia całkowicie pomijała. Miała wyplukaną twarz, bez makijażu, okoloną szarymi włosami, wydatny podbródek, długi nos i wąskie usta, wygięte w uśmiechu. Na szczęście nie pokazywała zębów, nie szczerzy się jak oni wszyscy na reklamach i w sitcomach, myślała, chwając piękno, którego nie było. Uśmiech jego żony przypominał zadowolonego emoticon. Chociaż ona jest młodsza, ja jestem ładniejsza, bardziej seksowna, pomyślała z satysfakcją. Widziała, że mu się podoba. Chwytał ją za rękę, a gdy przymierzała cienki sweterek, który chciał kupić żonie, poprawiając zapięcie, dotknął piersi Ewy. Jej sutki stanęły jak staroświeckie dzwonki. Wystarczyło lekko nacisnąć, żeby otwały się te wrota i wpuściły do środka każdego, kto chciałby wejść. Na razie weszli do zalanej słońcem, oszklonej restauracji, w której dzięki klimatyzacji panował miły chłód.

– *Sorry*, zaczekaj tu, muszę pójść do toalety, wypiłam dziś



hektolitra wody – powiedziała, gdy weszli do restauracji, do której ją zaprosił, żeby coś przekąsić.

Mówienie obcemu facetowi o tym, że idzie się odpryskać, jest krokiem w odpowiednim kierunku, jeśli się chce pieprzenia. Ewita jasno zdefiniowała swój cel. Sikanie nasuwało myśli o złotym deszczu, chociaż nie sądziła, żeby uprawiał ten rodzaj seksu ze swoją piękną, wspaniałą, jak uparcie twierdził, żoną. Weszła do czarnej, lśniącej toalety. W lustrze zobaczyła swoją zarumienioną twarz. Miała źrenice wielkie jak po atropinie, albo gorzej, włosy opadające na czoło, usta czerwone od zagryzania, bo chciała ukryć podniecenie. Zamknęła się w kabinie i zanim puściła strumień, włożyła palec wskazujący w szparkę. Przed sikaniem seks jest znacznie lepszy, orgazm trwa dłużej i jest głębszy, to wiedziała. Masturbacja też. Miała dość długie palce, ale to było za mało, wepchnęła jeszcze kciuk i środkowy, dopiero to przyniosło efekt. Nie zaspokoilo jej, stała się jeszcze bardziej napalona. Rzadko ostatnio korzystała z własnych rąk, bo wydawało się, że pieprzenie i autopieprzenie ma już za sobą. W samotności, z braku odpowiedniego mężczyzny, to przestało być rozkoszą, stało się bolesne, sprawiało cierpienie. Często głośno płakała. Przygryzała dłoń, w gardle czuła gorycz i ucisk. To była żaloba po seksie. Wcześniej robiła to często wtedy, gdy kochała się z facetami. Lubiała, gdy naprzeciwko niej po turecku siedział mężczyzna, który się onanizował, patrząc, jak ona dotyka tych drugich warg, pociąga za nie delikatnie, potem zagłębia palec w mokrym wnętrzu. Odchyłała głowę, kładła się, rozchyłała uda, czekając, żeby w nią wszedł. Gdy tak się stało, wstrząsał nią orgazm. Umiała go przedłużać, utrzymywać napięcie, w dreszczu, w skurczach, przypominających nieco *petit mal*. A bywało, że i *grand mal*. Porównanie z atakiem padaczki nie było najlepsze, bo to, co działo się z chorym, było złe. Jej drgawki były dobre, równie silne, obdarzone znakiem plus. Nic

lepiej nie oddawało tego, co czuła wówczas, gdy miała odpowiedniego partnera do gry. „I to było dobre!”. Zawsze po spełnieniu pojawiał się ten cytat z Biblii. Czy teraz powinna pójść z nafcierzem do hotelu, niedaleko stąd, gdzie się zatrzymał, żeby spróbować, czy wrócił jej apetyt na seks? Chyba to jest nierozsądne, myślała, może kowboj z Teksasu jest seryjnym mordercą? Znajdą ją rozkawałkowaną, jak się czasem mówi w żargonie policyjnym, porzrzuconą na łóżku hotelowym i podłodze albo ułożoną według chorego schematu, ze złożonymi rękami, z szyją owiniętą rajstopami i krucyfiksem w zębach, ukaraną za rozpustę? Jakoś nigdy mordercy nie karali się sami za to, że pieprzyli się z kurwą i grzesznicą. Starła się takimi myślami wzbudzić w sobie przerażenie, ale to na nic, bo chciało się jej śmiać. Wiedziała, że nie powinna iść z nim nie dlatego, że się boi, ale dlatego że nie pozwalają jej na to duma, godność i tego rodzaju rzeczy. Seks niewiele wspólnego ma z godnością, jeżeli dwie dorosłe osoby go pragną, tak to sobie zwykle tłumaczyła albo nie tłumaczyła wcale. Opłukała twarz chłodną wodą, nałożyła puder, uczesała się, zasłaniając włosami jedno oko. Tak przygotowana, szła w kierunku stolika, przy którym siedział Nafcierz i czekając na nią, studiował menu.

CZĘŚĆ DRUGA

KOZETKA DOKTORA  
BECHSTEINA

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Dlaczego w Nowym Jorku, a nie w Warszawie? A dlaczego nie? To tylko osiem godzin lotu. Dziś mamy poniedziałek, w piątek, w ramach osobistej terapii, byłam na koncercie. Słuchałam *Muzyki żałobnej* Lutosławskiego. Wiem, że pan też kocha muzykę, kiedyś rozmawialiśmy o tym, przywiozłam panu nagranie. To krótka msza. Pamięci Bartóka. U nas mówiono, że to hołd ofiarom krwawej interwencji na Węgrzech. Mogło by tak być, ale ukończył mszę na rok przed tą hekatombą. Wie pan, w takim kraju jak nasz wszystko ma związek z polityką. Staram się oddzielać politykę od muzyki, szukanie echa rzeczywistych wydarzeń przeszkadza w słuchaniu. Strzały, werble są zbędne. Wolę czystą muzykę. Wróciłam do domu z moją przyjaciółką Adela, niewiele o niej mówiłam, bo późne przyjaźnie nieczęsto się sprawdzają. Nie to, że czuję się niezdolna do bliskości, Adela mnie pociąga, tym bardziej się boję, że to nie wypali. Jest pisarką, ma różne dziwactwa i lęki, ja mam swoje, trzeba poczekać, co się stanie, jak nasze dziwactwa się zsumują. Ona twierdzi, że muzyka ją leczy. To było w piątek, uciekła z domu, po kłótni z mężem. Widać, że nie tylko ja mam problemy. Wyjeżdża albo zamyka się w swoim pokoju. Przy okazji zamyka samą siebie przed nim na kłódkę. Duszę i cipkę, twierdzi, że gdy cierpi duch, robi się w środku szorstka i bardziej ją boli. Napiliśmy się wina,

spała u mnie, zatelefonowała i uprzedziła go, że zostanie u mnie na noc. W sobotę rano wróciła do domu. Spodobało mi się to. Unika śpić, gdy pracuje nad powieścią. Zostałam sama, nie poszłam do redakcji, w sobotę mamy na ogół wolne, chyba że zamykamy numer, jednak było już po zsyłce tekstów, wszystkie blubry poprawione, zaczęłam więc robotę nad kolejnym projektem, który zamierzam wcielić w życie magazynu. Jakoś mi nie szło. Czułam takie zmęczenie, że głowa opadła mi na biurko. Położyłam się. Spałam mocno, gdy otworzyłam oczy i popatrzyłam na zegar, nie wiedziałam, czy jest trzecia w nocy, czy po południu. Nie mogłam wstać z łóżka. Znowu zasnęłam. Miałam koszmary senne. Wszyscy ubrani na niebiesko, nikogo nie znam, nie rozpoznaję, idą w pochodzie albo kondukcje. Leżę naga, nie mam się czym przykryć. Wzięłam leki. Niestety, doktorze, popiłam whisky. Popatrzyłam na noc za oknem. Na szeroki parapet. Przestraszyłam się, że znowu mnie to nachodzi. Dlatego postanowiłam przylecieć do pana na dodatkową sesję.

Nie rozumiem, dlaczego pan się tak dziwi, doktorze Bechstein? Nie sądziłam, że wybitnego terapeuty może zdziwić fakt, że ktoś chce się leczyć właśnie u niego. Ja chcę; pragnę obcości miejsca, języka, uciekam od firmy, od wścibstwa swoich ludzi. *Sorry*, może nie zauważył pan, że żelazna kurtyna uniosła się już parę ładnych lat temu i ukazała nam nowy wspaniały świat? Tak, ironizuję, wy, Amerykanie, mało interesujecie się resztą świata, nie, nie jestem uprzedzona, widzę to, odkrywam za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam. Doniosła waga pieniądza stała się u nas faktem, socjalizm to przeszłość, decyzja taka jak moja to teraz tylko kwestia odległości, kasy i języka. Mam pieniądze, znam język, lubię latać. Interesował się pan tym, jak do pana trafiłam. Po pierwsze, na moją decyzję miał wpływ facet nazwiskiem Portnoy, który zwierzał się swemu doktorowi, czytał pan z pewnością o jego kompleksie. Nie ma

nic bardziej wnikliwego dla badacza niż zwierzenia Portnoya, nie sądzi pan, doktorze? Chociaż przychodzę tu z trochę innym bagażem, jednak seks jest też moim wielkim problemem. Spóźniony seks. Po drugie, polecił mi pana Igor, mój najlepszy i jedyny przyjaciel, z którym mogę o tym pogadać. Myślę, że dobrze go pan zapamiętał. Nie sądzę, by w tej dzielnicy często trafiali do pana ludzie w takim stanie. Młody prawnik z gatunku wilczków, zarabiał krocie, maszerował szeroką drogą do kariery, szybko to szło. Nagle pękł, sam nie wie dlaczego, bo przecież w NY nic mu już nie groziło. To w kraju miał kłopoty, ktoś puścił farbę, że jest ćpunem. Choć w tamtym czasie to była tylko zabawa w ćpanie. Wiem, bo popalałam z nim od czasu do czasu jointa, jadaliliśmy placki z haszem. Jego rodzina to drobnomieszczańskie ćwoki. Zna pan takich, doktorze? Ja nazywam ich pozorantami, to ludzie z pozoru porządni, uczciwi, religijni. Wzorowa, modelowa rodzina. Nie mogli się dowiedzieć, że Igor wpadł. Jakiś palant, kolega też prawnik, który Igorowi zazdrościł inteligencji i powodzenia, bo dziewczyny do niego lgnęły jak muchy do lepu, zaczął go szantażować, straszyć, że to ogłosi, jak mu nie zapłaci. Nie zapłacił, za to przed wyjazdem, gdy miał już bilet w kieszeni, umówił się z tym kolesiem na spotkanie. Niby przyniósł siano. Dał mu kopertę z pobrudzonym farbą w kolorze gówna papierem toaletowym, trzasnął w gębę i wyjechał z kraju. Pewnie ten fragment biografii Igora pan zna? *Sorry*, nie proszę o odpowiedź, wiem, że nie odpowiada pan na takie pytania, w porządku. Tajemnica spowiedzi. Robiłam notatki w dzienniczku, zgodnie z pana zaleceniem. Czuję się jak ambitna uczennica, która chce zaimponować swojemu nauczycielowi, nie wiem, czy nie dziecinnieję. Pisałam ręką. Nawet nie wiem dlaczego, może to wydaje mi się zbyt intymne, a może nie dowierzam sieci, z której nie znikają nawet wykasowane teksty. Co chwilę wybucha afera z publikacją jakichś gołych fotografii czy filmików porno. Ludzie

namiętnie je sobie kręca, nie wiem, czy chodzi o to, żeby nie zapomnieć? Część bazgrołów, to, co mnie dotyczy, mogę panu pokazać, jednak nie wszystko się nadaje.

## LOJALNOŚĆ EWITY

Doktor Bechstein nie może i nie chce mówić o innych pacjentach. Ewita też nie mogła powiedzieć mu wszystkiego. Przysięgła Igorowi, że nigdy nikomu nie zdradzi, co się kryło za jego emigracją, co zrobił i z jakiego powodu. Chciała przysięgi dotrzymać. Chodziła z Igorem do podstawówki i do liceum. Wiedziała, że bardzo wcześnie miał plan, żeby skończyć z rodziną. Często o tym mówił. Każdy chce przegryźć pępowinę, ale nie każdy ma takie powody. Miał przecucie, że jeśli zostanie, dojdzie do jatki, powiedział kiedyś, że będzie musiał zamordować ojca. Ojciec lał go prawie codziennie, co samo w sobie w tym miasteczku nie było wyjątkowe. To raczej Ewa Szot była wyjątkiem od reguły pasa, musiała to przyznać. Matka nigdy jej nie uderzyła, a prawie wszyscy dostawali solidne lanie. Ojciec Igora przekraczał granice normy, mimo że norma tłuczenia była wtedy, powiedzmy to sobie, bardzo liberalna. Pręgi na tyłku i plecach, siniaki, pięć palców na twarzy, limo pod okiem, takie rzeczy były dozwolone. Złamania raczej nie, chyba że zdarzył się wypadek przy pracy. Już w podstawówce Igor wiedział, że musi pożegnać się na zawsze z ojcem, damskim bokserem, i matką, która tolerowała to, co widziała. Wytrzymywała pijackie lania, w zamian za kasę, po każdym skatowaniu przynosił kwiaty i wypłacał jakąś sumkę. Ona zaś dbała o wizerunek dobrej rodziny. Tak jak to bywa.



Pozoranci chodzili w każdą niedzielę do kościoła. Mieli nawet swoją ławkę przy ołtarzu jako zasłużeni parafianie. Kobieta chodziła poturbowana, chłopak bał się zostać sam na sam z ojcem, choć ten nie przejmował się żoną, zamykał pokój na klucz i kneblował małego swoją śmierdzącą skarpetką. W klasie dzieciaki wiedziały, że ojciec tłucze Igora ponad miarę, nikt nie domyślał się jednak, że jest coś jeszcze, coś znacznie gorszego. O tym się nie mówiło, nikt nie mówił, bo też nikt się nie domyślał. Igor powiedział o tym Ewie Szot grubo później, dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy odwiedziła go w NY.

\*

– Nigdy ci nie mówiłem, że ten stary cap miał kazirodczą żyłkę pedofilską. Brata i siostrę oszczędził, ich tylko prał, mnie sobie upodobał, bo byłem ładnym dzieckiem – powiedział Igor, gdy leżeli w fotelach z podnóżkami, pijąc wino i gadając o tym, o czym z nikim się nie mówiło.

Czasami ją zaskakiwał. Niektóre tajemnice musiały długo leżakować.

– Twoja matka nie wiedziała? Matki często nie wiedzą, mam taką koleżankę, gdy po latach powiedziała matce prawdę, matka mówiła, że to niemożliwe, dziewczyna ma chorą wyobraźnię. Często dowiadują się dopiero w sądzie – powiedziała, bo w swoim kręgu miała różne przykłady.

– Ona nie tylko wiedziała, ale brała w tym udział. Chyba teraz rozumiesz, że nie chcę jej znać? – odpowiedział pytaniem.

Zrozumiała.

– Kiedyś żałowałam, że nie poznałam swojego ojca. Podkulił ogon i prysnął, zanim matka wróciła ze mną z kliniki. Teraz myślę, że

może to lepiej – odparła.

\*

Od tamtej pory Ewa pełniła funkcję terapeutki Igora. Słuchała, choć mówiła więcej niż enigmatyczny doktor Bechstein do niej. Opowiadała o sobie, porównywali dzieciństwo i analizowali losy. Zastanawiali się wspólnie, jaki ruch miał Igor? Co mógł zrobić jako dziecko i młody chłopak? Jako dziecko – niewiele, skoro nie miał oparcia w matce, a rozmawiać z rodzeństwem o „takich rzeczach” się wstydził. Jako młody chłopak zapisał się na boks, trenował też modne wtedy sporty walki, judo i jeszcze coś. Nie wiedziała, jak mu pomóc, żeby wyszedł z błędnego koła. Mówił, że nie sądził, że będzie aż tak źle. Wydawało mu się, że wyjazd załatwi wszystko, że sobie poradzi. Wówczas po raz pierwszy pomyślała: Może to i dobrze, że nie znam ojca! Matka Ewy była sierotą, straciła rodziców, nie pamiętała ich, a może z jakichś powodów kłamała? Może nie chciała ich pamiętać, mieć? Mało było prawdy między matką a córką. Dziewczynka wiedziała o dziadkach tyle, że wcześniej umarli, poza tym ich nie było, w rozmowach nie istnieli. Zupełnie jakby matka wypadła sroce spod ogona. Jedyne, co zostało po ojcu, to było nazwisko. Nie płacił alimentów, rozplynał się w tej wodzie, w której rzekomo utonął. Matka utrzymywała taką wersję. W pewnym sensie to prawda. Dla Ewy utopił się i leżał gdzieś na dnie morza, objedzony do czysta przez ryby.

– Możesz teraz go odszukać, choćby z ciekawości. Nic ci nie grozi. A poza tym to, że uciekł, oznacza, że przynajmniej nie był pedofilem. Przeciwnie. Pedofile na ogół zostają. Dopóki dzieciak nie dorośnie i nie przestanie się podobać – powiedział Igor podczas jednej z rozmów i roześmiał się, jakby to był dowcip.

– To dziwne, ale odnalezienie go nigdy nie przyszło mi do głowy, chociaż mam teraz możliwości.

## PRAWDY WEWNĄTRZRODZINNE

Kiedys Ewa odwiedzała dość często dom rodzinny. Co kryło pod tymi słowami? Mur kamienicy, ściany pokoju pomalowane na żółto lub „kremowo”, jak mówił malarz, i matka. To mieszkanie miało być domem rodzinnym. Ojca nie zdążyła poznać. Matka nie wymawiała nigdy jego imienia, jak nie wypowiada się imienia groźnego bóstwa, bo to imię niesie ze sobą nieszczęście. W ogóle się o nim nie mówiło. Obowiązywała wersja oficjalna, według której pani Weronika Szot, nazywana przez przyjaciółki Wera, była wdową po topielcu i na tym koniec. Pochodził z innych stron, był tu tylko przejazdem. Ożenił się z nią, zapłodnił, albo odwrotnie, a potem zginął w falach rzeki.

– To nieszczęśliwy wypadek, pewnie zasłabł w wodzie, to niebezpieczna woda, są wiry – powiedziała matka, gdy Ewa o to zapytała.

Matka nosiła ciemne sukienki, mimo to nie pokazywała twarzy cierpięcicy. Los tak chciał, to wystarczyło za wyjaśnienie. Ewa długo wierzyła, że to prawda, śniło się jej ciało ojca leżące na kamienistym dnie, łapał powietrze, poruszał rękami.

Jednak gdy miała kilkanaście lat, już w liceum, dowiedziała się, że prawda jest inna.

– Jesteś taka sama jak twój ojciec, uciekasz z domu tak jak on! –

wykrzyczała matka któregoś dnia.

W tym czasie Ewa często uciekała ze szkoły i z domu. To jedno zdanie zburzyło hierarchię historyczną i dotychczasowy porządek w jej sprawach rodzinnych. Dowiedziała się, że ma żyjącego gdzieś ojca, że to nie było dzieworództwo, że na dodatek była do niego podobna. Jednak dla matki po prostu utonął i nie wypłynął.

Córka opuściła ją bez żalu, wyjechała z domu na dobre. Najpierw mieszkała w szkole z internatem, potem studiowała i wynajmowała pokój do spółki z trzema dziewczynami. Nie lubiła tego życia. Nie nawiązała przyjaźni. Współlokatorki były zajęte chłopakami, facetami, sponsorami. Gdy poznała Bartka, wypełnił całą wolną przestrzeń. Co jakiś czas jednak przyjeżdżała na część wakacji do rodzinnego domu. Nie chciała mimo wszystko stracić kontaktu z matką. Chodziła po zakupy do ledwo dyszącego sklepiku na sąsiedniej ulicy, pożerał go po kawałku oddany niedawno supersam. Kupowała mleko, bułki i biały ser. Spotykała tam zbolaną matkę Igora. Po śmierci męża chodziła w czerni. Była jedną z tych świętych wdów zawsze w ciężkiej żałobie. Otoczona szacunkiem, w aureoli cierpienia, z bladą twarzą, budziła litość. Straciła męża, a wcześniej syna. Ludzie starali się jej pomagać. Nie wiedzieli, że czuła się lepsza i gardziła nimi, uważała, że jest kimś. Wyglądało, jakby nie pamiętała tego, co się działo w czterech ścianach.

Za to wszystko najdrożej zapłacił Igor. Przez ojca znienawidził matkę, nabrał też chorobliwego wstrętu do facetów. Nawet gdy stali obok, każdy dotyk go brzydził. Mówił, że gdy miał się przywitać z potężnym facetem, choć trochę podobnym do ojca, podać mu rękę, musiał walczyć z odrazą. Obawiał się tych dłoni, wilgotnych i lepkich.

Wyjechał, po prostu uciekł i uwolnił się od rodziny. Na początku szło mu bardzo dobrze. Miał świetną robotę, niezłe pieniądze, perspektywy, miłą dziewczynę, z którą mieszkał. Nie rozumiał, skąd

to na niego spadło! Depresja, mania, depresja. Kobiety od niego uciekały. Zaczął ćpać bez opamiętania, nie mógł się zatrzymać. W końcu zapadł się jak grób na podmokłej ziemi. Upadek był głębszy niż sukces zawodowy. W skrócie szambo. Igor twierdzi, że wyszedł na prostą dopiero dzięki Bechsteinowi. Ewita mu wierzyła. Wrócił do zawodu, znów ma udziały w dobrej kancelarii, wygrywa sprawy, zarabia nieźle, mieszka dwie przecznice od gabinetu doktora Bechsteina. Popała z umiarem, pije w normie. Doktor podobno podał mu rękę wtedy, kiedy o mało nie zaczął się na śmierć. Po wyjeździe z kraju zmienił nazwisko, podciął zgniłe rodzinne korzenie, rozbudowane drzewo genealogiczne usychało w jego pamięci. Dziadkowie z obu stron, ciotki, wujowie, twierdził, że wszyscy znali „słabość” jego ojca. Przypominał sobie półsłówka kuzynek, śmichy-chichy wujów i skamieniałą twarz matki.

Zanim Ewa dowiedziała się, że prawda wewnątrzrodzinna jest inna niż ta wynoszona na zewnątrz, zanim Igor puścił farbę na temat swojej rodziny, zazdrościła mu ojca, zawodowego wojskowego, jak się wtedy mówiło. Wojsko cieszyło się w tym czasie respektem, odróżniano je od esbeków i różnych służb. Żałowała, że nie ma dziadków, pociotków, jakich miał Igor i inne dzieciaki. Ona i jej matka nie miały nikogo. Gdy opowiada doktorowi o Igorze, zauważyła, że się niecierpliwi. Chciał, żeby wróciła do swoich relacji z matką. Zauważyła to.

– Życie Igora miało na mnie wielki wpływ, doktorze. Nie będę teraz o tym mówiła, przyjechałam do pana ze swoimi sprawami. Obiecuję, że będę bardziej regularnie prowadziła dzienniczek. I odwiedzała matkę – powiedziała na zakończenie tamtej wizyty.

## SEKRETNY NOTATNIK EWITY

Ewita prowadziła dwa rodzaje notatek, jedne dla doktora Bechsteina, drugie dla siebie. Nie do pokazywania. Dotrzymywała przysięgi danej Igorowi, nie zwolnił jej z niej, mimo że upłynęło tyle lat. Wiedziała, że psychoanalityk związany jest tajemnicą ze swoim pacjentem, zatrzymuje poufne informacje tylko dla siebie. Po co obciążać doktora Bechsteina taką wiedzą? – myślała. Zapisywała to, co pamiętała, żeby oczyścić pole pamięci, wykarczować chwasty. Często, gdy patrzyła na dzieci, gdziekolwiek była, u kogoś z wizytą czy widziała wnuka z dziadkiem za rękę, pojawiały się te odrażające obrazy. Obawiała się także, czy dobrze ulokowała swój grzech młodości, czy nie naraziła dziecka na podobną traumę. Nie, nie Marianna Skiba wiedziałaby o tym, jako matka chrzestna nie da dziecku zrobić krzywdy.

Tajemnica, którą Igor podzielił się z Ewitą, wyraźnie wpłynęła na jej sposób widzenia rodzinnych układów. Jeśli Igor chciał, żeby doktor się o tym dowiedział, wyśpiewałby mu wszystko podczas sesji. Może zresztą to zrobił, doktor Bechstein miał niezły trening, po jego minie nie można się było niczego domyślić, oczy chował za przyciemnionymi szklami, zdejmował je tylko, żeby opanować zmęczenie. Uciskał wtedy nos między brwiami. Świetny byłby z niego pokerzysta. Po prostu sfinks, nie wiadomo, czy znał

rozwiązanie zagadki sfinksa, czy blefował. Ceniła go za tajemniczość.

Igor zachował się jak bohater serialu kryminalnego. Tam często stosuje się takie chwytły. Najgorsze są seriale oparte na faktach, wydają się głupsze niż te wymyślone. Prawda nie jest racjonalna, ludzie działają nieracjonalnie. Igor opowiedział Ewicie, co zrobił, żeby pozbyć się rodziny. Po prostu wysłał im dokument o swojej śmierci w wypadku. Potrącony przez samochód na Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Z informacją, z pieczętkami, że umarł jako bezdomny i został pochowany na koszt państwa. Zamówił fałszywkę, trochę go to kosztowało, ale świstek wyglądał na autentyczny. Tłumaczył jej, że musiał zaszyć się jako nędzarz, sześć stóp pod ziemią, inaczej rodzinka zaczęłaby domagać się majątku, jaki po nim pozostał.

– W kraju tylko ty jedna wiesz, że żyję i znasz mój adres.

– Pomyśl, czy mimo wszystko nie chciałbyś spotkać się z matką? Sądzę, że bała się męża potwora, podobnie jak ty ojca – spytała Ewita, gdy latem, pewnego późnego popołudnia, z ogromnymi kielichami wina siedli na schodkach.

Butelka stała między nimi. Toczyło się tu inne, trochę prowincjonalne, nowojorskie życie. Igor mieszkał tu od kilku lat, a jej się wydawało przez chwilę, że mogłaby zamieszkać w tym miejscu.

– Nigdy mi tego nie sugeruj. Błagam cię, nigdy! Powiem ci, żebyś wiedziała, jak było. – Jego twarz zmieniła się nagle. Pobladł, potem poczerwieniał, zacisnął zęby, zaczął mówić. Bardzo cicho, prawie szeptem. – Matka czekała pod drzwiami, on je otwierał, gdy ze mną kończył, podkładała się mu do pierdolenia, stary warczał jak wściekły pies, wbijał się w nią, a gdy widział, że chcę stamtąd prysnąć, wydawał komendę: Zostań! Otwórz oczy! Patrz i ucz się! Tak się traktuje te Napalone Suki! Wszystkie są takie same! Kazał mi



patrzeć, jak ją rżnie i bije po twarzy, wkłada kutasa w jej gardło, aż oczy wychodziły z orbit, drapał, szczypał w piersi, musiałem słuchać jej krzyków i jego obelg, to go rajcowało. Wiesz, co było najgorsze? Że mały mi przy tym stawał! On to widział, zmuszał matkę, żeby go lizała, i rechotał...

Przepisała z pamięci jego słowa, zapamiętała dokładnie i zapisała w zeszycie z notatkami. Nie użyła laptopa, nie chciała, żeby tajemnica Igora wisiała w sieci. Myślała, że może ten zapis pozwoli jej zapomnieć. Na pewno przytłumi jego wspomnienie, które stało się także jej własnością. Pamiętała bladą twarz Igora na tle czerwonej, prawie świecącej cegły, jego oczy, w których odbijało się zachodzące słońce. Nigdy jego twarz z tamtego popołudnia i ten odrażający obraz, żyjący dotąd tylko w nim, plugawe słowa wykrzykiwane przez jego ojca, nie uleciały z jej pamięci. Nadal sądziła, że jego matka znalazła taki sposób na przetrwanie. Tak została wytresowana, ojciec był specem od musztry wojskowej. Od tego dnia, w którym usłyszała opowieść o ojcu, matce i wychowaniu seksualnym, jakie odebrał Igor, nie namawiała go, żeby spotkał się z matką. Gdy spotykała ją na ulicy, przechodziła szybko na drugą stronę. Nie chciała słuchać jej zboląłego głosu, patrzeć w te oczy, które widziały tamto! Wówczas także zaczęła inaczej, bardziej przychylnie patrzeć na swoją matkę.

## MATKI I CÓRKI

Ewita po kilku dniach w NY, po wyczerpującym tygodniu mody i sesji u doktora Bechsteina, wróciła do Warszawy podbudowana. Spotkała się z Adelą i Ketą.

– Matka ma stałego partnera, który ją „uwielbia”, jest „romantyczny”, zawsze przychodzi z czerwoną różą. Na szczęście mieszkają oddzielnie – zaczęła rozmowę.

– Przynajmniej tyle, nie musisz się obawiać, że którejś nocy zarąbie ją siekierą, spierdoli ze szkatułką biżuterii, a ty będziesz zmuszona identyfikować tę masakrę – powiedziała Keta. A po chwili dodała: – Ciesz się, że jest zdrowa i zajęta sobą. Zazdroszczę ci, ja wciąż czuję niepokój. Moja jest już wiekowa. Miała mnie późno, jestem szczęśliwa, że czuje się coraz lepiej.

– Namalowałaś piękne portrety matki, stawiasz jej pomnik – stwierdziła Adela.

– Czy piękne? Wątpię, może są dobre, wolałabym, żeby ich nie zobaczyła. A ty w powieściach też rodziców portretujesz! – powiedziała Keta.

– Nic innego nie potrafię, poświęcam im zbyt mało czasu. Muszę się tym wreszcie zająć, na razie są sprawni. – W głosie Adeli dało się wyczuć melancholię.

– Ja ostrzegałam matkę przed tym palantem, jednak bez skutku.

Twierdzi, że on jest lekarzem, chwilowo nie praktykuje, ma urlop zdrowotny. Jest przebiegła i sprytna, a w tej sprawie wykazuje pensjonarską naiwność, nie dałabym za jego dyplom nawet ćwiertci dolara. Może pracował jako sanitariusz? Wciąż używa terminów medycznych. Ni w pięć, ni w dziewięć. Robi na mnie wrażenie debila salonowego, to określenie z dziewiętnastowiecznej psychiatrii. Dużo teraz takich salonowców.

– Zrzędzisz jak stary zgred. Przyjęłaś rolę wychowawcy w stosunku do matki. Może ona ma tego dość? – zauważyła Adela.

– Dzięki, a ty jesteś jak doktor Bechstein, płacę mu grubą kasę za godzinę, a tu proszę, mam psychoanalizę za darmo! – zaśmiała się Ewita. – Bałam się, że ją okradnie. Przy naszym poznaniu gapił się na moje piersi, a głównie na gruby, złoty łańcuch, który nosiłam. Nie jest tym, za kogo się podaje. Sprawdziłam go, nie jest notowany, pracował w firmie transportowej jako dyspozytor.

– Rzeczywiście, nadopiekuńcza mamuśka! – odezwała się Keta.

– Nie mówię jej o jego kłamstwie. Mogłabym go usunąć, dając parę groszy za porzucenie, ale tego nie zrobię. Żal mi matki, nie chcę wkraczać w jej źle ulokowane uczucia jak brygada antyterrorystyczna.

– Mówisz, że nie chcesz, a wkraczasz z butami, daj kobiecie żyć! – dołożyła Adela.

– Zauważyłam, że się zmieniła na lepsze, odkąd ten palant ją adoruje. Częściej się śmieje. A raz nawet spytała mnie, czy dzieje się ze mną coś złego, bo mam w oczach smutek!

Takie pytanie Ewita usłyszała od matki pierwszy raz w życiu. Była tym zszokowana, ale też poruszona. Czyżby zalecenia doktora Bechsteina i cierpliwość zaczęły działać? Pilnowała jej teraz dyskretnie, z daleka, nie starała się obrzydzać jej amanta. Od czasu do czasu nasyłała znajomego detektywa, żeby sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Dawała jej sporo kasy, a matka nie

ukrywała zamożności. Ewita bała się, że to może przyciągać męty, złodziei zajmujących się starszymi bogatymi kobietami, polujących na takie. Bała się o nią. Matka stroiła się w markowe ciuchy, miała kilkadziesiąt par butów, torebki z metkami od najlepszych. Ze względu na swoją funkcję prezeski imperium i szefowej „TopWoman” Ewita dostawała gify od różnych firm.

Chętnie oddawała ciuchy i kosmetyki dziewczynom w redakcji, a także matce, która była w siódmym niebie po każdej paczce z prezentami. Stroiła się i urządziła podwieczorki dla znajomych. Miała opłacaną przez córkę „służącą” na przychodne, jak lubiła mówić o Ukraince z doktoratem, która sobie w taki sposób dorabiała, jak wiele innych. Matka popisywała się przed przyjaciółkami: Niech Oksana poda herbatę, niech przyniesie ciasteczka...

– Nie czujesz, że forma „niech” jest obrzydliwa? – zwróciła jej uwagę Ewita.

– O co ci chodzi, przecież jestem dla niej dobra! Daję jej mnóstwo ciuchów! – odparła matka.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, czym jest cudza godność? To okropne, jak się do niej odnosisz, a do tego ma wyższe wykształcenie, nie to, co ty! Okropność! – karciła ją Ewita.

Matka była dumna jak gwiazda z Bulwaru Zachodzącego Słońca, choć bez przeszłości wybitnej gwiazdy. To zrobiły z niej pieniądze. Chodziła po mieszkaniu wyprostowana, w kaszmirowym szalu narzuconym na ramiona, w długiej sukni!

– Jednego nie można jej odmówić: kondycji. Podniesiona głowa, wyciągnięta szyja, podbródek do przodu, gdy się uśmiecha pokazuje zadbaną, polakierowaną na biało szufladę. To akurat jest w porządku – mówiła Ewita do przyjaciółek podczas tej nocy poświęconej opowiadaniom o matkach. – Doktor Bechstein mówił, że patrzę na nią jak na okaz przyrodniczy, powinnam się bardziej starać, poświęcić jej więcej czasu, czułości, że pieniądze to nie

wszystko.

– Ma rację facet, może dajesz za dużo kasy, kupujesz uczucia? – zgadywała Adela.

– Nie znacie mojej matki. Staram się robić ćwiczenia, które doktor mi zadaje. Byłam u niej, bardzo łagodnie i spokojnie rozmawiałam, usiłowałam ją przytulić, pogłaskać po ramieniu, ale ona ciągle patrzyła na ekran telewizora, owszem wyłączyła dźwięk, ciągle wpatrywała się w gadających aktorów w jakimś serialu. Nic a nic nie interesowało jej to, co mówię, była jak dziecko, któremu za karę nie pozwala się grać w nową grę.

– Dlaczego miała przestać oglądać? Mogłaś z nią obejrzeć i gadać w trakcie, one to lubią! Ja tak robię. Czasami jej czytam, bo narzeka na oczy. Rób, to czego chce, przestań ją ustawiać jak wszystkich w firmie, nie jesteś jej szefową! – poradziła Keta.

– Keta ma rację, ja zabieram moją na zakupy, potem jemy coś w knajpce, którą wybierze, matka udziela mi dobrych rad, jak powinnam wychowywać bliźniaki. Robię wszystko odwrotnie, ale ona o tym nie wie. Dbam też o to, żeby bliźniaki się z nią widywały. Wystarczy, że się wygada, wyjdzie do ludzi, już jest lepiej. Czuję się z nią związana. Bardzo mi pomogła, gdy dzieciaki były małe – mówiła Adela.

– Ciesz się, że masz dzieci, to dobry punkt zaczepienia. Ja nigdy nie chciałam dziecka, ale dla mojej matki wnuk to byłoby coś! – dodała Keta.

– To byłby szczyt poświęcenia, urodzić matce wnuka! – zaśmiała się Adela.

– Ja z moją mam kontakt mniej więcej taki jak rozwiedziony facet z dziećmi, raz w tygodniu, czasami dwa razy w miesiącu. Żyjemy oddzielnie, i niech tak zostanie. Doszłam do wniosku, że nie zależy mi na zmianie. No, może trochę. Macie rację, póki ona jest zdrowa i nie chce ode mnie nic prócz pieniędzy, sytuacja jest czysta,

spełniam obowiązek córki – skwitowała Ewita.

– Wiecie, co mnie dziwi? Że w naszych rozmowach nie pojawiają się ojcowie! U Ewity to zrozumiałe, mało wie o wielkim nieobecnym, my dwie jednak też mówimy wciąż o matkach – powiedziała Adela.

\*

Ewita próbowała zgodnie z sugestią doktora wprowadzić więcej intymności do relacji z matką, ale to się nie udało. Życzyła matce i sobie, żeby jak najdłużej była zdrowa i miała swojego amanta do okazywania uczuć. Chociaż świadomość, że matka jej nie potrzebuje, była bolesna. Widziała, jak się łąsi do swojego faceta, jak go kokietuje. Po raz kolejny otorbiła się. To był mechanizm obronny, choć uważała, że nie wyje w niej tęsknota za macierzyńską miłością, ciągle była jakaś zadra. Mówiła Bechsteinowi, że sobie lepiej radzi, zauważyła po minimalnym ściągnięciu brwi, że jej nie wierzy.

Jeśli już miałaby za czymś tęsknić, to bardziej tęskniła za dzieckiem, którego wtedy nie chciała. Musiała oddać... Musiała? Tak się to ułożyło. Nie czuła wówczas przyływu uczuć macierzyńskich, o których tyle się mówiło. Liczyła, że jeszcze spotka kogoś, z kim sobie ułoży przyszłość, będzie miała dzieci. Czas mijał, w dzień pracowała, robiła karierę, a przez jej wieczory i noce przewijali się potencjalni ojcowie. Nie pękła prezerwatywa, środki, które brała, działały jak trzeba. Nie zachodziła w ciążę. To się już nie powtórzyło, nie było nikogo, z kim chciałaby mieć dziecko. Drugi mąż Ewity to oddzielny rozdział, był najmniej odpowiednim materiałem na ojca. Na przypadkowego dawcę spermy nie mogła się zdecydować. Mówiła doktorowi Bechsteinowi, że nie chciała mieć dziecka z przypadkowego numerka z kimś, kto zainteresował ją na chwilę, gdy, jak powiedziała, miała „suczy popęd”. Teraz było na to już za

późno. Medycyna oferowała różne możliwości, ale nie brała ich w ogóle pod uwagę.

Coraz częściej jednak myślała o tym, jaki jest jej syn? Czy już dojrzał? Czuli, że zbliża się czas zmian. Zastanawiała się, czy nie powinna go odszukać.

\*

Po rozmowach z doktorem Bechsteinem Ewita zastanawiała się nad tym, co powtarzał o zbliżeniu z matką. Gdyby razem mieszkały? Wyobrażała sobie, że staje na parapecie, a matka wchodzi w tym momencie do pokoju. Obawiała się, że gdyby zobaczyła matkę stojącą w drzwiach, to mogłaby wyskoczyć. Matka często prowokowała ją do rzeczy, których wcale nie chciała robić. Doktor nie rozumiał, a może nie mógł przyjąć, że matka nie chce częściej widywać córki. Za jego radą próbowała się zbliżyć, ale nie dostawała od niej wsparcia. Powiedziała Bechsteinowi, że matka jest podobna do jej podwładnych, sądzi, że Ewita jest Suką z Żelaza albo wilczycą, która wykarmiła tych dwóch rzymskich bubków. Matka sama ciągnęła, ile się dało. Ewita nie dostawała w zamian nic, ludzie sądzili, że ona niczego nie potrzebuje. Nie wysyłała sygnałów, że jest w potrzebie. Od matki też nie dostała nic, oprócz „dobrego wychowania”, bo ćwiczyła ją w tym, jak trzymać nóż i widelec, pouczała też, co dziewczynce wypada, a co nie.

Co właściwie mogłaby jej zaoferować? Matczyną miłość? Śmiała się, choć pewnie właśnie tu powinna nad sobą zapłakać. Miłość macierzyńska musiałaby się wcześniej ujawnić, żeby wiedziała, jak wygląda. Może przydałoby się jej trochę matczynej szczerości? Może doktor znajdzie jakiś sposób na odzyskanie matki?

\*

Nie było między nią a matką szczerzej rozmowy. Ewita twierdziła, że jest jej wdzięczna za oschłość, surowość, obojętność. To dało jej samodzielność i nauczyło ją twardości. Od dziecka mogła liczyć wyłącznie na siebie. Imperium medialne, którym władała, miało strukturę gangsterskiego świata. Zwalczające się korporacyjne gangi, zmieniający się bossowie, podkradający sobie ludzi i tematy. Skazujące tych z konkurencji na niebyt na własnym, obsikany przez siebie terytorium. Nie zabijało się naprawdę, jednak skazywano na nieistnienie. Tamci są tacy sami jak my, uważały obie strony: Jeśli ja nie zabiję, to mnie zabiją. Takie było motto działań.



## BEZLUDNA WYSPA

Keta wyszła z wanny i popatrzyła w lustro. Nie jest najgorzej. Wykrzywiła się do swojego odbicia, tak jak miała to w zwyczaju od wczesnego dzieciństwa. Od razu pojawił się głos matki wklejony w mózg: Rób tak dalej, a zobaczysz, że kiedyś tak ci zostanie! Jak zwykle matka nie miała racji. Żeby to udowodnić nieobecnej, i w tej chwili już bezbronnej, matce, znów zrobiła minę, która oznaczała: Widzisz? Nie dałam się! Na nic twój sposób wbijania młotkiem banalnych mądrości! Na nic powtarzanie: Nie rób min, bo ci się diabeł pokaże! Nic nie dało! A jednak pamiętasz!, powiedziałaaby matka z satysfakcją.

– Bóg jest wszędzie i widzi wszystko!

Lubiła straszyć Ketę stałą boską obserwacją, cokolwiek zrobisz, nic się przed Bogiem nie ukryje. Zupełnie jakby on był kamerą przemysłową albo profesjonalnym sprzętem szpiegowskim. Nic nie ukryje się przed nim i przed matką, przedstawicielką Boga na ziemi? W każdym razie Keta zawsze ukrywała przed nią wszystko, co chciała zachować w tajemnicy. Tak jest do tej pory. Matka uważała się za kogoś w rodzaju boskiej urzędniczki. Hierarchia wyglądała tak: Bóg jako szef, ksiądz, pełnomocnik boski na Ziemi, i ona, wykonawczyni poleceń obu tych panów. Czasami zyskiwała przewagę nad stanem duchownym. Działo się tak szczególnie

wówczas, gdy księża zawodzili moralnie. Tak jak po tej okropnej historii związanej z lekcjami religii i sprawdzaniem, czy uczennice noszą ciepłe gatki. Dziewczeta w klasie mówiły, że księża mają pierdolca na punkcie seksu. Księżę paluchy jakoś zawsze zbłądziły pod gumkę majtek, w okolice szparki. Najpierw matka nie chciała uwierzyć Kecie. Nie, nie, to niemożliwe, musiało ci się wydawać, nasz ksiądz to porządny człowiek!, powtarzała. Potem jednak, gdy skargi innych dziewczyn dotarły – przez rodziców na wywiadówce – do dyrektorki, dała spokój.

– Bóg jest wszędzie i widzi wszystko – mówiła tak nawet wówczas, gdy Keta wyprowadziła się z domu i wyzwoliła spod władzy rodzicielskiej.

– Tym gorzej dla Boga! – odszczeknęła Keta ze śmiechem.

## SZTUKA NIE RANI

Co się dzieje, pomyślała, dlaczego prehistoryczne myśli gadają jak najęte, dlaczego pojawiły się zaniechane, dawno niesłyszane, przebrzmiałe dyskusje? A w tle, jakby rozpięte na wielkich billboardach, wiszą dwie twarze matki, dawna, młoda, z jasnymi, niebieskimi oczami, z rumieńcami na policzkach i czerwonymi ustami, i ta widziana trzy dni temu, przypominająca maseczkę klejoną z *papier-mâché*, z bladymi ustami, prawie nieodbiegającymi kolorem od zmiętej bieli. Zrobiła niedawno portret matki, chociaż nie pracowała z nią jako modelką. Nie chciała sprawiać jej dodatkowego bólu. Widziała, jak matka, będąc jeszcze w szpitalu, wzięła lusterko, popatrzyła na siebie i odwróciła twarz ze wstrętem. Dlatego Keta zrobiła szkice z pamięci dopiero po powrocie do domu. Powstał z nich projekt, a potem obraz w tonacji chłodnej bieli, szarości i ugru. Udało się uchwycić podobieństwo, w sposób dotąd niespotykany, zdziwiło ją to, bo nie miała zdolności portretowania. Pewnie dlatego, że choroba i wyniszczenie uczyniły rysy matki niebywale wyrazistymi. Postanowiła, że na razie nie pokaże obrazu matce, to podobieństwo było nazbyt bolesne. Dotąd Kecie udawały się czasami autoportrety, znała najlepiej swoją twarz z lustera. Zawsze malowała siebie z pamięci. Gdy na wystawie niektórzy zachwycali się autoportretami, mówiła ironicznie, że udany *self*

*portrait* jest wynikiem próżności artysty i jego zbytniego skupienia na sobie. Malowała Grzegorza, także Kacpra, jak dotąd nic z tego nie wychodziło, ich twarze były płaskie, maskowate, niepodobne. Nie rezygnowała jednak, bo coś tajemniczego można było odczytać na portrecie potrójnym. Pomiedzy nimi umieściła autoportret. To dla niej bardzo znaczący obraz. Zakodowany kamuflaż. Nie chciała ujawniać istoty trójkąta, o którym nie wiedział nikt, oprócz tej trójki. Nawet matka, zwłaszcza ona nie mogła się dowiedzieć.

Podczas wernisażu naczelna medialnego koncernu Ewita stała przed portretem potrójnym i przyglądała mu się uważnie. Po chwili zaczęła rozglądać się za Ketą. Powiedziała, że obraz ją zachwycił i chciałyby go kupić.

– Jest niedokończony. Będę jeszcze nad nim pracowała – broniła się Keta.

– Ten trójkąt jest trwały, czasem trójkąty kończą się, dopiero gdy ktoś z trójki umrze – zauważyła, patrząc prosto w oczy Kety.

Umówiły się na spotkanie u niej w redakcji. Gdy Keta się zjawiała, Ewita zaproponowała jej współpracę. Chciała, żeby ilustrowała felieton pisarki, Adeli, która przyszła po chwili. Keta twierdziła, że sobie nie poradzi, że nigdy nie robiła ilustracji do tekstu. Jednak gdy przeczytała kilka felietonów Adeli, zgodziła się. Poza wszystkim chciała się spotykać z Ewitą i Adelą. Magazyn „TopWoman” został kilka razy nagrodzony za szatę graficzną, także za poziom tekstów, przypadek zmieniał się w coś trwałego. Rozumiały się, miały podobne poczucie humoru. Widywały się dość często, mimo że wszystkie były zajęte. Adela wpadała do redakcji, choć mogła wysyłać tekst mailem. Wpadała także Keta, bo rysunek musiał być dostarczony w oryginale. Potem razem z Ewitą wychodziły na obiad do skromnej knajpki w pobliżu, w której na miejscu przygotowywano świetne sałatki. Od czasu do czasu zdarzały się okazje urodzinowe czy imieninowe, wtedy wieczorem u Ewity odbywała się dłuższa

sesja z winem i niekiedy czymś więcej, jointem albo odrobiną haszu.

\*

Keta skończyła portret matki. Prawda matczynej ściśniętej w pięść twarzy zdziwiła ją samą. Uznała, że to jedna z jej najlepszych prac. Miała kontakt z Michałem, profesorem z Akademii, u którego uczyła się rzemiosła. Tak to określali, bo wymagał umiejętności, chciał, żeby znali techniki. Zwalczał artystów na pierwszym roku. Pieta przyjdzie później, na razie rzeźbimy panią Jadzię. Pani Jadzia była starszą modelką o rubensowskich kształtach, z wyraźnie zaznaczonym brzuchem i biustem. Keta ceniła Michała najbardziej ze wszystkich uczących. Zaprosiła go do pracowni i pokazała obraz. Zwykle był bardzo oszczędny w pochwałach. Nigdy dotąd tak na nią nie patrzył, jak teraz, gdy rozpakowała szary papier, a spod niego wyłoniła się blada, w różnych odcieniach bieli, twarz. Choroba naznaczyła ją bólem. Zapakowała obraz, bo nie chciała na niego ciągle patrzeć. Postawił portret na sztaludze. Odchodził, zbliżał się, patrzył z ukosa i na wprost.

– To jest twoja najlepsza praca – powiedział tonem, jakiego używał do oceny prac studentów. Rzadko zdarzało się, żeby tak kogoś chwalił. – Nie paćkaj już nic, nie wykańczaj, zawsze miałaś tendencję do przemęczania, daj spokój – dodał, żeby nie zrobiło się zbyt słodko. – Masz jeszcze coś z tego cyklu? Pokaż wszystko, co zrobiłaś. – Oglądał, cmokał, mruzczał, gadał do siebie, zachęcał do zrobienia cyklu obrazów z matką w roli głównej, pochwalił także autoportrety. – To jest materiał na spójną wystawę. Wszystko. Obrazy, szkice. Mogę zostać kuratorem. Dawno się tego nie podejmowałem, ale warto, rozwinęłaś się, dziewczyno.

Mówił, a ona zaczerwieniła się, jakby wróciła do pracowni. Wtedy

rumieniła się jednak, gdy ją ganił, a nie chwalił. Wiedziała, że to wielkie wyróżnienie, że on rzadko się zgadza z autorem. Powiedział, że powinna przestać zajmować się firmą, czymkolwiek innym, a poświęcić czas tylko na malowanie.

– Nie zawsze łapie się taką formę, jesteś w fazie pełni, zrób jeszcze kilka szkiców i pokaż je ludziom – zakończył, wkładając palto.

– Może później, teraz nie chcę ranić matki – powiedziała, bo musiałyby ukrywać przed nią temat wystawy.

– Sztuka nie rani – odrzekł. – Kiedy później? Gdy matka umrze? – dopytał już w drzwiach.

Nie uznawał kompromisu, delikatności w sprawach sztuki. W jego życiu twórczość była nadrzędna nad codziennością, nawet nad chorobą i śmiercią.

## KIEDY DZIEJE SIĘ ŚMIERĆ

Myśl o śmierci matki sprawiła jej ból. Matka podnosiła się z upadku, każdego ranka była w lepszym stanie i wyglądała lepiej. Keta pragnęła, by wróciła do siebie sprzed wylewu. Nigdy nie miała dla matki tyle czułości, nieznaney dotąd, nigdy o niej nie myślała w taki sposób. Jak o kochanym, nieuleczalnie chorym dziecku, które traci. Tak sobie wyobrażała. Lęk jest miłością. To wiedziała. Doszła do tego już dawno temu, gdy straciła swoją najlepszą przyjaciółkę, którą uważała za siostrę. Bardzo się o nią bała, budziła się w nocy w strachu, w zimnych siódmych potach, gdy ta przezroczyista, chudziutka dziewczynka umierała w klinice, nie wiedząc, że umiera. Była pogodna, śmiała się głośno, gdy Keta odwiedzała ją i opowiadała o szkole. Chciała umrzeć razem z nią, choćby na chwilę, odprowadzić do tajemniczego nowego domu, gdzie miała zamieszkać po śmierci. Jednak chciała wrócić. Tak jak wtedy, gdy wracały ze szkoły. Odprowadzić, ale wrócić, bo życie było takie ciekawe, takie wciągające! W dzieciństwie każdy dzień był inny. Przynosił coś nowego. Keta bardzo wcześnie zrozumiała, że nie poświęci się dla nikogo. Cierpienie też jest ciekawe. Zawsze wiedziała, że wielkie cierpienie ma wartość dla sztuki, taką jak namiętność i radość. Co najmniej taką, chyba nawet większą. Nie chciała, żeby matka umarła, wiedziała jednak, że przyjmie jej śmierć

z rozpaczą, ale i rezygnacją typową dla nieodwracalnej sytuacji, z której nie było innego wyjścia niż pogodzenie się z czyjąś cielesną nieobecnością. Tak było z ojcem. Chociaż często jest obecny, wywoływany przy każdej okazji, a bywa, że pojawia się nieproszony.

\*

Dziś są moje urodziny, tak, dziś są moje urodziny!, pomyślała, przywołując genialny spektakl Kantora. Oglądała ten teatr kilka razy, wiele lat temu, wydawało się, że była wtedy zbyt młoda, by go zrozumieć, powracał do niej z upływem lat, tak jak *Umarła klasa*. Ten sposób, w jaki Kantor ujmował przeszłość w dłonie, przyglądał się jej, chuchał na nią, by ją ogrzać, stał się jej bliski artystycznie, mimo że była wówczas u progu dojrzałości, a starość oglądała u innych. Sceny z wcześniejszego życia pojawiają się w dniu urodzin, to naturalne, chociaż dzień jest taki sam jak inne, data urodzenia coś jednak wyznacza. Odbicie w lustrze takie jak wczoraj. Gdyby lustro pokazało jej twarz i ciało sprzed dwudziestu lat obok tego dzisiejszego, zobaczyłaby wielką różnicę między młodością a dojrzałością. Jednak młodość się ciągle wydłuża, przynajmniej tak się pocieszamy, myśli. Niby zależy jej bardziej na sprawności umysłowej i fizycznej niż na pięknym wyglądzie, a jednak trzeba mieć siłę, żeby znosić to, co się dzieje. Tłuszcz na brzuchu, niedużo, ale jest, rano płytkie zmarszczki, które wieczorem się pogłębiają, ślady cellulitis na udach zapowiadają starość. Bezwzględnie przychodzącą po swoje. Nieuchronną. Ciekawe, bardzo ciekawe, czy przyjaźń z Kacprem wytrzyma tę zapaść. Jej stosunek do niego się nie zmienił od dnia, w którym się poznali, to znaczy, gdy poznała go osobiście, bo wcześniej znała go z mediów. Znali go wszyscy. Redaktorki i dziennikarki, wszystkie liczące się kobiety mediów,



„uwielbiały go”. Do mdłości. Gdy Keta poznała go bliżej, a w końcu najbliżej, zobaczyła, jak bardzo jego obraz różni się od tego widywanego na ekranie czy w wywiadach. Inny człowiek. Był starszy od niej, dużo starszy. Pocieszające, że to się nie zmieni, zawsze tak będzie. Czy jego starość będzie dla niej do wytrzymania? Czy tak samo będzie z nim? Może tak być dlatego, że na swoje szczęście zdecydowała, by skończyć z nim seks. Gdyby tylko o pieprzenie chodziło, to ten romans dawno już by się skończył. On potrzebował świeżości i niedojrzałości, żeby się nią sycić. Jakby sądził, że dziewczęca młodość przeniknie przez skórę, odżywi go, utrzyma w formie. Jak wampir z każdym pocałunkiem wysysał świeżą krew, młodość, z każdym wejściem, wbiciem się w młode ciało odzyskiwał stan napięcia, jak zwiędły kwiat wrzucony do wody. Gdy już dostał to, co chciał, gdy się nasycił, wtedy nadchodził czas Kety. Mógł się z nią przyjaźnić. Opowiadał jej o nowych zdobyczach, naśmiewał się z naiwności i głupoty. Zawsze broniła jego dziewczyn, wydawało się jej, że prowadzi tę procesję, choć Kacper traktował ją jak Pierwszą Nałożnicę. Nie zdradzał jej z nikim oprócz żony. To jasne, wspomnienia atakują mnie właśnie dziś, z jednego jedyne powodu, to efekt urodzinowy, pomyślała.

Z matką nic się nie dzieje, przecież wczoraj ją widziała. Znalazła wszystko w najlepszym porządku. Pocieszała się, ale już to, że musiała uciekać się do tłumaczenia sobie, że matce nic nie mogło się stać, że jest w domu, leży w łóżku, ma dobrą opiekę, samo to było niepokojące.

Wiedziała, że pomiędzy wczoraj a dziś, między godziną a minutą dzieje się śmierć. Nie teraz, jeszcze nie teraz, niech ona jeszcze zostanie, myślała błagalnie. Na razie wszystko działa. Starannie poukładane dni i noce matki nie wywracały już dni i nocy Kety. Od dawna, od dnia, w którym znalazła na podłodze nieprzytomną matkę i pomyślała, że to już koniec, że matka nie żyje, od tamtego

dnia, nie czuła tego drżenia. W sprawach dotyczących opieki panował reżim, musiał panować absolutny porządek, nie było miejsca na żywioł. Była wręcz szczęśliwa, że ma pieniądze, by zapewnić matce komfort chorowania. Cieszyła się, że daje radę sama, nie potrzebuje wsparcia. Nie musiała, przynajmniej na razie, przyjąć pomocy oferowanej przez Kacpra. Przy każdym spotkaniu pytał, czy nie trzeba zasilić jej konta w związku z chorobą matki i trudnościami na rynku sztuki. Odpowiadała, że jej obrazy bardzo dobrze się sprzedają. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy sprzedała trzy wcześniejsze prace. Miała nazwisko i wyrobioną markę, a wbrew temu, co się sądzi, rynek dzieł sztuki w kryzysie działa dobrze, nawet lepiej niż wówczas, gdy gospodarka trzyma się nieźle. Bogaci lokują pieniądze w obrazach. Już sama oferta Kacpra i szczerą chęć pomocy była dla niej wielkim wsparciem. Pod tym względem Keta znajdowała się w nadzwyczaj dobrej sytuacji. Wspierał ją Grzegorz, jej mąż, i Kacper, dawny kochanek, a teraz najlepszy przyjaciel.

Wiele znajomych kobiet nie miało nikogo, same musiały harować na lekarzy, dziesiątki leków, sprzęt rehabilitacyjny. Nie kupowały sobie nic, nie stać było je na kosmetyki, fryzjera. Przeklinały los, jaki je spotkał. Gdy zmieniały pieluchy, myły chorych, nie czuły świętości, która uwzniośla cierpienie. Nie chciały zostać świętymi! Miały ochotę śmiać się, bawić, podróżować, czytać, poznać kogoś, związać się z nim, to wszystko było nieosiągalne. Jeśli nawet udało się znaleźć trochę czasu i spotkać się z kimś, to po zaproszeniu do domu, gdy facet poczuł wiszący w powietrzu słodkawy, mdły zapach choroby, gdy zobaczył przez uchylone drzwi kogoś leżącego, usłyszał jego charczący kaszel, ledwo mógł doczekać końca kolacji. Dalszego ciągu nie było.

Znała ludzi pracujących na dwóch etatach, żeby uciągnąć jakoś brzemień starości rodziców, ich długiego umierania, gdy codziennie

działa się śmierć, jednak nie do końca. Życie starych ludzi ciągle się wydłużało. Statystyki puchły z dumy, jednak nie było tam informacji, że w większości przypadków to przedłużana agonia. Nieskończoność umierania. Starzejące się dzieci leżących albo ledwo kuśtykających matek czy ojców, często pozbawionych pamięci, czy to z powodu zwykłej demencji, czy alzheimera, miały się nie najlepiej. Ci dorośli ludzie mieli pełną świadomość ciężącego na nich brzemienia, które miało skończyć się, dopiero gdy rodzice umrą. Bywało, że wykańczali się szybciej niż dziewięćdziesięciolatki z alzheimerem. Facetów nie dotykało to w takim stopniu, bo głównie na kobietach spoczywał obowiązek opieki nad rodzicami. To było zgodne z wyobrażeniem samarytanek. Po czterdziestce, pięćdziesiątce, gdy odchowały już dzieciaki, postawiły je na nogi, zapewniając dach nad głową, wykształcenie, wikt i opierunek, myślały naiwnie, że wreszcie odetchną po spełnieniu obowiązku. Nie miały syndromu opuszczonego gniazda, opisywanego przez psychologów. Były śmiertelnie znużone harówką w domu przy dzieciach, robieniem kariery w wymagającej firmie, dbałością o zaspokojenie seksualne męża, bez względu na to, czy im się chciało, czy nie. Niestety, nadal musiały harować podwójnie, żeby zapewnić opiekę medyczną rodzicom, którzy miękko weszli w rolę dzieci. Państwo w tej sprawie wypinało na swoich obywateli goły tyłek do pocałowania. Ludzie ciągnący etaty, własny dom i leżącego rodzica byli wykończeni nerwowo i fizycznie. Na ogół nie mieli żadnych oszczędności, bo wszystko pożerał smok niedołęstwa. Połykał biednych starych ludzi z odleżynami oraz ich bliskich. Powodował to niedorozwój opieki państwa nad obywatelami, którzy przeważnie przepracowali całe swoje życie, a gdy stracili zdrowie, nie dostawali w zamian tego, co powinni. Emerytura nie wystarczała nawet na opłacenie pielęgniarki. System wymagał uzdrowienia, niestety, podopieczni umierali, zanim nadeszły reformy. Rodzice

bezbronni, wbrew swoim chęciom, po drodze do śmierci rujnowali zdrowie własnych dzieci. Gdy do Kety docierały takie wieści, cieszyła się, że nie ma dzieci, których wcześniej bardzo pragnęła, że nie obciążą ich życia. Choć jednocześnie zazdrościła ludziom tego, że mieli synów i córki.

\*

Dopiero całkiem niedawno, drogą walki, kobietom udało się wyzwolić z żądań mężów przyzwyczajonych do całodobowej obsługi. Wreszcie zaczęły egzekwować od samców „pomoc” w zajęciach domowych. Myślały, że zyskają czas dla siebie, będą mogły zadbać o włosy, ciało, kupić trochę rzeczy do ubrania. Niestety, nic z tego, natychmiast któreś z czworga „seniorów”, jak nazywano starszych i starych, zaczynało niedomagać. Ojciec, matka albo teściowie. Jeśli starsi państwo mieli szczęście, żyli długo, czy szczęśliwie?, tego nikt nie wiedział. Na ogół byli już w takim stanie, że słabo kontaktowali z rzeczywistością, a jeśli nawet, to ich szczęście nie przekładało się na szczęście dzieci. A gdyby udało się znaleźć miejsce w domu opieki, wtedy dalsza i bliższa rodzina byłaby oburzona. Mówiliby: Wyobrażacie sobie? Ta Okrutna Suka oddała matkę na przechowanie do domu dla nieuleczalnie chorych! Własną matkę!

Tak to funkcjonowało. Niektóre nie miały siły znieść tej wielkiej nienawiści, więc męczyły się latami, aż matka pożegnała się z życiem na dobre. Sytuacja Kety była zupełnie inna. Matka wstawiała co dzień w lepszym stanie, a córka jej kibicowała.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Pytał pan o moją matkę. Jasne, jasne, matka, podstawowa sprawa przy analizie tego typu. Musi pan o nią spytać. Panuje moda na toksycznych rodziców, przynajmniej u nas, toksyczny ojciec, toksyczna matka. Nic z tego, doktorze. Ojca nie poznałam, raczył się ulotnić, zanim zyskałam pamięć. Matka była ze mną. Chłodna, ale nie toksyczna. Nasze kobiece pisma pełne są poppsychologicznych wyopin na ten temat, *sorry*, nie powinnam tak mówić, ale ten niby naukowy język mnie wkurza. Może ja byłam dla niej toksycznym dzieckiem? Niestety, nie lubiłam matki i dawałam jej to odczuć. Więzy krwi to dla mnie było zbyt mało. Spodobał mi się pomysł Igora, żeby wyjechać i wykasować się z życia obok matki na amen! Zastanawiałam się, czy nie wyciąć jej takiego numeru. Tylko że nie mogłam jej tego zrobić. Owszem, uciekałam, zniktałam na jakiś czas, raz zniknęłam na dwa lata, jednak zawsze wracałam. Wcale nie dlatego że nie mam charakteru, chodzi o to, doktorze Bechstein, że nie znam nikogo z rodziny, jestem jej jedyną córką, a ona jest moją matką i jesteśmy zespawane. Tak to czuję. Nie jestem połączona z nią pępowiną, pępowina jest miękka, owszem krępuje, może nawet z miłości udusić, ale nie rani. Nigdy nie czułam siły sznura pępowinowego, bo matka wcale nie starała się mnie do siebie przywiązać. Chciała się pozbyć garbu, jakim dla niej byłam. Kiedy

wyjeżdżałam, nie ściagała mnie jak inne matki, nie śledziła, gdzie jestem i co robię. Wie pan dlaczego? Bo gównu ją to obchodziło. To było żelazne przyspawanie, nie ona do mnie, lecz ja do niej się na początku przyspawalam. Samotne dziecko, bez ojca, dziadków i rodziny. Była tylko matka. Ona pewnie tego nie czuje tak jak ja. Bezwzględna prawda jest taka, że jeśli ja zostałam przyspawana, to bez względu na wszystko, bez względu na jej wolę i chęć, ona także jest związana ze mną. Mamy tylko siebie, wiem, że role się odwróciły, teraz ja jestem jej potrzebna bardziej niż ona mnie. Nawet jeśli nie dziś i nie jutro, to za chwilę będzie starsza, może chora, i co? Kto jej pomoże? Z pewnością nie ten jej przydupas, który ciągnie z niej soki, grzeje się przy niej, zabiera do kina, teatru, ale ucieknie, gdy zdarzy się coś, co mogłoby wymagać jego uczuć albo przyzwoitości. Próbkę już miałam, kiedy siadło jej ciśnienie, potem podskoczyło do dwustu dwudziestu, znów siadło, zasłabła, osunęła się na podłogę, owszem zadzwonił po erkę, zostawił otwarte drzwi, ale się zmył. I tak dobrze, że chociaż wziął jej komórkę i sprowadził pogotowie, nawet nie wiem, czy przy tej okazji nic nie zginęło. Nie chcę go posądzać, pewnie był w panice, potem tłumaczył, że wybiegł, żeby erka nie błędziła. Wrócił dopiero po kilku dniach, gdy matkę przywieźli do domu i wszystko było okej. Nie odwiedził jej w szpitalu, mimo że telefonowała do niego. Nawet ja go szukałam, bez skutku. Tak więc, doktorze, nie ma wyjścia, muszę czuwać. Pyta pan, doktorze, o miłe wspomnienie związane z matką? Jasne, jasne, jaka była moja matka?! Ani toksyczna, ani nadopiekuńcza. Dziecinna, niedojrzała, kapryśna. Trochę Egoistyczna Suka, jak ja. Sądzi pan, że to miłe wspomnienie coś nam wyjaśni? Pamiętam parę dobrych rzeczy z dzieciństwa. Gorący, wakacyjny dzień nad rzeką, kiedy matka zrobiła się taka młoda, nagle byłyśmy jak siostry, woda w rzece płynęła wartko, taka czysta, że widziałam kamienie na dnie. Matka pryskała na mnie lodowatą wodą, ja nie byłam jej

dłużna, piszczałyśmy, aż spłoszyły się ptaki. Pamiętam kilka takich momentów. Kupowała mi książki, bo lubiłam czytać. Upadłam podczas gry w piłkę na boisku, rozbiłam sobie nos, krew kapłała na ziemię, wtedy płakała razem ze mną. Głaskała po głowie. Tego dnia przytuliła mnie po raz pierwszy, poczułam jej ciepło. Czasami pozwalała mi oglądać film dla dorosłych. Takie dni były jak święto, wiedziałam wtedy, że jest moją matką. Bo czasem miewałam wątpliwości. Może wzięła mnie na wychowanie? W końcu odrzuciłam to z powodu logiki. Była za młoda, w tym wieku można przez niefortunny zbieg okoliczności urodzić niechcianego dzieciaka, ale się go z pewnością nie adoptuje. Kazała mi mówić do siebie Wera, bo twierdziła, że ją postarza. Przedstawiała mnie facetom jako młodszą siostrę. To udawanie sprawiało mi wielką frajdę. I wtedy, doktorze, byłam szczęśliwa. Przyjemności się urwały, kiedy skończyłam dwanaście lat. Powięzało się to jakoś z księżycem i czerwonymi plamami na białych majtkach. Zapiisałam tę rozmowę w notatniku. Zdumiała mnie moja własna pamięć, doktorze.

\*

– Trochę za wcześnie, ale trudno, nie jesteś jedyna, to nie choroba, niestety wszystkie to mamy. Boże, jaka ty jesteś zacofana! Nie wiedziałaś, jak to wygląda? Teraz będziesz miała to co miesiąc. – Matka śmiała się, gdy usiłowałam sprać krew.

– Nic mi nie mówiłaś! Skąd będę wiedziała? – spytałam, bo wizja czerwonych przecieków była dla mnie przerażająca.

– Księżyc ci o tym powie! – wykrzyknęła i dodała: – Jak nie dostaniesz okresu przez trzy miesiące, to będzie zły znak! Musisz uważać, co robisz z chłopakami, nie daj sobie wkładać tam nic

oprócz palca, wtedy będziesz bezpieczna.

\*

W taki sposób, doktorze Bechstein, moja rodzicielka mnie uświadomiła. Gdy myślę o matce, mam w głowie mętlik. Z jednej strony wiem, jaka jest interesowna, bo ciągnie ze mnie kasę, ile wlezie, wykazuje w tym nieprawdopodobny spryt. Z drugiej serce zawsze mi skacze, gdy choruje albo nagle o czymś zapomina, a mi się wydaje, że to zaczyna się degrengolada z pamięcią, może miażdżycy? Albo coś gorszego? To nie zdarza się często, pamięć ma dobrą. Nie jest stara, dzieli nas zaledwie osiemnaście lat na moją korzyść, albo niekorzyść, jak pan woli, doktorze. Na szczęście, poza jednym wypadkiem, chyba z powodu klimakterium, jest okazem zdrowia. Pojechałam do niej po wizycie u pana. I co usłyszałam?

Teraz jesteśmy w równym wieku, jak się nie zakręcisz, nie znajdziesz kogoś, z kim zamieszkasz, a twoją jedyną namiętnością będzie praca, zdziwaczejesz do reszty, wtedy ja będę młodsza niż ty. Bije ci już ostatni dzwonek. – To są słowa mojej matki.

Obawiam się, że ma rację. Niestety, nie mogę ułożyć sobie życia według jej wyobrażeń. Ciągłe powtarza, że odkąd znalazła faceta, ubyło jej lat. Fakt, że gdy byłam dzieckiem i potem, gdy ją odwiedzałam, flirtowała, ale nie puszczała się, nigdy nie miałam w domu żadnych wujków jak inne dzieci. Nie wiem, czy nie czuła pożądania, czy dawała mu upust tak sprytnie, że tego nie zauważyłam. Byłam wtedy młodą, skupioną na sobie Egoistyczną Suką, nie obchodziło mnie, co robi moja matka, a jej nie intersowało, co ja robię. Dopiero teraz, po sześćdziesiątce, zapętląła się w ten związek. Nie widzi, że to pajac. Ja miałam kilku poważniejszych kolesiów, których nigdy jej nie przedstawiłam. Z żadnym mi się nie



ułożyło. To przez Bartka. Jego śmierć załatwiła mnie, szukałam uczucia o podobnej temperaturze. Igor miał rację, nie wiadomo, jak by nam się życie ułożyło, gdyby Bartek żył, może młodzieńczy związek rozpadłby się, tak jak to bywa, może bym się znudziła? Uwalniałam się od tej śmierci bardzo powoli. Oczywiście matka nic o tym nie wie! Boję się o nią. Wierzę, że to dobra kobieta, tylko że nie powinna mieć dziecka, a przynajmniej nie tak wcześnie. Nie miała do mnie serca, chociaż dla innych je ma, rozumiem ją lepiej, niż jej się wydaje. Pan jako spowiednik kobiet pewnie wie, z opisu pacjentek, co znaczy wpaść, nie chcieć, a jednak urodzić! Ja zjawiłam się w życiu matki, wtedy młodej dziewczyny, jak klęska żywiołowa, potop, który pochłonął jej marzenia. Była bardzo młoda, gdy zaszła. Może nie zauważyła braku okresu? Potem było za późno, żeby się wyskrobać. No i ten typ, ojciec nieznany, który na ojca nadawał się chyba mniej niż ona na matkę. Różnica jest taka, że facet ucieka, a dziewczyna, chce czy nie chce, zostaje z dzieciakiem. Jedyne, co może zrobić, to oddać komuś dziecko. A jednak ona została ze mną, mimo że nie nadawała się na matkę. Doceniam to. Pewnie miała swoje plany, które runęły. Ja też się nie nadaję, jestem inna niż ona. Dlatego stało się to, co się stało. Wystarczyłby załączek szczerości między nami, na początek parę zdań, próbowałam kilka razy z nią pogadać, ale torpedowała temat.

\*

– Byłaś taka młoda, kiedy się urodziłam, wiem, że swoim przyjściem na świat zламаłam ci życie... – tak zaczęłam rozmowę po sesji u pana.

– Nic nie wiesz, nie masz dziecka, to co możesz wiedzieć? Chciałam cię urodzić, pragnęłam dziecka! Ale nie takiego jak ty! –

przerwała mi krzykiem.

Wystarczyło, żeby przytaknęła, tak, tak kochanie, nie nadawałam się na matkę, żałuję, ale tak było dawno, teraz jest inaczej, chcę mieć z tobą dobry kontakt...

– To ty nic nie wiesz o mnie i nie chcesz wiedzieć! Czy wiesz, co się działo przez te dwa lata, gdy mnie nie widziałaś? Skąd wiesz, czy nie miałam dziecka?

– Ty? Nie byłabyś zdolna urodzić. – Powiedziała to z taką pewnością, że poczułam się urażona.

– Co ty, kurwa, o mnie wiesz? Może masz wnuka – spytałam wściewie.

– Uczyłam cię zachowania, ale jak widać bez skutku. Jak możesz tak się odzywać do matki?

– Jak byłam młodsza, to się zastanawiałam, czy w ogóle jesteś moją matką, zero uczuć z twojej strony! Zero zainteresowania. Nawet nie wiesz, co się działo ze mną, gdy dwa lata mnie nie widziałaś.

– Co mogło się dziać? Studiowałaś, i tyle! – powiedziała i jak zwykle zmieniła temat.

Nie ma pan pojęcia, ile razy w myślach prowadziłam z nią intymne rozmowy, macerowałam temat, przeżuwałam wielokrotnie, zanim się w końcu poddałam i wyplułam.

– Córnica znajomych wychodzi za mąż, pomożesz mi kupić coś na ślub i wesele?

Zamiast pociągnąć interesujący wątek zmieniała temat, nie chciała rozmawiać ani dowiedzieć się, jak to było ze mną, nie wie nic o tym, co mnie spotkało, jak cierpiałam, co się działo, gdy uciekłam z domu od razu po liceum i nie wracałam przez dwa lata, karmiąc ją kłamliwymi liścikami, że studiuje i pracuję, idzie mi dobrze, mam chłopaka. Jestem na wakacjach w Świąćmierzu. Nawet tego nie sprawdzała. Nie odpisywała. Nie pytała, czy może do mnie

przyjechać, nic. Wreszcie odzyskała wolność, cieszyła się, a ja ją trochę rozumiałam.

Niby proste, prawda? Problem w tym, że moja matka nie chce być ze mną blisko. Nie potrzebuje moich uczuć, a może udaje, że ich nie potrzebuje? Ze strachu, że nie mam jej nic do ofiarowania. Odpowiada jej to, co jest. OK. Przyjmuję to. Staram się nie angażować zbyt, stąd może odnosi pan wrażenie, że jestem chłodna. Po prostu nie udałam się jej, i tyle, zawsze jest jakaś nadzieja, że zrozumie, że skrzywdziła dziecko swoim chłodem. I wreszcie matka powie ci, że cię kochała, ale nie umiała tego wyrazić, chodzi o zwykłe dyrdymały, z jakimi człowiek potem zostanie sam. Osierocony. Prawda, doktorze?

## PAMIĘTNA NIEDZIELA

Ewita dobrze pamiętała tamtą niedzielę. Od rana lało. Jednak około dziesiątej nieśmiałe słońce pokazało okrągłą twarz przysłoniętą lekkim wachlarzem chmury. Marianna Skiba uznała, że to odcisk palca Boga. Znak. Ubrała się w odświętną, czarną spódnicę z żorzety w nieregularny wzór, to tu, to tam delikatnie zaznaczone białe piórka. Wyjęła z szafy czarny żakiet. Trzeba było go trochę wyczyścić herbatą i odprasować. Długo wisiał, czekając na kolejną okazję. Zwykle były to ślub, chrzciny lub pogrzeb. Zaproszenia zdarzały się rzadko, bo Marianna nie utrzymywała bliskich kontaktów, prawie z nikim z Świąćmierza. Mówiono o niej Skiba z chaty za wsią. Ostatnio włożyła ten żakiet na pogrzeb pewnego wdowca z Chruścisk Małych. Czasami przychodził do niej nocą, a wymykał się przed świtem. Oprócz tego, co od niej dostawał, chciał czegoś więcej, czego nie mogła mu dać. Myślał o ślubie i zamieszkaniu pod jednym dachem. U niego. Jej dom i grunt by się sprzedało. Sama ziemia była coś warta. Miał wszystko obmyślane, cały plan gotowy. To wzbudziło jej podejrzenia. Nie miała ochoty na zmiany, ograniczyła wizyty, zwodziła go, wynajdywała powody, żeby odwlec decyzję. Nie chciała zupełnie zrywać znajomości. Raz na jakiś czas był jej potrzebny, po nocy z nim budziła się spokojniejsza. Nie pił aż tyle, co inni, nie brał się do bicia. Na nią nigdy nie podniósł ręki.

Wiedział, że mogło się to zdarzyć tylko raz. Zawsze miała coś pod ręką, nóż, siekierę czy tasak. Gdyby spróbował, nigdy więcej nie wszedłby do jej domu. O tym, jak traktował swoją żonę i dlaczego tak szybko umarła, różnie się mówiło. Pytała o nią, ale twierdził stanowczo, że nigdy jej nie uderzył. Wcześniej umarła, bo była chorowita. Marianna uważała, że żaden chłop się nie przyzna, a jeśli ma możliwość, będzie bił. W Świątymierzu przynajmniej taka była prawidłowość. Często widziało się kobiety z posiniaczoną twarzą. Znosiły to, bo inne też znosiły. Nie chciały zostać same z dziećmi, chociaż według Marianny było to głupie, bo dałyby sobie radę z dziećmi, a tak miały dodatkową męzowską gębę do wyżywienia. Powiedziała kiedyś jednej w sklepie, gdy zobaczyła wielką śliwę pod jej okiem, że sama karmi swojego kata, ale nie poskutkowało. Zaledwie kilka było takich ostrych jak Marianna, które nie pozwoliły na bicie. Ona ceniła wolność, lubiła swoją samotność, nie tęskniła za czyjąś stałą obecnością. Nie bała się mieszkać sama. Gdyby za niego wyszła, byłaby teraz bogatą wdową. Mogło też być inaczej, pod jej opieką, przy regularnym jedzeniu, mógł żyć dłużej i uprzykrzyć jej dni i noce. Gdyby sprzedali jej dom w Świątymierzu, jak to sobie wymyślił, nie miałyby dokąd pójść, chyba że znów do klasztoru. Nie żałowała tego, że go odprawiła.

Kiedy Ewa z Bartkiem przyjechali do niej na wakacje, powitała ich trochę tak jak własne dzieci, których dawno nie widziała, jakby wróciły po latach. Uważała, że zna się na ludziach, wiedziała, kogo może wpuścić za próg, komu dać pokój. Bardzo przeżywała chorobę Bartka, a jego śmierć zadała jej wielki cios. Musiała zaopiekować się Ewą, która była w strasznym stanie. Marianna nie mogła dopuścić do tego, żeby dziewczyna zrobiła to, co jej chodziło po młodej, rozpalonej bólem głowie.

Marianna przymierzyła białą bluzkę, w której Ewa zdawała maturę. Rękawy okazały się za długie. Dziewczyna szybko je skróciła. Chciała, żeby choć jej bluzka uczestniczyła w tej ważnej uroczystości, na której ona sama nie mogła się pokazać. Marianna Skiba została matką chrzestną dziecka z pewnej bardzo dobrej, porządnej rodziny w Chruściskach Wielkich. Chrzcili synka, który miał dostać imię Bartosz. Ich szczęście było wielkie, bo długo czekali na dziecko. I wreszcie się doczekali. Gdy kobieta zaczęła chodzić z wyraźnym brzuchem, cała wieś była pod wrażeniem, bo uważali, że to niemożliwe, żeby zaszła, że jest za stara. Była „zdrowo po trzydziestce”, a właściwie tuż przed czterdziestką. Według kobiet z Chruścisk Wielkich to nie był czas na pierwsze dziecko. Opowiadano, jakie to dzieci rodziły się w okolicy z późnych matek, miały dwa nosy, jedno oko albo pokryte szorstką sierścią ciało czy też były bez rączek i nóżek jak wystrugane z drewna kadłubki. Tak więc oczekiwano, co się urodzi tym razem.

Ewa prosiła Mariannę, żeby pozwoliła jej pojechać oddzielnie. Tylko popatrzeć. W kościele usiadłaby z tyłu albo stanęła na zewnątrz.

– Obiecałaś, że nie wejdiesz im w drogę, nie kuś licha, tu wszyscy wszystkich znają, zaczną gadać, rozpytywać, a kto, a co? Nie wolno ci narażać małego ani jego rodziców. To najporządniejsi ludzie w Chruściskach, lepiej Bartuś nie mógł trafić – mówiła gdy Ewa zdejmowała wałki z jej włosów i układała fryzurę.

Chrzest miał się odbyć podczas sumy, w rześście oświetlonym kościele, do mszy służyli miejscowi ministranci i klerycy z seminarium, specjalnie sprowadzeni na tę okazję. Rodzice dziecka Maria i Józef Chruścikowie byli bogatymi gospodarzami, do szczęścia brakowało im tylko dziecka. Stracili wszelką nadzieję, aż wreszcie stał się cud. Gdy tylko pojawił się brzuch, pobożni rodzice dawali na mszę w intencji dziecka. Co tydzień aż do końca. I jeszcze

przez kolejne dwa tygodnie, aż do dnia chrztu. Ktoś we wsi powiedział nawet żartem, że może dzieciak Marii i Józefa to sprawka Ducha Świętego. Ksiądz znał tajemnicę tego cudu, będącą jednocześnie tajemnicą spowiedzi. Uczestniczył w reżyserowanym przez Mariannę Skibę spektaklu z całym przekonaniem. Uważał, że Chruścikom dziecko jest potrzebne jak mało komu. Potrzebowali dziedzica. We wsi wszystkie rodziny miały troje, pięcioro, nawet ośmioro dzieci, ale nikt tak ich nie pragnął jak Maria Chruścikowa. Rodziły się bez oczekiwania, czasem nawet bywały zbędne jak szczeniaki z jednego miotu. Zresztą raz nawet matka potopiła bliźniaki, jak kocięta. Prawda nigdy nie wyszła na jaw, choć całe Chruściska Wielkie o tym wiedziały, był wielki brzuch, mówiono, że będą bliźniaki. Potem brzuch zniknął, a dzieciaki się nie pojawiły. Sąsiad zauważył sąsiadkę z łopata, opowiedział o tym w sklepie, jak kupował wódkę. Sprzedawczyni coś niedokładnie komuś powtórzyła, ale nie mówiono za wiele w obawie, że policja zacznie węszyć i, nie daj Boże, trzeba będzie świadczyć, a to nie jest nikomu potrzebne. Mówiono, że pewnie mu się przywidziało, że wypił o jednego za dużo, a pił zawsze więcej niż inni, to załatwiało sprawę jak amen w pacierzu.

W sprawie Bartka księdzu proboszczowi pomogła też spora suma na wyremontowanie dzwonnicy i ślepego zegara na wieży, któremu odpadły wskazówki. Nie wiadomo było, czy spadły, czy też ktoś je odśrubował, sądząc, że są ze złota; były tylko pozłacane. Nigdy ich nie odnaleziono, mimo że ksiądz z ambony apelował, groził, straszył piekłem i gniewem boskim, w końcu oferował znaleźne. Nic nie pomogło. Józef Chruścik nie tylko dał pieniądze, ale też znalazł zegarmistrza, który dorobił pięknie rzeźbioną dużą i małą wskazówkę. Odtąd znów każdy, kto zadarł głowę, nawet będąc daleko od kościoła, wiedział, która godzina. Proboszcz naprawdę uważał, że to małe kłamstwo wyjdzie na dobre i dziecku, i jego

rodzicom. Na chwałę Pana. Ojcem chrzestnym został hodowca świń, brat matki małego Bartosza. Marianna była zadowolona, bo też nie był biedakiem.

– Ojciec chrzestny jest ważny, sama wiesz, na każde urodziny, imieniny, święta, zakończenie szkoły daje prezenty, a gdyby, nie daj Boże, prawdziwemu ojcu się zmarło, musi zająć się dzieckiem, zapewnić mu opiekę. Przy świniach zawsze są i będą pieniądze – mówiła do Ewy, gdy ta metalowymi wsuwkami upinała jej włosy.

Ewa ze smutkiem pomyślała, że Bartek nie żyje, Józef Chruścik, uznany za prawdziwego ojca jest przybrany, więc chrzestny będzie trzecim już ojcem. Nie wiedziała nic na temat ważności chrzestnego, bo swojego nie знаła, tak jak nie znała biologicznego ojca. Matka nie raczyła wprowadzić jej w tajniki drzewa genealogicznego. To była dopiero sadzonka, z pniem i jedną gałęzią, drzewo rosnące na wietrze, gdzieś na szczycie gór, rosnące w jedną tylko stronę. Weronika była jedną gałęzią, od niej odbiła druga, czyli Ewita. A z niej narodził się pogrobowiec Bartuś, którego ojcem był Bartek. Jednak o jego rodzicach Ewa nie wiedziała nic. Nigdy o nich nie mówił. Wychował się w domu dziecka. Może miał jeszcze gorsze doświadczenia. Nie przejmowała się tym brakiem korony genealogicznej, rodowodu od czternastego wieku. Są różne drzewa. Gdyby Bartek żył, byłiby protoplastami rodu.

\*

Oprócz Marianny Skiby nikt nie wiedział o tym, co się wówczas działo. Maria Chruścik, szczęśliwa matka nosiła „pod sercem” poduszkę przytrzymywaną gumowymi majtkami. Brzuch wyglądał jak prawdziwy i nikomu nawet nie przyszło do głowy, że to przebranie. Potem ciężarna niby to wyjechała do rodziny do



Niemiec, gdzie miała urodzić. Wieś się nie dziwiła, bo w późnym wieku lepiej dmuchać na zimne. Niemieckie kliniki z pewnością zapewnią matce i dziecku wszystko, co trzeba. Niemiecka jakość była tu wszystkim znana, panował rodzaj kultu niemieckości. Tymczasem pani Chruścikowa ukrywała się w najbliższym mieście, w hotelu Pod Grzybem, czekając, aż dotrze do niej wyczekiwany tobolek.

Wszyscy kłamali w imię dobra. Dla dobra Ewy, zbyt młodej, żeby wychowywać dziecko, dla dobra dziecka. Dla dobra rodziny, która go pragnęła i przyjęła za swoje. Marianna Skiba powiedziała im, że to dziecko młodej, zdrowej, cnotliwej dziewczyny, która wstąpiła do klasztoru, bo jej się niechcący przytrafiło coś za pierwszym i jedynym razem. Nie chciała się wyskrobać, wierzyła, że Bóg pokieruje losem dziecka. W tym klasztorze kiedyś przez dłuższy czas Marianna Skiba posługiwała siostram. Była osobą wielkiej wiary i pragnęła spokoju sumienia. Chciała uratować Ewę przed wiecznym potępieniem, dlatego też tłumaczyła jej przez kilka pierwszych tygodni, gdy ta nosiła się z myślą, by pozbyć się kłopotu, że nie wolno jej tego zrobić, że to dziecko poczęte z wielkiej miłości. Ewa nie tyle myślała o kłopotcie, ile o tym, że dziecko może urodzić się chore, że zagnieźdzą się w nim geny białaczki, odziedziczone po ojcu. Poza tym miłość do Bartka wcale nie przeniosła się na płód, który rósł powoli, nieubłaganie jak czas, nie dało się go cofnąć ani zatrzymać. Można było jedynie zepsuć zegar, wyrwać wskazówki. Uczucie nie chciało się w niej obudzić, macierzyństwo było pojęciem odległym od jej położenia. Gdyby Bartek żył, chyba byłoby inaczej. Z pewnością razem daliby radę. Pojawiała się też myśl, że byłaby uwiązana, nie odzyskałaby wolności, nie wiadomo, czy mogłaby się uczyć, czego pragnęła bardziej niż zakopania się na trwałe, bo nie wiadomo, na jak długo, w domu z dzieckiem.

Marianna uspokajała ją, mówiła, że niemożliwe, żeby dziecko

urodziło się chore, że Ewa wygląda pięknie, więc jasne, że urodzi się syn. Synowie wdają się w matki. Mądrość ludowa opiera się na obserwacji, nie zawsze się wszystko sprawdza, tym razem jednak Marianna miała pewność, że się uda. Rzeczywiście poszło gładko. Nie było nawet problemów z zarejestrowaniem małego Bartusia w poradni w mieście. Wciąż jeszcze się zdarzało, że chłopki rodziły w domu, czasem nawet „gubiły” dzieciaka w polu, nikt się temu zbyt nie dziwił, choć pouczano je, że powinny wcześniej się zgłosić, bo płód może być w niebezpieczeństwie. Nie przejmowano się tym. Maria Chruścik niestety nie miała pokarmu. Zrzucano to na karb jej wieku, późnego urodzenia pierwszego dziecka, bo na wsi to był ostatni dzwon.

## MARIANNA, MATKA CHRZESTNA

Ewa pomyślała o swojej matce, gdyby była inna, czulsza, gdyby się lepiej znały, rozumiały, gdyby, gdyby... Jednak było tak, że matka w ogóle nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie była gotowa na wnuka. Urodziła Ewę zbyt młodo. Za wcześnie na macierzyństwo. Ewa nie zauważyła w niej opiekuńczości. Pewnie dlatego też sama także nie szukała bliskości z matką. Miała plany na życie, nie było w nich miejsca na samotne zajmowanie się dzieckiem. Nie chciała powtórzyć błędu swojej matki. Żałowała, że ta nie oddała jej obcej kobiecie, nawet na drugim końcu świata, która pragnęła dziecka, miała w sobie grubą warstwę czułości, mogła dać przybranemu dziecku więcej miłości niż matka biologiczna. Często tak myślała, nawet gdy była dzieckiem, czuła deficyt uczuć, biologia to za mało. Ewa nie rozumiała, dlaczego uległa namowom Marianny, żeby jednak urodzić. Chociaż nie czuła związku z rosnącym w jej brzuchu nowym życiem. Nie był to most łączący ją z Bartkiem.

Gdy Ewita myśli o tym teraz, wydaje się jej, że to był pęd do doświadczania nowości, ale także rodzaj pychy: To moje, a ja jestem nadzwyczajna pod każdym względem. Bartek utwierdził ją w tym przekonaniu. Sprawiała to jego miłość. Rozmawiali dużo, rozumieli się, zapewniał ją, że jest najbardziej inteligentną dziewczyną, jaką zna. W podstawówce nie miała tej pewności siebie. Była inna, nie

znała ojca, matka ją zanedbywała. Mówiła o tym nawet nauczycielka na wywiadówkach, na które matka nie raczyła chodzić. Pogardzała mieszczuchami, jak wyrażała się o wszystkich. Trochę jej z tego powodu dzieciaki dokuczały, ale szybko zaczęła się bronić. Uczyła się bardzo dobrze, każdy czegoś od niej potrzebował. Później, w liceum, miała powodzenie, uważano, że jest sexy, a więc już wtedy budowała poczucie własnej wartości i wyjątkowości. Może właśnie to spowodowało, że nie pozbyła się dziecka? Uważała, że to, co w niej powstało, powinno pozostać na świecie, bo będzie wyjątkowe. Jednak chciała mu zapewnić lepszy los niż ten, jakim ją obdarowała matka.

\*

Marianna Skiba miała wiele talentów i umiejętności. Jako pomoc w klasztorze nauczyła się wielu rzeczy. Potrafiła odebrać poród, bo zdarzało się mniszkom zająć za daleko. Jeśli nie usunęły wcześniej płodu, to rodziły po cichu, w klasztornej celi. Siostry miały rozległe kontakty, oddawały dziecko do adopcji za daninę na klasztor. Marianna zastanawiała się nawet, czy nie złożyć ślubów. Sądziła, że to życie dla niej. Jednak gdy wracała do domu, była szczęśliwa, czuła się wolna, mogła sypiać z mężczyzną, gdy czuła taką potrzebę, albo trwać w samotności, w ogrodzie. Trudno jej było przyzwyczaić się do pomiatania, a u siostr nie było świętości na co dzień, zdarzały się poszturchiwania i bicie, jeśli zobaczyły słabość ofiary. Kwitły miłości między siostrami, nawet ona, tylko sprzątająca, stała się obiektem westchnień. Do tego ciągle dzwonki, modlitwy na rozkaz, śpiewy. Wspólnota przy śniadaniu. Nagłe rewizje, oglądanie prześcieradła. Donosy, za które przełożona dawała nagrody. Z najdrobniejszego przewinienia trzeba się było tłumaczyć. Poznała życie klasztorne.

Jego urok, jakim było poczucie bezpieczeństwa i ochrona przed brutalnym światem wsi i miasta, ale też okrucieństwo nie mniejsze niż to za oknem. Zrezygnowała bez żalu.

\*

Dziecko po łatwym wyjściu krzyknęło głośno z powodu światła i chłodu. Dziewczyna urodziła prawie bez bólu, Marianna dała jej kieliszek posłodzonej miodem wódki i do wążchania pewien środek znieczulający, znany z klasztoru. Wygotowanym sekatorem przecięła pępowinę. Usunęła łożysko. Bez trudu. Wyszło w całości. Nie będzie komplikacji. Dopiero wtedy zauważyła, że miała rację, przewidując płeć po wyglądzie Ewy. Nawet nie wybrały imienia dla dziewczynki. To chłopiec. Wytarła noworodka olejem rzepakowym, pieśczośliwie masując czerwone ciało pieluszką z tetry. Nie była zwolenniczką pampersów, które można było kupić w mieście. Ewa miała zamknięte oczy, tak jak się umówiły. Nie wolno jej było ich otworzyć, dopóki Marianna nie wyniesie dziecka z kuchni, gdzie odbywał się poród. Na tym samym zszorowanym do białości stole, przy którym jadali z Bartkiem śniadanie. Nie dała go dziewczynie do potrzymania. Chciała oszczędzić jej bliskości, jaka mogła się narodzić. Dziecko krótko, głośno zapłakało i zasnęło mocno. Ewa też zasnęła twardym snem po wysiłku. Marianna szybko przygotowała się do wyjazdu. Zapakowała dzieciaka i wyszła przed dom. Czekają na nią duże terenowe auto. Siedział w nim przybrany ojciec Bartoszka.

- Szkoda, że nie podjechałeś traktorem – powiedziała żartem.
- To bezpieczny samochód – odparł poważnie.
- Pokaż, co tam masz? – spytał po chwili z lękiem w głosie.
- To Bartosz.

Pokazała mu główkę dziecka, które otworzyło oczy, być może obudził je mocny zapach wody kolońskiej czy mydła do golenia, bo widać było, że Józef jest świeżo ogolony.

– Chłopiec! Ale mały! Inne też są takie małe?

– Mały? Będzie wyższy od ciebie. Ma pięćdziesiąt pięć centymetrów długości, zmierzyłam go calówką. Jest bardzo duży. – Zezłościła się.

– Nie znam się na dzieciach, przecież wiesz.

Podjechali pod hotel. Kierowca został w aucie. Marianna, niosąc tobolek, weszła do środka. Doprowadziła rzecz do szczęśliwego, jak się jej zdawało, końca. Ewa jest wolna od grzechu. Ona sama spełniła obowiązek wobec Boga i ludzi, choć nie obyło się bez kłamstw, ale to tylko dla dobra wszystkich.

Przybrana matka chodziła boso po miękkiej wykładzinie. Rzuciła się na Mariannę, chciała wyrwać jej tobolek z ramion.

– Nie bądź taka szaloputna! Spokojnie, zaraz go dostaniesz!

Marianna położyła dziecko na małym stoliku, na którym stał smętny, zrezygnowany kwiatek hotelowy. Noworodek był ruchliwy, bardzo żywy, gdy rozwiązała troczki becika, zaczął poruszać rękami i nogami jak mechaniczna zabawka. Odsłoniła pieluszkę i pokazała płeć.

– To chłopiec! Chłopiec! Zobacz, Marianno, mam chłopca! Wyciąga do mnie rączki! Moje dziecko! Moje dziecko!

Kobieta nagle zaczęła szlochać. Wzięła maleństwo i przyciskała do obfitej, choć bezmlecznej piersi.

– Ma na imię Bartosz. To już wiesz. Imię przyniósł ze sobą na świat – powiedziała Marianna.

Wcześniej umówiła się z gospodarzami, że będzie nosił to imię, tak musi być, tego wymagała biologiczna matka. Tylko tego. Nie chciała pieniędzy. Nic więcej, tylko to imię.

– Bartuś, mój Bartuś! – wołała matka, tańczyła z nim, kręcąc się

w kółko.

– Połóż go, bo zakręci mu się w głowie. Jeszcze z nim zatańczysz walca, ale nie teraz!

Gdy wróciła do domu, Ewa siedziała na brzegu łóżka ze spuszczoną głową. Drgnęła, słysząc głos Marianny. Marianna, jeszcze w palcie, siadła obok i ją objęła.

– Znalazł prawdziwą matkę, możesz być spokojna – powiedziała. Dziewczyna nie odezwała się. – Przysięgnij, że nigdy nie będziesz go szukała – dodała po chwili, wyciągając z kieszeni różaniec.

– Nigdy nie przysięgnę. I tak nie wierzę, możesz to schować.

– To nie jest „to”, to różaniec.

– Wiem. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale nie wymagaj przysięgi.

Marianna Skiba jako matka chrzestna mogła być blisko Bartoszka. Mogła dawać mu prezenty, patrzeć, jak rośnie. Ewita dowiadywała się od niej, co się z nim dzieje, jak się rozwija. Był zupełnie zdrowy. Rzadko chorował. Tylko na dziecięce choroby. Uczył się świetnie, po Bartku odziedziczył ścisły umysł. Przez lata nie łamała zakazu. Nie szukała kontaktu. Wreszcie opuścił rodziców i wyjechał na studia. Na matematykę. Ufundowała mu wówczas stypendium.

## NA SKRAJU

Przez długi czas Ewita nie wiedziała, co się dzieje z Igorem. To był okres wzmożonej aktywności nad unowocześnieniem pisma. Nie miała od niego wieści, nie doniósł jej, że znalazł się na skraju człowieczeństwa, balansował między światem żywych i zombie. Po prostu przestał się odzywać. Zwaliała to na karb morderczej roboty. W tym czasie sama też „dziko harowała”, ustawiając „TopWoman”. Prawie nie zauważyła, że kontakt się rozluźnił, a właściwie go nie ma. W przyjaźni duże pauzy się zdarzają. Potem wszystko wraca do normy. Sądziła, że jak okrzepnie, to się odezwie. W NY trudno się przebić, nie harując, nawet jak się ma fart. Nie przyjechał na pogrzeb ojca. Jako nieboszczykowi rodzina mogła mu to wybaczyć. Ewita wycięła z gazet i wysłała mu patetyczne nekrologi, jakie familia zamieściła we wszystkich gazetach. „Bóg powołał go przedwcześnie na wieczną wartę”, to oczywiste, gdy umiera zawodowy wojskowy, no i że był kochającym mężem, ojcem, wujkiem i co tam jeszcze. Na końcu informacja, że pozostają pogrążeni w bólu po tej wielkiej stracie, i żeby nie składać kondolencji, w domyśle, że tak strasznie rozpaczają. Jakby umarł prawdziwie dobry, wielki człowiek. Rzeczywiście był wielki, zastanawiające, jak zmieścił się w zwykłej trumnie, chyba musieli zamówić większy rozmiar. Był bardzo wysoki, zwalisty, gruby,



poznała go w podstawówce, gdy Igor zaprosił ją jako koleżankę z klasy. Krzyczał jak kapral. Brał się do obmacywania. Pytał, czy rosną jej już cycuszki. Pupcia! Używał zdrobnień w obrzydliwy, obleśny sposób. Pożegnała się po kwadransie. Nic dziwnego, że chłopak uciekł z tego domu. Dziwne tylko było to, że po śmierci ojca, po pogrzebie, gdy oprawca zniknął z pola widzenia, Igor się od niego nie uwolnił. Nienawidził swojego starego za życia i równie mocno, gdy ten umarł. Jego śmierć dotknęła go tak dotkliwie, jakby umarł ukochany tata. Może żałował, że mu przed śmiercią nie pokazał środkowego palca albo nie ujawnił całej rodziny, kim tatko, ten porządny obywatel, był naprawdę? Tak jak zrobił to syn na bardzo dobrym szwedzkim czy duńskim filmie. Takie rzeczy w rodzinach zdarzają się częściej, niż się wydaje. Nie spytał rodzeństwa, czy robił później ich dzieciakom to samo, co jemu? Bo na zmianę charakteru i ciągot starego nie liczył. Dla Ewity to była nauka, żeby mimo wszystko być obok matki, czy jej się to podoba, czy nie. Powinna być obok niej, w pobliżu. Do końca. Matka miała wady, ale w sumie mogła jeszcze ją pokochać, nigdy nie dopuściła się niczego podobnego. W miarę spóźnionego dojrzewania Ewity zaczynała raczkować jej miłość do matki.

## SEKS JAKO LEK

Igor nie miał na szansa na odzyskanie matki. Sam ją odrzucił, liczyła się wyrządzone mu przez starego i matkę krzywda, także obrzydzenie odczuwane do samego siebie. Zaatakowało go to po latach jak nieznana, ciężka choroba, na którą nie ma lekarstwa. Przestał jeść, myć się, nie spotykał się z nikim, mówi, że nic nie czuł prócz głodu śmierci. Piłem, ćpałem, jebałem, tak to ujmował. Wałęsał się po ulicach, szukał zaczepki, znajdował chętnych, parę razy ocknął się poharatany i połamany w szpitalu. Wysyłano go na odwyk. Wracał. I znów to samo. Zaczął myśleć, że kłamstwo o śmierci w wypadku jest samospelniającą się przepowiednią, zejdzie jako bezimienny ćpun i pochowają go tak, jak chowa się bezdomnych.

\*

– Okazało się, że jestem silny jak karaczan wschodni, nic mnie nie było w stanie zabić. Wiesz, Ewa, jakie te owady są odporne? – spytał, gdy przyjechała do niego i znów gadali o zmiernych, siedząc na tych znanych z filmów nowojorskich schodkach.

– Nie mam pojęcia, nie interesowałam się aż tak głęboko życiem karaluchów, raczej ich tępieniem, gdy wynajęłam kawalerkę nad

sklepem mięsnym.

– To taki rodzaj karalucha, co strasznie śmierdzi, zaczyna funkcjonować dopiero po zmroku, ożywia się w nocy. Zombie. We mnie zaszła taka przemiana, pamiętasz *Przemianę*?

– Jasne, że pamiętam! – Mieli tę samą bazę, czytali te same książki.

– Byłem jak Gregor Samsa, przeobrażałem się, a do tego codziennie bardziej śmierdziałem, przestałem się kąpać, prawie nie jadłem, nogi i ręce mi wychudły, były jak odnóża karalucha! Bałem się spojrzeć w lustro. Czuję, że świruję.

– Nie miałeś tu nikogo?

– Wtedy już nie, okradła mnie z wszystkiego, co dało się zabrać, i odeszła. Dziwne, że wcześniej nie zauważyłem, jaka z niej Parszywa Suka. Leżałem do późna. Dopóki miałem trochę dolców, zwlekałem się nocą z barłogu, żeby kopulować z dziwkami, gdy kasa się skończyła, została tylko masturbacja.

– Przynajmniej nie zaraziłeś się syfem czy HIV-em – zauważyła przytomnie, zaczęli się śmiać.

– Zawsze znajdziesz jakąś dobrą stronę! Myślałem, że seks, jaki by nie był, jest najlepszym lekarstwem na depresję, że notoryczne brandzlowanie w końcu mnie zabije, że się wykończę, ale, kurwa moja mać, tak się nie stało.

– Wiesz, przypominasz mi bardziej szczura niż karalucha, tego szczura z badań nad ośrodkiem przyjemności, znasz te badania? Szczury zdychały, nie jadły, nie piły, tylko klikały łapką, klik i orgazm gotowy.

To działało na szczury, człowiek nie dał rady umrzeć z nadmiaru seksu. Zresztą nie było to umieranie z rozkoszy jak na filmach. Igora nic już nie podniecało, mówił, że latał po kanałach hard porno, ludzie kopulowali ze zwierzętami, kobieta z psem, z osłem, faceci z sukami, owcami, czarno-żółto-białe przekładańce ras, zbiorowe

gwałty, seks z trupami w kostnicy, w wykopanych grobach, w otwartej trumnie.

– Ty nie masz pojęcia, co można znaleźć w sieci albo na filmach. Jesteś niewinna. Znasz tylko zdrowy seks – powiedział.

– Przekraczałam granice, ale nic mi to nie dało prócz obrzydzenia do siebie. Wiem tyle, ile sama się nauczyłam albo ktoś mi pokazał. Nie jest to wcale mało. Z Bartkiem wymyślaliśmy wiele sami – mówiła wstrząśnięta, bo tylko raz z ciekawości obejrzała kawałek filmu hard porno, była zaproszona na kolację, wyszła, zanim zaczęła się potem orgia. Nigdy sama nie oglądała pornografii, nawet gdy się masturbowała, wystarczyły jej dłoń i wyobraźnia.

– Bartek umarł, zanim dopadła was nuda. *Sorry*, ale kto wie, czy to nie było twoje szczęście? Zachowałeś miłość, wiarę w namiętność, która się nie nudzi. Ja przez zepsucie w dzieciństwie idealnych wyobrażeń nie mogłem uwierzyć w romantyczną miłość. Gdy dopadła mnie depresja, nic nie działało. Śnił mi się wielki kościotrup ojca, który wyciąga do mnie piszczele, chce mnie dotykać! Obrzydzenie pochłaniało wolę życia. Gdybym nie ćpał, gdybym ułożył sobie choćby w miarę normalne życie, byłoby inaczej. Nie wydorostałem. Byłem zahibernowany w słabości, nie mogłem się sam otrząsnąć. Zwiędły kutas odmówił posłuszeństwa, o ręce nie wspominał, załatwił ją przykurcz. Tamtego dnia łyknąłem wszystko, co znalazłem w różnych szufladach i kieszeniach, kilka xanaxów, trochę tiorydazyny, popiłem resztą whisky i wybrałem się na spacer. Idę, idę, aż domy zaczęły się pochylać, zamykały przed mną, aż utworzyły tunel, nie miałem w nim czym oddychać.

– Igor, to jest mój sen. Idę wąską ulicą w moim mieście dzieciństwa, domy pochylają się ku sobie, tworzą nawias zamknięty, a ja stoję w tym nawiasie i nie mogę wyjść. – Ewą wstrząsnęła ta wspólnota snów.

– Może powinniśmy być razem? – spytał, objął ją i pocałował

z czułością w usta.

## BLISKOŚĆ Z DALEKA

Czuła z Igorem więź metafizyczną, tak to kiedyś określiła, czasami więź była bardziej meta, czasem bardziej fizyczna. Byli sobie bardzo bliscy. Kiedyś zastanawiała się często, czy mogliby stworzyć parę? Wcale nie musiałby wracać do kraju. Ewita знаła małżeństwa mieszkające daleko od siebie. Mąż w NY, żona w Paryżu, albo żona w Warszawie, mąż w Berlinie. Tworzyli całkiem udane związki. Igor był lojalny, zawsze pod telefonem, pod ręką, zawsze chętny. Tęsknił za nią, a ona za nim, choć „zaliczanie” kobiet jeszcze ciągle było jego pasją. Ich przyjaźń jest rodzajem dojrzałej miłości. A jednak nie próbowała wiązać się z Igorem. Czy dlatego, że bała się jego dzieciństwa, traumy, która w nim siedzi i nigdy nie zniknie na dobre, zawsze będzie obecna, tak jak w ludziach, którzy przeszli Auschwitz. Szukała odpowiedzi. Za dużo wiedziała. Okrutne obrazy z jego ojcem i matką w zamkniętym pokoju pojawiały się w tle myśli o nim. Słyszała rozkazujący „poligonowy” głos jego ojca, krzyki matki. To jej bardzo przeszkadzało. Obawiała się, że przy nim źle skończy. Mógłby znów zacząć ćpać, nie wiedziała, jaki jest na co dzień. Budziła się przy nim rzadko, wspólne dni były świętem. Wierzyła, że może być dla niego wsparciem, jednak wątpiła, czy on mógłby jej pomóc.

Na razie wciąż jeszcze trzymała formę, mieściła się w jej ramach.

Pojawiały się niestety symptomy, że ramka może pęknąć, a właściwie już popękała. Nie chciała losu Igora. Upadł gdzieś pod murem, znalazł go bezpański pies latający po ulicy, tak długo szczekał, aż ktoś tego hałasu nie wytrzymał, zszedł na dół i zobaczył, że facet jeszcze oddycha, więc wezwał karetkę. Zawieźli półdenata do szpitala, po odtruciu odtransportowano go do psychiatryka. Tam napchali go prochami jak szmacianą lalę trocinami. Nie wiedział, kim jest, skąd przyszedł i czego szuka. Tego Ewita bała się najbardziej, że straci siebie; nie mogła trafić do czubków.

\*

– Jeżeli się zdecyduję, postaram się zrobić to „perfekcyjnie”. Perfekcyjna pani domu i inne Perfekcyjne Suki, nianie, trenerki, dumne perfekcyjne mamuśki wielu „dzieciaczków”, jak je pieszczotliwie określają. Słowo „perfekcyjnie” zrobiło wielką karierę. Ja byłabym Perfekcyjną Suką, perfekcyjną samobójczynią. Złoty strzał i po bólu – mówiła do siebie, tak jakby mówiła do doktora Bechsteina. Co to jest? Kryzys półmetka życia? To znaczyłoby, że ma ciągnąć ten wózek do osiemdziesiątki ósemki? Czy to zmęczenie materiału? Harówką w ekskluzywnym magazynie, pustką wreszcie.

## CZERWONA PODESZWA

„...nawet najbardziej znużona rzeka dociera w końcu do morza”. Ewita знаła ten wiersz. Nie pamiętała nawet jego autora. Kiedyś przetłumaczyła fragment sama dla siebie i tak zapamiętała. Wiedziała, że wystarczy spokojnie czekać, nie trzeba się niecierpliwić. Miewała jednak złe dni, nie chciała się dłużej nużyć, chciała przyśpieszyć, coś ze sobą zrobić. A z drugiej strony trzymała się życia pazurami, była ciekawa jutra. Prowadziła podwójne życie psychiczne, ale nigdy dotąd nie posunęła się tak daleko. Teraz, rozmawiając z nieznanym z naprzeciwka, była zadowolona, że zeszła z parapetu, gubiąc jedynie czerwony pantofel na szpilce. Spadł z jej stopy. Zjechała windą. Pośrodku podwórka stał facet, trzymający w ręce czerwoną szpilkę. Oglądał but, jakby trzymał żywe stworzenie.

– Nie widziałem nigdy buta z czerwoną podszewką. Ktoś, kto nosi takie pantofle, nie powinien robić czegoś podobnego, to nie zabawa. Nie mogłem nic zrobić, bałem się, że jeśli zawołam albo zapalę światło, zrobisz to! Cofnąłem się więc w głąb pokoju, stałem i patrzyłem – powiedział, oddając jej pantofel.

– Szpilki Louboutina mają czerwone podszewki – wyjaśniła.

Spodobał się Ewicie, pomyślała, że to bardzo w porządku człowiek. Dawniej mówiło się: sąsiad, ale teraz nie ma sąsiadów



w dawnym znaczeniu. Mieszkał naprzeciwko. Okno w okno. Przez moment poczuła dobrą stronę tego, że nie skoczyła.

– Następnym razem, jak będziesz w wisielczym nastroju, daj sygnał światłem, trzy razy zapal i zgaś. Przyjdę i wyciągnę cię. Przyrzekasz? – spytał.

– Przyrzekam, tak zrobię. Nie będzie ponurego spektaklu, musiałbyś zeznawać, być świadkiem, nie mogę cię na to narażać, nie widziałam, że patrzysz! To głupia zabawa, jestem pijana – tłumaczyła, ale chyba jej nie uwierzył. Chciał zaprosić ją na mocną kawę. Wróciła do domu.

Nie powiedziała mu, że nie potrzebuje litości ani też nowej miłości. Latała do doktora Bechsteina, nie tylko dlatego, że za dużo czuła, ale też dlatego że czuła za mało. Pragnęła kogoś, a nie mogła dać nic w zamian. Zdawała sobie sprawę z tego, że facet miał ochotę ją przelecieć, że nie uważał, że jest za stara. Pochodził z normalnego świata, jeśli taki jeszcze istnieje, w którym kobieta po czterdziestce może się jeszcze podobać. Nie należy do pieprzonego światka modelek nimfetek, gwiazdek i vipów, jakimi zajmuje się redakcja „TopWoman”. Wejście na pierwszy stopień starości, w przestrzeń dojrzałej kobiety, jest gorsze, niż sądziła.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Jestem jeszcze ciągle do rzeczy – słyszy pan, jak to brzmi? Jeszcze ciągle! Dla kobiety to jak czas przed wykonaniem wyroku. Przecież ja nie powinnam się niczego obawiać, jestem cesarzową kobiecego imperium! Brzmi głupio, wiem, ale za tym stoi szmal. Nie chcę wyskoczyć z okna. Czerwone szpilki prawie zniknęłyby w czerwieni. Nie, doktorze Bechstein. Jestem tu, bo chcę wyjść z rozpadu, skleić się, budzić w dobrym humorze, zasypiać spokojnie. Biorę leki, które mi pan zapisał. Jednak ogłuszają mnie, zaczęły się kłopoty z pamięcią. Wczoraj rano spotkałam się z zespołem kreatywnym. Omawiamy coś i nagle mam czarną dziurę. Biorę telefon, przerywam i wychodzę, jakbym musiała zadzwonić, usiłuję sobie przypomnieć, zapomniałam, jak nazywa się fotograf, sprawdzam w grafiku. Wracam i omawiam to, co zaczęłam. Zrobiłam badania, które pan mi zalecił. Wyniki są bardzo dobre, lepsze, niż były ostatnio, powinnam czuć się dobrze, a ja znów się pogrążam. Nie chcę losu Igora.

Dziwi to pana, że właśnie teraz płaczę? Doktorze, chyba nic pana nie jest w stanie zdziwić! Płaczę nad sobą, nad pustą skorupą, w jaką się zamieniam, nad Igorem, bo przyleciałam do niego natychmiast, gdy zatelefonował do mnie i bełkotliwie zeznał, co się z nim dzieje. Odwiedziłam go w psychiatryku, byłam jedyną na całym świecie

osobą wtajemniczoną, tą, która wiedziała, że człowiek o tym imieniu i nazwisku to dawny Igor, mój kumpel od podstawówki. Już dawno tyle nie gadałam, rozkleiłam się, pozwoli pan, że chwilkę poleżę w milczeniu?

\*

Ta przyjaźń przetrwała. Czy przyjaźń może być miłością? Wierzy pan w to? Gdy wchodziłam na ten parapet, starałam się obudzić to dalekie, odległe uczucie? Myślałam o Bartku, który umarł, o Mariannie ze Święcimerza, o mojej matce, o Igorze. Nie to mnie powstrzymało. To strach przed długim lotem, gdy patrzyłam na czerwony pantofel z czerwoną podeszwą, długo lecący w dół, w ciemną przestrzeń. To czerwona szpilka spowodowała, że uczepiłam się ramy okiennej. Pantofel leciał powoli, miałam czas się cofnąć, gdybym wychyliła się jeszcze bardziej, żeby zobaczyć, jak upadł...

## GLOBALNA WIOSKA ĆPUNÓW

Wszystko, co Ewita mówiła doktorowi Bechsteinowi, wydawało się jej naskórkowe. Czuła się chora. Nie rozumiała dręczących myśli, nie wiedziała, skąd pochodzą. Nikt jej nie rozkazywał, nie słyszała głosów, to nie było żadne rozszczepienie. Przyszła kolej na nią, musiała wrócić do formy. Igor ocalał, nie wiadomo na jak długo. Przestał ćpać na umór. To, co mu dawali w klinice, zamuliło go totalnie, mówił, że czuł się gorzej niż po herze, jak bohater *Lotu nad kukułczym gniazdem*, choć lobotomii mu nie zrobili. Pewności nie miał, gdy zapytał, powiedzieli, że od dawna się tego nie praktykuje. Metoda nie przetrwała. Niektórym podobno pomagają elektrowstrząsy, zastanawiała się, czy jej by pomogły. Doktor nigdy o tym nie wspomniał.

Przyjechała do Igora, gdy po dwóch miesiącach, rzekomo wyleczony, wyszedł z psychiatryka. Twierdził, że przesadził, ale teraz się kontroluje. Pilnuje, żeby zbyt nie odlecieć. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc już tej samej nocy szwendał się, szukając kogoś nowego z towarem, bo jego diler wykorkował, podobno podziurawiony serią na asfalcie jak tarcza do ćwiczeń na strzelnicy. Tak się dzieje, gdy ktoś zdefrauduje towar. Natura nie znosi próżni, znalazł się nowy koleś. Kto szuka, zawsze coś znajdzie.

Tak jest wszędzie, na całym świecie. Gdy Ewita przyleciała do

niego do NY, brali różne różności. Mówiąc językiem Igora, „zryli sobie берет na maksa”. Była chyba koka, nie pamiętała dokładnie. Na końcu upalili się marychną o zapachu kocich sików. W opinii Igora ta była najlepsza. Zasnęli, nie wiedziała, jak długo spała, ile minęło godzin. Gdy wreszcie się obudziła, Igora nie było. Ogarnął się i wyszedł kupić towar, bo się skończył. Właśnie wtedy zobaczył tabliczkę: Dr Philip Bechstein Psychoanalysis. Tak blisko jego mieszkania, a nigdy dotąd jej nie widział. Uznał to za palec boży. Zadzwoił. Doktor przygarnął go, napoił mlekiem jak bezdomnego kota, podobno wyciągnął go z szamba za friko. Mówił Ewicie, że nie miał w kieszeni nawet centa, gdy się do niego zgłosił, za towar chciał zastawić zegarek z lepszych czasów.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Naprawdę pomógł mu pan za darmo? Co to za pokerowa mina, doktorze? W porządku, nie moja sprawa, jednak gdyby Igor mi wszystkiego nie opowiedział, nie zobaczyłby mnie pan tu, na tej kanapie. Mam pieprzony problem z ciałem i psyche, nie wiem, z czym większy, nie mogę okiełznać ani jednego, ani drugiego. Ciało wiotczeje, zmarszczki się pogłębiają, a hormony buzują jak u dwudziestolatki. Puszczalam się trochę na wyjazdach, ale czułam takie obrzydzenie do siebie, że rzygałam po tych akcjach jak kot, nie z powodów moralnych, to się wiązało z ostrym piciem. Na trzeźwo nie mogę kotłować się z byle kim. Miłość? Wiem, że to trudne w moim wieku, dlatego zostawiłam w spokoju sąsiada, nie mogę się wiązać, zwłaszcza z kimś, kto mieszka tak blisko. Igor nie wie o akcji parapetowej, to nie jest historyjka dla kogoś, kto ledwo się wydobył z tego śluzu. Z Igorem mogłabym się kochać, jednak takie pieprzenie dwóch samotności może zepsuć przyjaźń. Niektórzy mówią, że to jest coś na przeczekanie, ja wolę łowić sama. Czasami czuję parcie na waginę jak na pęcherz, jak Napalona Suka z cieczką. Nie mam trudności ze znalezieniem chętnego. Seks to nie jedyna przyczyna wizyt u pana, są inne, doktorze, ważniejsze. Staram się słuchać, co pan mówi. Gdybym poszła na terapię w Warszawie, wiedzieliby o tym wszyscy w mieście. W redakcji także, na to nie

mogę pozwolić. Dlatego trzymam formę. Dziwię się, że głupia forma, tryb rozkazujący, jaki stosuje się w reklamach i pismach kolorowych, także w „TopWoman”, działa. Wstań! Ubierz się! Jedź do redakcji! To trzyma mnie w karbach. Wystarcza, żeby pracować nad numerem, jednak nie mogę dłużej żyć w taki sposób. Ludzie z firmy nie mają cienia podejrzeń, pewnie się nad tym nie zastanawiają, nie obchodzi ich to. Widzą mnie w gotowości, dobrze ubraną, uczesaną. Nie mają pojęcia, przed czym stanęłam, na czym stanęłam i na co patrzyłam w dół, nie mają pojęcia, co zamierzałam zrobić. Wizja niebytu jest pociągająca i odpychająca, to walka demonów. Wierzę w niebyt, doktorze, wiem, że nie spotkam się z Bartkiem. Nie ćpam teraz, czasami trochę za dużo wypiję, chcę się ogłuszyć. Oprócz tego, co mi pan zalecił, łykam tylko lek dla dzieci z ADHD, znajoma lekarka wypisuje mi receptę. Trochę ją okłamuję, bo to lekarstwo nie uspokaja, pobudza mnie, pomaga mi pracować, łykam, gdy muszę coś zrobić na wczoraj. Wiem, wiem, że jest pan temu przeciwny. OK. Nie będę już brała. Spróbuję. Fakt, łatwo wziąć za dużo. Popiję wódką albo koniakiem i zrobię to, czego się na trzeźwo boję. Czuję strach przed swoim lękiem, boję się, że znów zaćpam. Jest pan niezadowolony, że okłamuję lekarkę? Widzę. Uważa pan, że leki, które pan mi zapisuje, w końcu zaczną działać? Jestem niecierpliwa. To już drugi rok. Wiem, powinnam wierzyć. W rozmowę z panem wierzę bardziej niż w prochy, które mnie przymulają.

## NIEDOBRY KLIMAT

W domu Ewita starała się wnikliwie ocenić, co spowodowało tamten przymus, analizowała to wydarzenie minuta po minucie, myśl po myśli, i dalej nic nie wiedziała. Nie rozumiała, dlaczego chciała się zabić. To ją przerażało. Zastanawiała się, czy gdyby zmieniła miejsce pobytu, byłoby lepiej. Uważała, że niełatwo żyć w kraju, w którym nienawiść wisi w powietrzu. Nie oglądała wiadomości, prawie nie włączała telewizora, plucie jadowitą flegmą było codziennością. Świństwo przyklejało się do człowieka. Od czasu katastrofy panowało wzmożenie nastrojów. Spora część narodu wierzyła, że to był zamach. Politycy zbijali na tym swój kapitał, cynicznie udawali, że też wierzą.

W tym samolocie było kilkanaście osób, które Ewita знаła. Płakała przez dwa dni. Znow się sponiewierała, robiła kuleczki haszu, przypalała, popijała whisky. Miała lecieć tym samolotem z nimi. W redakcji, w której pachniało dobrymi perfumami, a teksty były pokryte grubą warstwą różowego lukru, gdzie odciedzano rzeczywistość w taki sposób, by na sicie zostało wszystko, co rodzi niepokój, w takim eleganckim pomieszczeniu unosił się teraz zapach śmierci. Wciąż czuła spaleniznę. Została uratowana. Nie poleciała, bo kilka dni wcześniej wylądowała w szpitalu z zapaleniem płuc. Dostała zaproszenie dlatego, że lubiła ją



prezydentowa. Ewita zrobiła z nią wywiad, dała wyidealizowane foto na okładkę, a w środku siedem kolumn. „TopWoman” ocieplił wizerunek pierwszej damy tak skutecznie, że została Osobowością Roku. Czytelniczki wybrały.

Przed lotem, gdy już było wiadomo, że Ewita nie może polecieć, Gabrysia Mżawka odwiedziła ją szpitalu. Zawsze chętna do podróży, chciała wskoczyć na jej miejsce.

– Zrobię taki materiał, że głowa mała! Znasz mnie, wiesz, że potrafię! Wstaw się za mną u niej, proszę cię.

Była namolna, powtarzała w kółko, uzasadniała. Prosiła Ewitę o poparcie.

– Gabi, posłuchaj, ja miałam lecieć z innej puli, rozumiesz? Jestem dla nich partnerką, szefową imperium, taka Ważna Suka może się im przydać, ty jesteś tylko redaktorką, a redaktorka, choćby wybitna, nie pasuje do tego towarzystwa. Dziennikarze jadą oddzielnie.

Musiała przywołać ją do porządku, uświadomić, jak to wygląda. Żal jej się zrobiło Gabrysi. Może to osłabienie chorobą i wysoka gorączka spowodowały taką łagodność? Stąd się pojawiło słowo „wybitna”. Chciała osłodzić jej odtrącenie, wiedziała, że Gabi jest bez szans. Była za małym pieskiem, żeby wejść w to stado polityków i znanych osób z pierwszych stron gazet. Choć Gabrysia wszystkich znała, z wieloma robiła wywiady.

Zamiast Ewity poleciał ktoś inny. Pewnie jakiś urzędnik. Podobno były walki o miejsce. Nie wiedziała kto, nie chciała wiedzieć.

Po prostu Wredna Suka odmówiła mi pomocy. Powiedziała mi wprost, że to dla mnie za wysokie schody! Zanim ten nieszczęśliwy samolot poleciał, Gabrysia biegała po ludziach i przedstawiała się jako ofiara Ewity. Usiłowała załatwić coś na własną rękę, uruchomiła swoje kanały, nawet ścieki, szukała sposobu, żeby dotrzeć wszędzie, gdzie to możliwe, polecieć jako jedyna i zrobić materiał życia. Gdyby

poleciała, pewnie telefonowałyby i nagrywała wszystko, co się da. Do samego końca, być może ocalałby jej materiał życia i śmierci jednocześnie. Ewita żałowała, że nie może jej pomóc, jednak gdy to się stało, odetchnęła, że dziennikarka ocalała. Lubiła tę Podłą Sukę, która wciąż gryzła ją po łydkach. Po tym wszystkim Gabi przyszła do niej, wzięła jej rękę i pocałowała.

– Dobrze, że mi zabroniłaś lecieć. Wygadywałam różne rzeczy, bo miałam do ciebie żal, sorry – powiedziała nieoczekiwanie. Zdawała sobie sprawę z tego, że życzliwi donieśli Ewicie, co trzeba.

– Nie mogłam. Nigdy nie robię rzeczy skazanych na niepowodzenie. To obniżyłoby moją wartość – odpowiedziała Ewita.

\*

Wszystko, co się działo po katastrofie, utrudniało życie ludziom dotkniętym depresją. Ewita twierdziła, że bzdury wygadywane na ten temat gównem ją obchodzą, to choroba tych, co się wzniecają. A jednak kaleczyło. Wydawało się ludziom w redakcji, że jest Wredną Suką, Twardą Suką z żelaza. Nikt nie przypuszczał, że płaciła aż taką cenę. Lata praktyki w niepokazywaniu siebie w podwójnym życiu wydawały owoce. Pochłaniała ją robota, wracała późno, zmachana. Gdy budziła się około trzeciej w nocy, czuła krew pulsującą tak mocno, jakby żyły chciały popękać. To się nasiliło. Nadwrażliwość, jaką miała w młodości, po śmierci Bartka, wróciła. Pojawiły się nowe wyzwania związane z sensacyjnym przyjazdem pewnego młodego uczonego. Wszystko teraz może się zmienić. Dlatego prosiła o dodatkowe spotkanie z doktorem Bechsteinem.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Przylatuję do pana częściej, niż jeżdżę ostatnio do matki, która mieszka pod Warszawą, mogę być u niej w niecałą godzinę. Nie sądzę, żeby mogła mi pomóc albo powstrzymać przed czymkolwiek. Matka nie zajmuje się polityką, nic a nic jej to nie obchodzi. Nie wierzy w zamach, ale powiedziała, że nawet gdyby to była prawda, to i tak tacy jak ona nie mają na to wpływu, nic nie poradzisz, więc nie zaprzataj sobie tym głowy. Mówiłam panu, doktorze, że znałam wiele osób, które leciały tym samolotem. Pamiętam, że pewien znajomy powiedział, że można sobie wyobrazić lepszy skład. Jasne. A wtedy ja, taka Zimna Suka, zaczęłam płakać! Żalowałam wszystkich, nawet tych, którymi wcześniej gardziłam. Mówię, żeby nakreślić panu tło, przestrzeń, w jakiej się codziennie poruszam, w której trudno znaleźć miejsce na głęboki, spokojny oddech. Spokojny, głęboki oddech! Mam dziwne skojarzenia. Nie mogę się zupełnie uwolnić od tego, co działo się dawno temu. Pan musi wiedzieć, pan ma takie nazwisko, sorry, domyślałam się, że przynajmniej część pańskich przodków poszła z dymem. Pan się jakoś pozbierał, mimo że pewnie dotknęło to pana bardziej niż mnie. Słyszałam, jak pewien mężczyzna, który cudem się uratował, mówił, że litościwy, dobry Niemiec, który liczył ludzi, wpuszczając ich niby do łaźni, szeptał do niektórych: „Oddychaj głęboko, trzeba

głęboko oddychać”. To skracało męki. Ostatnio była okrągła rocznica wyzwolenia Auschwitz. Oglądałam dokumentalne filmy, wywiady z tymi, którzy przeżyli i żyją do dziś. Inni nie muszą wiedzieć.

– Po co to oglądasz?, pyta Wera.

Ja muszę. Takie rzeczy docierają do mnie, czy tego chcę, czy nie. Nie każdy to słyszy, nie każdy czuje. Matka nie oglądała nic. Mówi, że jest zbyt wrażliwa! O katastrofie też nie wspomina, mimo że wie, że miałam lecieć. Nie ma czego wspominać, było, minęło.

– Tym bardziej powinnaś cieszyć się życiem – powiedziała sakramentalnie, jakby zamykała wieko trumny.

Pamiętam, że kiedyś, w podstawówce, podczas międzyszkolnych zawodów lekkoatletycznych, gdy stałam na podium, bo dostałam medal, chłopak z sąsiedniej szkoły krzyknął: „Żydowska Suka!”. Wiedziałam, kim był, odszukałam go i stłukłam mu głowę, mimo że byłam słabsza. Zaskoczony, nawet nie próbował się bronić.

– Jeden chłopak zawołał na mnie Żydowska Suka, czy jesteśmy Żydówkami? – spytałam matkę po powrocie do domu.

– Daj spokój, co za bzdury! Mamy czystą krew.

– Czysta krew? Oni mają nieczystą?

– Przynajmniej ja mam czysto polską – rzuciła ze złością, chyba nawiązując do mojego ojca.

Matka miała jasne włosy i oczy. Ja miałam czarne włosy, czarną oprawę oczu. To niektórym wystarczyło. Potem nigdy się to nie powtórzyło. Temat przysechł na lata. Wrócił dopiero, gdy zrobiłam karierę, czyli stałam się posiadaczką dużych pieniędzy. Miałam kasę i władzę, albo odwrotnie. Sądziłam, że potężnym i bogatym mnie nie zagraża, to nieprawda. Zaczęłam dostawać anonimy z koszmarnymi błędami: „Ty żyduwo, znajdziemy cię i usuniemy jak wrzót z dupy” i podobne. Każdy, kto zrobił karierę i pieniądze, ma w szufladzie komplecik takich liścików. To u nas norma. Nie wiem, jak jest tutaj. Czy pan się z tym spotyka? Niektórzy oddają to policji. Robiliśmy

sesję do wywiadu z Kacprem, przyjacielem Kety. Chyba mówiłam o niej? Nie? To artystka, malarka. Ilustruje opowiadania Adeli. On mówi, że gdy zaczęto o nim dużo pisać na Zachodzie, odniósł międzynarodowy sukces, przychodziły listy do wydawnictw, worki obelżywych listów, a wszystkie dotyczyły pochodzenia i tego, że to Żydzi mu pomogli. Może to prawda, gdyby sobie nie pomagali, toby nie przetrwali. Nasi podkładają sobie nogi, zamiast pomagać. Były groźby karalne, wydawca składał to na policji i chyba jednego, wyjątkowo agresywnego namierzili. Był wariatem. Tłumaczył policjantom, że żydowskie spiski niszczą nasz kraj. Pouczyli go i się skończyło, inni smarują nadal komentarze na forach. O mnie także można przeczytać. Parszywa Żydowska Suka dochrapała się i rządzi duszami kobiet. Donieśli mi życzliwi, że podobno w redakcji też mówią, że „mam pochodzenie”. A ja nawet, kurwa, nie wiem, kim był pan Szot, mój ojciec marnotrawny. Matka pary z gęby na ten temat nie puszcza. Sądzi pan, że powinnam się wreszcie tym zająć? Dowiedzieć się, jaka rzeka płynie moimi żyłami?

## MONIKA

Prawie codziennie Keta widywała się z Moniką, ładną blondynką niewiele po czterdziestce, kobietą udręczoną codzienną opieką nad matką swego męża. Monika była fizycznie trochę podobna do Kety. Można było wziąć je za siostry. Na pierwszy rzut oka. Wysokie, dość szczupłe, zadbane. Jasnookie. Keta szarooka, Monika miała kolor oczu zbliżony do błękitu, który zbladł. Obie były mężatkami, choć to słowo śmieszyło je jak wyjęta z szafy babcina salopa. Wiedziało się, że coś takiego się nosiło, teraz wyszło z mody. Obie miały własne pieniądze, nie wisały na mężach. Niezależne, samodzielne, nowoczesne. Keta malowała i robiła karierę także jako artystka, Monika ją wspierała, bez cienia zazdrości. Sama zajmowała się wyłącznie sztuką użytkową. To ją pociągało i kręciło najbardziej. Wynajmowały razem pracownię i prowadziły interesy. Dekorowały wnętrza i okna wielkich sklepów, urządzały wystawy w galeriach. Firma nazywała się MoKet, zawierała skróty imion. Wymyśliły ją pewnej nocy przy butelce wina. Nazwa była łatwa do zapamiętania, tak jak i one obie, atrakcyjne kobiety, które potrafiły wykorzystać urodę, żeby zdobyć zamówienie. Potem mogły już używać talentu i inteligencji, na początku negocjacji uroda bardzo pomagała. Była przydatna, więc ją podkreślały. Ich strona internetowa, z fotografiami przy pracy, miała wielkie powodzenie. Firma

rozwijała się szybko, a zamówień było tyle, że przyjęły na staż kilkoro młodych artystów. Były postrachem innych działających na tym samym rynku.

– O kurwa! Idą te dwie Pazerne Suki! Tylko nie to! – jęczeli piarowcy, widząc Ketę i Monikę udające się na spotkanie z klientem.

Wszystko się nieźle układało, aż któregoś dnia Monika powiedziała, że jedzie do szpitala po teściową.

– Musimy wziąć ją do siebie. Ma alzheimera.

Krótki komunikat nie dawał pojęcia o tym, co się za nim kryło. Każdy coś słyszał, niekiedy nawet przez chwilę widział kogoś dotkniętego tą chorobą, jednak tylko ci, którzy mieli na co dzień do czynienia z matką, ojcem czy dziadkiem w ostatnim stadium, wiedzieli, co czeka Monikę. Można było zatrudnić pielęgniarkę, jednak to kosztowało, brały ogromne pieniądze za opiekę. Monika sama zajmowała się matką męża, telefonowała często, że musi zostać w domu, bo jak mówiła – starsza pani ma gorszy dzień. Prosiła Ketę o zastępstwo. Choroba posuwała się nieubłaganie.

Wcześniej pojawiały się różne niepokojące objawy, zrzucano je na karb starości. Matka Andrzeja miała osiemdziesiąt trzy lata. Dotąd opiekowała się nią jego młodsza siostra, jednak sama się posypała, chwiejne ciśnienie, stan przedzawałowy, wyjechała do sanatorium na leczenie. Miała wrócić po trzech tygodniach i znów zająć się matką. Tak się jednak nie stało. Wciąż była w kiepskim stanie, wyczerpany pracą ponad siły organizm żądał odpoczynku. Po dwóch miesiącach Andrzej „wyjechał w interesach”. Zostawiam matkę w dobrych rękach, powiedział, jakby powierzał Monice skarb, drogocenny przedmiot, wymagający czulej opieki. Sam nie zniżył się ani razu do tego, by zmienić matce pieluchę czy ją podetrzeć. Twierdził, że jest zbyt wrażliwy, że zaraz puści pawia. Jestem stworzony do zarabiania pieniędzy, nie mam duszy siostry miłosierdzia, mówił.

Sądził, podobnie jak większość ludzi, że takie sprawy są powinnością kobiet. Monika też nie miała talentu pielęgniarstwa, jednak z konieczności musiała się wszystkiego nauczyć. Wyjechał, zostawiając Monikę samą, z postacią, która kiedyś była jego matką, teraz przynależała do innego świata. Jeszcze nie była rośliną, dopiero zmierzała w tym kierunku. Roślinami określano osoby leżące, które jadły, wydalaly i spały. Papu, kaku, i aaa, kotki dwa. Monika karmiła ją, przewijała i usypiała. Pół biedy, jeśli teściowa dobrze spała, wtedy mogła pracować nad projektem. Jednak starsza pani bywała niespokojna i bardzo agresywna. Niestety, nie jest do końca rośliną, mówiła Monika, robiąc ostry makijaż, żeby przykryć niewyspanie. Zmienił się charakter teściowej. Kiedyś lubiła Monikę, zresztą z wzajemnością, teraz nawet jej nie poznawała, wciąż pytała, kim jest, posądzała o najgorsze rzeczy. Wynoś się z mojego domu! Złodziejka, okradła mnie! Policja!, wrzeszczała na Monikę, aż trzęsły się mury, pluła na nią i brała się do bicia. Nie chciała brać leków, uważała, że jest zupełnie zdrowa, że ta parszywa Żydowska Suka, jak nazywała Monikę, chce ją otruć, co dzień podaje jej gorzki cyjanek w leku. Miała rzut nienawiści do wszystkiego i wszystkich, ujawnił się zleżały antysemityzm. Potem uspokajała się, posłusznie łykała, co trzeba, gładziła Monikę po rękach i włosach i nazywała swoją ukochaną małą córeczką, choć synowa była przeciwieństwem jej córki. Pod każdym względem. Wydawało się, że odzyskuje część tej dobrej, dawnej siebie, było to jednak złudne. Chwiejność wynikała z wewnętrznych wichrów, jakie nią miotaly.

– Jest nieprzewidywalna jak pogoda, o trzeciej w nocy zrywa się i każe wieźć do fryzjera – opowiadała Monika. – Wyrzuca różne rzeczy przez okno, trzeba wszystko przewidywać i zabezpieczyć, żeby nie doszło do nieszczęścia. Gdyby nie było krat, mogłaby wyskoczyć.

Gdy jeszcze chodziła, trzeba było przywiązywać ją na noc



specjalnymi pasami do łóżka. Fizycznie była wówczas silna, nic jej nie dolegało. Keta pomyślała, że to wielkie nieszczęście, jednak ona nie miała świadomości tego, co się z nią dzieje. Od czasu do czasu pojawiała się doraźna pamięć chwili, na poziomie odruchu.

Bardziej cierpiała Monika, skazana „za niewinność” na ciężkie roboty. Bo to ona była więźniarką, odsiadującą wyrok za Andrzeja, choć wcale tego nie pragnęła. Mijały tygodnie, miesiące, a on nie wracał. Keta oglądała kiedyś program telewizyjny, w którym wypindrzeni ludzie wypowiadali się na temat praw człowieka i opieki nad pacjentami. Nigdy, przenigdy nie przywiązywać do łóżka, to niedopuszczalne, to kryminał, unosiła się jakaś pani o piskliwym głosie. Nikt w studiu nie zadał jej pytania, co zrobić z chorą, która w nocy idzie do kuchni, bierze nóż do chleba i staje w drzwiach sypialni. Monika spała czujnie, a więc zareagowała, uspokoiła teściową. Zaczęła obawiać się o córkę i o siebie. Pewnie telewizyjna dama odpowiedziałaby, że osoba w takim stanie wymaga hospitalizacji, specjalistycznej opieki. Owszem, wymagała, tylko nigdzie nie było dla niej miejsca. Żaden szpital nie chciał jej przyjąć, a prywatne domy opieki kosztowały majątek. Andrzej wyjechał, żeby zarobić takie pieniądze.

– Przecież to nie jest twoja matka! Szczyt bezczelności ulotnić się z domu, porzucić żonę i dorastającą córkę oraz swoją własną matkę w stanie pieluchowego niemowlęctwa! I jestem pewna, że nie przysyła ci pieniędzy – mówiła Keta, a Monika tylko kiwała głową.

– Nie mam ruchu, co mogę zrobić? Nic.

W końcowym stadium alzheimera te stare niemowlęta, w odróżnieniu od dzieci, nie uczyły się już niczego nowego, przeciwnie, zapominały wszystko, co kiedyś umiały. Strzała czasu samoczynnie zmieniała kierunek. Opieka pożerała wszystkie pieniądze i cały wolny czas po powrocie z pracy. Wyrodny syn wiedział, że Monika jest porządną kobietą, odpowiednio zajmie się

jego matką. Wyjechał służbowo za granicę. Chciał zarobić tyle, żeby wystarczyło na umieszczenie matki w „ekskluzywnym domu, dla tego rodzaju chorych”, jak się wyraził. Tam będzie miała zapewniony byt na właściwym poziomie, także opiekę lekarską. Na początku telefonował i słał SMS-y. Pisał maile. Z upływem miesięcy coraz rzadziej i rzadziej, aż wszystko się urwało, skończyło jak deszcz, który słabł, aż w jednej chwili przestał padać. Zanikły kontakty. Zamilkł jego telefon, zmienił numer. Jasne, że jeśli zerwał całkowicie z przeszłością, to przestał płacić na utrzymanie swojej matki, o córce nie wspominając. Monika szukała go pod adresem, który podał. Nie było go w Londynie, nie pracował w firmie, o której opowiadał. Nigdy. Miała do czynienia z oszustem. Okazało się to po wielu latach wspólnie spędzonych pod jednym dachem. Takie rzeczy zdarzają się częściej, niż myślimy, powiedziała Keta. Monika nie mogła w to uwierzyć. Nie potrafiła zrozumieć. Tłumaczyła jego milczenie chorobą, może miał wypadek? Zastanawiała się nad tym długo, odrzucała możliwość oszustwa, to godziło w nią, w jej inteligencję, jeśli to prawda, to jestem najgłupszą kobietą, jaka istnieje na tym świecie, mówiła do Kety, bo nie zauważyłam nic podejrzanego. To jednak nie była cała prawda. Teraz analizowała zachowanie Andrzeja, zwykle w nocy. Często budziła się około drugiej i myślała, obracała sytuacjami, wypowiedziami, kłótniami. Żądaniami, które wciąż wysuwał w stosunku do niej.

W tym czasie Keta wspomagała przyjaciółkę, jak mogła. Przychodziła na parę godzin, siadała przy łóżku chorej, szkicowała jej portrety albo czytała, czuwając nad nią. Zastanawiała się, co zrobić, żeby uniknąć podłego losu. Patrzyła na leżącą, czuła ucisk w gardle, chciało się jej płakać. Choroba starszej pani utwierdzała ją w braku wiary. Brak stawał się coraz głębszy, jakby w tej materii możliwe było stopniowanie. Już wcześniej, gdy stykała się z ludzką niegodziwością, gdy oglądała filmy i fotografie z toczących się na

świecie walk, lub czytała historyczne relacje, dzienniki, książki faktograficzne z obu wojen, nie miała złudzeń co do boskiego miłosierdzia. Trzymała chorą za rękę, starała się przekazać jej trochę swojej siły i zwykłego, ludzkiego ciepła. Nie winiła jej, chociaż uciążliwość zajmowania się kimś takim była ogromna. Rozumiała depresję Moniki, jej samobójcze myśli. Przed ucieczką w śmierć chroniła przyjaciółkę córka.

Starała się przychodzić dość często, żeby Monika mogła pozalatawać sprawy albo po prostu pójść do fryzjera. Samo wyjście z domu dawało chwilowe poczucie wolności. Opłacenie stałej pielęgniarki było zbyt kosztowne. Firma MoKet zarabiała na dekoracjach i projektowaniu całkiem dobrze, jednak Monika musiała liczyć się z groszem. Miała przecież na utrzymaniu córkę, której zadaniem było się uczyć, a nie służyć babci. Leczenie pochłaniało dużą część zarobków, na pielęgniarkę synowa pozwalała sobie bardzo rzadko.

## SMAK ZEMSTY

Keta współczuła Monice, ale bezradność zawsze ją rozwścieczała. Uważała, że nie wolno pozwalać na takie skurwysyństwo. Posunęła się do czegoś, czego się po sobie nie spodziewała. Jakoś tak samo wyszło, było podobne do projektowania obrazu. Najpierw rodził się pomysł. Potem robiła szkice, następnie powstawał rysunek, a w końcu, gdy miała już zarys całości, zaczynała malować. Myślała nad poszczególnymi etapami tego, co zamierzała zrobić. Budziła się w nocy, pomiędzy snami. Leżąc w ciemności, zyskiwała ostrość widzenia. Ustawiała kolejność zdarzeń. Logistyka ją wciągnęła. Zadała sobie trochę trudu, żeby odnaleźć męża Moniki. Sądziła, że ona sama też mogła to zrobić, ale najpewniej nie chciała. Keta dowiedziała się, że facet ma nowy adres w dobrej dzielnicy, w eleganckim, strzeżonym apartamencie. Z nową kobietą, a właściwie z dziewczyną. Dziwne, że bezczelny mieszkał w tym samym mieście, a jego droga nie przecięła się ani razu z drogą żony czy córki. Długo przekonywała Monikę, co należy zrobić, choć ta miała opory i wątpliwości. Keta pomyślała nawet, że Monika wiedziała, że mąż jest w kraju, tu pracuje i mieszka, ale nie chciała tykać tej śmierdzącej sprawy. Keta wtajemniczyła w swój plan przyjaciela grafika. Jeżdżąc za nim, poznał zwyczajnie oszusta. Ketę Andrzej mógłby rozpoznać, znali się przecież dobrze. Na wszelki

wypadek, gdy jechała na obserwację, wkładała perukę i duże okulary. Ten skurwiel pracował w firmie, która ostro weszła na rynek, panoszyła się, wciąż powstawały jej filie. Wykosła lub wchłonęła wszystko, co stanęło na drodze do sukcesu. Czyli do monopolu. Mąż Moniki był właściwym człowiekiem dla tych, co dążyli po trupach do celu. Został wiceprezesem. Nazywano go Piłą Mechaniczną. Tacy ludzie często spadają na cztery łapy. Keta chciała mu te łapy przetrząść. Pewnie można było załatwić sprawę drogą oficjalną. Wynająć prawnika, włóczyć się po sądach. Wiadomo, że u nas takie sprawy ciągną się latami, a Monika powinna szybko ułożyć sobie życie od nowa. Niedawno skończyła czterdziestkę, miała szesnastoletnią córkę, która się uczyła, chodziła na dodatkowe zajęcia, jak wszystkie inne inteligentne dzieci i niewiele mogła pomóc. W ogóle nie zdawała sobie sprawy z ich położenia, matka ukrywała przed nią fakt, że ojciec zostawił je obie na cienkim lodzie, nie przysyła pieniędzy. Tłumaczyła, że tata mieszka w Londynie, że jest szpitalu, bo miał wypadek. Niegroźny. Kłamała.

– To pojedź do niego – mówiła córka.

– Przecież nie zostawię babci, kto się nią zajmie? – odpowiadała.

Dziewczyna milkła, bo zdała sobie sprawę, że jeśli matka wyjedzie, to chora może przynajmniej częściowo zostać na jej głowie. Trzeba będzie ją przewijać, myć, czasami szorować ściany, jeśli akurat zdarzyło się, że wysmarowała graffiti własnym gównem. Gdy widziała, co musi robić matka, wstrząsało nią obrzydzenie.

Monika obwiniała siebie, że nie była dość dobra dla Andrzeja, on lubił ładne dziewczyny, ona straciła atrakcyjność młodości.

– Czy nie dbałam o siebie wystarczająco? – spytała kiedyś Ketę, gdy pracowały nad dużym projektem wystawienniczym.

– Przecież wiesz, że to nieprawda. Jesteś piękną kobietą, faceci oglądają się za tobą na ulicy, niech wreszcie do ciebie dotrze, że to on jest winny, on zostawił was wszystkie... Swoją matkę, ciebie

i córkę! Trzy pokolenia!

– Nie myślałam o tym w ten sposób.

– Ambitne kobiety mają zwyczaj zagryzać zęby i ciągnąć ciężki wóz w pojedynkę, choć jest dwukonny. Nie możesz na to pozwolić, nie wolno wspierać tych pasożytów.

Po dwóch miesiącach od wstępnego pomysłu plan Kety był dopięty. Trzeba było wcielić go w czyn. Namalować wreszcie ten ponury, ale konieczny obraz. Wiadomo już, że codziennie o siedemnastej „ten typ”, jak go nazywała, żeby nie używać jego imienia, wracał do domu. Jego dziewczyna czekała z obiadem. Jedli w domu, w niektóre dni wychodzili razem na miasto. Keta poprosiła grafika o przysługę. Miał wcześniej zatelefonować jako kurier, że będzie przesyłka. Wciągnęło go to, zwłaszcza że Monika mu się podobała. Współczuł jej.

Tego pamiętnego dnia, około siedemnastej cała ekipa, razem z wynajętymi ludźmi, czekała przed domem. Kurier-grafik w czerwonej kurtce trzymał w dłoni dużą, grubą żółtą kopertę. Zadzwonił do masywnych, obitych metalem drzwi. Chwilę trwało, zanim Andrzej otworzył. Wziął kopertę, chciał podpisać odbiór przesyłki.

– Kiciu, daj mi piątaka! – zawołał.

Zaraz pojawiła się młoda dziewczyna, ubrana w sexy ciuchy, podała mu monetę, a on wręczył ją grafikowi. Wyglądała tak, jak powinno wyglądać trofeum bogatego faceta zdrowo po pięćdziesiątce. Za przebranym kurierem nagle stanęła Keta razem z Moniką. Weszły do środka. Mąż Moniki otworzył usta i zastygł z kopertą w dłoni.

– Co, co, no co, co to znaczy, to najście...

Zaskoczony jękał się i powtarzał w kółko. Jego dziewczyna czujnie, z intuicją przestraszonego zwierzęcia, wyczuwającego niebezpieczeństwo, oddaliła się w głąb dużego holu. Nie wiedzieli,

co się dzieje.

– To dopiero początek tego, co cię czeka – powiedziała Keta. – Panowie, prosimy! – krzyknęła i wpuściła wynajętych pielęgniarzy, z matką Andrzeja leżącą na noszach.

Starsza pani miała dziś lepszy dzień, wzięła posłusznie leki i spała spokojnie. Uśmiechała się do swoich tajemniczych snów. Ten skurwiel miał duże mieszkanie! Kupił albo wynajął, tego Keta się nie dowiedziała, ale ta wiedza nie była do niczego potrzebna. Łatwo znalazły sypialnię.

– Proszę położyć mamusię tego pana, o tutaj, na szerokim łóżku. Tu będzie jej wygodnie – powiedziała Keta do pielęgniarzy.

Spełnili jej prośbę, z wprawą układali starszą panią, a potem nakryli ją jedwabistą, ciemnoczerwoną kołdrą.

– Cóż za guścik! Jak w hiszpańskim burdelu – szepnęła Keta do ucha Moniki.

Czekała na ulubione „filmowe” słowa, jakie mieli zwyczaj w komediodramatach wypowiadać faceci przyłapani na gorącym uczynku: „To nie jest tak, jak myślisz, kochanie!”. Mąż Moniki był zbyt zdruzgotany, żeby je wypowiedzieć. W obliczu tego, co się wydarzyło, historia zdrady zbladła i straciła na znaczeniu.

– Wiedziałaś, że on ma leżącą matkę? – spytała Keta dziewczynę. Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową. – Cieszymy się, że tu jesteś, bo matka pana Andrzeja wymaga całodobowej opieki – dodała Keta formalnym tonem urzędniczki.

Dziewczyna rozglądała się, miała ochotę czmychnąć stamtąd jak najszybciej i znaleźć nowego sponsora.

– Nie możesz mi tego zrobić, Monika. Mieszkasz w moim mieszkaniu, jak będziesz fikać, odbiorę ci wszystko! – Mąż Moniki zmienił ton, przeszedł do natarcia. Mówił podniesionym, łamiącym się głosem.

– Przesadzasz, nie jest twoje, kupowaliśmy je razem, dołożyłam

połowę, są na to kwity, a mieszka w nim także twoja córka, nie płaciłeś nic ani na dziecko, ani na swoją matkę. To wyjdzie na jaw podczas rozprawy rozwodowej, zostanie ujawniona twoja zdrada, porzucenie własnej matki, córki, będę domagała się orzeczenia o winie, twojej winie... Będziesz musiał słono dopłacić!

Monika była spokojna, wydawała się nazbyt opanowana. Keta złąkla się o przyjaciółkę, która umiała tłumić negatywne uczucia, płaciła za to nadciśnieniem i problemami z krążeniem. Była bardzo blada, miała zupełnie białe dłonie. To zły znak. Krew źle krąży. Objęła ją, wzięła jej dłonie w swoje i rozcierała.

– Mamy prawników, papiery są przygotowane do rozwodu, a panom już dziękujemy!

Keta odprawiła pielęgniarzy, słuchających z zaciekawieniem tej rozmowy. Dała im przygotowaną wcześniej umówioną kasę, ze sporym napiwkami, i wyprowadziła z mieszkania. Po chwili wróciła. Fałszywy kurier został, tak jak się umówili. Na wszelki wypadek, gdyby doszło do jakiejś fizycznej agresji ze strony Andrzeja.

– Keta, ty parszywa suko! Zbuntowałaś ją! Monika nigdy by mi tego nie zrobiła! Monisiu, pamiętasz, jak nam było razem dobrze... Ja bym przecież do ciebie wrócił, zawsze wracałem, ja nie mogłem tego wytrzymać psychicznie, muszę uporządkować swoje sprawy, ta wredna suka wszystko nam popsowała!

– Nie nazywaj jej suką! Nie masz prawa! Tylko ona mi pomagała, jak się ulotniłeś! Do widzenia, mamó! – zawołała w kierunku sypialni Monika. Miała łzy w oczach, mimo wszystko była związana uczuciowo z teściową, bardziej chyba niż z mężem, a już z pewnością bardziej niż on ze swoją matką. – Nie powiem, że jesteś skurwysynem, bo twoja matka jest porządną kobietą, chociaż sama nie wie, kim jest. Jesteś złamanym chujem, tyle mogę powiedzieć.

Keta była spokojna, zadowolona, że zadanie zostało wykonane „perfekcyjnie”, jak mawia się w telewizji. To słowo ją rozśmieszyło,



nie mogła opanować chichotu.

– Czego rechoczesz, suko? Nie możecie mnie z nią tak zostawić! – wołał Andrzej.

– Z nią? Zapomniałeś, że to twoja matka? – spytała Monika.

– Monisiu, błagam, weź ją jeszcze na tydzień, mam pilną robotę, to niegodziwe, ja się nie znam na pielęgnacji! – wołał za nimi, gdy odchodziły.

– W tej żółtej kopercie jest historia choroby, sposób leczenia, lekarstwa na najbliższe dni. I nazwisko lekarza, wezwiesz go, zapłacisz i wszystkiego się dowiesz. – Monika odwróciła się, zatrzymała na chwilę i pouczała go urzędowo jak petenta. – Może spotkasz się ze swoją córką? Ma już szesnaście lat i ciągle pamięta, że ma ojca – dorzuciła na odchodnym. Zamknęła drzwi cicho, nie trzaskając.

Dopiero teraz wreszcie dotarło do niej, to o czym wiedziała, a teraz zobaczyła na własne oczy, że stać go na wszystko. Ukrywał się, nie płacił, pieprzył się z tą gówniarą, nie myślał o chorej matce, o żonie, którą zostawił, o tym, przez co ona codziennie musi przechodzić, ani o córce, tylko niewiele młodszej od kochanki. Zainscenizowana scena pokazała jej to, czego nie chciała przyjąć, nie mogła pojąć, gdy Keta usiłowała jej to wytłumaczyć. Już nie miała wątpliwości. Zobaczyła, że jest zdrowy, ma siłę, żeby pracować i żyć pełnią podczas gdy ona codziennie bardziej słała się ze zmęczenia. Tłumaczyła go, głównie dlatego że w głowie porządnej kobiety nie mieściło się tego rodzaju postępowanie. W ostry, poglądowy, można powiedzieć, w audiowizualny sposób dowiedziała się prawdy o swoim mężu, z którym żyła kilkanaście lat pod jednym dachem. Znów zastanowiła się, jak to możliwe, że nie zauważyła, z kim je i śpi. Związek był letni, po każdej kłótni ona zawsze ustępowała, żeby mógł się „rozwinąć”. I rozwinął się, rozplenił jak chwast, niszcząc pielęgnowany przez nią ogród.

– Teraz wreszcie będziesz mogła zająć się sobą. – Keta objęła Monikę, pogłaskała ją po głowie. Wsiadły do auta i odjechały.

## NARODZINY BLISKOŚCI

Keta współodczuwała z wieloma znajomymi, którzy mieli chorych rodziców. Nie sądziła, bo nic na to nie wskazywało, że jej matkę także dotknie paskudny los. Może nawet gorszy, bo matka Kety nie miała alzheimera, była świadoma swego stanu i tego, co się wokół niej dzieje. Jej mózg działał prawie tak samo jak przed wylewem. Została pamięć. Nienaruszona. Powoli wracały wycofane umiejętności. Mimo wszystko ja radzę sobie trochę lepiej, myślała Keta. Ukraińska siła, Ksenia, zajmuje się matką we dnie i w nocy, zatrudniona na stałe, porządna osoba. Ciągłe obecna, dostaje pensję, mieszka za darmo, sprząta, gotuje, ma wyżywienie. Z zawodu dyplomowana pielęgniarka, zna się na rehabilitacji. Matka daje się prowadzić, gdy ta uczy ją od nowa trzymać widelec, mówić, czytać. Z pisaniem jeszcze nie ruszyły, ale to kwestia czasu. Ksenia przyjechała u nas zarabiać, jest zdolna, szybko opanowała język. Rozpocznie studia. Keta każdego dnia rozmawiała z nią przez telefon, gdy nie mogła odwiedzić matki, bo miała jakiś wyjazd albo pracowała do późna, przygotowując wystawę. Weźmie kilka dni urlopu i zacznie matkę uczyć pisania. Odda jej to, co wzięła jako dziecko. Matka ślęczała z nią nad kaligrafią, dbała, żeby nauczyła się ładnie pisać. Przynajmniej wyraźnie, bo z ładnym charakterem był kłopot. Keta nie przykładała się do tego. Nie sądziła, że to koło tak

się zatoczy. Naturalną koleją byłoby uczenie własnego dziecka. Nie miała go, tak się złożyło albo nie złożyło. Teraz to się przydaje, bo może więcej czasu poświęcić matce. Gdyby urodziła dziecko wtedy, gdy był na to czas, miałyby już kilkanaście lat. Córka w tym wieku mogłaby pomagać w opiece nad babcią, choć córka Moniki tego nie robi. Nie ma co rozważać wariantów, gdybać, to nie obraz, można stworzyć postać i ją namalować. Prawdziwe dziecko trzeba w bólach urodzić. Ona nigdy nie miała ochoty przedłużać siebie w nowym życiu, które pojawi się za jej sprawą. Nie uważała, by świat tego oczekiwał ani był godny tego. Gdyby coś się zmieniło w jej planach czy w pragnieniach, to droga była jeszcze otwarta. Późne dzieci rodziły się coraz częściej. Nie wchodzę w to!, zakończyła sprawę. Na razie miała matkę, której poświęcała więcej uwagi niż przeciętni rodzice swoim dzieciom.

Keta postanowiła, że sama będzie uczyła matkę pisania. Zastanowi się nad techniką, zasięgnie opinii doktora. Czy lepiej na papierze, czy też na ekranie laptopa? Na ekranie byłoby łatwiej, jednak trudniejsze stawianie znaczków w zeszyte w linie mogłoby jednocześnie ćwiczyć koordynację ruchową matki. Naczytała się książek i pism medycznych. Zebrała dużo informacji na temat wylewów. I tak ma szczęście. Matka okazała się nadzwyczaj silna. Ludzie w jej wieku po czymś takim często nie wychodzą z paraliżu, nie mają siły i woli, by się uczyć. Chodzą po domu z balkonikiem albo wspierając się na kuli. Jak dotąd dzięki intensywnej rehabilitacji i uporowi matka odzyskała władzę w nogach, to znaczy w lewej, bo to dotknęło jednej strony. I prawie zupełnie w ręce. Dłoń jeszcze nie jest do końca sprawna, ale matka postanowiła, że w ciągu miesiąca i z tym sobie poradzi. Pamięć nienaruszona. Wciąż miała trudności z mówieniem, cedziła słowa powoli, rozwlekała samogłoski, trochę tak, jakby pochodziła z Kresów. Jednak jest coraz lepiej, choć jeszcze nie może strzelać seriami słów. Od razu po tym, co się wydarzyło,

wyłądowała w szpitalu. Na szczęście, bo każda chwila ma znaczenie. To jest ta pierwsza złota godzina. Ze szpitala zabrali ją do siebie. Grzegorz sam to zaproponował, zanim zdążyła go zapytać. Gdyby zauważyła ułamek niechęci, przeniosłaby się do rodzinnego domu razem z matką. On jednak uważał, że należy tak postąpić, tego wymaga przyzwoitość. A jednak mężczyźni mogą też być przyzwoitymi ludźmi, pomyślała, w każdym razie Grzegorz i Kacper należeli do tych uczciwych. Mimo różnych wad, śmieszności, zazdrości. Matka została u nich trzy miesiące. Potem przeszła jeszcze jedną rehabilitację w szpitalu i kolejną w sanatorium. Nie chciała już wracać do dzieci, chciała zamieszkać u siebie. Lekarze się nie sprzeciwili. Pod warunkiem że przez pierwsze tygodnie, albo miesiące, zależnie od tempa powrotu do jako takiego zdrowia, będzie miała opiekę.

– Powrót na stare śmieci jest korzystny dla pacjenta – powiedział doktor.

Nie chciała być ciężarem dla córki. Samodzielność była jej pragnieniem. Zawieźli ją do domu. Rzeczywiście, prawie natychmiast dało się zaobserwować poprawę. Z dnia na dzień wracały mowa i pamięć krótkoterminowa. Na samym początku miała trudności z wypowiedaniem zdań. To musiało być dla niej denerwujące, zanim to się stało, mogłaby zająć pierwsze miejsce w konkursie szybkiego mówienia. Tak teraz dzieliła czas: zanim to się stało i po tym, co się stało.

– Mooojaaa biiiiibliiiiiooooteeekaaaa – powiedziała od razu po przyjeździe, gdy ulokowano ją na łóżku.

Keta wiedziała, o co chodzi, siadała na krześle obok łóżka i czytała książkę, którą matka wskazała kijkiem trzymanym w prawej ręce. Lubiała angielską powieść, ledwo skończyły Jane Eyre, już zażądała Dickensa. Potem *Wichrowe wzgórza*. Z literatury amerykańskiej ceniła *Portret damy*, bo Henry James był dla niej „brytyjski”. Lubiała

też *Przeminęło z wiatrem*. Nie chciała nic współczesnego, cofnęła się w przeszłość starszą niż ona sama. Wskazując grzbiety książek długim kijem, wyglądała jak siwowłosa wróżka z czarodziejską różdżką. A po prawdzie, raczej kojarzyła się Kecie z jedną z wiedźm w *Makbecie*. Nosila rozpuszczone włosy. Miała gęste, grube jak srebrne druciki. Nie chciała, by ją czesać, twierdziła, że „skóra na głowie jej cierpnie, bołą ją włosy”. Keta prawie zasypiała, czytając te starocie. Była przepracowana, zmęczona, głowa jej opadała, matka jednak egzekwowała i wymagała od niej jak w dzieciństwie. Szturczała ją swoją różdżką, żeby czytała żywiej. Keta uważała, że matka wraca do zdrowia, bo zaczyna rządzić. Czasami się buntowała, włączała telewizor i wyszukiwała serial albo film kostiumowy i mówiła: Teraz oglądaj. Nie włączała wiadomości, bo to matkę złościło. Gdy próbowała wciągnąć ją w rzeczywistość polityczną, matka zachowywała się jak dzieciak w histerii, zaciskała powieki, usta wykrzywiała w podkówkę, a po twarzy płynęły jej łzy. Czasami, siedząc przy chorej, Keta czytała jej ciekawostki z gazet albo ściągała filmiki z portali.

Było tak, jak uważali lekarze, powrót na stare śmieci, do własnego domu, do swoich przyzwyczajień, dobrze wpłynął na jej samodzielność. A ona niczego tak nie pragnęła jak samodzielności i niezależności. Pod tym względem obie, matka i córka, były wyrzeźbione z jednego twardego pnia. Miała odłożone pieniądze, dostawała także emeryturę po mężu i wydawało się jej, że to wystarczy na wszelkie opłaty. Oczywiście nie wystarczyło. Nie miała pojęcia, ile to naprawdę kosztuje. Keta weszła w układ z Ksenią, która brała od matki jedną trzecią tego, co dostawała, resztę Keta dopłacała w tajemnicy. Znała matkę i wiedziała, że czułaby się źle na garnuszku córki, to by ją dołowało i hamowało leczenie. Były do siebie podobne. Godność, honor, czy jak to nazwać, w każdym razie tego rodzaju staroświeckie uczucia miały wielkie znaczenie. Ten

układ z cichym dopłacaniem był najlepszy, najwygodniejszy również dla Kety. Pod warunkiem że nigdy nie ujawni się prawdy. W złości, czy w kłótni, nie wolno o tym wspomnieć, użyć jako argumentu, bo to byłaby podłość.

– Halo, Ksenia? Jak się miewa nasza podopieczna? Mam dziś ważną robotę, czy muszę przyjść? – spytała Keta, żeby odpędzić złowrogie myśli.

– Nasza miła zjadła zupę, prawie całe drugie, wypila wodę, poćwiczyła i teraz śpi – zaraportowała śpiewnie Ksenia, wymawiając piękne „ł przedniojęzykowe”.

Powinno to uspokoić Ketę. Nie miała odwagi, ani też powodu, by zapytać, czy naprawdę matka śpi? Czy oddycha? Pragnęła poprosić Ksenię, by przyłożyła ucho do jej ust. Nie zrobiła tego. Postanowiła zatelefonować za kilkanaście minut, z pytaniem o cokolwiek.

– Czy jutro mam coś przywieźć, spytaj ją, czy potrzebuje czegoś? – spytała po dziesięciu minutach.

– Nic nie trzeba, nie będę jej pytać, bo siedzi teraz na tronie, nie wolno jej przeszkadzać – odpowiedziała Ksenia.

Mowa wracała szybciej, niż można się było spodziewać. Keta telefonowała zwykle najpierw do Kseni, żeby dowiedzieć się, czy matka nie śpi, czy można z nią rozmawiać. Nie sypiała teraz w dzień tyle, ile w szpitalu czy w domu zaraz po powrocie. Wracała do normy. No widzisz! Matka, jak zwykle o tej porze, męczy się z wypróżnieniem. Nie ma powodu do ostatecznego niepokoju, nie histeryzuj!, rozkazała sobie. Często wydawała sobie komendy. Uspokój się, przecież nastąpiła znaczna poprawa. Przygotowała słabą kawę z mlekiem, zjadła pół słodkiej bułki z masłem. Nie mogła przełknąć nic więcej.

## GRZEGORZ

Grzegorz już wyszedł. Dziś musiał być wcześniej w firmie, przygotować cały zespół do rozmów z międzynarodową grupą, z którą mieli wejść w *deal*, role w tej sztuce były rozpisane, Grzesiek zwykle grał główną. Ćwiczyli zawsze, gdy przyjeżdżał ktoś bardzo ważny. Na krótko przed rozpoczęciem spotkania powtarzali scenę za sceną, robili prezentację przed pustymi fotelami. To było bardzo ważne, żeby nikt się nie mylił, nie jękał, zwłaszcza wówczas, gdy firma mogła podpisać korzystny kontrakt, zapewniający wielkie pieniądze. Tego trzeba dopilnować, mówił wczoraj Grzesiek. Mało co rajcowało go w takim stopniu jak ten teatr, pertraktacje, negocjacje, dopinanie umów. To były jego prawdziwe namiętności. Chyba większe niż seks, choć lubił się kochać z Ketą. Potrafił wejść na szczyt. Wchodził powoli, zgodnie z zasadami gry miłosnej, patrzył w twarz Kety, czekał na jej rozkosz. Znał techniki, wiedział o punkcie G, ale też był uważnym obserwatorem i wiedział, co ona lubi. To był projekt, zadanie dla niego. Wypełniał je z radością, z entuzjazmem, potrafił zaspokoić Ketę i siebie. Ze szczytu zbiegał szybko i równie szybko zasypiał. Keta nie miała mu tego za złe. Nie lubiła powtórek, uważała, że są wymuszone. Trzeba pomagać w powtórnym powstaniu zwiędłego narzędzia rozkoszy. To kojarzyło się z robotą prostytutki, tak właśnie sobie wyobrażała jej pracę.



Sądziła, że lepszy jest mocny raz bez sztuczek niż wymuszone rekordy. Stawiała na naturalność. Zauważyła, że już „po” przychodzą jej do głowy najlepsze pomysły. Gotowe obrazy pojawiały się także, gdy się kochali, a ona zamykała oczy. Wykorzystywała te pomysły, zapisywała, szkicowała, nigdy jednak nie powstał z nich obraz. Podejrzewała, że dla Grzegorza był to jedyny czas wyciszenia. Chyba nie myślał wtedy o kolejnych projektach. Miał duże pieniądze, umiał je wydawać, nie był skąpy jak inni bogaci. Przed ślubem nie sporządził intercyzy. Była mu wdzięczna. Gdyby to zrobił, chyba do ślubu by nie doszło. Gdyby natomiast nie mieli tego niby niewiele znaczącego papierka ślubnego, to nie wiadomo, jak ułożyłaby się jej wielka historia z Kacprem. Musiała wiedzieć, że Grześ ma do niej bezgraniczne zaufanie. W zamian ona, gdy już postanowiła, że za niego wyjdzie, zrezygnowała z czegoś znacznie cenniejszego niż pieniądze – z namiętności, jaką czuła do kochanka. Grzegorz wiedział, że kiedyś, dawniej, zanim zamieszkali razem, „coś” łączyło Ketę z Kacprem, ale nie znał szczegółów i nie wypytywał o nie.

– Byłaś z kimś, to jasne. Jednak nie wiem z kim, nikt nie wie. To jakaś tajemnica? – zauważył chyba na piątym spotkaniu, wtedy po kolacji wylądowali w łóżku. To była nocna rozmowa po udanej miłości. Próba się powiodła.

– Tak, Grzesiu, powinnam ci to powiedzieć. Znasz Kacpra? Jasne, wszyscy go znają. Byłam z nim kilka lat. Być może ktoś o tym wiedział, ale nikt nie miał pewności.

– O ile wiem, on jest od lat żonaty i ma dzieci, nie przeszkadzało ci to? – spytał.

– Nie chciałam, żeby się dla mnie rozwodził, chociaż mi to proponował, widać nie byłam pewna, czy jest materiałem na męża. Nie żałuję niczego, bo to był dobry związek, ale teraz, jeśli będziemy razem, będę sypiała tylko z tobą.

I tyle, nie opowiadała o uczuciach. Namiętnościach, które

powodowały, że musieli robić to natychmiast, gdy tylko się spotkali, spojrzeli na siebie. Musieli wyjeżdżać za miasto albo jechać do jego garsoniery. Z nikim o tym nie rozmawiała. Grzegorz doceniał niezależność żony, chwalił się nią jak genialnym dzieckiem, imponowała mu jej samodzielność, co podkreślał, gdy gdzieś razem chodzili.

– Keta ma wystawę, przyjdźcie, pokazuje nowe prace, są świetne, naprawdę świetne! Nie mówię tak dlatego, że jest moją żoną. Ludzie są w stanie zapłacić za nie duże pieniądze – mówił z podziwem, choć nie bardzo rozumiał, jak można łądować pieniądze w sztukę.

Keta, wkraczając w jego bogaty świat, stała się partnerką. Nie tylko w łóżku, ale też w zarządzaniu wspólnym majątkiem. Miała dostęp do jego konta, nie bał się, że go oskubie. Wiedziała, że jest porządnym facetem, nigdy nie zachowałby się tak jak mąż Moniki. Gdyby się zakochał, co przecież jest możliwe, i chciał odejść, dowiedziałaby się o tym pierwsza, nie zostałaby bez pieniędzy. Pewność czerpała z wiary w siebie, z tego, że nikt jej nigdy nie porzucił, że mężczyźni, z którymi była, wiedzieli, że jest niezależna, twarda, ma swoje malarstwo i utrata faceta nie byłaby dla niej aż tak wielkim problemem. Ci, z którymi wcześniej się rozstawiała, posądzali ją z tego powodu o chłód uczuciowy. Na ogół chodziło o jakiś rodzaj obrzydzenia, jaki pojawiał się u niej, gdy seks był nieudany. Zaczynała obserwować i brzydzić się, bez miłości, a właściwie bez namiętności, zbliżenia stawały się niedobre, wręcz obrzydliwe, za dużo było śliny, mlaskania, nie znosiła języka wpychanego do gardła, albo jeszcze gorzej, gdy głowa kogoś kolejnego faceta łądowała pomiędzy jej udami. Po kilku próbach znalezienia kogoś, kto to zmieni, przestała szukać i zajęła się sztuką.

Kacper pojawił się przypadkiem. Wcześniej już go widywała, ale zachowywała dystans. Do momentu, w którym przyciągnął ją do

siebie, w towarzyskiej sytuacji, na jej wernisażu. Gratulował prac. Dlaczego przyszedł na wernisaż? Spytała go o to.

– Podobałaś mi się od dawna, chciałem cię poznać. Wysyłałem zaproszenia na swoje promocje, ale nigdy nie raczyłaś się pojawić. To ja wykonałem pierwszy ruch.

Z Kacprem robiła to wszystko, co przyprawiało ją wcześniej o torsje, bo zdarzało się czasami, że musiała wyrzygać z siebie całe to obrzydzenie. Jakby Kacper pozbawił ją chłodu. Nie stawała obok i nie oglądała siebie pod nim czy nad nim. To była prawdziwa namiętność, którą poznała. Nie zastanawiała się nad tym, skąd się w niej wzięła taka siła przyciągania, ani też nad tym, czy potrafi kochać wystarczająco mocno. Nawet nie nazywała tego miłością. Chociaż uważała, że kocha Kacpra na swój sposób. Kochała go jeszcze ciągle wtedy, gdy wychodziła za mąż. Zaczynała już kochać Grzegorza. Inaczej. To były dwie różne miłości. Zdarzało się jej malować dwa różne obrazy na ten sam temat. Nigdy jednocześnie. Porzucała rozpoczęty wcześniej, zaczynała drugi. Z tym że po skończeniu drugiego wracała do pierwszego. Kolejność miała znaczenie. Choć teraz była przekonana, że nie ma powrotu do wcześniejszej namiętności. Tamten obraz pod tytułem „Gorący związek z Kacprem” był już namalowany. Skończony. Malowała teraz „Moje małżeństwo z Grzegorzem”. Jednocześnie powstawały szkice do obrazu „Mój najbliższy przyjaciel”, którego główną postacią jest były kochanek.

## ŻYCIE RODZINNE

W studenckich czasach Keta odwiedzała rodziców dość często, lubiła wpadać do domu na obiad, przynosić prezenty. Żył ojciec, matka była w pełni sił, energiczna, zawsze zadbana, dbała także o dom, o męża i córkę. Keta wtedy jeszcze studiowała na Akademii, już całkiem nieźle zarabiała przy organizowaniu wystaw, urządzeniu wnętrz. Żeby mieć większą kasę, sprzedała twarz znanej firmie kosmetycznej. Była w reklamach tak przerobiona, że prawie nikt jej nie poznawał. Doklejone rzęsy, mocny makijaż, usta powiększone pomadką, wytuszowane brwi i włosy czesane w taki sposób, w jaki nigdy ich nie układała. Na co dzień Keta prawie się nie malowała, nosiła rozpuszczone jasne włosy, do malowania związywała je w koński ogon albo upinała w kok, żeby nie przeszkadzały. Sesje zdjęciowe odbywały się kilka razy w roku, nie musiała nawet zwalniać się z zajęć. Płacili jej sporo, gdy zorientowała się, że jest na nią „branie”, poszła do szefa agencji, powiedziała, że rezygnuje, bo to się jej nie opłaca. W taki sposób wynegocjowała podwójną stawkę. Nie wdawała się w targi, postawiła warunki. Mogła sobie na to pozwolić, bo nie zależało jej aż tak bardzo na pieniądzach. Łatwo mogła znaleźć inne zajęcie. Wykształcenie plastyczne otwierało wiele możliwości, nie tylko artystycznych, ale też materialnych. Udawało się nawet czasami łączyć jedno z drugim. Kupowała matce

książki, ciuchy i kosmetyki, ojcu swetry, wodę kolońską i dobrą herbatę, bo pielęgnował ciągle zwyczaj zaparzania w czajniczku. Życie rodzinne stało się łatwiejsze do zniesienia, gdy już nie była narażona na codzienną obecność matki, na ciągle ścieranie się o nic, o bzdury, rzeczy nieistotne. Jednak gdy dochodziło do spięć, żadna nie potrafiła ustąpić.

## CZY BÓG JEST MIŁOSIERNY?

Kiedyś, w tamtym czasie wczesnej niezależności, Keta dała matce wykład na temat ukochanego, miłosiernego, sprawiedliwego i wszechmogącego Boga, który patrzy na to, co się dzieje na świecie. Okres studiów, zwłaszcza dwa pierwsze lata, były burzliwe, kształtowała wtedy własną wizję, nie wstydziła się wygłaszanych banałów, do których dochodziła sama. Uważała, że to, co mówi, jest logiczne i nie do odparcia. Przedstawiała matce swój pogląd na wojny, zabijanie, strzelanie w tył głowy, rozbijanie niemowlęcych głów o mur, rozcinanie brzuchów ciężarnych kobiet, gwałty wojenne i te w czasie pokoju, także na dzieciach, bo co rusz słyszało się informacje o kolejnym dziecku rozerwanym na strzępy przez gwałciciela i zamordowanym potem ze szczególnym okrucieństwem; tortury stosowano, by wydobyć zeznania; seryjnych morderców łapano po czwartym albo piątym zabójstwie; ludzie cierpieli z głodu i pragnienia, umierali bez wody; przemoc była prawie wszędzie, nawet u nich w szkole widywało się krwawe pręgi po ojcowskim biciu, ślady duszenia... Wymieniała jednym tchem wszystkie okrucieństwa, jakie przychodziły jej do głowy.

– Gołym okiem widać nieobecność twojego Boga, do którego się tak żarliwie modlisz! To walenie łbem w mur! Nie czujesz tego? Gdzie jest ten miłosierny Bóg? Siedzi w kącie? – zadawała matce

rozpaczliwe pytania. – Gdzie jest sprawiedliwość boska, gdzie się podziewał podczas obu wielkich wojen i tysięcy wojenek, powiedz, gdzie on się podziewa?

Matka zasłaniała uszy, nie chciała słuchać, powtarzała, że Bóg dał człowiekowi wolną wolę i sprawiedliwie wszystko osądzi, winni są ludzie.

– Tak? Kiedy? Kara powinna być natychmiastowa i nieuchronna dla morderców, przecież ma moc, jest podobno wszechmogący! Nie wymagaj ode mnie, żebym biła pokłony, oddawała cześć komuś, kto nie potrafi zapanować nad światem, który stworzył.

– Nie bluźnij, nie wolno ci tak mówić! Naczytałaś się dziwnych książek i dlatego wpadłaś w taką rozpacz, bo ty mówisz tak z rozpacz.

Matka miała łzy w oczach, czuła, że Keta ma rację, coraz częściej docierało do niej okrucieństwo życia. Co chwilę któryś ze znajomych lądował w szpitalu albo umierał. Ludzie cierpieli, a ich cierpienie było zbędne. Mętne tłumaczenia o szlachetności cierpienia, które Bóg widzi, co więcej potrzebuje go i pochwała, trąciło sadyzmem.

– Cóż, czego można się spodziewać po kimś, kto swojego syna wysłał na pewną śmierć, a wcześniej, znasz przecież historię Abrahama i Izaaka, jak można żądać od ojca czegoś podobnego, weź syna i złóż go w ofierze! Matce Izaaka tego nie zlecił, bo wiedział, że go nie posłucha, no powiedz przynajmniej raz, że mam rację!

Miała pewność, że matka nie posłuchałaby Boga w tej sprawie. Raczej by się zabiła. Znała ją dobrze.

Mimo wszystko Keta nie traciła głębszej wiary w istotę boskości jako siły sprawczej, nieokreślonego bliżej i niezrozumiałego źródła tworzącego pierwociny życia na Ziemi. Teraz widzi, że była wówczas podobna do Moniki, która domyślała się, że mąż ją zdradza, że puścił ją kantem, ale i tak wierzyła, że on się zmieni, że mimo wszystko ją kocha i może do niej wróci. Bóg jednak, przynajmniej na

razie, do Kety nie wracał.

– Taka jest prawda i ty o tym wiesz, tego nie wyczytałam w książkach, o takich rzeczach nie piszą, bo się boją! – powiedziała Keta także ze szklistymi oczami.

Żal jej się zrobiło matki. Znała historię jej rodziny. Dziadka, który nieopatrznie wrócił do kraju z Anglii. Przyjechał za wcześnie, został uznany za szpiega, jak wielu ludzi z AK. I tak miał szczęście, że wyżył. Niestety wyszedł z więzienia z odbitymi nerkami, obrażenia wewnętrzne okazały się tak wielkie, że trzy lata po wyjściu umarł. Biografie rodzinne były dramatyczne. Ona sama nie była torturowana, jednak doświadczyła kiedyś czegoś, o czym matka nie wiedziała i nigdy się nie dowie. Nikt o tym nie wie. Nie chciała o tym teraz myśleć. Wściekłość i zemsta dały jej siłę. W każdym razie Bóg tym ludziom wówczas nie pomógł. W ogóle nie pomagał. Ani w czasie wojny, ani w czasie pokoju. Wiara w to, że modlitwy coś załatwiły, była jedną wielką uzurpacją. Pychą. Denerwowały ją wypowiedzi, że Bóg kogoś ocalił, zlitował się, wysłuchał modlitw. Mnie jednej czy mnie jednemu pomógł, bo ja się modliłam żarliwie. A inni nie? Żałowała braku Boga w sobie i utraty prostej, katechetycznej wiary z dzieciństwa. Nie ustąpiła jednak ani o milimetr. Matka coraz częściej chodziła do kościoła i modliła się za nią. Jednak od czasu tamtej rozmowy nigdy już nie powiedziała, że Bóg jest wszędzie i widzi wszystko.

Ojciec nie brał w procederze wychowawczym udziału. Całymi dniami siedział w banku, prowadził skomplikowaną rachunkowość, i jeszcze robotę przynosił do domu. Dawał kredyt albo nie dawał. Czuł się namaszczonego rodzajem urzędniczej boskości, kapłanem bankowości albo wręcz małym bogiem, od którego zależy czyjeś być albo nie być. Miał nosa do ludzi. Widział ich na wylot, znał ich myśli. Był sprawiedliwy.

– Wielki mi biznesmen, na kilometr śmierdział oszustem,



pożyczony garniturek jak z egzaminu maturalnego, gdyby oczywiście miał maturę, ale był tylko przebrany, czułem, że skończył edukację w połowie zawodówki, kazałem go sprawdzić, okazało się, że jak zwykle mam rację.

Codziennie opowiadał matce podczas kolacji wydarzenia z firmy. Słuchała zaciękawiona, wpatrując się w niego intensywnie. Oczy jej ciemniały, uważała go za bohatera o wyjątkowej uczciwości, intuicji oraz przenikliwym umyśle. Byli naprawdę wyjątkowo porządnymi ludźmi. Byli też dobrym małżeństwem. Nawet więcej, oni się przez te wszystkie lata kochali. Mimo powtarzalności i nudy, ostrych sporów i walki o iluzję władzy. Chodziło o remonty, wakacje, dokąd pojechać, a nawet o władzę nad pilotem, co oglądać, który kanał jest najlepszy. Była między nimi wielka czułość. Keta widziała, jak na siebie patrzyli, jak ojciec bierze rękę matki, głaszcze ją. Gdy zaczynała cierpieć bóle, bo już dużo wcześniej, przed wylewem, miewała ciężkie migreny, kładł rękę na jej rozpalonym czole, siedział na łóżku, to przynosiło widoczną ulgę. Po śmierci ojca matka, jak się to mówi, zapadła się w sobie. Keta bała się, że nie przetrzyma żałoby, że umrze, zanim się pozbiera, o ile „pozbieranie się” jest możliwe. Nie dla wszystkich żon. Niektóre zachowują się tak, jakby przekroczyły tabu, przestają jeść, nie chcą się leczyć i „idą za mężem”. Znała takie przypadki. Odchodziły jak hinduskie wdowy palone na stosie razem ze zmarłym. Żona z długoletniego związku, pozbawiona kogoś, kto zawsze był obok, czuła wypalenie. Zwłaszcza ta, która nie miała wnuków, podrzucanych jak kukułcze jajo, żeby babcia je wysiadywała. Takim wdowom łatwiej było się pozbierać. Matka Kety nie miała takich obowiązków.

Keta zebrała się szybko, bielizna, sukienka przez głowę, z tyłu był suwak, ale mogła ją włożyć bez rozpinania. Nie potrzebowała do tego mężczyzny: Kochanie, możesz zapiąć? Tak pytały kobiety na filmach. Mężczyzna zaczynał zapinać, gładził gołe plecy, ogarniało go pożądanie i namiętna scena gotowa. A Ketę ogarnął niepokój, już od dawna nie miała takiego rzutu wspomnień. Owszem myślała o rodzicach prawie codziennie, o zmarłym ojcu i chorej matce, ale w inny sposób niż dziś.

\*

Gdy Keta była w liceum, nastąpił wysyp rozwodów. Po latach wymieszanej w jednym kotle, katolicko-socjalistycznej moralności, nastąpiło rozluźnienie obyczajów. Komunizm bardzo surowy w kwestiach obyczajowych, nietolerujący jawnej zdrady, był pod tym względem podobny do katolicyzmu. Pełen hipokryzji. Wszystko uchodziło po cichu. Znana maksyma: „Hipokryzja jest ukłonem grzechu w stronę cnoty” była respektowana przez obie ideologie. Na komórkach partyjnych spowiadano się ze zrad, dostawało się rozgrzeszenie, tak jak w konfesjonale, trzeba było przyrzec poprawę i rzucić seksowaną towarzyszkę. Za pokutę nie odmawiało się zdrowasiek i nie odprawiało nowenny w intencji grzechów odpuszczenia, dostawało się inne partyjne zadanie, pracę społeczną albo trzeba było obserwować uważnie teren, i jeśli zauważyło się coś podejrzanego, należało donieść sekretarzowi. Rodzice Kety nie należeli do partii, matka „nie pracowała”, tak się to wtedy mówiło o kobiecie, która zasuwiała w domu, gotowała, prała, sprzątała. Wychowywała Ketę.

\*

Gdy Związek Radziecki stracił swoją moc i nie mógł już dalej dręczyć dawnej partnerki, dostał zakaz zbliżania się do jej domu, wówczas Polska, po okresie separacji, mogła wreszcie rozwieść się z niekochanym mężem. Odzyskała wolność. Wtedy nagle wszyscy zaczęli uważniej obserwować swoje związki. Zauważali, że nie jest tak, jak miało być, że to strach przed nieznaną przyszłością łączył ludzi. Zaczęto używać terminów takich jak niezgodność charakterów, w towarzystwie przebąkiwano też o kiepskim seksie. A skoro tak, to dlaczego nie zamienić kiepskiego życia na lepsze? Także bite kobiety zaczęły podnosić głowy. Niektóre składały papiery rozwodowe, choć jeszcze nie tak często jak dziś. Księża wciąż opowiadali te straszne baśnie o całości rodziny, która jest ważniejsza niż całość kobiety. Głosili takie rzeczy z ambony, i nadal niektórzy jeszcze je głoszą, że rolą kobiety jest dźwiganie krzyża, bo to się Bogu podoba. Matka Kety z niesmakiem opowiadała, że sama słyszała kazanie, w którym księżulo opowiadał o bohaterskiej kobiecie, którą mąż poturbował, połamał jej kości, a ona mimo to, leżąc w szpitalu, myślała o powrocie do domu. Matka wyszła z mszy, zmieniła kościół, zaczęła chodzić do Świętej Anny, bo tam byli normalni księża.

Tak więc nastał czas rozwodów, kto mógł, rewidował swoje małżeństwo. Dookoła Kety pojawiło się mnóstwo dzieci z „rozbitych rodzin”. Jej koleżanki jeździły od ojca do matki, dostawały od obojga kieszonkowe, a ona wciąż miała pełną rodzinę. Z niby patriarchalnym ojcem – jak myślała, gdy dowiedziała się, czym jest patriarchy, czytała wtedy sporo na ten temat – i zaborczą, nadopiekuńczą matką, która uważała, że ma prawo o córce wiedzieć wszystko. Matczyne wychowanie polegało także na inwigilacji i chęci pełnej kontroli, czytaniu jej listów i pamiętnika. Ojciec wieczorami wpisywał cyfry w rubryki. Kalkulator rozgrzewał się do czerwoności, gdy sumował, dzielił i mnożył, odejmował i naliczał procenty. Ketą

interesował się, gdy trzeba było wydać na nią pieniądze, łożył na utrzymanie, na szkołę, książki, ciuchy. Lubił wiedzieć, na co i ile. Nie żałował, nie starał się ograniczać wydatków na córkę. Lubił ją, nawet kochał na swój bankowy sposób, uczucie procentowało. Miała więc szczęśliwe dzieciństwo i w miarę szczęśliwą młodość, nie na tyle jednak, żeby nie uciec z domu. Jak bardzo kochała ojca, okazało się dopiero, gdy umarł.

\*

Włożyła buty na dość wysokich obcasach. Ostatnie lustrujące spojrzenie w lustro, lustrujące lustro, ale dziś zabawy słowne jej nie śmieszają. Coś musi się dziać. Coś złego. Gęsia skórka na przedramionach, skóra głowy się kurczy, gdy Keta szczotkuje włosy, mózg ma dreszcze. Tak się dzieje, gdy... nie chce myśleć o tych swoich jasnowidzeniach, prorocत्वach. Przestańcie, przestańcie! Proszę! Mówi tak do siebie i do myśli, które ją nachodzą, nieproszone, natrętne jak niezapraszani goście. Teraz kocha matkę jak nigdy wcześniej. Kiedyś jej miłość była bardziej formalna, jasne, że ją kocham, dzieci kochają rodziców, odwzajemniają ich miłość. Tak po prostu jest. Ogólniki. Punkty odniesienia. W momencie gdy zobaczyła matkę leżącą na podłodze, z ciemnymi oczami pełnymi lęku, poczuła, że wypełnia ją nieznana dotąd czułość.

– Czekał, błagam, czekał, błagam nie odchodź, trzymaj się, zaraz przyjedzie pogotowie, czekaj!

Całowała jej dłonie, wiedzioną pierwotnym instynktem dotykała twarzy, dłoni i gładziła ramiona matki. Czekał na pomoc, błagała wciąż głośno, żeby nie odchodziła. Jedna dłoń matki była zupełnie biała i zimna, druga ciemnoczerwona i gorąca. Jej twarz też była podzielona na pół kolorem. To gotowy obraz, przemknęła myśl,

zawstydziała ją. Jedna połowa blada, druga z wypiekami. Gotowy obraz. Wróciły wspomnienia, bała się, że „to”, czego nie chciała nazwać, nastąpi już, za chwilę. I znów wołała teraz w myślach, żeby matka zaczekała, aż Keta do niej przyjdzie i ją uratuje. Nie zamieniaj się w naczynie wypełnione kośćmi i martwymi wnętrznościami, które przestaną być moją matką! Gdy tylko znalazła chwilę, namalowała ten przepołowiony, biało-czerwony portret. Wyglądało to jak kobieta-flaga, chora Polska. Nie o taki reklamowy, patriotyczno-pompatyczny efekt chodziło, wyszło samo, bez intencji autorki. Namalowała drugi. Zmieniła barwy, zepsuła czystość formy. Ktoś chciał kupić ten obraz. Jednak nie sprzedała. Były w nim duże podobieństwo i widoczne, dobrze uchwycone cierpienie matki. Szkicowała, malowała warianty, aż osiągnęła ten efekt, o który chodziło. Obraz widziany naprawdę, wykreowany, uogólniony.

\*

Nic się nie dzieje, to obrazkowa historyjka, nieproszona magia, uważaj, jesteś współczesną kobietą, dlaczego wierzysz w te bzdury, dlaczego wciąż myślisz o tym, co się może zdarzyć? Uważaj, żeby myśli nie zamieniły się w tę, jak ją nazywają, pieprzoną samorealizującą się przepowiednię. Znała te określenia, czytała dużo, interesowała się psychologią, zrobiła nawet dwa lata studiów, zanim przeniosła się na historię sztuki. Nie chce, żeby doszło do tego, o czym pomyślała. Nie, nie. Stoi chwilę w skupieniu, w strzeżonym apartamencie, to дума Grzegorza. Chciał zapewnić jej komfort, którego nie miała w domu rodziców. Komfort życia, o umieraniu się nie mówiło, gdy oglądali budowę. A umieranie w komforcie jest równie ważne, może nawet ważniejsze niż życie

w nim.

Keta zabiera teczkę z rysunkami i wychodzi z mieszkania, zaklina rzeczywistość, niech zostanie tak, jak jest. Niech trwa bez zmian! Wychodzi, winda jest na miejscu, to ich winda. Wsiada. Zjeżdża w dół, czuje, jak razem z windą zjeżdża w dół krtań i żołądek. Zwykle tego nie czuje, dziś to wszystko są zapowiedzi. Zło się rozzuchwaliło, panoszy się, nie odstępuje ani na krok, ociera się o jej nogi, chowa się w kątach windy, a gdy ona wysiada na parterze, ono bezszelestnie wyslizguje się za nią, idzie obok cicho, z nosem przy podłodze, nic już nie mówi, czeka, aż będzie mogło się krzyknąć i ujawnić.

Wielki hol wita lokatorów minimalistycznym chłodem granitu eleganckiego grobowca. W kamiennych donicach egzotyczna roślinność. Okropnie pretensjonalne, mówiła o tym na spotkaniu mieszkańców, ale przegłosowano ją, ludzie pragną sztuki. Sztuka jest sztuczna. Może być pretensjonalna i kiczowata. Dwaj ochroniarze w czarnych strojach patrzą na wszystkich jak na członków Al-Kaidy. Czujni jak brygada antyterrorystyczna. Uprzejmi. Witają ją ukłonem i uśmiechem. Znają ją. Skinęła głową i uśmiechnęła się. Zagadali o pogodzie, że upał. Patrzyli na nią z uważną ufnością. Prawie przyjaźnie. Z uznaniem dla jej kobiecości. Bose stopy w sandałkach. Świeży pedicure, lakier na paznokciach. Lustracja przeszła w rejon damsko-męski, nie miała już nic wspólnego z zagrożeniami.

Ciało Kety jest w porządku, choć właśnie dziś skończyła czterdzieści trzy lata. Piersi niezbyt ciężkie, nie wiszą, ramiona mocne, efekt ćwiczeń. Brzuch tylko lekko wypukły, jednak spróbowała i udało się go wciągnąć. Jedna z dziewczyn w sklepie z ciuchami powtarzała często: Brzuch, pani Keto, to jest to czego, nie daje się wciągnąć. Wzruszyła ramionami, co to jest czterdziestka czy nawet pięćdziesiątka? Dziś to wciąż jeszcze młodość, ciągle rysuje

się rozległa perspektywa, horyzont jeszcze daleko. Niestety, uwierał ją stan matki, nie rozmawiała o tym z nikim, starała się też o tym nie myśleć. Jak widać bez rezultatu. Bała się, że wypowiedziane, choćby w myślach, zdanie o lęku przed śmiercią matki tę śmierć sprowadzi. Nie chciała obciążać Grzegorza, bo wie, że zacznie się martwić o jej stan psychiczny, o wrażliwość, która może nie unieść traumy.

Ciemna chmura wisiała więc ciągle na dalekim horyzoncie. Starala się, żeby nikt się nie domyślał, że choroba matki aż tyle ją kosztuje. Powłoka była posłuszna. Keta wiedziała, że wszyscy ludzie z podobnymi problemami chodzą w skafandrach z cienkiej skóry, z naciągniętymi na twarz miłymi uśmiechami, żeby się wzajemnie nie obarczać cierpieniem. I żeby też od niego odetchnąć. Mówić o czym innym, śmiać się, kopać lęk siedzący przy nodze. To się udawało. Przecież żyjemy! Oczy przestawały uciekać w głąb. Myśli nie drażyły posuwającej się degrengolady, degeneracji, zapaści, postępującego rozpadu. Gdy spotykały kogoś szczęśliwego, stawały się na chwilę szczęśliwe. Cóż takiego? Czy to pierwszy raz teściowa Moniki wysmarowała się gównem, siebie i ścianę! Jest wanna, gorąca woda, dobre mydło, farba w kubie rozrobiona, czeka od ostatniego razu. Wyszoruje się ścianę, położy emulsyjną farbę i żyjemy dalej. Zawiezie Monice numer „TopWoman” ze śmiesznym felietonem Adeli i z własnym rysunkiem. Często pomagała Monice. Teraz niech się Andrzej ze swoją matką pomęczy. Chociaż pewnie już ją oddał do specjalnej przechowalni. Stać go na to. Matka Kety czuje się coraz lepiej, drobne zapaści nic nie znaczą. Córka jest obok, razem jakoś to opanują. Dopiero po powrocie do domu, gdy się okaże, że matka znów upadła, że nastąpił regres, dopiero wtedy będzie się znów przeklinało swój los. Na razie świeci słońce.

## DEPRESJA KOCHANKÓW

– Jesteś w niesamowitej formie, Keta! – powtarza jej mąż, jego znajomi, koledzy, bo przyjaciół chyba nie miał.

Monika także zauważyła zmianę na lepsze w wyglądzie przyjaciółki. Mówili tak teściowie, zwłaszcza teść nie przepuścił żadnej okazji, żeby ją poklepać, niby żartobliwie uszczypnąć w pupę. Ludzie, z którymi współpracowała, też ją komplementowali. Bała się tych pochwał. Brzmiały ostatecznie. Jakby wszyscy chcieli jej to powiedzieć teraz, bo za chwilę jej świetna kondycja się skończy, wejdzie w strefę, w której przestanie się liczyć jako obiekt pożądania.

Wyglądasz fantastycznie, naprawdę!, ostatnio powiedział tak nawet Kacper, który najlepiej znał jej ciało. Wierzyła mu – były kochanek, jedyny mężczyzna, oprócz Grzegorza, do którego miała zaufanie. Bardzo za nim tęskniła. Udało się im osiągnąć mistrzostwo świata w wyjściu z romansu, w przejściu do głębokiej przyjaźni, szczerości wzajemnej, lojalności i czułości. Wiedzieli o sobie rzeczy, które mogłyby zburzyć spokój obu rodzin, jego żony i jej męża. Rozwalić związki. Miłosna przygoda trwała siedem lat. Zaliczyli fazę zwykłego, zdrowego seksu oraz perwersji, aż do spania obok siebie, gadania i śmiechów w łóżku. Także smutku i płaczu Kety. Depresja Kacpra, całkiem niewidoczna dla postronnych, dla



Kety była oczywista. Ludzie znani chronią się przed natręctwem i węszeniem ciekawych, czyhających na słabości tych, którym się powiodło. Kacper był znany, należał do wygranych. W potocznym rozumieniu. Znany, bogaty, poważany w świecie, jego książki tłumaczono na dziesiątki języków. Wydawcy proponowali mu coraz wyższe honoraria. Dla większości taki sukces był nieosiągalny, sądzili, że gdyby mieli takie osiągnięcia, byłiby zaspokojeni i pijani szczęściem. A on mniej więcej co dwa lata wpadał w czarną dziurę. Chodził do psychiatry, brał leki, nie pił, nie ćpał. Leczył się kobietami. To było jego hobby. Zaliczał je z rodzajem czułości, jak kolekcjoner, dla którego ostatnia zdobycz jest najcenniejsza. Do czasu następnej aukcji. Mógł zapłacić wiele, żeby zyskać drogocenny bibelot. Gdy był w depresji, to nie skutkowało. Nie miał, jak inni w jego środowisku, psychoanalityka. To było modne, on nie miał nawet terapeuty. Nie chodził na jogę. Tkwił po uszy w ponurym świecie, uważał, że jedynie Keta go rozumie. Czują tak samo jak on nagłą mialkość pożerającą radość, zadowolenie, sukces. Gdy zaproponowano jej wystawę w NY, po szczęściu, które ją obezwładniło, przeżyła największą zapaść w życiu. Nie rozumiała dlaczego. Nic wtedy nie przynosiło ulgi, gdyby nie Kacper... Grzegorz o tym nie wiedział, nie chciała go obciążać, on tego nie pojmował. Taka była różnica w kontakcie między mężem a kochankiem. W czasie trudnym najbardziej potrzebowała bliskości z Kacprem. I nie był to seks. On o swoich dołach mówił zawsze, dopiero gdy wygramolił się z czarnej galarety. Kiedyś powiedział, że bycie z Ketą uratowało go przed samobójstwem. Ze sobą byli zawsze szczerzy. Tylko we dwoje. Ona czuła to samo. Dziwne, że tego, co nim cyklicznie miotalo, nie widzieli i nie dostrzegali nawet najbliżsi. Depresja potrafi się kamuflować. Do czasu. Nie ma zapachu krwi ani potu. Chociaż podobno ostatnio przeprowadzono badania, które wykryły, że psy wyczuwają depresję. To było jak rodzaj menstruacji,

czarna, gęsta krew płynęła z mózgu, zatykała możliwość oddychania światem. Nie przynosiła oczyszczenia, jakie dawało pozbycie się krwi menstruacyjnej. Dobra, łagodna i piękna żona Kacpra była przekonana, że on jest najszcześliwszym człowiekiem chodzącym po mieście, że ona ma w tym swój udział. Nie była to prawda, on chciał wolności. Nie lubił więzów. Męczył się w małżeństwie. Nie mógł się rozwieść, szanował żonę, chciał mieć dzieci obok siebie, syna i córkę. Ciągłe wyjeżdżał, w końcu wynajął małe studio, żeby mieć warunki do pracy. Keta siedziała obok niego w gnieździe uwitym z kłamstw, półprawd albo tylko milczenia, bo przecież nikt nie wiedział, co ciągle ich łączy, a więc nie było pytań. Wiedziała, że ten rodzaj porozumienia jest groźniejszy niż zdrada i ostry seks. Przy niej otwierał się, chlustał samobójczymi myślami, leżał na kanapce jak u psychoanalityka, tyle że zwykle u profesjonalisty nie ma bliskości, on lub ona siedzi w skórzanym fotelu, w oddaleniu, na ogół z tyłu, za głową pacjenta, i coś notuje. Mało mówi, słucha, czasami zadaje pytanie, a na pożegnanie daje ewentualnie zadanie do wykonania do następnej wizyty.

Nie trzyma się głowy na kolanach terapeutki. A tak zwykle wyglądały seanse z Kacprem. Kładł się na kanapie obitej ciemną skórą, ciężką głowę składał na udach siedzącej Kety, zamykał oczy. Oddalał się. Nie spał. Przebierała palcami w jego już nie tak gęstych jak kiedyś włosach, mamrotała coś, zaklinała los, przeklinała, żeby się oczyścić z rozpacz, bo czuła, że to, co niewypowiedziane staje się groźne. Znała przecież ten stan, nie taki sam, ale podobny, choć przebieg był inny. Gdy Keta wpadała w swoją pętlę, czuła, jak zaciska się dookoła jej szyi. Traciła oddech, nie mogła mówić o tej wewnętrznej pięści ściskającej żołądek jak cytrynę, żeby wycisnąć cały sok. Wątroba przemieszczała się w górę, wyżej, do gardła. Czasami, gdy to minęło, śmiali się z tego, co ich teraz łączy. Wnętrznosci! Kiedyś dawniej, gdy się kochali, było łatwiej. Chociaż,

gdy jedno albo drugie wpadało w taki stan, Kacper był do bólu szczery: Dziś o pierdoleniu nie ma mowy, mówił. Keta też w czasie swojej zapaści odsuwała go delikatnie. Stanowczo. Ostro było przed depresją i po niej. Depresji należał się szacunek. Trochę szmerania po głowie, można pogłaskać po ramionach, dmuchnąć we włosy, wodzić palcem po zamkniętych powiekach. To było dozwolone, a nawet pożądane. W odróżnieniu od ściskania, gwałtownych pieszczot, dotykania jej piersi albo jego kutasa. To byłby gwałt. Czekali razem, aż skończy się pustka i pojawią się pierwsze krople bliskości, zwiastuny odwrotu od wciągającego bagna. Mieli cierpliwość, wiedzieli, że przeczekają razem, dotrwają do odzyskania formy. Będą znów oddychali świeżym powietrzem, będą wybuchali głośnym śmiechem, którego nie da się powstrzymać. Przystawali wierzyć w możliwość śmiechu, gdy zapadali się w deprechę. Pytanie, jak długo jeszcze? Nie wiedzieli, ile się wytrzyma, póki mają siebie od czasu do czasu, w miarę potrzeby, będzie okej, a potem się zobaczy. Kacper mówił: Albo się zobaczy, albo się nic nie zobaczy.

Może właśnie dlatego łatwiej było ukryć przed rodzinami czarną dziurę, w jaką oboje wpadali, że mieli tę własną bezludną wyspę. Gdy spotykali się w mieszkaniu, do którego tylko oni mieli klucze, Keta czuła się, jakby przebywali na bezludnej wyspie. Nie jednej z tych, które można kupić, gdy jest się wystarczająco bogatym. Wyspy najbogatszych ludzi musiały być strzeżone przez ochronę, żołnierzy, komandosów, snajperów i tak dalej. Ich wyspa należała tylko do nich, tu czekali na ratunek. A leżała zaledwie kilka przecznic od ich domów. On wrywał wspólny czas z rodzinnej puli. Na szczęście jego dzieci były już dorosłe, a żona, jako kobieta biznesu, często wyjeżdżała za granicę. Keta uciekała z domu od matki, bo na początku tej znajomości była zatwardziałą singielką świeżo po studiach, on był od zawsze żonaty. Nie ukrywała, że szuka

męża, chciała mieć dom i rodzinę.

– Nie, nigdy za ciebie nie wyjdę. Nie i nie – powiedziała, gdy Kacper się jej oświadczył, powiedział, że się dla niej rozwiedzie.

– Nie, nie łudź się, nie zmienię zdania – upierała się, gdy ponowił propozycję.

– Dzieci są już dorosłe, moja żona stoi mocno na własnych nogach.

– Chcesz wszystko zepsuć?! Wszystko to, co mamy! Co jest piękne?

– Jak to zepsuć? Ja chcę wyprostować nasze życie – tłumaczył.

– Nie rozumiesz? Gdybyśmy byli razem, razem dzień w dzień, noc w noc, nic by z nas nie zostało! Ja nie chcę wyjść za mąż za ciebie! Poznałam kogoś odpowiedniego. Zaczynam go kochać.

Obraził się wtedy, odzywał półgębkiem, pokazywał wyciągniętą smutkiem twarz, wzruszał ramionami. Nie trwało to jednak długo. Trochę dłużej trwało wygaszanie seksu w tym ognisku. Jeszcze od czasu do czasu strzelał wysoki płomień. Częściej pragnął Kacper, rzadziej Keta. Wreszcie trzeba było zalać ogień, skończyć z seksem, zanim wszystko się wypaliło i zamieniło w popiół. Natalia, jego córka, dorosła w czasie trwania romansu, skończyła liceum i studia, syn Maciek studiował prawo. Oboje chętnie uciekli spod kwoczych skrzydeł matki i koguciego ojca. Jeśli chodzi o Natalię, Kacper pilnował jej jak cerber. Bał się, że wpadnie w sidła zastawione przez podobnego do niego, starszawego playboya lubiącego młode dziewczyny, który tak jak on sądzi, że można zarazić się młodością jak szkarlatyną, leżąc z chorą w łóżku. Tak Kacper sycił się kiedyś młodością Kety. Gdy przestała chodzić z nim do łóżka, wciąż znajdował nowe dziewczyny.

– Jesteś w świetnej formie. Niesamowite! – powiedział Kacper, gdy spotkali się jak zwykle w piątek na obiedzie.

– Owszem, kurwa, masz rację, jestem w formie i tak się czuję, wtłoczona w krępującą ruchy, gipsową formę fantastycznej kobiety. Mam udane małżeństwo, zawodowy sukces, do tego opiekuję się chorą matką, którą naprawdę kocham, ale czuję się zmęczona, nuży mnie też rola cudownej żony wspaniałego męża. Dziś potrzebuję od ciebie pomocy, mam urodziny, o których wołałabym nie pamiętać.

– Daj spokój, jesteś jeszcze młoda. – Kacper ją przytulił.

– Jeszcze? Jak długo jeszcze? – spytała, grzejąc się w ciepłe mocnego uścisku.

– Będiesz zawsze młodsza ode mnie, pomyśl, przynajmniej to się nigdy nie zmieni.

Gładził jej włosy, dotykał ustami policzka. Chciała odsunąć się od niego, a jednak wtulała się bardziej i bardziej.

## MAŁŻEŃSTWO KETY

Grzegorz był „świetną partią”, jak nieco staroświecko określała to jej matka. Nawet się dziwiła, że „znany, wielki biznesmen” chciał się ożenić z artystką. Widziała urodę córki, uważała jednak, że Keta jest arogancka, zbyt samodzielna i nie nadaje się na żonę znanego biznesmena. Miała wyobrażenie przedwojennej kupcowej, pokutujące ciągle w socjalistycznym kraju, i później, bo po odzyskaniu wolności i zmianie ustroju także niewiele się zmieniło w tym względzie. A jeśli już to na gorsze, bo dawniej, jeszcze przed wojną, bogaty był szanowany. Później pogardzany. Teraz zazdroszczą mu i uważają za złodzieja.

– Nie doceniasz szczęścia, które cię spotkało – powiedziała matka, gdy doszło do sfinalizowania związku, zakończonego tradycyjnym ślubem.

– A może to ty nie doceniasz szczęścia, jakie spotkało Grzegorza? Mieć młodą, niezależną kobietę, którą można się chwalić w towarzystwie, to też chyba coś warte? – odpowiedziała Keta ze złością.

Matka szybko skończyła zdanie i zmieniła temat. Według niej różnica wieku, a było to dziesięć lat, dobrze rokowała. Chyba „wielki biznesmen” naprawdę zakochał się w jej córce i chce się z nią zestarzyć. Do trzech razy sztuka, powiedziała do siebie, tylko

pozornie bez sensu. Keta została trzecią panią Grzegorzową. Pierwszą była dziewczyna, z którą był na roku, razem uczyli się do egzaminów, wyjeżdżali na wakacje, obie rodziny należały do tego samego kręgu bogatych ludzi prowadzących wielkie biznesy. Powołanie do zawodu przechodziło z pokolenia na pokolenie. Z pierwszą żoną miał dwie córki. Żona druga była jego studentką, gdy jeszcze wykładał ekonomię. Zawsze siadała w pierwszym rzędzie na wykładach, które prowadził na piątym roku. Wpatrywała się w niego jasnymi niebieskimi oczami, potakiwała, kiwając głową i pilnie notowała wszystko, o czym mówił. Nosila niedopięte bluzki i zawsze rozchyłała uda, widoczne wysoko w krótkiej spódnicy. Rozpraszała go tak, że musiał sięgać do notatek, gubił wątek, zastanawiając się, czy nosi majtki, czy też wzoruje się na słynnej aktorce, nie pamiętał jej nazwiska ani tytułu filmu, tylko ubraną na białą kobietę w zadartej sukience, przesłuchiwaną przez kilku policjantów. W końcu rozwiedli się z powodu „niedopasowania charakterów”, gdy przestała go pociągać i nie stawał mu już na widok jej obnażonych piersi i rozłożonych ud. Kupił dziewczynie mieszkanie i założył konto.

Gdy poznał Ketę, odbiło mu, zakochał się jak licealista. Tak mówił.

– Chów wsobny – powiedziała matce Keta, gdy poznała ojca Grzegorza, właściciela wielkiej firmy przewozowej, oraz matkę, miłośniczkę wyścigów konnych i „designu”.

Obracali się w towarzystwie ludzi podobnych do siebie, wzorowali się na angielskiej arystokracji. Ich dzieci żeniły się między sobą, były swatane, nie buntowały się, kute na cztery nogi, rozumiały, że to przyniesie odpowiednie frukta. Zresztą rodziny były wyrozumiałe, przymykały oczy na „złe prowadzenie się”. Matki wiedziały, że „chłopcy muszą się wyszumieć”, dziewczęta również powinny nauczyć się technik, żeby umieć przytrzymać męża w domu. To, co

się działo przed ślubem, było zachowywane w tajemnicy. Keta podejrzewała, że matki prowadziły córki do chirurga, żeby przyszyć błonę, jeśli rodzina narzeczonego była ortodoksyjnie katolicka. Bywało nawet, że dziewczyna rodziła dziecko, oddawane zaprzyjaźnionym siostronom zakonnym na wychowanie. Potem już uskrzydłona, oswobodzona, cała w bieli, z mgiełką długiego welonu, płynęła do ołtarza jak łabędzica, prowadzona przez ojca. A kolorowe magazyny zachłystywały się bogactwem i ślubem w kościele z procesją biskupów. Z nobliwymi rodzicami i bezgrzeszną parą młodą. Grzegorz opowiadał Kecie ze śmiechem o tych przypadkach. Nie oburzał się, rozumiał stojące za tym racje. O przedślubnym dziecięciu z kimś innym niż pan młody wiedział tylko zakłęty krąg, który Keta nazywała przeklętym kręgiem. Taki news nie przedzierał się do mediów przez cielesny i duchowy mur, jaki stanowili jego członkowie. Wszyscy mieli interes w zachowaniu tajemnicy. Potrzebowali siebie nawzajem. Nikt nie był bez grzechu. Chodziło o to, by grzechy kisiły się w środku, nie opuszczały środowiska. Keta była akceptowana jako żona Grzegorza, artystka, wzięta malarka, i jako osoba znana z mediów. Trochę bano się tam jej złośliwości, więc mało kto odważył się ją zaczepiać.

Teraz, gdy słuchała zachwyty nad własnym wyglądem, ogarniał ją lęk. Jest zbyt dobrze, to musi pęknąć, takie pianie na temat urody nie wróży nic dobrego, myślała. Starła się bagatelizować pochwały. Powstrzymywała je, machając ręką, dajcie spokój, po prostu jestem syta i wyspana. Nikt jej nie dawał czterdziestki. Jasne brwi, jasne oczy z wielkimi, ciemnymi źrenicami. Mokre włosy wydawały się ciemniejsze, wyglądały jak zmoczona słoma. Wysuszone były jaśniejsze. Z trudem je rozczesywała.

– Teraz oboje lecimy już z górki, to połówka – powiedział Grzegorz, składając jej życzenia urodzinowe. Jego głos przy tym lekko zazgrzytał.



Była od niego młodsza! Teraz odczuwał coś na kształt satysfakcji, zupełnie jakby różnica wieku między nimi się zmniejszyła. Ciągłe tworzyli „wspaniałe dobraną parę”, ale było to eleganckie opakowanie „na wynos”. Rozmawiali ze sobą ostatnio inaczej, trochę jak wspólnicy prowadzący firmę, która wymaga wiele uwagi. Trzeba kupować wciąż nowe rzeczy, coś naprawiać, ulepszać, zatrudniać pracowników, bo przecież ktoś musiał na serio zajmować się tym interesem. Oboje pracowali poza domem. Od razu po ślubie on chciał mieć dzieci. Keta nie była jeszcze gotowa. Sądziła, że to przyjdzie z czasem, spłynie na nią, tak jak na jej znajome, które zaglądały w wózki, a widząc kobietę w ciąży, czuły ssanie, pustkę wymagającą cielesnego wypełnienia. Mówiły o tym tak często, że zaczynało to ją uwierać. Ona tego nie czuła.

\*

Tęskniła za Kacprem. Chciała rozmawiać z nim o matce, o przebudzonej miłości i swoich lękach. Zwykle to on telefonował, jednak dziś ona kliknęła numer. Odezwał się natychmiast. Mieli swoje tajemnicze kody, na wypadek gdyby rozmowa zaskoczyła ich w łóżku z drugą połową albo choćby przy stole. Kacper był sam. Mogli spotkać się za kwadrans na bezludnej wyspie.

## SOLIDARNOŚĆ KOBIECA?

Ewita cieszyła się ze znajomości z Adelą i Ketą. Mogły rozmawiać o wszystkim, rozumiały się, a co ważniejsze, miały do siebie zaufanie, którego deficyt Ewita odczuwała z ludźmi z branży.

– Wiele mogą pieprzyć o kobiecej solidarności. Wiem, że jeśli kogoś zwerbuję do redakcji, ma u konkurencji wilczy bilet. Chyba że uda się go podkupić i podłapać nasze pomysły na kolejny sezon. Wtedy będzie chodził po mieście i nas opluwał – mówiła do Adeli po powrocie z Nowego Jorku.

– To jest jak zmiana wiary. Inna religia wymaga wkupienia się, demonstracji wiary. Nie możesz liczyć na niczyją solidarność, to stan wojennej wrogości, gotowości do walki, wymuszone zawieszenie broni. – Adela wyczuwała, o czym mówi Ewita.

– Mogę się kolegować z ludźmi z tygodników opinii, mogę ich u siebie lansować, konkurencja robi to samo, ale Boże broń, nie wolno sięgnąć po nikogo z branży prasy kobiecej.

Na początku starała się to przełamać. Zaszkoziła kilku osobom. Solidarności zawsze pragnęła bardziej niż inni, bo nie miała rodzeństwa, nie mogła też oczekiwać jej od matki, która długo była przeciwko niej jak konkurencja. Tak działo się do czasu, aż córka mocno stanęła na nogi i zaczęła jej płacić. Akceptacja, czyli względny spokój, za pieniądze. Dzięki samotności, jaką odczuwała

przez chłód matki, a także po śmierci Bartka, Ewita wcześniej stała się Samodzielną, Bezwzględną Suką. Czuła zazdrość, gdy spotykała matki i córki, które żyły w głębokiej przyjaźni i czułości. Także długoletnie małżeństwa, takie jak Adeli, choć tam było sporo zgrzytów, ale sposób, w jaki na siebie patrzyli, w jaki Adela mówiła o Dominiku, a Dominik o Adeli, świadczył o bliskości. Myślała, że znajdzie tę czułość i bliskość w seksie. Tego problemu Bechstein jeszcze nie rozwiązał. Zdarzały jej się rozpaczliwe zrywy, sucza chuć, o której rozmawiała dotąd tylko z doktorem. Takie napady miewała rzadko, przybierały formę kataklizmu.

To była jej osobista trąba powietrzna. Nie było mowy o czułości, bo od razu „po” uciekała, nie miała ochoty leżeć obok obcego faceta. Czy gdyby wychowywała swoje dziecko, znalazłaby inny rodzaj czułości, który zastępuje wszystko? Bliskość? Czułość? Wątpiła w to. Nie znalazła w sobie siły, żeby sprostać wyzwaniu wtedy, gdy była okazja. A teraz równie mocno pragnęła być przytulany dzieckiem. Kobieta po czterdziestce? Przecież to śmieszna niedojrzałość, myślała. Zadawnione pragnienia, niespełnione, obumarłe tęsknoty. Dotąd źle osądzała matkę, sądziła, że ta przypisuje jej jakies mordercze geny, po ojcu. Teraz patrzyła na nią w nowy sposób.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Pan Szot, nieznany mi tatko, zachował się niechlubnie, stłenił się, zanim matka wróciła ze mną z kliniki, chyba nawet mnie nie widział. Chociaż jak ją znam, wcześniej dała mu popalić. O alimentach się nie mówiło. Spokojnie, doktorze Bechstein, ja mimo tych łkań za miłością nie zostawiłam matki sam na sam z głodową emeryturą na niełasce losu, utrzymuję ją na ponadprzeciętnym poziomie. Właśnie finansuję jej kolejną plastykę. Sama nie liftinguję sobie niczego, nie darowałabym sobie żadnej zmiany w twarzy, nawet utraty głębokiej bruzdy na czole. Teraz mówi się, że to jak wizyta u dentysty. Lepszy wygląd wart świeczki. Przywiązanie do zmarszczek na czole i nad ustami to u mnie rodzaj pychy. Tego paskudnego „ja”. To jestem ja! Niech więc ona się cieszy, podciągnie, wstrzyknie sobie coś tu i ówdzie, odessie tłuszcz z brzucha, piersi już jej zafundowałam. Pojechała do kliniki, chce się całkowicie wyremontować, a w tym czasie ekipa odnawia jej mieszkanie. To niespodzianka. Postanowiłam dawać jej więcej ciepła, myślę, że dobrze zrozumiałam, o co panu chodzi. Aby dotarło do niej, że o niej myślę.

Czy powinnam się ujawnić? Czy ja to powiedziałam? Doktorze Bechstein! Powiem panu coś, o czym ciągle myślę, choć o tym nie mówię. Nikt nie wie. Panu także nie mówiłam. News zepchnięty do piwnic, zimował tam jak ziemniaki u Marianny w Świąćmierzu. Teraz wykiełkowały. Sytuacja się zmieniła. Widzę, że idealizuję dziecko, stało się dla mnie symbolem miłości. Małe dziecko. Na Wyspach Szczęśliwych malec nigdy nie urośnie. Jednym słowem, utopia. A mój jest już dorosły, chcąc nie chcąc, powieliłam błąd swojej matki. Ja jestem jej błędem, ale ona mnie nie oddała, może nie było komu? Znam swoją matkę. Wszystko się nagle zmieniło. Śmierć wiele zmienia w życiu. Może teraz Marianna powie mi wreszcie całą prawdę. Mydlane seriale znajdują czasami oparcie w prawdziwym życiu. Prawda odbiera im banalność. Da mi pan coś jeszcze? Lek czy radę? Sądzi pan, że powinnam nawiązać kontakt? Trochę się boję, że przekażę mu zbyt wiele bagażu, swoje problemy psychiczne. Bartosz może mnie znienawidzić, zanim mnie pozna. Proszę powiedzieć, co pan sądzi, a ja i tak zrobię swoje. Za chwilę się zbiorę i pojedę na lotnisko. Dziękuję, doktorze, jest lepiej, czuję się, jakbym zrzuciła ze trzy zbędne kilogramy.

\*

Ile czasu minęło? Prawie miesiąc od ostatniej wizyty. Patrzy pan wyczekująco, jest pan ciekaw, czy już byłam w Świąćmierzu i dowiedziałam się czegoś? Kim jest teraz Bartek, bo takie imię dostał na chrzcie, Marianna tego dopilnowała. Stało się coś dobrego, jednak pomógł mi pan, bo od ostatniego seansu na kozetce ciągle o tym myślę, nie boję się, rozważam różne ewentualności. To mi pomogło przetrwać, nazwijmy to po imieniu, jak mówił doktor Freud, nie unikajmy tego pojęcia, no więc przetrwałam

w pewnym stopniu popęd śmierci. Przewyciężyła go moja ciekawość. Chcę się pozbierać. Dlatego znów tu jestem i leżę na wytartej przez bogatych nieudaczników kanapce, płacę pięćset doliczono za godzinę. A tak na marginesie, mógłby pan ją na nowo obić skórą? Chyba że zszarzała skóra ma pokazać, że przychodzi tu mnóstwo czubków. Popatrz, człowieku, nie tylko ty świrujesz, zobacz, ilu świrów musiało tu leżeć przed tobą. Śmieje się pan? Nareszcie, pierwszy raz od czasu, gdy się poznaliśmy! Ma pan rację, doktorze Bechstein, ma pan poczucie humoru! Rozumiem, o co chodzi, sorry, widzę to po pana minie: Hola, hola, od analizy jestem tu ja, myśli pan. Nic, nic, tyle że to właśnie ta kanapka znalazła się w polu mojego widzenia, gdy weszłam tu po raz pierwszy, ale wtedy nie miałam odwagi poruszyć tego tematu. Cały gabinet odpicowany, fotele Corbusiera, w dobrym, solidnym stylu, stolik dość tradycyjny, mocno stoi na metalowych nogach, szyba gruba jak w oceanarium i tylko ta skóra jak z demobilu, nie wiem, czy inni też to widzą, czy o tym mówią, czy widzą, ale milczą. Przylatuję tu, i staram się regularnie przychodzić na wizyty. Nie chcę, żeby moi ludzie zastanawiali się, na co cierpi taka Bogata Suka jak ja, bo u nas, doktorze, bogaty ma przejebane, nic nie usprawiedliwia zamożności. Zamiast robić coś, żeby mieć kasę, wzbogacić się, oczywiście jeśli się jej pragnie, duszą się złością z powodu cudzego bogactwa. Mało jest tych, którym zależy na czym innym. Znam parę osób. Nie chcę, żeby szeptali po kątach, że jestem psycholką. To by zaszkodziło firmie. Są takie dni, gdy czuję strach. Otacza mnie, osacza zewsząd. Po powrocie do domu leżę z głową nakrytą kołdrą. Boję się wyjść z domu. Nie tego, że ktoś mnie napadnie i zabije, boję się ulic, domów, które, gdy idę ulicą, wyginają się i zamykają nade mną, mimo że nie ćпам jak Igor, albo wałą się mi na łeb. To było dziwne uczucie, gdy opowiadał o tych domach, czułam się, jakby zabrał mi mój sen. Zасыpiam za pomocą prochów, biorę już po kilka

sztuk, na razie jednak nigdy tyle, by się nie obudzić. Mam wyznaczone granice. Jak długo będą aktualne? Mówiłam już, że rozmowa z panem jest mi potrzebna, bardziej niż psychotropy. Później przy zadaniach domowych, jakie pan mi daje, próbuję wydobyć z siebie to, czego się boję, chcę mówić właśnie do pana, tak jak u siebie z nikim nie rozmawiam. Mój angielski jest chyba niezły? Studiowałam w Londynie. Potem dwa lata w NY. Chwalili mój akcent. Rozumie pan, doktorze, co mówię, prawda? OK. Uważałam się za Siłaczkę. U nas o Siłaczkach czyta się już w podstawówce. To damski odpowiednik waszego Supermena. W fartuchu z niebieskiego materiału albo biednej kiece z lumpeksu szybuje nad miastem, żeby zdobyć jedzenie dla trójki dzieciaków, żeby ochronić je przed dilerami stojącymi pod szkołą. Nie ma ich ojca, pracuje na czarno, nie płaci alimentów, kryty przez swojego szefa. U was tak się nie robi. Nie tak nagminnie. Siłaczka musi sama dać sobie radę. Ja jestem Superwoman w ciuchach od Michaela Korsaa, Donny Karan czy Stelli. Taka Wredna Suka poradzi sobie ze wszystkim. Silna, silna, silna. Twarda, twarda, twarda. Tak o mnie mówią. Te dwa przymiotniki najlepiej mnie określają. Silna, Twarda Suka. Sama już w to uwierzyłam. Myślałam, że to cecha dana mi na wejściu, niezwykły gen. Aż tu, jak pan wie, pewnej weekendowej soboty ogarnęło mnie pragnienie na granicy szaleństwa. Coś mnie popychało, żeby to zrobić. Bez żadnych słów, nie słyszałam żadnych głosów, to nie był obraz, nie było postaci, twarzy, oka. Nie wiem, czy to działo się na zewnątrz, czy w środku, coś mi kazało tam podejść. Wejść i stanąć na tym parapecie. Miałam niepojętą zapaść, nie znałam dotąd takiego stanu, chociaż miewam momenty, godziny, dni wycofania. Zamykałam się gdzieś, w pokoju bez sprzętów, bez wygod, bez ludzi... Wtedy zostawiałam firmę za sobą, mówiłam, że muszę wyjechać i jechałam w pewne znane sobie miejsce, a oni w redakcji myśleli, że jadę na którąś z tych wysp dla

bogaty. Nie wiedzą, że wyjeżdżam do Świąćmierza, na znajomą dziką wieś, do Marianny, która słyszy głosy, męski i kobiecy, codziennie rano mówią jej, co powinna zrobić. Ma dwa nieśmiertelne koty, te same od czterdziestu lat, a przecież obie wiemy, że to niemożliwe. Dom jest murowany, z czerwonej cegły, chyba dziewiętnastowieczny, część zrujnowana, ale dało się tam mieszkać. Mieliśmy pokój z małym zakratowanym oknem, gdy byłam z Bartkiem, moim pierwszym chłopakiem. Już pan o nim dużo wie. Pomogłam jej wyremontować dom. Jeżdżę wspominać miłość i seks, kolejność dowolna, nie potrafię tego rozróżnić, było nierozdzielne. Tam byłam szczęśliwa. Naprawdę, doktorze. Umiałam się cieszyć, umiałam kochać, całym ciałem, umiałam pragnąć, brać i dawać. Bartek był niewiele starszy ode mnie, mieliśmy po kilkanaście lat, gdy to się stało. Byliśmy ze sobą długo. Tak mi się wydawało, w tamtym czasie pierwsze miłości kończyły się po miesiącu, a my trwaliśmy w mocnym związku przez dwa lata. Nagle zaczęło się z nim dziać coś niepojętego. Zmiany, jakie zachodziły, były przerażające, jego skóra stała się przezroczyta. Młody, silny chłopak wysychał, zasuszał się jak staruszek. Wylądował w szpitalu. Przeszczepili mu szpik, nie pomogło. Byłam przy nim i z nim do końca, umierał długo, oddalał się, odchodził, przytomniał, wracał. Wiele razy myślałam, że to już, ale widać, miał siłę młodości, która nie chciała odejść. Był zbyt silny, żeby umrzeć, zbyt słaby, żeby żyć i wyzdrowieć. Wisiał między dwiema możliwościami, a ja wisiałam razem z nim. Zabrałam go na święta do Świąćmierza, tam, gdzie spędzaliśmy razem wakacje i kochaliśmy się po raz pierwszy. Ogrzewałam mu stygnące dłonie, całowałam je, chuchałam, mówił, że gdy go dotykam, czuje ciepło, że ból odchodzi, że mam jakieś uzdrawiające moce. Nie, nie wierzyłam, to była, doktorze Bechstein, zwykła miłość Sentymentalnej Suki. Zaślepiła go. Mnie także. Cierpiał tak bardzo, że musieliśmy wrócić



do szpitala.

Codziennie siedziałam przy nim. Zasypiałam, trzymając go za rękę. Umarł przy mnie, a ja trochę umarłam z nim. Wiary w Boga już nie miałam, może gdyby udało się go ocalić, może bym znów uwierzyła, bo prowadziłam ze Stwórcą takie targi, ty oddasz mi Bartka, a ja za to zrobię to i tamto, albo nie zrobię tego czy owego. Byłam młoda i głupia. Stwórca nie reagował. Rozumie pan teraz lepiej, dlaczego mimo upływu lat ciągle nie potrafię kochać? Z jednej strony żałowałam, że oddałam to dziecko, że nie mogłam podmienić uczuć. Marianna powiedziała mi, że to chłopiec. Nie mam tego dziecka. Dostał normalną rodzinę. Z drugiej strony cieszyłam się rozpaczliwie, że jestem sama. Bałam się, że dziecko miało geny białaczki. Nie wskrobałam się, nie dlatego że jestem przeciw, bo uważam, że każda kobieta może decydować, jednak ja – jak pan już wie, doktorze Bechstein – jestem w dziwny sposób zarozumiała, uważam, że co moje, co ze mnie to świętość, więc nie zrobiłam tego z pychy. Później jak ognia unikałam chorób. Nie chciałam mieć nic wspólnego z chorobą. Żadną. Ani swoją, ani cudzą. Nie, nie zapomniałam, co mówiłam. Pamiętam. To dziecko było i go nie było. Gdzieś jest. Wróciłam do świata sprzed Bartka, rozpoczęłam robienie kariery. Skończyłam studia. Trochę spóźnione. Wyjechałam za granicę, po powrocie byłam już innym człowiekiem.

## W ŚWIĘĆMIERZU

W Święćmierzu Ewita spotykała się z Marianną i jej nieśmiertelnymi kotami. Kiedyś Marianna wyznała jej ze śmiechem, że starszy kot, ten rudawy, jest jej dzieckiem, ma włosy i imię po ojcu, urodziła go, przegryzła pępowinę i wychowuje. Żartowała w taki sposób.

– Widzisz, on wszystko rozumie! – mówiła do Ewity. – Leonek, Leonek!

Kot przybiegł natychmiast, ocierał się o jej nogi. Drugiego wzięła, żeby Leonek miał się z kim bawić. Traktowała swoje koty jak wolnych ludzi. Psów nie szanowała, bo dały się przywiązać do budy. Ewita się z nią zgadzała. Sama najbardziej lubiła ptaki.

Ludzie ze wsi uważali, że Marianna oszalała, gdy umarło jej dziecko, które miała nie wiadomo z kim, podobno z Leonem, rudym elektrykiem, pijakiem, który u niej zakładał prąd. Gmina postanowiła wreszcie zelektryfikować ostatni dom we wsi. Wstyd, że dotąd tego nie zrobili.

– Chyba nie mogło dojść do tego na trzeźwo? – pytali złośliwi, jakby Marianna nie była w pełni kobietą.

Urodził się wcześniak, zanim dojechało pogotowie, było po wszystkim. Zakopała trupka w ogrodzie za domem i posadziła na grobie wierzbę. Olbrzymia wierzba, góruje nad Święćmierzem.

Ewita załatwiała dla Marianny kasę z Unii, należało się jej trochę grosza, obsiewa i zbiera więcej niż inni. Nasłuchiwała się wtedy różnych dziwnych historii.

Budziła się, gdy przez małe okno wpadało pierwsze słońce. Potem wychodziła do lasu. Zostawiała na drzewach wstążki, żeby nie zabłądzić. Nie spotkała w lesie nigdy nikogo. Spędzała w Świąćmierzu cztery, pięć dni, czasami tygodnie. W końcu była pod telefonem, Internet tu działał, nie było problemu z zarządzaniem.

– Wszystko jest pod kontrolą – mówiła do Marianny, załatwiając sprawy, pytała, co jest zrobione, wytyczała dalsze plany.

Jadła chleb upieczony w piecu na jej cześć, stare ziemniaki przechowywane w piwnicy albo ukopane, jeśli była akurat pora na młode, okraszone słoniną. Piła mleko od kozy, razem z nieśmiertelnymi kotami. Leonkiem i tym drugim, bez imienia. Woła się na niego: Kocie! Chciała nazwać go Bartek, nie chwyciło, kot nie reagował. Spojrzał na Ewitę przecinkami źrenic, wzruszył kocimi ramionami, miauknął cicho i smyrgnął do lasu. Gdy wrócił, unikał jej, naląła mu mleka do miski, nawet nie podniósł łebka. Pomagała przy robotach, ozdabiała dom. Uszyła dla Marianny fartuchy z długimi rękawami. Przywoziła materiały kupowane specjalnie dla niej, szyla z nich także bluzki i długie czarne spódnice w kwiatki, bo takie Marianna nosiła. Podobne do tej w białe piórka, z którą wiążą się ważne wspomnienia, wkłada ją zawsze, gdy dzieje się coś ważnego. Za którymś przyjazdem przywiozła jej telewizor. Był nieduży, spodobał się Mariannie.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Marianna Skiba, moja druga, przyszywana, wiejska matka. Zastępcza? Prawdziwsza niż biologiczna. Pierzemy razem powłoki, firanki, robione przez nią na szydełku z nici, które ode mnie dostaje. Nie wiem, jak to się dzieje, że uważam Mariannę za okaz zdrowia psychicznego. Może nie okaz, ale za zdrowszą psychicznie niż ludzie, którzy mnie otaczają. Po spotkaniu z nią, po tych robotach i wspomnianiu Bartka, wracam odświeżona do Warszawy, już jako ta Wredna Suka, w dobrej formie. Nigdy wcześniej nie doszło jednak do czegoś takiego jak w tamtą sobotę, o której pan wie. Nie mogłam pojechać na wieś, nie byłam w stanie wsiąść do auta, nie dałam rady zatelefonować do pana Waldka, mojego firmowego kierowcy, a czasami pielęgniarza, nie powinien widzieć mnie w aż takim rozpadzie. Pchało mnie do tego! Kiedy wreszcie stanęłam i spojrzałam w dół... Kurwa mać, skacz, Wredna Suko, albo złaź!, mówiłam do siebie. W tym momencie przyszedł do mnie obraz i dźwięki, mój jęk i głośny krzyk dziecka. Nie chcę, żeby pan mnie źle zrozumiał, doktorze Bechstein, dziecko nie jest dla mnie potwierdzeniem kobiecości ani też nadrzędną wartością, że nie czuję się spełniona jako kobieta. To po prostu sprawa niezłatwiona do końca. Teraz muszę się napić wody. O tym najtrudniej mi mówić. Niech mi pan da chwilę, OK?

Już mi lepiej. Niecierpliwi się pan trochę? Znam dobrze sposoby dawania do zrozumienia, że pora na konkrety. Robię to na co dzień, chociaż gdy moi ludzie jęczą, zaczynają pieprzyć, skarżyć się, bez ceregieli wywalam ich za drzwi. Muszę, bo nie ma pan pojęcia, z czym czasami przychodzą. Ścielą się przede mną jak dywaniki, oferują donosy, bo rzekomo dla dobra firmy powinnam wiedzieć, kto mi podcina korzenie, co o mnie mówią. Gdybym chciała wiedzieć, gdybym się takim głównym interesowała, to znam lepsze sposoby niż uzależnianie się od agentów amatorów. Jak trzeba, potrafię dowiedzieć się wszystkiego. Robię to rzadko, tylko gdy ktoś zagraża firmie. Gadam tyle, bo czuję się z panem dobrze, jak suka zerwana z łańcucha przy korporacyjnej budzie, prawie nigdy z nikim nie rozmawiam o sobie. Tylko na wyjeździe, z Igorem i z panem. Kiedyś gadało się sporo, gdy jeszcze miałam obok siebie przyjaciół. Niestety, Igor jest dość daleko, żyje tu, w Nowym Jorku, gdy przyjeżdżam, on często jest w Londynie. Dzięki niemu leżę na tej kanapce. Powiedział, że on już mi nie pomoże, sprawa się posunęła, jeszcze chwila, a nie poradzę sobie, więc potrzebuję fachowca. Przywiozłam panu dziś notatki, o które pan prosił. Pisałam codziennie trochę. Może się nam do czegoś przydadzą. Rozumiem, że już ktoś czeka, do zobaczenia, doktorze.

## LIST DO DOKTORA BECHSTEINA

Chciał Pan listu, doktorze, ma Pan list, tak jak Pan mówił, bez hamulców, nic nie cenzuruję, używam wyrazów takich, jakimi posługuję się na co dzień w robocie, głośno i w myślach. To strumień, a może ściek mojej świadomości. Naprawdę nie pamiętam, kiedy zaczęłam się brzydzić ludźmi, z którymi pracuję. Zaczęłam zauważać fałsz tych interesownych piczek, kutasów, męskich pizd i damskich chujów, sorry, doktorze, przepraszam Pańskie szanowne uszy, nie słyszałam od Pana żadnego przekleństwa, ale jeśli chce Pan prawdy, ona tak wygląda. Tak właśnie ich nazywam w myślach, czasami, gdy jestem sama, mówię tak o nich głośno. Panuje wśród nich ponadpłciowa równość pod względem podłości, lizusostwa i donosicielstwa. Widzę, jak w nabrzmiąłych żyłach pulsuje im pod skórą chęć dokopania kolegom i koleżankom, wydymania mnie także. Niby przychodzą z pomysłem na odlotowy materiał, chcą zaoferować pomoc, ale zawsze po chwili wypelza śliska interesowność. Mam to w dupie, chociaż jasność widzenia przez skórę mnie dołuje. Przeszkadza, kurewsko przeszkadza w kontakcie, doktorze Bechstein. Wywaliłam kilka takich osób, następne nie są lepsze, choć mam też ze trzy uczciwe dziewczyny i jednego redaktora, mojego zastępcę, no i dwie przyjaciółki – Adelę i Ketę. Nie o to jednak chodzi. Dobrze więc.

Powoli lecimy do sedna. Prawie zapomniałam, jak mam na imię, bo w redakcji mówią do mnie szefowo, pani prezes, pani redaktor. Matka zwykle też nie używa mojego imienia, gdy telefonuje, mówi: Słuchaj, potrzebuję masażysty, masz pewnie kogoś godnego polecenia? Znasz przecież wszystkich! Po ojcu nazywam się Szot, mam na imię Ewa, w firmie dali mi ksywę Ewita, mówią, że jestem dyktatorem i mam imponującą kolekcję butów. Jak Evita Perón. To już Pan wie. Dowiedziałam się tego na kretyńskim wyjeździe integracyjnym. Jako spec od pogłębionej analizy jeździ Pan pewnie, doktorze, na takie imprezy, może nawet je Pan prowadzi? To może mieć sens. Krótkie wystąpienie, za które dobrze Panu płacą! Wiem, jak to jest, u nas też to stało się modne, tylko brak nam takich ludzi jak Pan, którzy potrafią to robić. Może dałby się Pan namówić na wywiad dla „TopWoman”? Przyślę Gabrysię Mżawkę, dobrą dziennikarkę? Nie? Szkoda. Właśnie na takim wyjeździe była znana terapeutka, trenerka zajmująca się biznesem, w CV napisała, że praktykowała w Stanach. Kręci się wokół sporo takich szamanów i szamanek, tłuką straszny szmal, mają szkolenia w największych firmach, Coca-Cola, McDonald's, wielkie banki, magazyny kobiece, które dają im popularność, wywiadzik, sonda, wszystko nakręca koniunkturę. W moim imperium pachnie dobrymi perfumami i pieniędzmi, ten rodzaj ciecзки ich przyciąga. Sesja integracyjna na wyjeździe to zawsze też okazja do pierdolenia się. Jaka z niej psycholożka, zwykła uzurpatorka, wielki mi *coach*! Cwaniara. U nas, doktorze, nie wymaga się papierów, można wejść z ulicy i zacząć ćwiczyć ludzi, taki *coach* nie musi mieć wykształcenia, żadnych papierów na okoliczność uprawiania zawodu. Każdy ślusarz czy dentysta może trenować ludzkie dusze! Już miały być wprowadzone regulacje zawodowe, ale kmiotki dorwały się do władzy, weszły w koalicję i jakieś babsko zostało ministrem w rządzie tej obciachowej koalicji, a byli tam profesorowie z jakiejś lewej,

ukraińskiej uczelni, nauczyciele różdżkarstwa, jasnowidze i całe to towarzystwo. Czuje pan bluesa, doktorze? No więc babsko przystopowało uregulowanie systemu. Stąd mamy tych oszustów i różnej maści coachów. Nie wiem, kto naraił tę naszą, chyba Antek, prezes, wygląda na to, że ją posuwa, bo ma dziewczucha co trzeba pod opiętą bluzką, spódnicą z rozcięciem, długie nogi, ledwo idzie w butach na niebotycznych obcasach. Otóż po wystąpieniu, będącym stekiem banałów na temat asertywności, mowy ciała, co jest u nas hitem, od Pana nigdy o tym nie słyszałam, po podwieczorku z ekologicznych ziaren na słodko, zaproponowała suka zabawę w godzinę szczerości! Wcześniej całe redakcyjne bractwo próbowało ekstraktu z pieprzu, kawa-kawa, zna Pan? To pieprz metystynowy. Część dodatkowo wciągała kreskę, donieśli mi, że trzy osoby. Ja nie brałam, ja tylko piłam, na trzeźwo te brednie byłyby nie do zniesienia. Myślałam, że spawiuję, w takie rzeczy bawiłam się w liceum. Naprawdę wolę wróżki i stawianie kabały na imprezach. Z pewnością to jest bardziej szczerze. W ramach integracji powiedziano mi dziecinne prawdy o mnie. Te rozedrgane głosy, niby-zwierzenia! Szepty! Wszyscy i tak byli nawaleni. Ja nie powiedziałam ani słowa prawdy. Waliałam kłamstwa na odlew. Nie czuję potrzeby bratania się z obcymi ludźmi, z którymi pracuję i którzy są ode mnie zależni. Nie wciąga mnie ich wątpliwa szczerość. Nie ma nic bardziej fałszywego niż zabawa w godzinę szczerości. Co innego u Pana, gdy za gadanie słono trzeba zapłacić! Prawda się opłaca, wiem, że bez niej mi Pan nie pomoże, OK? Po tym występie na parapecie bałam się, że następnym razem już nie dam rady się powstrzymać i odleczę. Pomógł mi Pan, więc zamierzam się Pana trzymać. Nie mogłam słuchać tego pieprzenia. Pracuję głównie z kobietami, prawie wszystkie tokowały, że powinny robić „coś bardziej ambitnego”, zna Pan to zjawisko? Może u Was, gdzie słynne jest „amerykańskie marzenie”, to nie jest tak powszechne, bo



ludzie wierzą, że jak się przyłożą, to może się spełnić. Wiem, ma Pan rację, po kryzysie ta wiara się zachwiała, ale chyba już wraca? U nas nikt nie jest na swoim miejscu. Jak Pan wie, doktorze, prowadzę pismo lajfstajlowe „TopWoman”, z górnej półki, tak o nim się oficjalnie pisze i głośno mówi. Co ja sama na ten temat sądzę? Dla mnie to prawda! Najwyższa półka, nikt nie dał mi więcej! Nie ma najmniejszego znaczenia, co sobie myślę o tekstach, sesjach zdjęciowych z pieprzonymi gwiazdami, ponieważ i tak nie przeskoczę rynku i okrutnych badań, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc zleca się badania czytelnictwa. Próbowałam zrobić część pisma dla inteligentek, od tego zaczynałam, ciągle to robię, informacje kulturalne, opowiadania, felietony, dużo o sztukach plastycznych, o koncertach, muzyce, wywiady z uczonymi, reżyserami, pisarkami i pisarzami, byli malarze znani na świecie. Staram się, żeby były dobra grafika i fotografia. Pieprzę opinię. Zaprzyjaźniłam się trochę z Ketą, artystką totalną, malarką i z Adelą, pisarką. Mówiłam Panu o niej, a może pisałam. Pomogła mi zorganizować konkurs literacki, trochę chwyciło. Jednak za mało. Pracujemy nad tym. Naszym elektoratem są czytelniczki, one wyznaczają poziom. Sądziłam, że będzie wysoki, bo to kobiety wykształcone, średnie, niepełne wyższe i wyższe. Pomyliłam się, rzeczywiście tak jest, wyznaczają poziom. Pionu nic nie wyznacza. Przegrałam z badaniami. Chociaż uważam, że kobiety są inteligentniejsze niż pisma, które czytają, jednak unikają poważnych tematów. Poziom jest ich świadomym wyborem. Skoro one chcą gwiazd seriali i telewizyjnych „osobowości”, to muszą dostać to, za co chcą parę złotych zapłacić. Nawet mogę zrozumieć, że nie chcą prawdy, polityki, hejterstwa, to mają na co dzień. Włącza się telewizor i już bucha z niego nienawiść, sący się jad, wchodzi się na forum, bryzga plwocina, słyszy się szczekanie i widzi walki psów z całego miasta. Z kraju i ze świata. Pisma kobiece żyją

ucieczką od tego, własnym – poziomym – życiem. Kuchnia, przepisy, jak kłaść nóż i widelec, wnętrza, moda i harmonia. Nie będę pana dłużej zanudzać tymi rzeczami.

## MODOWA FORPOCZTA

Z tego wszystkiego, co składało się na „TopWoman”, Ewita najbardziej ceniła modę, uważała modę za najbardziej tolerancyjną i demokratyczną dziedzinę życia. Awangardę wyznaczającą trendy, które w normalnym społeczeństwie, w obyczajach i polityce przyjmują się z trudem. Damskie ciuchy od dawna projektowali geje. Żyli w stałych związkach, jak Armani, albo mieli licznych partnerów jak młodzi Brytyjczycy. Także fryzjerzy, styliści, którzy czeszą i malują. W przemyśle modowym to była norma. Gianni Versace zginął podobno z rąk młodego kochanka. Tak się mówiło, to wersja szeptana. Wersja rodziny była inna. Według nich zamordował go seryjny morderca. Tak czy owak, to zwykła sprawa kryminalna, zazdrość, zawiść albo przymus mordercy. Nie polityka. W każdym piśmie musi pojawić się kryminal, a seks prawie na każdej stronie. Nie wprost, choć są porady, jak zwabić, uwieść. Seks pojawia się w reklamie kiecki, bielizny, kosmetyków, aut. Sprzedaje wszystko.

Ewita cieszyła się z dużej liczby reklam, bo dzięki temu mogła sama zarabiać i dobrze opłacać swoich ludzi. Jednak nie znosiła reklam z podtekstem seksualnym, tych rozchylonych ust, zachęcających do robienia loda, modelek, rozdziawiających gęby, jak lale z seks szopu. Pomadki miały falliczne kształty, samo malowanie ust na fotografii jest zachęcaniem. Czarne skórzane spodnie, staniki

i gatki, sado-maso nabijane ćwiekami, przezrocyste kiecki, opinające wypięte pośladki klęczących, zapraszają chętnych do wejścia, uczą kobiety ponętnych póz. W kraju koronczarki z Koniakowa wpadły na pomysł skórzanych wycinanek na sexy bieliznę. Idą jak woda. Ewita wpadła na pomysł robienia badań nad pornografią na użytek pisma. Pokazywano foty grupie facetów, a oni pisali, przy których im staje, a przy których zwisa. Przypomniała sobie książkę na temat tego rodzaju badań w Anglii. Wówczas chodziło o to, czego nie można publikować, bo jest pornografią. Staje – zakazane. Nie staje – do publikacji. Teraz było odwrotnie.

Kobiet w taki sposób nie dało się badać, więc nie przejmowano się nimi w ogóle. To ją wkurzało. Zleciła więc badania ich reakcji na reklamy. Wynajęła zajmujących się reklamą psychologów uniwersyteckich. Profesjonalnie ustawili badania, grupa kontrolna i tak dalej. Zaangażowano do badań grupę złożoną z pań domu, pielęgniarek, studentek, szwaczek, bizneswoman oraz paru innych zawodów. Pisały, które z oglądanych zdjęć je podniecają, kiedy wilgotnieją, z jakim typem mężczyzny by chciały. Z badań wynikało, że kobiety podniecają się także innymi kobietami. Choć nie są lesbijkami.

Na fotografiach modelki wszystkich ras, do wyboru, do koloru, obejmowały się. Czarna jak heban z białą nordyczką. To są zdobycze świata mody kilku dziesięcioleci. Wcześniej w pismach nie pokazywano kosmetyków dla ciemnoskórych ani perfum dla nich, nie było reklam biżuterii na czarnej dłoni. Były Chinki, Japonki. Gdy Ewita bywała na szkoleniach w NY, poszła do archiwum „Vogue’a” i przejrzała pod tym kątem stare numery. Okazało się, że miała rację. Najpierw, chociaż dość późno, pojawiły się Afrykanki. Tylko na wybiegach. To była sensacja. Na fotografiach reklamowych ich nie było. Teraz jest wszystko, bez granic. Niektórzy, a raczej niektóre osoby kręciły nosem na takie fotografie, że to seksizm, rzekomo

chodziło o to, by dogodzić facetowi, dać mu egzotyczną piękność. Ona sądziła inaczej, faceci i tak nie czytają „damskich piśmideł”. Uważała, że kobieta ma wolny wybór, może nie dawać dupy, może dawać.

## PIEPRZ SIĘ, Z KIM CHCESZ, KIEDY CHCESZ I JAK CHCESZ

– Możemy się pieprzyć, z kim chcemy, jak chcemy i kiedy chcemy! – powiedziała Ewita na kolegium. Strawestowała w ten sposób pewne znane feministyczne hasło. Żadna z obecnych na spotkaniu redaktorek nigdy tego nie słyszała.

Ewita dała tytuł materiału na temat damsko-męski, oczywiście w złagodzonej formie: „Kochaj się, z kim chcesz, kiedy chcesz i jak chcesz!”. To było motto sesji fotograficznej „Moda na wiosnę i lato”. Dziewczyny sfotografowano w trójkątach, z dwoma facetami albo dwie z jednym. Żadne tam porno, zwyczajne wskazanie możliwości do wyboru. Były też zdjęcia dwóch prawie nagich kobiet w lesbijskim uścisku, jedna krótko ostrzyżona, wyglądała jak chłopiec, trzymała rękę w lekko rozpiętym rozporku, druga, długowłosa klęczała przed nią. Te fotografie bardzo się podobały czytelnikom.

– To półporno, na pół gwizdka. Tylko domysł. Okazuje się, że to, co nie wprost, najbardziej bierze kobiety. Tego będziemy się trzymać – oświadczyła Ewita po prezentacji badań na kolegium.

– Możemy pójść o krok dalej, teraz wszędzie pokazuje się odważniejsze foty – odezwała się Gabi.

– Jak kobieta pragnie hard porno, to wchodzi do sieci, znajduje wszystko, czego trzeba do masturbacji. U nas nie o to chodzi, na

razie zostajemy przy soft porno – zamknęła temat Ewita.

## LIST DO DOKTORA BECHSTEINA

W zeszłym miesiącu trochę chorowałam, nie mogłam przylecieć, uważam, że lot nie jest wskazany w takim stanie. Miałam zapalenie oskrzeli, obawiałam się, że mogą być komplikacje. Proszę się nie bać, doktorze, nic się nie stało. Nie zaczęłam ćpać, nie upijałam się. Pojechałam do Marianny do Święćmierza, żeby wykurowała mnie z tego paskudnego przeziębienia. Ma swoje sposoby, trudno uwierzyć, że ta magia działa, ale to mnie nie interesuje, ważne, że szybko wracam do zdrowia. Jak zawsze u niej, udało mi się odetchnąć od firmy, bo czułam, że robię się naprawdę Wredną Suką. Pisałam Panu, że moda jest nowoczesna, jest odtrutką na stęchłe obyczaje. Owszem, często bywa pretensjonalna, głupia, wydumana, przereklamowana, niewarta swojej ceny, ale każdy i każda wybiera dla siebie to, co chce. Już od mniej więcej trzydziestu lat nie ma jednej mody, tak jak kiedyś krynolina i gorset dla dam. Chodzisz, w czym chcesz. Feminizm w modzie zaczął się na wielką skalę, zanim wszedł do obyczajów i polityki. Kościół dlatego nienawidzi mody, chociaż papież i kardynałowie noszą markowe ornaty i buty, szyją dla nich najlepsi. Księża głośno walczą z gejami, po cichu się u nich stroją i, jeszcze lepiej, znajdują tam zrozumienie dla swych preferencji. Kupują klerykom i ministrantom gify u projektantów. Nasi też mają stroje ociekające złotem. Nowy papież chce to ukrócić,



skazany jest na porażkę, bogactwa się nie oddaje bez rewolucji. Nie ma odwrotu. Za modnymi ciuchami, nowymi trendami idą swobodniejsze obyczaje dla ludzi gnębiących grzechem. U nas się jeszcze włoką, ale i tak jest coraz lepiej. Wojujący Kościół ze swoim diabłem i z grzechem pierwotnym może nam naskoczyć. Lubię modę za to, że jest świecka, uwalnia nas od facetów w sukienkach. Lajfstajl daje wolność! Czy da Pan wiarę, Doktorze, że u nas panuje moda na egzorcyzmy? W Ameryce macie wszystko, a więc i to też. Wasi kaznodzieje to niezłe czubasy. Chyba jednak nie gada się o tym oficjalnie w wiadomościach?

Na razie jeszcze nie łapią na ulicach i nie wypędzają diabła pod przymusem, choć bardzo by chcieli. Nie tak dawno pewien biskup w towarzystwie polityków wypędzał diabła z pałacu prezydenckiego. Działo się to przy wtórze modłów babć i dziadków. Także w jakimś blokowisku fachowiec egzorcyzmował całą rodzinę. Dostali szału, wrzaski były takie, że przyjechała policja, a małe dzieciaki straciły przytomność. Oglądałam te wiadomości. Dziwią się księża, że młodzi ludzie pokazują im plecy albo i lepiej. Wielu odchodzi od Kościoła. Biskupi są wściekli, że muszą odpowiadać za pedofilię, skutecznie przez dziesięciolecia zamiataną w kącie kruchty, gdzie mysz kościelna zostawia swoje bobki. U nas nie chcą płacić, chociaż pewnie i do tego dojdzie. To efekt domina, tylko w zwolnionym tempie. Słyszałam, że u was kilka parafii wykończyło się finansowo. W Irlandii, gdzie dochodziło do gwałcenia i mordowania sierot, dzieci niczyich, też muszą się tłumaczyć. No więc nasi szukają diabła. Szukajcie, a znajdziecie, mówi Pismo. No więc znaleźli gender! Słabo chwyciło, bo lud boży nie mógł zapamiętać słowa i nie kumał, o co biega. Potępili więc jogę. Pamięta Pan szukanie diabła w wiekach średnich? Mniszki idące do komunii wysuwały język, a wtedy diabeł, hop i już siedział na koniuszku mniszkowego ozorka! A teraz, żeby zozydzić jogę, pewien tuz umysłowy wymyślił, że

podczas stania na głowie, w jakiejś pozycji, diabeł wchodzi w człowieka przez odbyty! Naprawdę! Pisano o tym w poważnej gazecie.

Nasze pismo „TopWoman”, mimo głupot, jakie wypisujemy na różne tematy – poszukiwanie dziecka w sobie, cudowne diety, liftingi, botoks czy złote nici i tym podobne dyrdymały – no więc nasz magazyn jest wolny od bredni na temat grzechu i egzorcyzmów. Chociaż ksiądz chętny do udzielenia wywiadu na temat egzorcyzmów się znalazł. Mówimy w redakcji, że klechy mają wielkie parcie na szkło. Jedna z naszych dziennikarek, Gabrysia Mżawka, nieźle go podpuściła. Zrobiła świetny reportaż na ten temat, u nas nie mogłam go dać. Opublikowała w magazynowym wydaniu gazety. Nasze pismo tych klimatów nie udźwignie. We wszystkich mediach, w każdym programie występuje ksiądz albo zakonnik. Bywają mądrzy, ale tych na ogół zmusza się do milczenia. Zastępują ich betonowe mózgi. Kościół niby to odciął się od diabelskich wrót w odbycie, ale jogę potępia. Uważa Doktor, że powinnam uprawiać jogę? Próbowałam. Niestety, zespołowe ćwiczenia nie dla mnie, a z osobistym trenerem skończyło się na klasycznym ruchanku. No więc, nie wyszło mi, jednak daleka jestem od potępiania tego, co mi nie wyszło czy nie służy. A to robią szwadrony starych i młodych dewotek i dewotów. Mam własne techniki, które mi pomagały. Opisuję Panu, Doktorze Bechstein, tło, klimat, w jakim przyszło mi żyć. Jest na razie śmieszny bardziej niż straszny. Wiemy oboje, co dzieje się na świecie, zwłaszcza jakie życie mają kobiety w innych systemach i religiach. Powinnam się czuć wygrana choćby z tego powodu. Tak jest, jednak dręcę się sama sobą, tym, co porzuciłam, dlatego wciąż szukam pomocy u Pana i ją znajduję.

Po napisaniu tego listu Ewita czuła się, jakby wróciła do szkoły. Kiedyś lubiła pisać wypracowania, dostawała nawet nagrody w konkursach. Zwyciężył jej „Pamiętnik uczennicy”. Zmyśliła go od początku do końca. Pewnie dlatego okazał się ciekawy dla jurorów. Juror to rodzaj zawodu, taki gość czuje swoją potęgę. Wydaje mu się, że jest władcą nieszczęśliwych dusz zabiegających o nagrodę. Znane wydawnictwo proponuje Ewicie co jakiś czas napisanie książki o imperium.

– Wyobraź sobie, że znalazł się koleś z jury, który chciał mi pomóc w karierze pisarki. Za nic, tylko małe pieprzenie. Grzecznie podziękowałam. Coś tam skrobałam dla siebie w notesie, trochę o matce, głównie o Bartku, może kiedyś ci pokażę – zwierzyła się Adeli.

– Słyszę, jak mówisz, jak opowiadasz, myślę, że możesz napisać niezłą książkę.

– Podobno każdy może, jedną. O dzieciństwie. Nie mam takich ambicji. Może jak będę stara? Będę siedziała w Świąćmierzu przy drewnianym stole, nieśmiertelne koty będą patrzyły, jak piszę, Marianna da mi pajdę chleba z masłem! Powie: Tylko się nie potłuść! – Roześmiała się, ten obraz ją pociągnął.

\*

Mówiła doktorowi Bechsteinowi, iż prawie wszyscy uważają, że są stworzeni do rzeczy wyższych. Sama wkurzała się często na płytkość swojej roboty, ale nie jęczyła, nie powiedziała nigdy, że jest powołana do czegoś lepszego i że „TopWoman” prowadzi tylko czasowo, że zarobi wielkie pieniądze, a wtedy zajmie się kulturą wysoką. Ona miała już wielkie pieniądze. Tak mówią prostytutki: Teraz muszę dawać dupy, ale jak tylko się dorobię, rzucę to

gówniane pierdolenie i obciążanie byle komu, wyjdę za męża, założę rodzinę, urodzę dzieci, stanę się wierną żoną, dobrą matką, jednym słowem, idealną, by nie powiedzieć perfekcyjną, panią domu. Jednak perspektywa idealnego życia rodzinnego z uroczymi pociechami oddala się z roku na rok, wreszcie staje się niedosiężna, przybywa ciała, zmarszczek, traci się dawnych dobrych klientów. Przychodzą nowe, młode kadry, świeże mięso lepiej smakuje. Trzeba dawać dupy analnie albo robić laskę niemytym chujom. Tak myślała, gdy myśli jechały bez hamulców. Już nie zamierzała zakładać rodziny. Nie miała tego w planie. Mężów już miała. Jednego i drugiego. Bartek, miłość jej życia – umarł. Drugiego też miała krótko, z innych powodów.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Nie wiem, jak to się stało, ale wyparłam tego drugiego gnojka całkowicie. Pewnie zadziałał mechanizm obronny, uważam, że te mechanizmy to świetnie naoliwiona, najsprawniejsza maszyna. Bez nich człowiek by nie przeżył. Bartka stale noszę przy sobie, ale poślubiłam go z prawdziwej, rozpaczliwej miłości. Inaczej nie miałabym prawa go pochować. No więc po śmierci Bartka, po pewnym czasie rzuciłam się w seks, chciałam mieć kogoś obok siebie stale w łóżku, bo noce były najgorsze. Tak trafiłam na tego dupka. Był dobry w łóżku. Na początku nawet bardzo. Tak jak inne kobiety wzięłam chuć, namiętność za coś więcej. Na szczęście, doktorze Bechstein, mimo że leżę teraz na pańskiej wytartej kanapce, nie jestem typem ofiary. Takiej ofiary, jaką stałam się przez chwilę. Mężuś nie mógł mnie zastraszyć, chociaż miał mocną łapę, ale ja nie jestem słaba fizycznie, a co jeszcze ważniejsze, nie udało mu się mnie zastraszyć, nie bałam się go. Wtedy zresztą byłam bardzo mocna, mocniejsza niż teraz. Wie pan, co zrobiłam, doktorze? Oddałam! Od razu za pierwszym razem. Może później opowiem panu, co się działo. Dziś nie jestem w stanie.

\*

W pewnym stopniu zawdzięczał mi swój majątek. Dzięki mnie dostał statuetkę Biznesmena Roku w branży budowlanej. Namówiłam go na założenie kilku cegielni i produkcję pustaków. Przewidziałam boom budowlany. A kiedy spróbował jeszcze raz mnie upokorzyć, gdy wróciłam po swoje rzeczy, uderzył w twarz, a potem kopnął w brzuch, chwyciłam mosiężną statuetkę i rozwaliłam mu łeb. Przyłożyłam lód, zrobiłam opatrunek i wyszłam. Zostawiłam go siedzącego na podłodze, pod pochłapaną krwią ścianą. Nie wezwał policji, bo się wstydził.

Nie chciał dać mi rozwodu. W końcu zgodził się na warunki, bez orzekania o winie, zaszachowałam go, że podczas procesu opowie, jakim jest damskim bokserem. To mogło mu zaszkodzić. Miałam łatwość zapominania, pod jednym warunkiem: sprawa musiała zostać załatwiona do końca. Chciałam się go pozbyć, wyrzucić na zawsze z pamięci.

Inaczej wyglądały ciągłe porachunki z matką. To niezbyt głęboka, ale jątrząca się rana. Wciąż się paskudzi, brzydko ropieje. W odróżnieniu od kobiet zarabiających ciałem, które wciąż liczą, że się dorobią i skończą z pieprzeniem za pieniądze, ja nic nie musiałam. Miałam konto, apartament w sercu miasta, dom w kurorcie, który wynajmowałam, potrafiłam lokować pieniądze jak trzeba, miałam oszczędności, lokaty, polisy, agresywne i łagodne fundusze, wygrywałam nawet na giełdzie, ale teraz w czasie kryzysu zrobiłam się ostrożniejsza; i tak zarobiłam sporo, gdy inni się bali. Miałam auto, a nawet dwa, bo jedno służbowe z kierowcą, i co tam jeszcze można wymyślić. Jednym słowem, byłam bardzo zamożna i dobrze zabezpieczona przed katastrofą finansową. Nie musiałam czekać jak te biedne dupodajki na cud dostatku. Mogłabym odejść z firmy i nic nie robić, małym paluszkciem nie kiwnąć, żyjąc nawet do setki. Gdybym odeszła z firmy, dostałabym kilka propozycji do rozważenia, wiedziałam o tym, bo co jakiś czas różni prezesi

zapuszczali sondę, sprawdzając, czy jestem już do wzięcia. Nie zrobię czegoś takiego. W branży liczą się osoby lojalne wobec firmy, publicznie nigdy nie powiedziałam złego słowa o prezesach czy radzie nadzorczej, za którą, delikatnie mówiąc, nie przepadałam. Fachowo zarządzałam firmą, metodą kija i marchewki. Częściej używałam kija jak wszystkie Wredne Suki, znienawidzone przez podwładnych. To dawało zdecydowanie lepsze efekty. Chociaż moi ludzie dostawali w kość i bywałam dla nich nieprzyjemna, dostawali też wysokie premie. *Per saldo* wszyscy byli zadowoleni. Czytelniczki, bo dostawały pismo na jakim takim poziomie, ja, bo dostawałam, czego wymagałam, zespół, bo dostawał niezłą kasę. Gdybym odpuściła, natychmiast daliby mi popalić! Połowa to lenie. Obijają się, gdy tylko mogą. Musiałam ich dyscyplinować.

\*

Szeptana propaganda od lat wieszczy upadek imperium. Tak mówią o „TopWoman”, moim pieprzonym piśmie. Naszym. Bo ja, doktorze Bechstein, utożsamiam się z tą korporacją medialną. Z naszym potężnym imperium. Jasne, że to „Nasze” musiałam oswoić, wstawić jako gotowca do języka. Za takie pieniądze musiałam przyjąć za swoje. Moim psim zadaniem jest nie dopuścić do upadku pisma, żeby sępy latające nam nad głowami nie znalazły jeszcze roboty. Może umrzemy śmiercią naturalną, gdy wkroczy Internet z propozycją nie do odrzucenia. To się może zdarzyć, ale jeszcze nie teraz. Mam zresztą przygotowany plan B na taką ewentualność, zaczynamy już coś robić, nie damy się wyprzedzić. Wisimy już od dawna w sieci, ale póki co ciągle dobrze się sprzedajemy papierowo. Na razie wciąż siedzę w moim wielkim gabinecie na dwudziestym pierwszym piętrze. Mam widok z góry na wielką połąć miasta,

z prawej strony obejmuje dzielnice willowe i suburbia, z lewej górzysty pejzaż wieżowców to biura i apartamenty, wyższe niż lasy na obrzeżach.

Cieszę się, że nareszcie znów jestem tutaj, że nie zmienił pan obicia kanapy. Że poświęci mi pan dziś trochę więcej czasu. Widzę błyski zza okularów. Nie próbował pan soczewek? Ciekawa jestem pana oczu. Te przyciemnione szkła powodują, że jest pan dla mnie jeszcze większą tajemnicą. Chyba nie ma pan ciągle zapalenia spojówek? Czy to byłaby bezczelność, gdybym poprosiła, żeby zdjął pan okulary? Ooo, dziękuję. Nie sądziłam, że ma pan takie jasne oczy! Piękne, choć krótkowzroczne. Rozumiem, dlaczego pan je chowa. Są zbyt przenikliwe. Pacjentom trudniej mówić do kogoś o takich oczach. Ja chyba nie powiedziałabym połowy!

\*

No więc, doktorze, jak pan wie, w końcu dałam się skusić, podpisałam cyrograf. Zawładnęła mną grzeszna chciwość, chciałam ją ukryć, ale nie wiem, czy to możliwe, czułam, jak płoną mi oczy i policzki. Udało mi się wynegocjować takie siano, jakiego się nie spodziewałam. Poczulałam się, jakby miasto w dole należało do mnie. Miasto! Kocham miasta, zwłaszcza wielkie i hałaśliwe, pełne samochodów, żyjące dniem i nocą, bez przerwy pulsujące, gdzie nigdy do końca niewygaszone światła są sygnałem, że coś się dzieje, że można się przyłączyć do czegoś, co jest dobre albo złe. Kochałam wtedy wielkie miasta, które innym wydają się nie do życia, uciekają z nich na obrzeża. Na wieś, do lasu, byle dalej, byle ciszej. Ja chcę być w samym środku. Nie przeszkadzał mi nawet zapach spalin, lubię go. Myślałam kiedyś o stworzeniu perfum benzynowych, nuta głowy o zapachu ropy naftowej, to byłby hit! Czy wie pan, doktorze



Bechstein, że pierwsze miasto założył Kain, nic dziwnego, że jest siedliskiem zła i zbrodni, trzeba uważać, żeby nie znaleźć się na linii ognia, w czasoprzestrzeni, którą władają seryjni mordercy, gdzie gangsterzy załatwiają porachunki, a głodne ćpuny polują na twój portfel. Taki obraz miasta przedstawiają media, jeżeli nie dają właśnie lukrowanych obrazków, pokazujących zabytki, park, sztuczną plażę usypaną nad rzeką. Nie ma środka, jest tylko przesada, w jedną albo w drugą stronę. Najbezpieczniej jest w domu, tak niektórzy myślą. Z rodziną, która cię kocha, będzie się tobą opiekowała w chorobie, przychyli ci nieba. Chyba że wujek czy tatko odchyli ci kołderkę i powie, że teraz będziemy się bawić, tak jak bawią się wszyscy tatusiowie ze swoimi córeczkami czy synkami. Niech to będzie nasza tajemnica, OK? Albo panuje przemoc, jak w domu Igora. Tak jak dzieje się w wielu związkach, mój damski bokser waliłby we mnie jak w kaczy kuper do dziś, gdybym się mu nie urwała. A w redakcji też mam przykłady. Mam zamiar kupić mieszkanie – schron dla moich znajomych. Pana kanapka zna te historie. Pan wie, w domu jest naprawdę niebezpiecznie. Zwłaszcza w wielopokoleniowej rodzinie, im więcej bliskich, tym robi się groźniej. Bezbronne dzieciństwo jest naiwne, marzyłam jako dziewczynka o takim domu, z dziadkami, babciami, kuzynostwem. Dziecko nie wie, że tam właśnie popełnia się najczęściej zbrodni, są najkrwawsze, a duszenie niemowląt, ćwiartowanie rodzicielskich zwłok przypomina dzielenie cielaka na części. Jedni robią to sprawnie, inni rzezają bez pojęcia, w każdym razie, jeśli chcesz się bać, to bój się najbliższych, mężów i konkubentów, żon i kochanek, no i dzieci, a także sąsiadów, ochroniarzy, robotników wynajętych do remontowania mieszkania. Teraz pan widzi, jak te myśli zbombardowały mnie w ułamku sekundy? Mają to do siebie, że potrafią prowadzić symultanke.

Gdy byłam młodsza, nie dopadały mnie takie myśli, nie siały

niepokoju, nie wzbudzały strachu. Moja chciwość, ciekawość władzy i miłość do miasta połknęły wszelkie niepokoje. Wtrąciła je w niebyt. Upajałam się swoją pracą i władzą, którą obiecywał prezes. Wyglądała pocziwie, choć, jak twierdzą znawcy oraz egzorcyci, szatan wciela się często właśnie w pocziwych. Nie wiem, czy zna pan osobiście egzorcystów? Może wysła pan do nich pacjentów, z którymi nie może sobie pan poradzić? Ja poznałam jednego egzorcystę, widziałam nawet wypędzanie diabła. Liczba opętanych podobno się zwiększyła, wciąż szkoli się kadry egzorcystów. Prezes nie był jednak szatanem. Potężny, wysoki, muskularny, krótko ostrzyżony z tyłu głowy, nad czołem miał coś, co w takich magazynach jak nasz określa się burzą włosów. Burza sztucznie wywołana, zatrzymana w kadrze, bo włosy sterczały posłusznie utrwalone lakierem albo żelem. Jego ciało już podchodziło trochę tłuszczem, bladą opuchlizną. Bronił się jeszcze, szczątkowo uprawiając sporty, narty, trochę tenisa, czasami siłownia. Jeździł zimą także na wyspy, gdzie pływał. Jeżeli nie mógł wyjechać, kładł się na łóżku opalającym. Jednak w miarę rozrastania się imperium miał wciąż więcej pieniędzy i coraz mniej czasu, żeby je wydawać. Codzienne kolacje z ludźmi, od których kupował kolejne pisma, powodowały znużenie. Nie mógł się zresetować. Po prostu czas się tak skurczył, że prezes nie miał siły na nic. Grafik napięty, naciągnięty, guma naprężona do granic, zajęte całe dni, wieczory, a czasami nawet noce. Negocjował, gromadził, powiększał nasze – swoje – imperium medialne. Na różnych galach zasypiał, zasłaniając dłonią oczy. Oczywiście był do szpiku dzikim kapitalistą, musiał mieć więcej i więcej. Wywalanie ludzi nie przychodziło mu z wielką łatwością. Wolał rozdawanie nagród. Wiedziałam, że gdyby zaszła taka potrzeba, wypieprzyłby mnie z roboty z dnia na dzień. Jednak nie może tego zrobić, bo za dużo by kosztowało. Zanim podpisałam cyrograf, długo się zastanawiałam. Nie sama. Pracował dla mnie

sztab prawników. Cwaniaków przebudzonych przez potwora kapitalizmu, który pożarł nasz zdychający komunizm. Staliśmy się nagle żądni pieniędzy, sławy i władzy, które znalazły się w zasięgu naszych rąk. Miałam szczęście, że prawnicy byli po mojej stronie.

Jeden jest bardzo znany, odkuł się nieźle, wszedł w „sfery”, dla mnie jest dziś za blisko polityki, choć mam do niego zaufanie. Częściowe. Znam jego poglądy i jego przekonania. Wiem, jaki jest i co robi, gdy nie kłapie w telewizjach. Uważam, że taki cynizm, rozryw pomiędzy wizerunkiem sprzedawanym a naturalnym, w końcu musi doprowadzić do katastrofy. Jeśli nawet przy schizofrenicznym, podwójnym życiu nie pęknie mu psyche, może kompletnie stracić szacunek u klientów. Chociaż niektórzy wszystko o nim wiedzą, biorą go, bo liczy się skuteczność, jeden z bożków na rynku. Ma żonę i kilkoro dzieci, co jakiś czas zeszkrobują go sprzed modnego klubu, gdzie czci kolejny sukces. Rodzina, Bóg, honor i Ojczyzna to jego priorytety, kolejność w zależności od gremium. Dość dawno odkryłam, co lubi najbardziej. Od tego momentu zerwałam z nim kontakty. Z dumą powtarza, że stoi przy prawej ścianie. Musiałabym go nie znać, żeby uwierzyć. Chyba że jest to na olejno malowana ściana dworcowego klozetu, tam korzystał, i może korzysta nadal, z usług dzieciaków na gigancie. Odzywał się do mnie, chciał mieć portret w naszym piśmie, z ciekawości wysłałam Gabrysię Mżawkę, żeby go prześwietliła. Materiał, który przyniosła, był wyrzyganą sałatką z surowych brokułów z majonezem z reklamy. Nie mogłam puścić czegoś takiego. Czym innym są lukrowane do mdłości konterfekty aktorek, to specyfika naszego pisma. Jednak utrefiony polityk z takim odchyleniem nie przejdzie. Pod stołem dowiedziałam się tego, o co go podejrzewałam. Mógłby stanąć w szranki z ojcem Igora. U nas się nie udało, wzięła go ta Chciwa Suka z konkurencji. Zrobiła wywiad na klęczkach. Ach! i och! nad jego stosunkiem do rodziny.

Uwierzyłam Igorowi, że pan mi pomoże. Tak jak jemu, mimo że woził ze sobą gruby sznur, szukał miejsca, odwlekał ostateczność, wtedy właśnie przechodził tą spokojną uliczką z niskimi domami z czerwonej cegły. Zadzwoił, a pan wychodził akurat z domu, schodził po schodkach i spostrzegł pan doktor tę plątaninę nieszczęść w człowieku ze sznurem. Zagadnął go pan podobno, nie pamiętam już, o co spytał, a potem się cofnął i za frajer zaczął nim zajmować. To się nie zdarza często. Wyszedł z ciężkiej depresji, choć wiem, bo mi powiedział, że sznur nadal trzyma, na pamiątkę. Prowadza się teraz z młodą gwiazdą. Wschodzącą. Jako łowczyni głów i handlara niewolnikami kupiłam wywiad z nią dla naszego pisma. Z pomocą Igora wyszło dość tanio. Obstawiamy, że będzie za chwilę na topie. Wtedy damy ją na okładkę. Udało się też wejść w serial, w którym dziewczę gra. Weszliśmy jako współproducenci w realizację tego gniota. Nie będzie ich wspólnej foty z Igorem, bo matka mogłaby go rozpoznać, chociaż całkiem zmienił wygląd. Przeszedł operację plastyczną, przefarbował włosy. Na wszelki wypadek. Amerykanie kręcą serial na Wyspach, bo chcą zrobić coś w Europie, dla Europy, wcisnąć się na rynek z kiepsko maskowaną pornografią. Głupi sitcom o rżnięciu. Będzie z pewnością popularny, bo to ciągle dobrze się sprzedaje. Plebs rządzi, dyktatura proletariatu stała się faktem. Trochę to nas kosztowało, nadwerżyło budżet, uszczknęliśmy z tego, co powinno zostać na czarną godzinę, ale dostaliśmy duży kredyt. Odbijemy sobie. Byłam na kolacji z tym biznesem filmowym, poszłam z Igorem, jako bystry prawnik miał na nich oko, żeby mnie nie wydymali. Jak ja lubię Igora! Spotykamy się na tyle często, na ile to możliwe. Kiedyś często się śmialiśmy, głośno i szczerze. Chyba po raz ostatni rok temu! Kurwa mać, doktorze Bechstein, słyszy pan? Rok temu się śmiałam! Tak nie może być.

Mówiłam panu, że z Igorem to tylko przyjaźń? Przyjaźń nie wyklucza seksu. Okłamałam pana. Był i seks, ale nie zabił przyjaźni. Uświadamiam sobie właśnie, że seks z Igorem miałam trzy lata temu! Tak wyszło. Nie planowaliśmy tego. Wzięliśmy naszą ulubioną bohaterkę, hereę, i miałam dziwny odlot. Miłosny. Wydawało mi się, że Bartek mnie głaszcze. Wcześniej hera mi nie służyła. Wolałam słabsze szmery. Marychna, hasz. Była też koka, LSD, parę razy amfa. Część z naszego towarzystwa skończyła z tym zupełnie, niektórzy dają w żyłę weekendowo, jeszcze inni popalają hasz. Ja opamiętałam się po seansie z LSD. Najpierw nic nie czułam, za to potem! Butelki same jeździły po stole, podjeżdżały pod moje miejsce, a gdy chciałam sobie nalać i wyciągnęłam rękę, okazało się, że z każdego palca mojej dłoni powstała miniaturowa rączka, bardzo chwytliwa, czepna, z małymi paluszkami, długimi paznokciami polakierowanymi na niebiesko. Śmiałam się, pytałam, czy Igor widzi te łapki, jednak nie widział. Butelka zmieniła się w metalowy olbrzymi pojemnik, był zlodowaciały, łapki przyklejały się do niego, nie mogłam ich oderwać, wtedy spostrzegłam, że to metalowa trumna, szarpałam się, ale rączki były jak z gumy, wydłużały się, gdy się odchylałam, aż wreszcie zaczęły się kurczyć, zbliżałam się do tej trumny, wieko odskoczyło, a tam w środku były trawa, kwiaty, chciałam się położyć, gdy urwał mi się wątek. Nigdy później nie próbowałam się aż tak naćpać. Niestety pamiętam, jak inny nasz koleś, nieoceniony rozśmieszacz, strzelił sobie złoty strzał. Ćpał, co się dało i nie dało, podobny do erotomana, co to jak nie ma nic innego, potrafi zrobić użytek z dziury w nieheblowanej desce. Trwało długo, zanim do tego doszło. Gdy widziałam go po raz ostatni, nie miał na ciele miejsca bez klucia. Bolało go wszystko. Twierdził, że wpuszcza mak w kutasa. Ból jest nie do zniesienia, ale odlot lepszy niż orgazm. Seksu nie może uprawiać, staje mu tylko, gdy wbija igłę pod skórę. Wyglądał tragicznie. Oczy wypłukane

z koloru, skóra twarzy pokryta wypryskami, nakłuciami i tatuażem. Tatuaż miał maskować nakłucia. Mówił, że wąża, pali, kłuje. Jedno mu nie wystarcza. Potrzebuje pełni. W niczym nie przypominał zdrowego, najweselszego chłopaka. Do tego kolczyki na języku, w nosie, wszędzie. Chciałam załatwić mu odwyk, mam zamiar na dobry kontakt, o co niełatwo, sama korzystałam w swoim czasie z porad sensownej terapeutki. Powiedziałam, że ze względu na starą przyjaźń zależy mi na nim, na tym, żeby ocalał, że zafunduję mu kurację, bo pewnie jest goły. Nie chciał pieniędzy. Okazało się, że miał klientów, ćpunów, ich rodziców, udzielał porad prawnych za małą kasę, za działkę, za obiad. Dopóki jeszcze jadł. Ciekawe, nie mogłam pojąć, że jego umysł funkcjonował rewelacyjnie.

– Błagam cię, zgódź się, znam takie miejsce, gdzie się tobą zajmą, piękna okolica, proszę, zawiozę cię i przyjadę po ciebie... – mówiłam z płaczem, bo nie mogłam się pohamować.

Objęłam go. Łzy też popłynęły mu po tych zmurszałych policzkach. Był tak bardzo wychudły. Mogłabym dmuchnąć i uniósłby się w powietrze. Dziwne, że prawa grawitacji działały, że trzymał się podłogi, gdy wstał z kanapy.

– *Sorry*, wiem, że chcesz dla mnie dobrze, kocham cię za to, że myślisz, jak mi pomóc, zawsze byłeś dla mnie dobra, ale nie ma takiej możliwości, ja już tak dociągnę do końca – odparł.

Chciał mi uścisnąć rękę, ale jego dłoń go nie słuchała, zwiędła kiść pozbawiona owoców i soków, wyschła gałązka.

Takich miałam kumpli prawników, doktorze, straciłam ich. Zapłaciłam im co do grosza, a nawet z nawiązką. Każdy kupił sobie za to coś mniej lub bardziej trwałego. Jeden kawalerkę, drugi dużą działkę obok rodziców, pochodził ze wsi i tylko ziemię uznawał za niezłą lokatę, trzeci, później tak strasznie uzależniony – auto.

Potem trochę psim swędem dostałam udziały i weszłam do zarządu. Po prostu wcisnęłam stopę między drzwi i już jej nie wyciągnęłam. Uwierało, bolało, jednak poszerzałam tę szparę, aż wsunęłam udo, wreszcie weszłam cała. Stało się tak, gdy okazałam się zdolną naganiaczką reklamodawców, gdy udało mi się kupić prestiżową gazetę za dość umiarkowaną cenę, stałam się po prostu partnerką w interesach. Teraz mogą mi naskoczyć. Sama nie chcę odchodzić, bobym na tym za dużo straciła. Patrząc z dwudziestego pierwszego piętra, obejmowałam wtedy zakochanym wzrokiem miasto, jak właścicielka włości, pieprzona arystokratka z serialu. Moje były wielkie biurko, szafa, sejf, metalowy stół z kryształowym blatem, obraz Tarasewicza nad kanapą, olbrzymie fotele i szezlong Corbusiera. Miałam kłopoty z kręgosłupem, więc czytałam teksty, półleżąc na szezlongu, istna madame Récamier. Często tak przyjmowałam później redaktorki, które myślały, że udaję władczynię. Stałam więc przy tym oknie zajmującym całą ścianę, czułam się jak właścicielka dużej części świata. Wtedy wydawało mi się, że skończyły się wszystkie moje problemy, że jestem wygrana.

## Z NOTATNIKA EWY SZOT

Od jakiegoś czasu zaczęłam odczuwać w sobie dziwny rodzaj ssania. Ssącą pustkę, jeżeli mogę pozwolić sobie na tego rodzaju stwierdzenie. Kiedyś dość często czułam coś podobnego, tyle że nie w mózgu, a w dolnych partiach ciała, w samym środku środka, gdy zbyt długo nikt mnie nie posuwał. Wystarczyło znaleźć porządny kolek, żeby pozbyć się tej zgagi.

Obecne ssanie jest znacznie gorsze. Sprawia, że codziennie w momencie zasypiania spadam w przepaść, budzę się, lecąc, ciałem wstrząsa dreszcz, niestety nie jest to sen erotyczny. To zwątpienie. Wtedy czuję, że nie nadaję się ani do tej roboty, ani też do żadnej innej. Nie biorę prochów, boję się, piję. Zaczęłam łagodnie, białe wino przy łóżku, popalam jointa przy czytaniu książki. Rozluźniało mnie to. Przez jakiś czas, może pół roku. Potem zwiększyłam procenty. Dlatego postanowiłam pisać coś dla siebie. Robić notatki, nabrałam dystansu do tego, co robię, nie mam nikogo, z kim mogę pogadać o czym innym niż robota. Oprócz Igora nie spotkałam przez ostatnie lata nikogo takiego. Dopiero teraz pojawiła się Adela. Staram się pomagać jej przetrzymać ciężkie chwile. Ma męża z emde. Wokół mnie pełno jest kulawych kaczek. Kupuję dom, chyba panu o nim wspominałam? Będzie nas tam kilka. Ja też mam swój pokój, na wypadek gdybym chciała zanoćować



po wieczornym spotkaniu. Jednak wolę mieszkać sama.

Teraz sytuacja się zmieniła. Dowiedziałam się czegoś od Marianny Skiby, co może wywrócić moje życie do góry nogami. Dotąd nie mogłam nic zrobić. Nie wolno mi było wchodzić do tej rzeki.

Coraz częściej myślę o kondycji, w jakiej się znalazłam, czuję niebezpieczeństwo. Coś się czai, niepokój stał się moim towarzyszem. Rankiem mam ochotę zabić budzik jak wielką, brzęczącą muchę, nakryć się kołdrą na ucho i nie wstawać z łóżka. W ogóle. Już nigdy. Wcześniej w takich okolicznościach zawsze mogłam wziąć kogoś do łóżka, seks był naprawdę pomocny, jednak teraz nie mogę znaleźć nikogo takiego. Miałam kiedyś, jeszcze podczas studiów na polonistyce i potem, gdy pisałam doktorat, całkiem inną wizję własnego życia. Pracy nie skończyłam, leży gdzieś rozgrzebana, nawet nie wiem, czy podczas przeprowadzki zabrałam ją ze sobą. Chciałam zajmować się teorią literatury, co teraz wydaje mi się księżycowym pomysłem. Wciągnęły mnie wolny rynek i możliwości zarabiania naprawdę dużych pieniędzy. Nie narzekam, mimo uwikłania w taśmę produkcyjną „TopWoman”, chodzenia w kieracie, do którego sama się dzień w dzień zaprzęgam, czuję się wolna. Co miesiąc rodzi się bezmyślny bachorek, potworek na kredowym papierze, z lakierowaną okładką, z reklamami. Cóż, matki kochają swoje debilne dzieci. Mam problem z seksem. Duży. Nie dlatego że jest dla mnie nieważny, ale ostatnio nie układa mi się w łóżku.

## DRUGI MAŻ

Drugi raz Ewita wyszła za mąż z namiętności, źle obstawiła. On też źle obstawił. Sądził, że skoro jest młoda, była jeszcze studentką, to wychowa ją sobie, ulepi w wielkich, ciepłych łapach jak woskową laleczkę. Sparzył się tym gorącym woskiem, jakim się okazała. Nie żałowała go, bo był to wyjątkowy kutas. To określenie pasowało do niego, cały składał się z dużego kutasa, myślał kutasem, posuwał, co się dało, pracował jak maszyna. Był pod tym względem mechaniczny, ale wtedy gdy go poznała, to jej nie przeszkadzało, przeciwnie, tego szukała. Na samym początku swojej drogi łóżkowej miała marnych kochanków, niepewnych, ulegających jej kaprysom. Spotkała zdecydowanego samca i to jej odpowiadało. Pozwalała się używać, czuła się zaspokojona, nie szukała w nim ani czułości, ani partnera do rozmowy. Miała wokół siebie inteligentów, profesorów, czytała setki książek, nie potrzebowała bodźców intelektualnych, potrzebne było dokładnie to, co jej dawał. Nazywała go piłą mechaniczną, co go wcale nie obrażało. Nie zdawała sobie sprawy, że to zbyt mało, żeby starczyło na dłużej.

Nigdy więcej nie nabrała się już na związek, który doprowadziłby ją do ołtarza. Później, gdy stała się „kims”, zrobiła się bardzo podejrzliwa. Wydawało się jej, że faceci lecą nie na nią, lecz na to, kim jest i ile ma na koncie. Drugi mąż był rozwiedziony. Różności

się wcześniej o nim nasłuchiwała, nigdy nie kierowała się tym, co mówią inni. Oczywiście później, gdy zaczęły się dziać te upiorne rzeczy, przypomniawszy sobie ostrzeżenia. Wcześniej, jak większość drugich żon, wszystko bagatelizowała. Najgorsze zaczęło się, gdy się do niego wprowadziła. Póki mieszkała osobno i spotykali się na mieście, wszystko szło dobrze. Wynajmował pokój w hotelu i przez parę godzin tarzali się we wszelkich możliwych i niemożliwych układach. Wtedy nie zapraszał Ewity do siebie, bo walczył z żoną o mieszkanie. Gdy udało mu się ją razem z dziećmi przenieść gdzieś poza miasto, zaczął urządzać „gniazdko”. Ktoś, kto używa tego rodzaju określeń jak gniazdko, dwie połówki jabłka, teraz od razu wydałby się jej groteskowy. I podejrzany. W tamtym czasie jednak była impregnowana na język mimo studiów i zainteresowań literackich. Uważała takie określenia za staroświeckie i w jakiś sposób „urocze”. Teraz, gdy dostaje w redakcji do czytania teksty pełne słodkich wytrychów, ma ochotę gryźć i rzygać żółcią. Zagryza usta i czyta, wykreślając wytrychy, choć żeńska publika ceni łagodność na łamach, stroni od języka polityki, chce odpocząć przy ładnych damach z ich kochającymi mężami i nadzwyczajnymi pociechami. Młodzi dziennikarze śmieją się z tego, co piszą. Rywalizują w głupich tekstach.

## SRACZKA SŁOWNNA

Ewita przypomniała sobie, jak zaczynała pracę, prezes wołał: Spłycać! Spłycać! A gdy mówiła: Już nie mogę, odpowiadał: Jesteś inteligentna i wykształcona, to sobie poradzisz. Spłykanie trwa od tamtego czasu, i trudno czytać taką sraczkę słowną. Czasami trafia się na prawdziwego artystę, jakiegoś pomyłonego malarza, rzeźbiarkę, pisarza, pisarkę albo reżysera czy kompozytora. Okazuje się, że można zrobić całkiem niezły materiał. Zawsze jednak trzeba dać w numerze kretyński portret jakiejś modnej cipy, od której ktoś odszedł czy do niej wrócił, to sprzeda numer. Robi się obróbkę skrawaniem, zwłaszcza gdy „gwiazda” gra lub śpiewa od pół wieku. Jest popularna, lubiana, no i chcemy czasami pokazać, że ludzie w tym wieku ciągle żyją. Seniorzy są wśród nas, coś takiego! One chcą wyglądać na dwudziestki, wyszczuplamy talie, nogi w kostkach, wywabiamy zmarszczki, i taką, do oryginału niepodobną, idealną wersję dajemy na okładkę. Przyjeżdża banda, w której szefem jest fotograf ubrany w pokraczne ciuchy pokazujące, że jest artystą, zatrudnia pomagierów od świateł, trzymania ekranów, zjeżdżają stylistki, fryzjerzy, charakteryzatorki, z arsenałem środków odpodobniających fotografowaną osobę. Wchodzą do jej domu, o ile się zgodzi. Jeśli nie chce, bo się boi, że gawieź zobaczy na zdjęciu, jakie posiada skarby i może ją okraść, mamy scenografię, w której

urządza się salon. „Gwiazdy”, bo każda, która otarła się o serial, jest gwiazdą, rozkładają się na kanapie, pokazują nogi do pępka, odślaniają, ile się da. Na rozkładówce „urocza” rodzina z „uroczymi” dziećmi. Najgorsze, gdy zjawiają się rozpuszczone bachory aktorek, bizneswoman oraz innych superkobiet. Z rzadka sięga się po kogoś z innej profesji, na przykład gwiazdę sportu. Jeśli trafi się dziennikarka telewizyjna i radiowa, to ma na ogół chorobę nazywaną *horror vacui*, czyli lęk przed próżnią. Rano radio, w południe wywiady ze znanymi ludźmi, wieczorem program w telewizji. Taka osoba ma szansę dostać się nawet na okładkę. Rzadkość. Czasami zaprasza się młodszą pisarkę, jeśli dobrze wygląda. Może być starsza, pod warunkiem że sprzeda co najmniej milion książek albo dostanie nagrodę „najki” jak nazywamy Nike, bo to coś w rodzaju złotych butów do kariery. Dostaje sporą kasę, rośnie sprzedaż książki, jednym słowem, wchodzi do mainstreamu, zyskuje pozycję. Od wielkiego dzwonu na parę kolumn może załapać się noblistka albo naprawdę stara pisarka, lubiana i zasłużona. A jeszcze lepiej martwa, z którą wywiad przeleżał się kilka lat. Redakcje się w tym specjalizują. Mają półki potencjalnych umarłaków. Wtedy służy jako wzorzec osobowościowy. Widzicie kobiety? Jak się postaracie, też możecie się tak zestarzeć i umrzeć, a my o was napiszemy. Gówno prawda, bo takich jest kilka, są czynne, coś ciągle robią. Dbają o popularność. Reszta może co najwyżej zapisać się na uniwersytet trzeciego wieku, co zresztą dobrze służy długowieczności. Oliwi umysł, nie pozwala rdzewieć gnatom.

Ewita chciała pokazać te stare, żywe kobiety, prezesi wpadli w popłoch, że to się nie sprzeda, stracimy numer, czytelniczki odwrócą się od nas... I takie pierdoły. Udało się raz pokazać znaną didżejkę pod osiemdziesiątkę, to dla zarządu graniczy już z gabinetem osobliwości dla nekrofilów. Była też stara profesorka,

feministka, autorka stu książek. Raz na dwa lata pismo pozwalało sobie na taką ekstrawagancję.

## DOKTORZE BECHSTEIN...

Już pan wie, dlaczego to robię, dlaczego nie poszukam innej roboty. Mówiłam, ale powiem jeszcze raz. Podsumujmy.

Po pierwsze zarabiam tak, jak rzadko kto. Gdy mówimy, że nagroda Nike to jest niezła kasa, myślimy o szarej pensji szarego człowieka i do tego porównujemy te laury. Tyle zarabiam w ciągu miesiąca. A gdy jest premia, trafi się nagroda, czytelnictwo i sprzedawalność skoczy w górę, to i więcej. Czy w innym przypadku mogłabym latać do pana co miesiąc? Z pewnością nie.

Po drugie, lubię być szefową, nie umiałabym pracować jako czyjaś „podwładna”. Też dobre słowo, co? Podporządkowana, podwładna, podgrupa, podgardlanka, żarty, żarty, podległa, podlec, podgatunek, czyli kategoria niższa od gatunku, podkomendna, podkomorzy, co to służy u księcia. Być pod kimś? Być podczłowiekiem? Podludzie byli u tego kretyna Hitlera! Czuje pan to? Może są tacy, co lubią, ale nie ja. Gdyby prezesi wleźli mi na głowę, odeszłabym, ale nie jest im łatwo, postarałam się o taką umowę, że nie da się mnie wydymać. Nie jestem głupia. Mam udziały, współwłaścicielstwo, mogą mi naskoczyć!

Dlaczego tyle gadam o tych portretach, pociechach oraz gniazdku? Bo żona mojego drugiego, nieudanego, męża była ulubienicą mediów. Jest OK. Niegłupia. To, co o niej wtedy opowiadał, było wysrane z palca. Typowy bogaty pierdziel, biznesmen. Chuj z nim, żałuję, że jej nie wysłuchałam, nie chciałam się z nią spotkać, gdy się rozwodzili. Przyszła do mnie, ale udawałam, że nie ma mnie w domu. Teraz wiem, że kobiety powinny się wzajemnie słuchać, zwłaszcza gdy wchodzi w rolę drugich czy trzecich żon, konkubin albo kochanek. No więc po tych jego zmaganiach z żoną oraz dziećmi, które totalnie olewał, zamieszkaliśmy razem w „gniazdku”. Wtedy zaczęło się coś, co mnie zaskoczyło. Sądziłam, że takie rzeczy przytrafiają się innym. Wiedziałam, że tak się dzieje, że kobiety znoszą takich facetów, ale ja? Nigdy. Miałam rację w tym sensie, że szybko się pozbierałam.

„To nie jest odpowiednia partia dla ciebie” – matka od początku uważała go za prostaka, jednak wiedziała, że jak się uprę, to nic mnie nie powstrzyma. Może czuła, że chodzi o seks, że muszę przez to przejść? Moja matka, doktorze, wcale nie jest głupia. Udaje taką, bo jej wygodnie.

Po tym związku seks stał się dla mnie mało ważny, z pewnością nie jest najważniejszy, a jednak okazało się, że poza świadomością i kontrolą działa się coś, co spowodowało... Trudno było mi sobie wcześniej wyobrazić, że mogę tak się zachować.

Jestem szefową wielkiego imperium, mam dziesiątki pism i ciągle kupuję nowe. Czasami tylko po to, by je utopić i pozbyć się konkurencji. Niekiedy robię też tak jak Żelazna Suka Margaret, kupuję słabeusza, stawiam na nogi i puszczam na spienione szerokie wody. Ratuję, jeżeli to nie jest dla mnie konkurencja. Zostawiam pismo w naszym obiegu. Na czele stawiam sprawdzoną, zaufaną kobietę, tak, tak, zwykle kobietę, bo one są, mimo paskudnych niekiedy cech, wierniejsze. Lojalne. Wtedy mam



zaufanego człowieka i mogę omawiać strategię. Najlepszą dla naszej firmy, najgorszą dla konkurencji.

Wiem, że szefową się bywa, ale to nie jest cała prawda. Bywa się gdzieś, a potem jest się gdzie indziej. Trzeba mieć dużo hartu, spokoju ducha i cierpliwości oraz siły, żeby nie wziąć tego, co się pierwsze napatoczy. Umiejętność czekania też się liczy. Poza tym mam zabezpieczenie, dobrze ulokowane pieniądze, które na mnie wciąż pracują. Jestem już trzeci raz na stanowisku zarządzającej. Nie muszę na razie się za niczym rozglądać. Słyszałam, że mówią o mnie, że jestem Niedorzniętą Suką. Nic nie wiedzą. Przecież nie pozwalam sobie na numery na biurku! W firmie nie czuję do nikogo pożądania. W ogóle! Mogę dać panu słowo honoru, choć wiem, że to nic nie znaczy. Pewnie dlatego że cały dzień haruję, muszę czytać wszystkie przyniesione teksty. To szumna nazwa, na wyrost, tak określa się wszystko, całkiem dobre, zrobione rzetelnie tematy, ale też wycpiny na temat znanych osób, trociny z ukrytą reklamą oraz rzygowiny. Tak to widzę, znów narasta i narasta we mnie obrzydzenie, czuję, że nadchodzi czas, żebym się stłeniła. Mam pewne propozycje, ale na razie jeszcze ich nie rozważam. Jak Anna Wintour, zawsze z tą samą fryzurą dziewczynki, w ciemnych okularach, za którymi chowa zmarszczki, *Editor in Chief*, postrach projektantów i pokazów mody, zawsze w pierwszym rzędzie, ja także mogę redagować tylko dlatego, że chcę. Jednak ona nie jest moim wzorem. Nie mam autorytetów. Mogę jedynie cynicznie naśladować pewne zachowania, jeśli wiem, że to przyniesie korzyści. Nie zasuszę się jak kwiat w zielniku. Nie chcę być nieśmiertelną prezeską ani wieczną naczelną. Chociaż one mogą być stare i nikt nie chce się ich pozbyć. Wiedzą wszystko o sklepiku, jak nazywamy własną firmę. To sklepik z batonikami, żelkami i chipsami, a ja mam na oku coś lepszego. Nie powiem panu, bo nie chcę zapeszyć. Wierzę w magię bardziej niż w Boga.

W mojej firmie, jak w pigułce, odwzorowany jest porządek państwa. Cały system rządzący naszym koncernem przypomina strukturę władz państwowych. Mamy swoje działy jak ministerstwa. Gospodarkę, ministerstwo spraw zagranicznych, kultury, oświatę, zdrowie i służby specjalne. Tu się wszystko szpieguje, nagrywa, donosi, manipuluje. Nie mamy jedynie związków zawodowych. Nikt się nie odważył ich założyć. Są wywiad i kontrwywiad. Wiem, że prezesi cenią sobie intymną wiedzę o podwładnych i haki na kolegów. Mają to w sejfach. Na wszelki wypadek. Ja nigdy nie domagałam się donosów, tępiłam donosicielstwo. Cóż, kiedy są osoby, które czują się w obowiązku dostarczyć mi wszelkich informacji o bliźnich. Prawda, że bliźni kojarzy się z bliźną? Tak więc mam takich ludzi w swoim otoczeniu, którzy nigdy nie przejdą obojętnie obok kogoś. Zawsze, jeśli mogą, wyrządzą bliźniemu krzywdę, po której zostanie bliźna. Często motywem jest chęć podlizania się, choć akurat u mnie nic nie zyskują. Przeciwnie, jeśli już muszę kogoś wylać, wywalam donosiciela. Nie zawsze to się udaje, bo niektórzy mają plecy u prezesów. Niektóre i niektórzy śpią z nimi, bo nie mamy przesądów. Nie wiedzą, że to prosta droga do utraty roboty. Mam świetnych ludzi, kreatywnych. Niektóre osoby są leniwe, ale przynajmniej rozumieją, o czym mówię na kolegium. Mam dobrą szefową zespołu kreatywnego. Gdybym odpuściła choć trochę, nasze pismo nigdy nie zostałoby liderem na rynku ekskluzywnych magazynów. Dlatego muszę być Wredną Suką. Myślę, doktorze Bechstein, że w moim życiu szykują się wielkie zmiany. Kto wie, czy następnym razem nie pokażę się panu w nowej roli?

Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Przemyślałam wszystko ostatnio, słuchając Koncertu skrzypcowego Mendelssohna, grał Vadim Gluzman, na średniowiecznym stradivariusie. Skrzypce śpiewały. To wirtuoz, niech pan go posłucha. Stał się cud. Przy tej

muzyce zrozumiałam, że mogę wreszcie zrobić to, o czym myślę od lat.

## SZTUCZNA PLAŻA

Dzień wstał jasnoniebieski, bardzo słoneczny. Gabrysia Mzawka wpadła do redakcji, pogadała, sprawdziła pocztę w swojej przegródce, bo jeszcze wciąż przychodziły worki odręcznie pisanych listów i kartek. Dostawała ich dużo, bo starała się pisać o „prawdziwym życiu”, choć dla wymogów pisma nieco podretuszowanym. Robiła dużo szumu, chodziła po pokojach, głośno się witała, zachowywała się jak ktoś, kto obmyśla morderstwo z premedytacją, ustala kolejność zdarzeń. Chce zapewnić sobie alibi, gdy już znajdą się zwłoki i do akcji wkroczy dociekliwy komisarz.

Potem urwała się po cichutku, mówiąc do ucha sekretarzowi redakcji, że jedzie na umówiony wywiad. Podjechała dwa przystanki autobusem, nie opłacało się zabierać skutera, nie było go gdzie zaparkować. Wczoraj też udało się jej poleżeć godzinkę. Mówiła, że kocha słońce, chyba jednak bez wzajemności, bo kancerowało jej twarz, wyglądała jak ocalała z pożaru. Trzeba poczekać, aż trochę zbrązowieję, myślała, spoglądając w lustro. Gabi była bardzo niecierpliwa, miała zasadę robienia wszystkiego „na maksa”, także opalała się do kresu wytrzymałości skóry. „TopWoman” co roku publikowało artykuły na temat szkodliwości przebywania w południe na słońcu, straszyło czytelniczki czerniakami, pisząc w trybie

rozkazującym: UŻYJ kremu z faktorem, jeśli jesteś blondynką albo rudą – co już, nie daj Boże – UŻYWAJ kremu UVB 50+, SMARUJ ciało po powrocie z plaży kremem takim czy owakim... OBSERWUJ swoje znamiona... Przy okazji reklamowano kremy z wysokim faktorem, te po opalaniu i różne inne preparaty. Gabi, która zrobiła nawet wywiad z pewną „gwiazdą” show biznesu, leżącą w szpitalu po rozpoznaniu czerniaka, uważała, że to jej nie dotyczy. Czytała też o nowych badaniach, które wykazały, że słońce jest zdrowe, dostarcza witaminy D<sub>3</sub>, niezbędnej do prawidłowego rozwoju, budowy kości, i że wszyscy w naszym klimacie mają jej za mało. Winą doktorzy obarczali antysłoneczne nastawienie, prawdziwą histerię panującą od wiosny do jesieni. W czasie modnej bladości godnej bohaterów filmów o wampirach sprzedaż kremów ochronnych skoczyła pod słońce! Produkowano nawet specjalny krem na włosy. Pisma wyraźnie podbudowały kruche finanse, wzrosło zapotrzebowanie na samoopalacze. Firmy kosmetyczne i farmaceutyczne ledwo nadążały z produkcją. Z jednej strony straszono rakiem skóry, zalecano zdrowy tryb życia bez słońca, malowanie ciała preparatami brązującymi, z drugiej przebywanie na słońcu z grubą warstwą kremu z faktorem, który należało kłaść po każdym wyjściu z morza czy basenu. No i oczywiście polecano picie hektolitrów wody. Niegazowanej. Gabrysia piła wyłącznie gazowaną, tak jak Ewita. Obie wiedziały, że jest zdrowsza i lepsza. Były kiedyś na wielkim party w jednej z najważniejszych firm na rynku, produkujących napoje. Gdy większość gości już poszła, w małej salce dla wybranych urządzono „ekskluzywne” spotkanie, były występy, kolacja na poziomie, a nie catering, dobre alkohole. Towarzystwo rozkrochmało się po tym wszystkim, śmiano się z niektórych, że są nawaleni nie w 3D, ale w 4D. Przyszedł czas na wodę. Na stołach stała wyłącznie zdrowa, niegazowana. Szef oddziału zawołał kelnera, kazał ją sprzątnąć i przynieść gazowaną. Ewita zawsze piła

„bąbelkowaną”, Gabrysia, która uległa modzie, uważała, że pęcherzyki źle działają na trawienie, przemianę materii, dając w efekcie tuszę. Spytała więc siedzącego obok producenta wody, skąd ten odwrót, wśród profesjonalistów, jak się wyraziła.

– To bardzo proste, nie domyślasz się? – spytał. Pokręciła głową. Nie była w tym stanie skłonna myśleć.

– Chcę się dowiedzieć u źródła – odpowiedziała żartem.

– Ta woda, słonko, zamknięta w butelce ma ważność roku albo i lepiej, czy nie?

– Chyba tak.

– Wyobrażasz sobie stojącą wodę szczelnie zamkniętą przez rok? Po dwóch miesiącach byłaby zielona, szlam masz jak w banku! Jak lubisz niegazowaną, to otwórz taką z bąbelkami, postoi chwilę i masz!

Od tamtej pory Gabrysia stała się zwolenniczką wody gazowanej, taką nosiła w torbie. Hołdowała też staremu sposobowi opalania się, leżenia na piasku do czasu, aż podlewane oliwką ciało zacznie skwierczeć. Wtedy zgodnie z zasadami smażenia trzeba je było obrócić na drugą stronę. Niestety, nie kroił się jej na razie wyjazd nad morze ani nad ocean. Ewita sama chętnie latała do NY na tygodnie mody i do Kalifornii na śluby znanych ludzi z branży, wśród których miała wielu przyjaciół. Dla Gabi zostały wypadki z modelkami na Teneryfę, a teraz tylko ta sztuczna plaża z nawiezionym skądś żółtym piaskiem. Dobrze i to w środku miasta.

Z mostu nad Wisłą, którym przejeżdżają autobusy, tramwaje i samochody, widać brzegi rzeki. Mało kto tędy chodzi. Biegnie jogger ubrany w podkoszulek i krótkie, szerokie szorty. Mija go rowerzysta w czarnym kasku, wielki owad z kreskówki, pędzący rowerem. Pośrodku mostu oparty o poręcz stoi mężczyzna. Ma na sobie czarne spodnie i ciemnoszarą bluzę z kapturem. Wpatruje się w sztuczną plażę usypaną z piasku. To, że Gabi urwała się z roboty,

nie znaczy, że nie pracuje. Jest uważna, nic się przed nią nie ukryje. Postanowiła napisać o ludziach nad Wisłą. A tu jak na zawołanie trafia się być może samobójca.

Podchodzi więc do stojącego przy balustradzie mostu faceta i pyta, czy czegoś mu trzeba.

– Na pppewno nie ciebie – odpowiada, wychylając się mocno przez barierę.

– Możesz być miłszy? Ratuję ci życie! – Chwyliła go za bluzę i przytrzymała.

– Odpieprz się, chcę spokojnie popatrzeć w wodę.

– Nie wyglądasz na spokojnego.

– Wkurzasz mnie!

Nagle się odwrócił, chwycił ją żelaznymi łapskami w pasie, uniósł i usiłował wystawić przez barierę mostu. Trzepnęła go z całej siły w pysk. Wtedy postawił ją na wąskim chodniku.

– Może pprzestaniesz się wppierdalać w cudze życie – zająknął się.

Gabrysia pomyślała, że jest jąkałą, który przeszedł przez logopedę, jednak w chwilach stresu jąkanie wraca.

– Jestem dziennikarka, wpieprzanie się to mój zawód.

– Chcesz mieć o czym pisać? Załatwię ci to.

Usiłował wdrapać się na poręcz mostu. Gabrysia go przytrzymywała. Szarpali się aż do nadejścia dwóch policjantów. Podeszli powoli, zasalutowali, poprosili o dokumenty. Zaczęła szukać portfela w swojej ogromnej torbie. Facet nawet nie sięgnął do kieszeni. Znalazła legitymację prasową.

– Pani redaktor! No proszę! – powiedział jeden z policjantów z lekką ironią, ale i rodzajem szacunku w głosie.

Gabrysia wiedziała, że musi sprawę załatwić od razu, żeby nie wylądować razem z tym obcym człowiekiem na posterunku. Nie wiedziała, czy przypadkiem on nie ma czegoś na sumieniu, może

jest poszukiwany listem gończym? Ten kaptur mógł służyć do zasłaniania twarzy, gdy wchodzi do kantoru ze straszakiem albo z ostrą bronią. Chyba nie ma broni? Podobał się jej, nie zamierzała zostawić go na pastwę policji.

– Robiłam kiedyś wywiad z porucznikiem, antyterrorystą na temat samoobrony dla kobiet. Chodziło o przemoc – pochwaliła się.

Wiedziała, że nie należy strzelać z grubej rury, chwalić się znajomością z komendantem. Z pewnością także nie z generałem, jej dobrym znajomym, z którym ucieła sobie romans, krótki jak popołudniowa drzemka. Potem się zaprzyjaźnili, seks pojawiał się tylko od czasu do czasu. Miała od niego mnóstwo informacji. Spotkania były półtajne, nie z powodu wagi tego, o czym rozmawiali, lecz z powodu żony generała, według jego słów, patologicznej zazdrośnicy. Gabrysia i tak czuła się jak Pola Negri. Nie pisnęła słowa o swoim ojcu, który był szefem wydziału zabójstw. Umarł niedawno, pracował do końca, mogli go znać, kto wie, czy nie załazł im za skórę. Poza tym martwy nie był już groźny, a jego córce można było dokopać. Tak więc, dla zasady i z wyrachowania, nigdy nie chwaliła się ojcem.

– Tu też była przemoc, szarpanie było – powiedział drugi policjant.

– Eee, to nasza zwykła sprzeczka, u nas jest przemoc za przemoc, nie ma ofiary, no panowie, proszę spojrzeć! Czy ja wyglądam na ofiarę? Ten mój kochany kretyn straszy mnie, że jak go rzucę, to on się rzuci z mostu! – Przyjęła postawę obronną, piersi do przodu, pięści zaciśnięte w boksyerskim geście.

– Rzucę się, jak zostanie ze mną – żartem podjął temat.

Policjanci się roześmiali. Atmosfera się zmieniła.

– To są jego metody, jak coś mu nie gra, ułatwia się z domu i przychodzi nad Wisłę, to jego metoda, jak szef go obsobaczy, to na mnie się wyżywa, nie pierwszy raz go tu znajduję, mogą panowie mi



wierzyć, potem idzie do knajpy i wraca na miękkich nogach, powinien raz postawić się szefowi, ale się boi, że straci robotę, sami wiecie, jak to jest, chodź do domu, no już dobrze, już dobrze, Misiaczkule!

Zdała sobie sprawę, że nie wie, jak on ma imię. Zaczęła głaskać go po głowie, objęła i pocałowała w policzek. Był od niej młodszy o kilka lat, ale przecież takie związki się trafiają. Ludzie z policji niejedno widzieli podczas interwencji.

– No, już Misiaczek się uspokoił, dzięki za pomoc – zwróciła się do policjantów. – Bardzo panowie czujni. Dzięki.

Policjanci oddalili się równie statecznie, jak podeszli.

– Chodź na leżak, uratowałam ci życie. I tyłek przed policją. Postawisz mi piwo, a na razie zgrywajmy pogodzoną, szczęśliwą parę. Oni nas jeszcze widzą.

– Weźmiemy leżaki, pod warunkiem że będziesz siedziała tyłem do słońca. Wyglądasz jak z grilla zdjęta.

Ciągle stali i patrzyli z mostu na stateczki kursujące jak tramwaje i łodzie ratownicze. Na sztucznej plaży stały leżaki, po dwa, po trzy, trochę pojedynczych. Ustawione bez żadnego porządku. Na nich bezwładne ciała, podrygujące w rytmie, którego inni nie słyszeli.

– Czy nie wyglądają jak wariaci? – spytała Gabi.

– I ty to mówisz? Ty jesteś ta jedyna normalna? – Zaśmiał się.

Zeszli nad rzekę. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że ci ludzie mają słuchawki na uszach. Niektórzy ubrani niekompletnie, inni rozebrani prawie do naga. Większość miała ciemne okulary. Słońce odbijało się w okularach i w rzece. Na kolanach lub brzuchach różnego rodzaju gadzety elektroniczne. Niektóre pulsowały, inne grały, brzęczały jak owady lub ćwierkały. Te odgłosy przypominające prawdziwą przyrodę mieszały się ze skrzeczeniem rybitw i gawronów, które krążyły nad rzeką. Czarno-biały ptasi świat.

Wzięli dwa leżaki i poszukali miejsca. W cieniu. Rosła tu mała

wierzba o podłużnych srebrnych liściach. Rozłożyli się pod nią.

Parę metrów dalej para młodych ludzi okupowała ocalały, niezasypany piaskiem, jeszcze niezagospodarowany trawiasty kawałek. Dziewczyna miała mniej niż dwadzieścia lat, chłopak podobnie. Gabrysia obserwowała jego rękę wędrującą pod jej szeroką, uniesioną do pół uda, powiewną spódnicą. Dziewczyna odchyliła głowę do tyłu, szukała paska jego spodni, znalazła, rozpięła, włożyła dłoń i zaczęła gwałtownie go pieścić. Mechanicznie. Odwróciła się na bok. Chłopak się przytulił się do niej szczelnie, metodą na łyżeczkę. Szeroka spódnica zakrywała to, co się pod nią działo. Nie padło ani jedno słowo. Spódnica falowała powoli. Gabrysia fotografowała ich niezauważalnie. Potrafiła to robić w każdej sytuacji. Rybitwy, krzycząc, przepędziły gawrona.

– Zazdrościsz im? – spytał niedoszły samobójca.

– Ja?

– A jest tu ktoś jeszcze? Już nie musisz odpowiadać, wiem, że tak.

– Może. – Znów zrobiła kilka fotek.

– Przestań ich fotografować. I tak tego nie opublikujesz!

Młode ciała się rozłączyły. Odsunęły od siebie. Ręka dziewczyny sięgnęła do stojącej obok torby, gmerała w niej na oślep, tak ja zawsze robi to Gabrysia. Znalazła serwetki. Jedną rzuciła chłopakowi, drugą wycierała się pod spódnicą. On też się wytarł, potem wstał, wziął od dziewczyny mokrą chustkę w dwa palce, jak szczura za ogon, i poszedł w kierunku kosza na śmieci, stojącego nieopodal. Wyrzucił chustki. Nagle wszyscy usłyszeli niepokojący łoskot tłuczonego szkła. To dzwonek telefonu. Chłopak wyjął telefon z kieszeni spodni. Zaczął rozmowę. Dziewczyna wyciągnęła w jego kierunku szyję. Jak do słońca, ale nie słyszy jego głosu, on odchodzi w kierunku rzeki, odpowiada po cichu, monosylabami. Para nibykochanków obserwuje tę scenę.

– Mam na imię Gabrysia – mówi Gabi, pochylając się w kierunku

faceta, z którym przysła na plażę.

– A ja nazywam się Misiaczek! – Skłonił ceremonialnie głowę, śmieje się.

– Nie wygłupiaj się, powiedz.

– Nie mogę, boję się, że się nie odczepisz, zaczniesz mnie ścigać z tym twoim koszmarnym aparatem, i nie dasz mi żyć.

Obrażona Gabi wstaje, wkłada swoje klapki, wrzuca aparat do torby i chce odejść. Misiaczek chwyta ją za rękę i pociąga na trawę.

– Zero poczucia humoru i nadwrażliwe ego – podsumował ją.

\*

Tam gdzie rosną bujne krzewy, niedaleko od brzegu, powstała wyspa. Gdy woda przybiera, zalewa ją i wyspa staje się niewidoczna. Teraz pod małą wierzbą o wąskich liściach, jedną z tych, które same się tu wysiały, siedzi na składanym krzeselku mały człowiek z bródką. Trzyma przedpotopową lornetkę, ciągle od nowa nastawia ostrość, jest niezadowolony z efektów. Rumiany krasnal w białym, aż świecącym podkoszulku, mimo upału nosi na czubku głowy wełnianą czapkę. Jej czerwień spłowieła od słońca. Nie zdjął zielonych paramilitarnych spodni, podciągnął jedynie nogawki do kolan. Grube skarpety zwinął w rulonik nad kostką. Sandały domowej roboty, z parcianych pasów, na grubej gumowej podeszwie wyciętej z opony ustawił na wyciągnięcie ręki. Obok leży kurtka, jakby wyjęta ze śmietnika, a może wcale nie „jakby”, ale po prostu wyjął ją stamtąd. Wskazuje na to zapach. Z rękawa leżącej kurty wystaje ostrze noża. Wędką ustawioną nad brzegiem czeka na głupotę ryby, która weźmie kawał wijącej się glisty za swój posiłek. Brodacz z rudawymi włosami siedzi samotnie, zamknięty w kuli własnego smrodu, która jak wyspa zabezpiecza go przed zbliżeniem

się obcych. Chroni w ten sposób przestrzeń osobistą, którą, jak widać, ceni bardziej niż wszystkie inne wartości razem wzięte. Żeby się do niego dostać, trzeba by przy płynąć łodzią lub brodzić przez wodę, Bóg raczy wiedzieć jak głęboką. Pozornie płytka w tym miejscu rzeka, bywa jednak zdradliwa.

– Ciekawią mnie tacy ludzie, chciałabym dowiedzieć się, co go doprowadziło do stanu i miejsca, w którym się znalazł. Chętnie zrobiłabym z nim rozmowę, duży wywiad, nawet napiłabym się z nim wódki z gwinta – powiedziała Gabrysia, wskazując łowiącego ryby człowieka, który właśnie wyjął butelkę z papierowej torby i pociąga kilka łyków.

– Nikt nie chce o tym czytać – mówi jej towarzysz.

W tym czasie dziewczyna na trawie rozebrała się, zdjęła także stanik. Opala się. Chłopak po skończonej rozmowie wraca do niej, siada obok.

– Chcą cię poznać – mówi do niej.

– Kto?

– Jak to kto? Moi starzy. Głównie matka rządzi.

– Nie mówisz poważnie.

– Powaga – odpowiada on.

– Moi nie wiedzą nawet, że istniejesz.

– Inny układ.

– Ja nie wchodzę w układy ze starymi.

– Moi się interesują.

– Chcesz powiedzieć, że twoi są lepsi? Dlatego że twoja matka jest znaną pisarką? Sądzisz, że każdy od razu się ślini, że pozna znaną osobę?

– Przestań. Chcę powiedzieć tylko tyle, że chcą cię poznać. Zapraszają nas na obiad.

– Tego ze mną nie uzgadniałeś! – Jest zniecierpliwiona, podnosi głos.

– Co miałem uzgadniać, nie wiedziałem, że coś planują.

– Wynika z tego, że musiałeś im o nas mówić.

– Nie musiałem. Chciałem. Powiedziałem tylko, że z kimś się spotykam, z kimś, na kim mi zależy.

Dziewczyna wstaje, zaczyna się ubierać, wkłada stanik, podkoszulek i szeroką spódnicę. Pakuje torbę plecaczek. Zakłada na jedno ramię.

– No to ja spadam! – Odchodzi.

Chłopak kładzie się na brzuchu, patrzy, jak ona wspina się na bulwar. Bierze telefon, wyciska numer.

– No to jak? Kiedy? Kiedy masz zamiar wrócić do domu? – pyta. Ktoś długo coś mówi, opowiada, słychać trzaski kobiecego śmiechu.  
– OK. Będziemy. Tak, tak, tym razem na pewno. Pogodzisz się z ojcem? Czy ta Wredna Suka też ma być? On jej nie znosi. Oszczędź nam waszych spięć, bo dziewczyna się przerazi, pomyśli, że jestem taki jak wy! OK, OK! – mówi, kładąc telefon obok siebie, przewraca się na plecy. Zamyka oczy i chłonie słońce.

Gabrysia widzi i słyszy wszystko, trochę im zazdrości. Gdyby była teraz sama, podeszłaby do chłopaka i zrobiła z nim krótką sondę. Zaraz, zaraz, przecież zna tego młodego! To syn Adeli, jeden z bliźniaków. Ciekawe, czy Adela zdaje sobie sprawę z tego, co synek robi przed południem? Będzie temat do rozmowy.

Ani trochę nie żałuje, że urwała się z pracy. Ma pomysł na kolejny wywiad. Stosunki między rodzicami i dziećmi. Matki i synowie. Patrzy na leżącego obok niej mężczyznę: ma przymknięte oczy, oddycha płytko, równo, spokojnie. Może zasnął? Mógł mieć ciężką noc. Bezsenną. Myślał pewnie, co ze sobą zrobić. Co dalej? Gabrysia wie, że ludzie mają takie myśli. Sama też miewa doły, ale nigdy takie, żeby się ewakuować z tego padołu na dobre. To nie dla niej. Ona wie, że następnego dnia może dostać od Ewity zadanie i bilet do Tokio albo przynajmniej do Rygi. Będzie musiała się spakować

i niedługo wylądować w Rydze albo w Istambule. Ta Wredna Suka wyśle ją tam, gdzie nikt nie chce lecieć, bo jest nudno albo niebezpiecznie. Gabi lubi wysokie ciśnienie, adrenalinę na granicy udaru. Była w Wietnamie, w Australii. Na wszystkich kontynentach. Wszędzie robiła reportaże. Dotarła nawet na misję na Grenlandii. Dookoła mróz, a jej było za gorąco w śpiworze z szefem misji. Fakt, że była wtedy młodsza, faceci do niej Ignęli. Wybierała sobie niektórych, w łóżku dowiadywała się rzeczy, o których nie wiedziała. Ile razy leciała samolotem, wsiadała do pociągu czy do samochodu? Nigdy tego nie policzyła. Jak Holly ze *Śniadania u Tiffany'ego* powinna mieć wizytówkę: Gabrysia Mżawka, zawsze w podróży. Często latała z ważnymi osobistościami, знаła wszystkich prezydentów, premierów i ministrów. Wyższych i niższych urzędników. Udało się jej przy okazji robić też ambitne reportaże. Tak jak kiedyś w RPA, gdy oddała się z hotelu na własną odpowiedzialność. Przeżyła godziny grozy i nie wiedziała, czy nie są to ostatnie chwile w jej życiu. Było ostro, jednak ona głęboko wierzy w swoje przeznaczenie, w to, że nie umrze podczas zbierania materiałów. Nie brała w ogóle śmierci pod uwagę. Kwękała, narzekała na sto dolegliwości. Albo twierdziła, że poprzedniej nocy umierała z kompletnego wycieńczenia po biegunce i rzyganiu, gdy najadła się łososia i sushi z cateringu, a wiadomo, że to żarcie stoi kilka godzin, czekając na zakończenie części oficjalnej. Wtedy wygłodzony dziennikarski tłum rzuca się do stołu, żeby się najeść za darmo. Gabi była w tym mistrzynią. Następnego dnia zjawiała się w redakcji z zielonkawą twarzą. Była słaba, słała się, opierała o ścianę, ale miała sposoby, żeby się zreanimować. Brała trzy aspiryny i popijała posłodzoną miodem herbatą z koniakiem.

Coś takiego mogła zaoferować Misiaczkowi. Mogła nie mieć w domu pieczywa, jajek czy mleka, ale herbatę, aspirynę i koniak miała zawsze. Na szklankę herbaty, pół szklanki koniaku i stołowa

łyżka miodu. Miód rozpuszczała dopiero po wlaniu koniaku, żeby wrzątek nie zabił jego wartości. Małymi łykami popijała trzy aspiryny. O zdrowych sposobach odżywiania wiedziała wszystko. Propozycja wyjazdu do Tybetu przywróciła wtedy rumieńce na jej blade policzki. Zawsze przechodziło jej wszystko, nawet wysoka gorączka, jeżeli nadarzała się okazja podróży, perspektywa lotu stawiała ją natychmiast na nogi. Miała zaprzyjaźnionych lekarzy, aptekarzy, dostawała jakieś zabójcze środki, takie, po których zrywała się z łoża bóleści. Miała pod ręką, w szufladce stolika na giętych nóżkach, arsenał tego rodzaju.

– Umrzeć? To dobre dla mięczaków. Pójście na łatwiznę! – odezwała się nagle do siebie i do śpiącego obok na leżaku.

Nie wyglądał już na tego, kim był przed godziną, na stojącego na moście i patrzącego w rzekę jak w dół wykopanego przed chwilą własnego grobu. Szukał w wodzie odpowiedzi na niezadane pytanie. A może zmylił ją jego ponury wygląd? Może wcale nie chciał się rzucić z mostu. Chyba nie jest niedoszłym samobójcą. Kim właściwie jest? Co robi w środku dnia na moście? Przystawiła swój leżak bliżej tajemniczego mężczyzny, o którym prawie nic nie wiedziała. Wszystko to są domysły. Pogłaskała go po ręce. Czujnie otworzył oczy. Popatrzył w jej twarz. Zastanawiała się, co powinna zrobić, żeby zatrzymać przy sobie tego przypadkowego przechodnia, który przystanął na moście. Chciało się jej śmiać, ale nagle zapłakała. Nie wiedziała, dlaczego płacze. Szłocha. Spadało z niej napięcie, bo zdała sobie sprawę, że gdyby nie wyszła z redakcji, może nigdy by się nie poznali, a ona przeczytałaby w „Gazecie Stołecznej” o zwłokach wyłowionych w pobliżu sztucznej plaży. Była wściekła, że otworzył oczy właśnie teraz, gdy z lewego oka popłynęła jej łza. Kiczowata łza. Sentymentalna Suka, pomyślała o sobie samej. Ze złością wycierała oko pięścią. Jak dziecko. Dłoń była czarna. Tusz, który kupiła taniej jako wodoodporny, taki nie był,

choć może to sól, łzy są słone.

– O, kurwa, cały tusz się rozmazał, jak ja się pokażę w redakcji, ta Wredna Suka Ewita mnie przeklnie, miałam być u niej godzinę temu! – opowiadała mu, jakby znali się od dawna, jakby we wszystko był wtajemniczony, a przecież nie miał pojęcia ani kim jest Wredna Suka Ewita, ani jaka to redakcja.

Gabi sięgnęła po olbrzymią torbę, szukając na oślep, jakimś jakby archetypicznym gestem, tak jak wcześniej ta młoda dziewczyna, znalazła chustki higieniczne. Białym rąbkiem ścierała spływające czarne łzy.

– Nigdy nie widziałem kobiety płaczącej jednym okiem.

– Może mam drugie szklane? Przyjrzyj się.

Ukląkł przy niej i nagle pocałował w to drugie, suche oko.

W taki dość przypadkowy, ale znaczący sposób, Gabrysia Mżawka znalazła swoją kolejną, tym razem sądziła, że już ostatnią miłość.



## SENSACYJNY WYWIAD GABRYSI MŻAWKI

Gabrysia Mżawka czeka na swoją nową ofiarę. Będzie nią tym razem Bartosz Chruścik, pochodzący z Chruścisk Wielkich młody profesor matematyki. Zajmuje się czymś tak dziwnym, że Gabi nawet po przeczytaniu notki na temat jego pracy nie stara się zrozumieć, o co chodzi w tej teorii węzłów. Może on sam jej wytłumaczy. Gabrysia w wywiadzie nawiąże oczywiście do węzłów małżeńskich. Uważa, że to może go rozbawić i rozluźnić atmosferę. Tak będzie chyba dowcipnie. Spyta, co on sądzi o więzach w ogóle, w końcu zgodził się udzielić wywiadu ekskluzywnemu magazynowi lajfstajlowemu, z imperium Ewity. Szefowa jest niezwykle zainteresowana tym chłopakiem, chodzi chyba o prestiż pisma. Poszła nawet na wręczenie dyplomu i nagrody dla najlepszych młodych uczonych do pałacu prezydenckiego. Pojechała tam z matką chrzestną Bartosza Chruścika, mieszkającą w pobliskiej wsi. To Marianna Skiba z Święcimerza, jakaś prawdziwa chłopka w śmiesznym stroju, w czarnym kapeluszu, zakiecie z czasów arki Noego i czarnej spódnicy malowanej w białe piórka. Wywołała sensację w redakcji, każdy miał nagle powód, żeby przyjść do pokoju dla gości, w którym siedziała, i ją obejrzeć. Teraz nawet na wsiach kobiety się tak nie ubierają, dostępność telewizji zrobiła swoje, gust się ujednolicił.

Raczej bezguście, myśli Gabi. Jednak strój Marianny i w ogóle całość, wygląda stylowo. Można by ją pokazać nawet w „TopWoman”, choćby jako ciekawostkę, pokazującą, że nadal istnieje jeszcze inny, prawdziwszy świat. Jej nieumalowana, surowa twarz, jak z dokumentalnego filmu o amiszach, czy kimś w tym rodzaju, byłaby przeciwwagą do pieprzonych „gwiazd”. Gabrysia robiła podchody, podpytywała, czy Marianna nie chciałaby opowiedzieć o chrzestnym synu, ale ta popatrzyła na nią w taki sposób, że nietracąca nigdy bezczelności dziennikarka zamilkła na parę sekund. Ewita przywołała ją do porządku, mówiąc, że nie każdy jest na sprzedaż. Wyglądało, jakby się dobrze znały. Naczelna wyciskała ją na powitanie jak nigdy nikogo. Przynajmniej Gabi takich czułych uścisków sama nigdy nie doświadczyła ani też nie widziała.

Bartosz Chruścik jest laureatem nagrody porównywalnej z Noblem, a nawet, jak mówią znawcy przedmiotu, ważniejszej – bo Medal Fieldsa przyznawany jest nie co roku, ale raz na cztery lata. Tylko do czterdziestki. Gabrysia, jak zawsze, przygotowała się do rozmowy. Zrobiła notatki. Już wie, kim był John Charles Fields, nigdy wcześniej się tym nie interesowała, nie słyszała o jego nagrodzie, a okazuje się, że to wielka postać. Urodził się w Kanadzie w roku powstania styczniowego. Ten medal ufundował na krótko przed śmiercią, w roku 1932, gdy poczuł, że koniec się zbliża. Gabrysia pomyślała o swojej matce, która, jak się później okazało, na dzień przed śmiercią wezwała notariusza i zmieniła testament na korzystny dla córki. Dzięki temu Gabrysia ma drugie mieszkanie, jest zabezpieczona na przyszłość. Niezależna, nie musi łaścić się do żadnej Wrednej Suki. Mogą jej nagwizdać. Jak będzie miała dość, pokaże faka i wyjdzie z imperium. Będzie pracowała jako wolny strzelec, kto wie, czy nie wyjdzie na tym lepiej. Może napisze książkę. Od dawna ma plan. Skończą się głupie wywiady

z serialowymi gwiazdami i sondy na tematy, które ma głęboko w dupie. A nawet jeszcze głębiej. Ta rozmowa z laureatem będzie inna, bo ona lubi ludzi spoza branży, spoza szołbiznesu. Rzyga już modelkami, piosenkarkami i aktorkami. Żeby to były chociaż ambitne czy stare, dobre aktorki, ale nie. Publika żąda kretynek.

W sprawie Medalu Fieldsa co cztery lata powołuje się specjalny komitet. Wyłania go Międzynarodowa Unia Matematyczna. Tu nie ma miejsca na żadne przekręty, nie przeciąga się żaden hochsztapler. Na międzynarodowym kongresie matematycznym wręcza się medal najwybitniejszym uczonemu. To nadzwyczajne, że dostaje go taki młody człowiek. Wygląda jak uczeń, a do tego pochodzi z zapadłej dziury, chociaż jej nazwa ma w sobie słowo Wielkie. Urodził się w Chruściskach Wielkich, pewnie w odróżnieniu od Chruścisk Małych. Gabrysia mogłaby przyjąć zakład, że obok leży jeszcze większa dziura, Chruściska Małe. Sama zrobiła „risercz”. Ma zacięcie detektywistyczne, zaczynała jako dziennikarka śledcza. Sprawy kryminalne były ciekawsze od celebryckiego ple-ple. Bartosz chodził do dobrego liceum w małym mieście, Gabi tam pojechała, żeby wypytać o niego nauczycieli. Był zdolny, zwłaszcza dobrze mu szły matematyka i fizyka. Do innych przedmiotów specjalnie się nie przykładał. Nauczyciele mówili, że żył w swoim świecie. Interesował go głównie kosmos, powiedziała fizyczka. Szeroko pojęty, dodała polonistka, bo lubił też czytać. Gabi zahaczyła o Chruściska Wielkie, pod adresem mieszkał już ktoś inny. Podobno gdy matka umarła, jego ojciec bardzo szybko ożenił się po raz drugi i wyjechał do Niemiec. Wiele domów stało tam opuszczonych, bez szyb, wypatroszonych przez okoliczną ludność. Zabrali wszystko, co się może przydać, a przydać może się wszystko. Ziało kosmiczną pustką. Z życiorysu opublikowanego w Almanachu i na stronie internetowej wynikało, że Bartosz dwa lata studiował w Niemczech, potem był Oksford, później CERN w Szwajcarii, profesura i wreszcie

Stany.

Żeby zrobić karierę, trzeba być z prowincji, ale szybko z niej wyjechać, Ewita powiedziała tak na kolegium przy okazji omawiania sylwetki portretowanego właśnie Bartka Chruścika. Sama też pochodzi z jakiejś dziury mazowieckiej, rzadko o tym mówi, a już jej rodzina to tajemnica strzeżona jak słynny Graal, poszukiwany przez króla Artura kielich z kroplami krwi Chrystusa, jakie spłynęły z lancy, tej samej, którą przebito mu bok. Gabi wie co nieco o pochodzeniu Ewity, bo zbadała to już dawno. Poznała nawet jej matkę, udając, że szuka jakiegoś adresu. Otwarta kobieta, ubrana w drogie ciuchy, zrobiona na maksa. Twarz, biust, biżuteria. Wyglądała na dość młodą. Musiała mieć dzieciaka bardzo wcześnie. Może błąd młodości. Nazwisko Szot było na drzwiach. Rozmawiały na progu, z głębi mieszkania wyłonił się ciekawski, lekko szemrany facet. Z pewnością nie ojciec Ewity, młodszy od jej matki o jakieś dziesięć lat. Minimum. Gabi miała dobre oko, rzadko się myliła. Nie zauważyła żadnego podobieństwa między tą wystrojoną kobietą a stylem Ewity. Nie przyznała się nigdy, że weszła w rodzinny mieście szefowej. Nie pisnęła słówka, zresztą nie było o czym. Sprawdziła też kilku facetów o nazwisku Szot, jednak żaden nie był ojcem Ewity.

\*

W eleganckim hotelu organizuje się konferencje, a w restauracji na dole często spotykają się znajomi z fejsbuka. To modne miejsce. Gabrysia robi tu polowania na różnych znanych. Przeprowadza swoje słynne sondy. Sonduje, kogo się da, i odkłada na święty nigdy. Wykorzystuje niewielką część materiałów, jednak to przydatne informacje. Zwłaszcza te mówione *off the record*. Siedzą tu jak zwykle

biznesmeni, prawnicy i różni znani z tego, że są znani. Rozpoznawalni przez chwilę. Jedzą ekologiczne śniadania i piją aktualnie modne soki. Jest też wianuszek satelitów, chcą popatrzeć na aktorów, prezenterów telewizyjnych, modelki, na międzynarodowe towarzystwo konferencyjne z całą obudową, tymi wszystkim pracownikami piaru, hostessami, czasami też z wynajętymi damami do towarzystwa. Są wśród nich studentki i studenci. Szukają sponsorów. Organizatorzy imprez lubią ten stary hotel, jest wystarczająco drogi, ma renomę. Ludzie czują się tu bezpiecznie.

\*

Gabi ma jeszcze godzinkę. Na jej prywatnym zegarze godzinka znaczy więcej niż pół godziny, mniej niż czterdzieści minut. Zapisała pytania. Będzie miała prawdziwą godzinę na nagranie wywiadu. Ma jak zwykle dwa urządzenia nagrywające. Jedno małe, prawie szpiegowskie, będzie włączone, zanim uruchomi nagrywanie, o którym on będzie wiedział. Musi uważać, nie ma pojęcia, co taki ścisły umysł zauważa. Niby żeglują gdzieś w chmurach, ale tacy ludzie mogą mieć jakiś nadprzyrodzony zmysł obserwacji, oczy i uszy dookoła głowy. Tak jak ona. Pochlebiała sobie, że widzi i słyszy wszystko. Jak dotąd, tylko jedna osoba ją przejrziała, wykryła, że ma w torbie drugi sprzęt. Pisarka Adela. Nie wiadomo, jak do tego doszła, albo przez przypadek, albo jest nadmiernie podejrzliwa. Możliwość trzecia jest taka, że sama stosuje podobne metody. Pisarze robią różne dziwne rzeczy. Uważają, że wszystko im wolno, nie ma dla nich nic świętego. Adela obsmarowała w powieściach całą swoją rodzinę. Kto wie, czy nie zakładała podsłuchów, bo kiedy przytacza rozmowy, są jak żywe, to prawda.

Chyba że ma nadprzyrodzoną pamięć. Zapisuje zdarzenia na bieżąco. Nikt inny Gabrysi nie nakrył. Nie sądzi, żeby taki młody uczony z nosem w kosmosie i liczbach, pewnie od rana do nocy wgapiający się w ekran, interesował się jej nagraniami. Nie sądziła także, by miał coś ciekawego do powiedzenia na tematy damsko-męskie, które interesowały czytelniczki. Wyśledziła, że ma dziewczynę, ale nigdzie nie znalazła jej fotografii. Na jego stronie w sieci były jedynie osiągnięcia naukowe, wyjazdy, rozszerzone CV. Znalazła kogoś spośród jego siedmiuset przyjaciół na fejsbuku. Też nic specjalnego. Jedna fotka z dziewczyną wtuloną twarzą w jego ramię, zasłoniętą włosami. Strzegł swej prywatności. Mądry chłopak.

Po wywiadzie przyjdzie fotograf i zabierze Bartosza Chruścika w przyrodę. Nie chciał się zgodzić na studio i przebieranie przez stylistki. Ewita zwykle żądała od wywiadowanych posłuszeństwa, tym razem ustąpiła. Niech będzie plener, powiedziała.

\*

Gabrysia poszła do toalety. Jak zawsze przed ważnym spotkaniem czy wywiadem. Tu było elegancko, nie brzydziła się korzystać. Nie sądziła, że obserwuje ją oko kamery.

Siadła na lśniącym białym kłozecie, na kolanach trzymała swoją olbrzymią torbę. Wyjęła pomadkę i pociągnęła nią niedawno zrobione wypukłe wargi, stały się teraz jeszcze większe, jakby nabiegłe błyszczącą, świeżą krwią. Skończyła malowanie, schowała szminkę. Wstała z podciągniętą wysoko spódnicą. Sięgnęła po papier. Nie było! Woda samoczynnie splukwała muszlę.

– O kurwa, kurwa, co za syf! Europa, kurwa mać! – przeklina głośno, otwiera torbę wyjmując z niej paczkę chusteczek, wyciera

pupe, zużywając siedem sztuk, aż do czysta, znów siada i wstaje, żeby po raz drugi spuścić.

Wychodzi, idzie umyć ręce. Myje dłonie mydłem z pojemnika. Trwa to dość długo, starannie osusza papierowym ręcznikiem, patrzy w lustro, stuka się w czoło otwartą dłonią, wściekła, że nie sprawdziła wcześniej, czy jest papier w kabinie. Mogłaby wziąć ręcznik papierowy. Torba stoi na szerokim brzegu umywalni, jest w niej kosmetyczka z całym arsenałem do poprawiania urody. Szczoteczką z czarnym tuszem pociąga rzęsy, już i tak dość czarne i grube. Rozczesuje włosy, układa je, lekko tapirując. Obciąga spódnice, powiększa dekolt czarnej bluzki z krótkim, szerokim rękawem. Wodą toaletową spryskuje pachy, specjalnym rozpylaczem w pojemniczku odświeża jamę ustną. Zapach mięty zmieszany z perfumami unosi się w powietrzu. Potrząsa głową, jakby się na coś nie zgadzała i wychodzi.

Z męskiej toalety korzystał w tym samym czasie młody facet w okularach, załatwił się szybko. Słysząc odgłosy podobne do silnika traktora, a potem plusk gówna wpadającego do dziury z wodą, widać, że miał pilną potrzebę. On też sięga po papier. A tu niespodzianka. Nie taka znów wielka, to się jeszcze zdarza, jednak nie w takich hotelach! Rolka była długa, ale się skończyła, szuka więc czegoś, rozgląda się, chce wytrzeć brudny tyłek, a gdy nie znajduje, wyjmuje z teczki wydruk tekstu, bierze kartkę, najpierw jedną, potem drugą i podciera się nimi.

– *Fuck*, co za chujowe miejsce! – przeklina. – *Fuck*, pierdolony hotel!

Przeklina także swoją oszczędność, bo drukował obustronnie. Czarny tusz rozmazuje się, facet wykręca głowę do tyłu, żeby sprawdzić, czy ma czarny tyłek. Woda obmywa muszlę. Facet chwilę patrzy na ręce. Wkłada dłonie pod srebrzysty kran, woda sama zaczyna lecieć, myje dłonie.

Są tacy, którzy wiedzą, że są przez cały czas obserwowani. Inwigilowani. Przyzwyczaili się już do kontroli. Poruszają się po mieście swobodnie, sądzą, że nie robią nic takiego, co mogłoby być ciekawe dla kogokolwiek. A jednak tutaj ktoś obserwuje toalety. Ze względu na bezpieczeństwo. Widzi różnicę między kobietami i mężczyznami, gdyby był badaczem, socjologiem czy innym uczonym, mógłby napisać pracę o tych różnicach. Nie jest, może się więc tylko pośmiać.

\*

Gabrysia wychodzi prawie jednocześnie z młodym człowiekiem w okularach, ona z damskiej, on z męskiej. Poznaje go, to jest właśnie młody uczyony Bartosz Chruścik, laureat Medalu Fieldsa. Chyba jej nie zauważył, cofnęła się w porę. Sprawdza, czy sprzęt w torbie jest włączony, i podchodzi do stolika równocześnie z Bartoszem. Witają się, siadają. Zjawia się kelnerka.

– Jadłeś śniadanie? – pyta Gabrysia.

– Nie zdążyłem – odpowiada.

– Na koszt firmy! Mamy specjalny fundusz. Możesz się nie przejmować. – On zamawia jajecznicę, to już się jej podoba. Ona także.

– Na razie jeszcze gadamy *off the record* – informuje sakramentalnie Gabi.

– Włącz od razu, bez różnicy.

To ją zdziwiło, jak dotąd nikt tak się nie zachował. Kliknęła, sprawdziła, czy sprzęt działa. Działał. Jedli jajecznicę, gadając o pogodzie, ona zauważyła, że chyba jest przeziębiony, ma nosowy głos. On odpowiada, że to zatoki. Gabrysia zadaje po kolei swoje pytania. Pyta o teorię węzłów, on zaczyna nawijać o położeniu



krzywych w trójwymiarowej przestrzeni euklidesowej. Mówi o sumie spójnych węzłów, o splotach, bierze serwetkę i zaczyna rysować. Jakiś węzeł trywialny, podobny do nieskończoności. Gabi przestaje słuchać, wie, że to będzie nagrane, przeanalizuje wszystko w domu, spotka się ze znajomym matematykiem, poprosi, żeby jej wyjaśnił.

– A teraz pytam cię, co sądzisz o węzłach uczuciowych? Masz zamiar związać się węzłem z tą piękną dziewczyną, z którą przyłapał cię Plotkarz? Chyba jest piękna, w każdym razie na fotografii ma piękne włosy, niestety zasłaniały jej twarz.

– O uczuciach nie rozmawiam.

– Proszę cię, Bartosz, powiedz coś naszym czytelniczkom, jesteś superpartią, inteligentny, młody, przystojny, ustawiony, podziwiany, bogaty, każda by takiego chciała. Powiedz, jakie kobiety cię kręcą.

– Teraz mam co innego na głowie. Szukam matki.

– Jak to matki? Chyba umarła?! Tak się składa, że ja też ostatnio straciłam matkę. A mimo to się pojawia. Kilka razy stała nade mną i mówiła, co powinnam zrobić, jak za życia. Czasami podaje mi listę zakupów! Tak jak robiła to przez telefon.

Gabrysia wiedziała, że osobiste wtręty rozmiękczają rozmówcę. Zastanowiła się, czy to możliwe, żeby młody uczonek, ścisły umysł, poszukiwał kontaktu z duchem matki. Takie rzeczy się zdarzają, niektórzy chcą wiedzieć, czy istnieje coś oprócz tego, co tu. Jak dotąd, nic takiego się nie pojawiło, nie ma żadnego dowodu wprost. Nie chciała już bardziej wtajemniczać go w swoje sprawy, czekała na rozwój sytuacji.

– Mom umarła, siedziałem przy niej. Była w hospicjum. Wypowiadała się. Ksiądz ją namówił, żeby mi powiedziała, że nie jest moją prawdziwą, biologiczną matką. Tylko że ona nic nie wiedziała, mówiła mi, że podobno urodziła mnie jakaś bardzo młoda zakonnica, oddała mnie Chruścikom i zaszyła się w klasztorze. Coś wie matka chrzestna, znam ją dobrze, czuwała nade mną przez cały

czas. Pomagała finansowo, a przecież nie jest bogata, a dawała mi kupę kasy. Chruścik też nie jest moim ojcem. Totalny chaos.

– A może ojciec coś wie? – pyta Gabi.

– Powiedział, że zobaczył mnie parę godzin po urodzeniu, o nic nie pytał, bo matka tak się zachowywała, jakby to ona mnie urodziła. A mom mówiła, że on był zawsze niezadowolony. Jak mnie zobaczył, to spytał zawiedziony: Taki mały? Facet nie ma wyobraźni. To niesamowite, że taka głowa może przecisnąć się przez pierścień. Rozciągliwość godna podziwu.

– Pytałeś chrzestną?

– Ta kobieta nic nie powie, dopóki nie uzna, że już może. – Skończył jajecznicę, popijał mleczną kawę. Przestał mówić.

– To sensacja! Hit! – zawołała Gabrysia.

– Chyba tego nie opublikujesz?

– Dlaczego nie? To ci pomoże odnaleźć biologiczną matkę. – Gabi już widzi tytuł. Z pewnością nikomu o tym jeszcze nie opowiadał.

– To historia jak z kiepskiego serialu.

– Może ta Marianna Skiba jest związana jakąś ponurą tajemnicą? – pyta zafascynowana Gabi.

– Pewnie tak, jednak chciałbym wiedzieć, kim jest matka i mój prawdziwy ojciec, zwłaszcza matka, dlaczego mnie oddała? Byłem w tym klasztorze, rozpytywałem siostry, nic takiego w tym czasie nie miało miejsca, były jakieś dzieci, ale znacznie wcześniej, i wszystkie są opisane. Jest jedna ciekawa informacja, w tym klasztorze jako pomoc, pracowała Marianna Skiba, nawet chciała zostać, ale w końcu przed nowicjatem uciekła.

– Może to ona? – dopytuje się Gabrysia.

– Nie, matka powiedziała, że to była bardzo młoda dziewczyna.

– Mogło się zdarzyć, że umarła przy twoim urodzeniu.

– Tak myślałem, ale to nie zmienia faktu, że kiedyś istniała, chcę wiedzieć, kim była.

Czas wywiadu się skończył. W drzwiach pojawił się fotograf ze sprzętem, za nim jego ekipa. Gabrysia postanowiła pójść z nimi. Drażyć, ile się da. Na chwilę wyszła i zatelefonowała do Ewity.

– Mam hicior! Sensacja, Bartosz Chruścik poszukuje prawdziwej matki! Dasz wiarę? Jego matka, Chruścikowa, przyznała się przed śmiercią, że dostała go w dniu jego narodzin! Powiedziała mu to, ale nie dowiedziała się nigdy, kim była biologiczna matka... Nie szukała jej. Podobno jakaś zakonnica.

– Uspokój się, Gabi. Nie jesteśmy brukowcem, nie będziemy tego publikować. – W głosie Ewity zabrzmiała wściekłość. I coś jeszcze, jakaś niezidentyfikowana nuta.

– On się zgodził, nie ma nic przeciwko, nawet chce, przekonałam go, że może ktoś coś wie i się zgłosi.

– Tak? Jasne, zgłosi się tysiąc fałszywych matek, Chciwych Suk, które będą chciały go na własność. Ma kasę! Daj spokój, nie tędy droga. Róbcie te foty i wracaj do redakcji.

O tym Gabrysia nie pomyślała, rzeczywiście, to może się zdarzyć. Trzeba ugryźć to z innej strony.

\*

Tydzień później Gabrysia znów stała pod gabinetem Ewity, miała w swojej przepastnej torbie kolejny sensacyjny materiał. Nie mogła wejść, ktoś siedział w środku. Bała się zajrzeć, bo na drzwiach paliło się czerwone światło, co znaczyło: Nie przeszkadzać! W masywnych drzwiach nie było dziurek od klucza. Rozpytywała załogę, kto, do kurwy nędzy, okupuje naczelną! Dziewczyny nie wiedziały, fotograf skończył sesję, też czekał, ale miał dość, leciał na kolejne zdjęcia. Nikt nie miał pojęcia, z kim Ewita gada już drugą godzinę.

Gabi zwietrzyła sensację, nos Wścibskiej Suki nigdy jej nie

zawiódł. Postanowiła czekać, nie odpuści, musi zobaczyć, kto stamtąd wyjdzie. Wreszcie, po półgodzinie, drzwi się uchyliły i wysunął się z nich szczupły, blady jak ściana Bartek. Jego jasne oczy były teraz wilgotne i zaczerwienione.

– Co ta wredna suka ci zrobiła? – Gabrysia objęła go mocno.

– Uważaj, co mówisz, ta wredna suka to moja matka! – powiedział Bartek cicho i wtulił się w ciepłe ramię Gabi.

# Spis treści

Karta tytułowa	6
CZEŚĆ PIERWSZA. NACZELNA NACZELNA	7
Ewita w podróży	8
Naczelna Suka	11
Litościwe serce nie sprzeda magazynu	19
Ciuchy	28
Antek	35
Stare lalki	38
Emeryci po trzydziestce	42
Adela w nawiasie tęczy	49
Czytanie i pisanie	65
Traktat o sukach	72
Gabrysia Mżawka w filharmonii	79
Prada lepsza od Prawdy	81
Aneta	85
Bolesne tajemnice kobiet	89
Pan i jego Suka	95
Kocha, ale czasem nie lubi	101
Upalne miasto	109
Off the record	115
Dobrana para	126
Skórzany plecak	131
Kryzys sobotniej nocy	135
Kosmos Bartka	141
Ślub dzieciaków	147
Adela pod ścianą	151
Strzała czasu	157

Depresja Wrednej Suki	162
Gabrysia Mżawka	164
Fashion Week	172
Nareszcie w NY	180
Klucze Igora	185
Seks z kowbojem w NY	190
<b>CZĘŚĆ DRUGA. KOZETKA DOKTORA BECHSTEINA</b>	<b>195</b>
Doktorze Bechstein...	196
Lojalność Ewity	200
Prawdy wewnątrzrodzinne	204
Sekretny notatnik Ewity	207
Matki i córki	210
Bezludna wyspa	217
Sztuka nie rani	219
Kiedy dzieje się śmierć	223
Doktorze Bechstein...	229
Pamiętna niedziela	236
Marianna, matka chrzestna	243
Na skraju	248
Seks jako lek	250
Bliskość z daleka	254
Czerwona podeszwa	256
Doktorze Bechstein...	258
Globalna wioska ćpunów	260
Doktorze Bechstein...	262
Niedobry klimat	264
Doktorze Bechstein...	267
Monika	270

Smak zemsty	276
Narodziny bliskości	283
Grzegorz	288
Życie rodzinne	292
Czy bóg jest miłosierny?	294
Depresja kochanków	304
Małżeństwo Kety	310
Solidarność kobieca?	314
Doktorze Bechstein...	316
W Świątymierzu	322
Doktorze Bechstein...	324
List do doktora Bechsteina	326
Modowa forpoczta	331
Pieprz się, z kim chcesz, kiedy chcesz i jak chcesz	334
List do doktora Bechsteina	336
Doktorze Bechstein...	341
Z notatnika Ewy Szot	352
Drugi mąż	354
Sraczka słowna	356
Doktorze Bechstein...	359
Sztuczna plaża	364
Sensacyjny wywiad Gabrysi Mżawki	377